

PORTRET NIEPOLITYCZNY

A black and white, high-contrast portrait of Jarosław Kaczyński. He is shown from the chest up, looking slightly to the left of the camera. The lighting is dramatic, with strong highlights on his forehead, nose, and cheekbones, while the rest of his face and the background are in deep shadow. He is wearing a dark suit jacket and a dark tie.

# JAROSŁAW

## TAJEMNICE KACZYŃSKIEGO

---

Michał Krzymowski

# / Spis treści:

<b>Wstęp</b>	<b>4</b>
<b>Gazeta</b>	<b>6</b>
Wydanie specjalne	8
<b>Mama</b>	<b>24</b>
Zaginiony świat	26
Monografia	38
Wychowanie	50
Złoty czas	66
Mickiewicza	82
Owocowy talerz	88
<b>Tata</b>	<b>100</b>
Fokstrot	102
Imiona	114
„Wyborcza”	122
Inżynierska skrupulatność	134
Żal	140
Nowotwór	148
<b>Bliźniacy</b>	<b>154</b>
Buzie	156
Wspólne życie	164
Gabinet profesora Boucharda	178
Układ	192
Więź paradoksalna	202

Brat nad bratem	212
Przeklęta ziemia	220
Życie wśród duchów	238
Mit	252
<b>Sam przeciw światu</b>	<b>258</b>
Wódka pod schab	260
Stan wojenny	276
Formacja KPP kontra człowiek z innej parafii	290
Zemsta bibliotekarza	304
Sex instructor. First lesson free	318
Swąd	332
<b>Rewolucja</b>	<b>342</b>
Inspiracje historyczne	344
Błoto szaleństwa i kompromitacji	358
Agresja przechodniów, propaganda taksówkarzy	370
Dyskretny proces psychotyczny	384
Zakon jest moją zbroją	398
Nienawiść	416
Dwie natury	428
Samotność	438
<b>Jarek, mój przyjaciel</b>	<b>454</b>
<b>– rozmowa z Tadeuszem Kopczyńskim</b>	
<b>Bibliografia</b>	<b>474</b>

# / Wstęp

Gdy piszę te słowa, książka jest już gotowa do druku. A ja myślami wracam do spotkania z Andrzejem Urbańskim, wieloletnim współpracownikiem mojego bohatera, który już po wywiadzie zatrzymał mnie w drzwiach swojego domu i powiedział: – Niech pan posłucha. Jarosław Kaczyński 30 lat temu był nikim, a dziś jest człowiekiem, który kilkakrotnie zmieniał bieg historii. Może pan go kochać, może nienawidzić, ale nie wolno panu pisać tej książki na zimno. Pisze pan o człowieku wielkim, który musi budzić w panu emocje.

To prawda. Kaczyński jest politykiem wielkim – moim zdaniem największym w historii III Rzeczypospolitej – i zasługuje na portret godny swoich osiągnięć. Ta książka jest, wierzę w to z całego serca, taką właśnie opowieścią. Nie pisałem jej jednak ani z miłości, ani z nienawiści. Powiedziałbym raczej, że „Jarosław” powstał z fascynacji.

Nie było w ciągu ostatnich 25 lat drugiego polityka, który zawładnąłby emocjami Polaków na tak długo i z taką mocą. Mój bohater jest niezwykle, bo nie pozostawia nikogo obojętnym, ale mimo wszystko to postać nie do końca znana, kryjąca w sobie tajemnicę. Z jednej strony jest charyzmatycznym przywódcą, brutalnym i pewnym swoich przekonań, a z drugiej – to człowiek czuły, tęskniący za akceptacją, uległy wobec kobiet i uciekający w samotność.

Moja opowieść jest poszukiwaniem klucza do tej zagadki. Na czym polega fenomen Jarosława Kaczyńskiego i gdzie bije źródło tego fenomenu? Odpowiedzi na te pytania odnalazłem nie tylko w działalności publicznej mojego bohatera, ale też w jego świecie intymnym: rodzinnym domu, miłości do brata i osamotnieniu. W tym wszystkim, co go stworzyło i uformowało.

Książka powstawała przez trzy lata. Przygotowując ją, przeprowadziłem 86 wywiadów, spędziłem dziesiątki godzin w archiwach i dotarłem do dokumentów oraz historii dotąd nieopisywanych. Do Jarosława Kaczyńskiego wysłałem odręczny list z prośbą o rozmowę (taką formę zalecił mi jego wieloletni kierowca i przyjaciel Tadeusz Kopczyński). List pozostał bez odpowiedzi. Mimo to mój bohater jest w tej książce obecny: przemawia z niepublikowanych wspomnień, które udostępnił mi jeden z jego współpracowników, i archiwalnych wywiadów.

Zabrzmie to zuchwale, lecz sądzę, że takiego portretu nie doczekał się jeszcze żaden polski polityk ostatniego ćwierćwiecza. Zapraszam w podróż do nieznanego świata Jarosława Kaczyńskiego.

**Michał Krzymowski**



# RZECZPOSPOLNA

18

Sobota - Niedziela

WIELKI TYDZIEŃ

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20

## Wielki Tydzień 2009 - 18 Wielki Tydzień 2009 - 20 Wielki Tydzień 2009 - 22 Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24



Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24

Wielki Tydzień 2009 - 18  
Wielki Tydzień 2009 - 20  
Wielki Tydzień 2009 - 22  
Wielki Tydzień 2009 - 24



# GAZETA

...ów społecznych

## ciota

...owi wzrost o 1,1  
...ut Statystyki Kō-

### WYBÓR

**Dzielnice szczyły wzrost w kraje  
UE w ogólnym ocenie**  
Kazimierz - 1000 Wydziałeń 1000  
Poznań (2000) 1) Poznań 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000

**Wielka Brytania: Długopisowcy  
na przeszkodzie**  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000

**Bajka o czarnej kowalce**  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000

**... (1000) 1000 1000 1000**  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000

**... (1000) 1000 1000 1000**  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000



### Komentarz: Rzeczpospolita

## Eurooland: ekskluzywa

**PAWEŁ JANKOŃSKI**

**P**

... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000

... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000

# GAZETA

## Wydanie specjalne /

**... (1000) 1000 1000 1000**  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000



**... (1000) 1000 1000 1000**  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000  
... (1000) 1000 1000 1000

## Tadżyńska wojna z komórkami

**/ Wydanie specjalne**



Pokój jest vis à vis sali, w której leży mama. Kto zajrzy do środka, zobaczy cztery krzesła, prosty stół, leżankę i wieszak z garniturem. Prezes przychodzi tu codziennie, żeby zdjąć z siebie żałobę. Wchodzi ubrany na czarno, wychodzi na jasno. Bierze białą maseczkę i idzie do mamy. Garnitur żałobny na pewno by ją zaniepokoił, a wiadomość o śmierci Leszka mogłaby zabić.

Wiele miesięcy później, gdy Jadwiga Kaczyńska już wydobrzeje, opowie w wywiadzie:

„Wyprowadzono mnie ze śpiączki farmakologicznej jeszcze w marcu, za życia Leszka. Byłam kompletnie sparaliżowana i – jak mi opowiadano – rozmawiałam z Leszkiem, Jarkiem, siostrami, lekarzami. Ale tego nie pamiętam. To, co pamiętam, wyglądało tak. Leżałam w szpitalu. Długo byłam nieprzytomna. Pamiętam ten dzień, kiedy się ocknęłam. Usłyszałam padający deszcz. Ten szmer deszczu będę pamiętać już zawsze. Zapytałam Jarka: »Gdzie jest Leszek?«. Odpowiedział, że w Brazylii. »W Brazylii mówią po portugalsku, a Marylka chyba nie zna portugalskiego – zmarł mi się. – Dlaczego nie zadzwoni?«”.


Jarosław wyjaśni, że z telefonami w Brazylii jest kłopot. Leszek nie może dzwonić do Polski, ale można dzwonić do niego, więc on, Jarosław, codziennie chodzi do Pałacu Prezydenckiego i telefonuje ze specjalnego aparatu satelitarnego. Mama ma się nie martwić. Leszek jest już w drodze do Argentyny i Peru. Mówi, że tęskni. Przesyła ucałowania, pozdrawia.

Problem, słyszy mama, jest inny. Na Islandii wybuchł wulkan i wstrzymano ruch lotniczy nad Europą. Przez to Leszek z Marylką muszą wracać do kraju morzem, po drodze mają cumować w Meksyku. Jarosław odmalowuje statek, streszcza rozmowy – wszystko wymyśla na gorąco, jakby opowiadał dziecku bajkę. W tej kabinie jest ksiądz Indrzejczyk, dalej Władysław Stasiak, kolejną zajmuje pani Iza, szefowa prezydenckiego protokołu i przyjaciółka Marylki. Podróż mija spokojnie, tylko kajut brakuje. Niektórych kwaterują parami, są drobne nieporozumienia, ale to wśród innych członków delegacji. Leszek dobrze znosi oceaniczną wyprawę, nie trzeba się denerwować.

Mama się uspokaja, ale Jarosława musi gryźć sumienie. Kilka dni temu zapowiedział start w wyborach prezydenckich. Wydał oświadczenie, w którym napisał, że ma wsparcie rodziny i chce kontynuować dzieło zabitego brata. Partia już zbiera podpisy pod jego kandydaturą, współpracownicy naciskają, że trzeba ułożyć kalendarz spotkań, a on nie ma do tego głowy. Jest w żalobie i jeszcze okłamuje mamę. A przecież – zwierzy się znajomej – ona ma prawo wiedzieć, że syn nie żyje.

Początek maja. Prezes wypytuje R., dyrektora zarządzającego partii, czy dałoby się wydać taką gazetę, która nie zawierałaby tekstów o Smoleńsku. Najlepiej „Rzeczpospolitą”, bo mama bardzo ją lubi. Czy można by to zrobić własnymi siłami, z ludźmi partii?

Dyrektor R. od razu bierze się do pracy. Do przedsięwzięcia angażuje łącznie dziesięć osób: współpracowników, ludzi z zaufanej drukarni, która od lat przyjmuje wyborcze zlecenia od PiS, zaprzyjaźnionych łamaczy, fotoedytorów. Znajduje też człowieka, który zredaguje zmyślony artykuł. To Marek Krukowski, człowiek cienia. Były dziennikarz i ghostwriter,

**Pierwsze fikcyjne wydanie „Rzeczpospolitej”  
zrobione dla Jadwigi Kaczyńskiej** 



# Kraj

JAK ST  
ZIELON

W śledztwie  
kobiety nie  
gwalciciel

## Prezydent płynnie do kraju

**WARSZAWA** | Prezydent Lech Kaczyński postanowił nie czekać na poprawę pogody

**ELIZA OLCZYK**

Prezydent Lech Kaczyński postanowił nie czekać, aż miną zakłócenia w transatlantyckim ruchu lotniczym, spowodowane wybuchem islandzkiego wulkanu, i wraz z Pierwszą Damą oraz towarzyszącą mu delegacją wsiadł na statek, płynący z Meloyku do Europy.

Swoją decyzją prezydent zaskoczył wszystkich. Podjął ją szybko, tak jak swego czasu błyskawicznie postanowił polecić do Gruzji na wzięcie o wkroczeniu wojsk rosyjskich na terytorium tego kaukaskiego państwa.

### Kancelaria funkcjonuje normalnie

– To niekonwencjonalne zachowanie, ale mogę powiedzieć, że rozumiem prezydenta. Przecież według prognoz chmura wulkanicznego popiołu rozciągająca się nad Atlantykiem może nie ustąpić przed

upływem trzech tygodni. A więc płynąc statkiem prezydent ma szansę na wcześniejszy powrót do kraju. Zresztą nawet tak długa podróż morską jest lepszym rozwiązaniem niż bezczynne oczekiwanie na polepszenie się warunków atmosferycznych – powiedział „Rz” wicepremier Waldemar Pawlak.

Niektórzy politycy koalicji rządzącej uważają, że tak długi pobyt za granicą głowy państwa zakłóci funkcjonowanie Kancelarii Prezydenta. – Wykonujemy nasze obowiązki jak o dzień. Kancelaria działa sprawnie i jej praca na nieobecności Pana Prezydenta nie ucierpi – zapewnia prezydencki minister Jacek Sasin. Nie ukrywa jednak, że rozpisanie na nowo kalendarza spotkań Lecha Kaczyńskiego jest dość trudnym zadaniem. Niektóre z umówionych wizyt nie dojdą do skutku, w tym wyjazd do Moskwy na uroczystości związane z rocznicą zakończenia drugiej wojny

światowej. Inne wizyty i spotkania trzeba będzie przelożyć. Pytanie tylko na kiedy? – Intensywnie nad tym myślimy. Nie będzie to łatwe, ale nie chcemy, by ludzie czy środowiska, z którymi miał się spotkać prezydent, poczuli się zawiedzione.

### Nieoczekiwane wczasy

Prezydencka para i towarzyszące jej osoby znalazły się niejako na przymusowym urlopie. Mogłoby się więc wydawać, że nie czekają na nie żadne obowiązki. – To są tylko pozory. Owszem, prezydent często odpoczywa, trochę czyta, spędza więcej niż normalnie czasu z małżonką, ale też bardzo dużo pracuje, a wraz z nim my wszyscy – mówi „Rz” szef Kancelarii Prezydenta Władysław Stasiak. – Mamy teraz wyjątkową sposobność na długie dyskusje o Polsce, o stanie naszego państwa oraz o tym, jakie zadania stoją przed nami – dodaje.

Jak się dowiedzieliśmy pogodą dopisuje i podróż odbywa się bez przeszkód.

Powrót do Polski pary prezydenckiej spodziewany jest za około dwa tygodnie. Statek będzie bowiem płynął dłuższą niż zwykłe trasę. Możliwe jest jednak, że prezydent wykorzysta fakt, iż portem docelowym jest Marylia, odbywając po drodze do kraju szereg nieoficjalnych spotkań z przywódcami państw unijnych. – Żadne konkretne ustalenia w tej sprawie jeszcze nie zapadły – mówi Władysław Stasiak – ale nie zaprzeczam, że rozmowy na ten temat mają miejsce. ■

## Wulkan wciąż wstrzymuje loty

**POGODA** | Trwa paraliż transatlantyckiej komunikacji lotniczej

**ALEKSANDRA RYBIŃSKA**

– Obawiam się, że ta chmura pyłu może utrzymywać się o wiele dłużej niż wskazywały nasze pierwsze symulacje – mówi Jacek Balcer, rzecznik PLL LOT. Jego zdaniem zamknięcie przestrzeni powietrznej nad Atlantykiem potrwa jeszcze co najmniej dwa, a być może nawet trzy tygodnie.

Sytuacja jest dramatyczna. Przedstawiciele linii lotniczych nie chcą wypowiadać się na temat tego, co się będzie dzia-

lowca Eyjafjallajökull na Islandii i powstania ogromnej, gęstej chmury popiołów. Wulkaniczny pył sięga pułapu 6-11 tysięcy metrów. Ogranicza on widoczność i stwarza niebezpieczeństwo dla samolotów. Popioły mogą się stopić pod wpływem ciepła silników odrzutowych, a następnie ponownie stwardnieć w ich

wnętrzu, powodując awarię. Natomiast pył, który dostałby się do kabiny pilotów, może zakłócić działanie elektronicznych elementów.

### Czarny scenariusz

Meteorolodzy obawiają się, że chmury popiołów paraliżujące komunikację lotniczą nad Atlantykiem mogą prze-

sunąć pod wpływem wiatrów górnych, wiejących z północnego zachodu na południowy wschód nad nasz kontynent. To spowodować może, mimo iż po drodze chmura się rozrzedzi i część pyłu opadnie, zamknięcie przestrzeni powietrznej przez wiele krajów europejskich oraz kompletny chaos komunikacyjny.



– Sytuacja najlepiej. Wulkany aktywny i wypląty fery gesty pyłu wczoraj Bórdin rodowego Biura w Reykjavíku chodu zaczyna tenywniej, w się liczyć z tym chmurę we wstrunku nad Euro. Czy nadejdą skę i zmasz na zamknięcia prwletrznej? – Nbył ostrożnym Oczwwiście, tak scenariusza nie kluczać, ale też dziane, że musi – próbuje stucz teorolog profes Stuchankowski dodaje – jeśli ni nie zmusza, to

autor tekstów programowych partii i licznych wystąpień prezesa. Doskonale zna Jarosława Kaczyńskiego i jego oczekiwania, umie nawet imitować frazę szefa. Czasem, jak coś przygotowuje, to aż trudno uwierzyć, że nie pisał tego prezes. Zna go też pani Barbara, najważniejsza sekretarka na Nowogrodzkiej. Dzięki temu Krukowski bez kłopotu dostanie się do szefa i będzie mógł skonsultować treść artykułów. To ważne, bo teksty muszą być zgodne z tym, co mama już wie.

Trzeba jeszcze znaleźć drukarkę wielkoformatową. Po konsultacjach R. decyduje się na ploter marki Canon, model IPF710. Sprzęt kosztuje ponad 8 tys. zł, ale ma opcję drukowania na cienkim papierze, co sprawi, że gazeta będzie jak prawdziwa. Dzięki pięciokolorowemu drukowi w wysokiej rozdzielczości winieta pisma, infografiki i szparowane zdjęcia uzyskają autentyczny wygląd. Pieniądze na zakup plotera wyklada za przyjaźniona drukarnia. O zwrot kosztów nie będzie się upominać.

Sprzęt zostaje zniesiony do katakumb partyjnej siedziby przy Nowogrodzkiej 84/86. Drukarnia ma tu magazyn. Miejsce jest bardzo dyskretne. Kilka kondygnacji wyżej odbywają się konferencje prasowe, na których występuje prezes, ale dziennikarze kręcą się tylko na poziomie zero i wyżej. Do tego, co pod powierzchnią, nie mają dostępu. Magazyn mieści się przy podziemnym parkingu, do którego prowadzi kręty zjazd z podwórka. Żeby się do niego dostać, trzeba mieć pilot do zewnętrznej bramy i jeszcze znać rozkład garażu. O magazynie wiedzą nieliczni: kilka osób z partyjnej centrali, drukarze i kierowcy Jarosława, którzy obok parkują prezesowską limuzynę.

Gazetę udaje się złożyć i wydrukować w trzy dni. Gdy gotowa plachta wyjeżdża z plotera, kilka pięter wyżej, w biurze, rodzi się plan na początek kampanii. Powstanie spot wyborczy „Do przyjaciół Rosjan”, w którym Jarosław stwierdzi: „Nowe można budować tylko w oparciu o prawdę. Musimy tę prawdę poznać nawet wtedy, gdy jest ona bardzo bolesna”. Film zostanie nagrany w Muzeum Powstania Warszawskiego i wyemitowany w niedzielę.

W sobotę rano prezes jest jeszcze w szpitalu. R. już do niego jedzie z gazetą. Po drodze zabiera Tomasza Żukowskiego, socjologa współpracującego z partią, który ma go zaprowadzić na oddział. Przy drzwiach do sali jak zwykle siedzi pan Jacek, kierowca szefa i asystent. To człowiek z najwyższego kręgu, jego żona Hanna pod nieobecność prezesa dyżuruje przy mamie.

Pan Jacek daje znać, że do środka wchodzi tylko R., dr Żukowski ma zostać na zewnątrz. W pokoju jest pusto, na wieszaku wisi garnitur. Po chwili uchylają się drzwi i zjawia się prezes. Zdejmuje maseczkę – to znak, że był u mamy – i siada za stołem, na którym leży „Rzeczpospolita”. Gazeta wygląda jak prawdziwa. To przerobione wydanie ze środy. Na czołówce ma wpisaną datę trwającego weekendu 8–9 maja 2010 roku.

Prezes sprawdza palcami papier – przypomina prawdziwą gazetę. Przegląda dokładnie, strona po stronie. Na czołówce jest tekst dziennikarki działu ekonomicznego Danuty Walewskiej poświęcony greckim zamieszkom w sprawie cięć zapowiedzianych przez rząd. Oraz drobne zapowiedzi czterech tekstów ze środka.

Z kraju: „Ukraińcy twierdzą, że założyli Polskę. Kontrowersyjny przewodnik turystyczny dla wschodnich sąsiadów”.

Ze świata: „Torysi wygrali wybory”.

Z opinii: „Richard Pipes: Rosja powinna dać Czeczenom niepodległość”.

I z gospodarki: „Spada sprzedaż prasy”.

Drugą stronę otwiera komentarz redakcyjny autorstwa Pawła Jabłońskiego „Euroland: ekskluzywny klub bez wykidajły”. Niżej rysunek Andrzeja Krauzego. Urzędnik pyta zgarbioną babcię: „Chcecie wyższą rentę? A co to, nie na najedłście się w ciągu dotychczasowego życia?”. Dalej też bezpiecznie – recenzja książki o terrorystach, jakaś ciekawostka z Tadżykistanu i krótka rozmowa z prezydentem pogody Tomaszem Zubilewiczem.

Tekst o podróży – „Prezydent płynie do kraju” – jest na trzeciej stronie.



# Kraj

## ZDJĘCIE Z FOTORADARU NIE OZNACZA MANDATU

Nie można karać mandatem karnym zaocznym właściciela auta za przekroczenie prędkości zarejestrowane fotoradarem ➔A8

mura  
iołów wciąż  
alizuje  
munikację  
iczą

A | Islandzki wulkan  
ypływa z siebie  
ie ilości popiołu

RYBIŃSKA

kan nadal wy-  
strzyminie ilo-  
omnie, zwarte  
ją wysokość  
ów. Zdaniem  
zanosi się na  
stych dniach  
pyłów, któ-  
gają się nad

ników. Liczy się już w mi-  
liardy dolarów i staje się one  
powoli problem politycznym.  
W najbliższych dniach dojdzie  
na do spotkania ministrów  
komunikacji państw Unii Eu-  
ropiejskiej. Być może weźmie  
w nich udział ich amerykański  
odpowiednik. Przewoźnicy do-  
magają się pomocy ze strony  
swoich rządów, bowiem – jak  
utrzymują – niektóre firmy



acienni Atlan-  
tycznie. W tym-  
miejscach nie  
może się wy-  
pod koniec  
dnia. Nawet  
zbytwa się  
z wznowienie  
j komunikacji  
temu musieli  
rzy tygodnie,  
popiołów nie  
tyło, by po-  
stały się  
razie nie są,  
sily powietrza  
ykonają wie-  
ych, badają,  
podróż ta kosztowałaby go  
parokrotnie więcej, bowiem  
ludzi gotowych zapłacić krocie  
na jak najszybsze połączenie  
jest więcej, niż miejsc, któ-  
re firmy transportowe mogą  
zapewnić. Z cudem graniczy  
również zakupienie biletu na  
statek. ■

# Prezydent w podróży

WARSZAWA | Minął kolejny dzień podróży prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Polski

ELIZA OLCZYK

Minął kolejny dzień podróży prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Polski. Jego decyzja o powrocie do kraju drogą morską wydaje się jak najbardziej słuszną. Prognozy bowiem, o czym pisałyśmy poniedziałkiem, nie wskazują na to, by w najbliższych trzech tygodniach przewidywana została transatlantycka komunikacja lotnicza.

Statek z pierwszą polską parą na pokładzie płynął po Atlantyku szerokim łukiem, by jak najdłużej trzymać się z dala od słabnącego wulkanicznego popielatemu obszarowi. Jak się dowiedzieliśmy, francuska jednostka zbliża się do kontynentu afrykańskiego. Według informacji przekazanych przez wiceksa Kancelarii Prezydenta Jacka Sasina wszyscy członkowie polskiej delegacji bardzo dobrze znają statek podróży. Spręża temu piękna pogoda i spokojne morze. Para prezydencka, która przez pierwsze dni podróży



wrażała ogromną sensacją na pokładzie, bowiem czas, gdy głowy państwa regularnie

pywały statkami dawno już się skończyły, wiele wypoczywa, Lech Kaczyński jest ponoc

w doskonałym nastroju i tryska kumorem w towarzystwie swoich współpracowników. ■

# Spotkanie Kaczyński-Sarkozy

POLITYKA | Czy dojdzie do spotkania prezydentów?

ELIZA OLCZYK

Najprawdopodobniej dojdzie do nieoficjalnego spotkania prezydenta Lecha Kaczyńskiego z prezydentem Nicolasem Sarkozym – dowiedzieliśmy się „Rzeczpospolita”. Według pragnącego

zachować anonimowość polskiego dyplomaty, szef państwa francuskiego chętnie wykorzystywał fakt, iż Lech Kaczyński z towarzyszącą mu delegacją są na pokładzie statku, który zawinie do Marsylii. Którego dnia dojdzie do rozmowy obu polityków i gdzie się ona odbędzie nie

razie nie wiadomo. Być może spotkanie będzie miało miejsce w okolicach Nicei, w podmiejskiej willi na wybrzeżu, gdzie prezydent Sarkozy często wypoczywa wraz ze swoją małżonką Carłą Brunet.

Według polskiego dyplomaty prezydenci spędzą ze sobą co najmniej pół dnia.

W rozmowach poruszą oczywiście najważniejsze problemy z których boryka się Unia Europejska, w tym kryzys grecki i kwestię bezpieczeństwa energetycznego, ale też najprawdopodobniej sporo czasu poświęcą na niezbawiającą konwersację. Przypomnijmy: ze swego czasu Nicolas Sarkozy był mścikiem orudręją Lecha Kaczyńskiego i jego władzę na temat historii Francji.

Jak się dowiedzieliśmy, spotkanie z prezydentem Sarkozym nie będzie jedynym, które Lech Kaczyński odbędzie podczas podróży do domu. Zapewne z Francji uda się do Brukseli, a stamtąd do Berlina, gdzie ma rozmawiać z kanclerzem Niemiec Angeli Merkel. Pertraktacje w tej ostatniej sprawie trwają, czy zakończą się sukcesem w tym momencie trudno orzec, bowiem niemiecka kanclerz ma w najbliższych tygodniach wyjątkowo napięty kalendarz. ■



Warszawa. Tak było 14.06.2007 podczas wizyty prezydenta Republiki Francuskiej w Polsce

Prezes czyta:

„Prezydent Lech Kaczyński postanowił nie czekać, aż miną zakłócenia w transatlantyckim ruchu lotniczym, spowodowane wybuchem islandzkiego wulkanu, i wraz z Pierwszą Damą oraz towarzyszącą mu delegacją wsiadł na statek płynący z Meksyku do Europy. Swoją decyzją prezydent zaskoczył wszystkich. Podjął ją szybko, tak jak swego czasu błyskawicznie postanowił polecieć do Gruzji na wieść o wkroczeniu wojsk rosyjskich na terytorium tego kaukaskiego państwa.

### **Kancelaria funkcjonuje normalnie**

– To niekonwencjonalne zachowanie, ale mogę powiedzieć, że rozumiem prezydenta. Przecież według prognoz chmura wulkanicznego popiołu rozciągająca się nad Atlantykiem może nie ustąpić przed upływem trzech tygodni. A więc płynąc statkiem prezydent ma szansę na wcześniejszy powrót do kraju. Zresztą nawet tak długa podróż morska jest lepszym rozwiązaniem niż bezczynne oczekiwanie na drugim kontynencie na polepszenie się warunków atmosferycznych – powiedział »Rz« wicepremier Waldemar Pawlak.

Niektórzy politycy koalicji rządzącej uważają, że tak długi pobyt za granicą głowy państwa zakłóci funkcjonowanie Kancelarii Prezydenta. – Wykonujemy nasze obowiązki jak co dzień. Kancelaria działa sprawnie i jej praca na nieobecności Pana Prezydenta nie ucierpi – zapewnia prezydencki minister Jacek Sasin. Nie ukrywa jednak, że rozpisanie na nowo kalendarza spotkań Lecha Kaczyńskiego jest dość trudnym zadaniem. Niektóre z umówionych wizyt nie dojdą do skutku, w tym wyjazd do Moskwy na uroczystości związane z rocznicą zakończenia II wojny światowej. Inne wizyty i spotkania trzeba

 **Drugie fikcyjne wydanie**  
**„Rzeczpospolitej”**

15 / Wydanie specjalne

Więcej na: [www.ebook4all.pl](http://www.ebook4all.pl)

będzie przełożyć. Pytanie tylko na kiedy? – Intensywnie nad tym myślimy. Nie będzie to łatwe, ale nie chcemy, by ludzie czy środowiska, z którymi miał się spotkać prezydent, poczuły się zawiedzione.

### **Nieoczekiwane wczasy**

Prezydencka para i towarzyszące jej osoby znalazły się niejako na przymusowym urlopie. Mogłoby się więc wydawać, że nie czekają na nie żadne obowiązki. – To są tylko pozory. Owszem, prezydent sporo odpoczywa, trochę czyta, spędza więcej niż normalnie czasu z małżonką, ale też bardzo dużo pracuje, a wraz z nim my wszyscy – mówi »Rz« szef Kancelarii Prezydenta Władysław Stasiak. – Mamy teraz wyjątkową sposobność na długie dyskusje o Polsce, o stanie naszego państwa oraz o tym, jakie zadania stoją przed nami – dodaje.

Jak się dowiedzieliśmy, pogoda dopisuje i podróż odbywa się bez przeszkód. Powrót do Polski pary prezydenckiej spodziewany jest za dwa tygodnie. Statek będzie bowiem płynął dłuższą niż zwykle trasą. Możliwe jest jednak, że prezydent wykorzysta fakt, iż portem docelowym jest Marsylia, odbywając po drodze do kraju szereg nieoficjalnych spotkań z przywódcami państw unijnych. – Żadne konkretne ustalenia w tej sprawie jeszcze nie zapadły – mówi Władysław Stasiak – ale nie zaprzeczam, że rozmowy na ten temat mają miejsce”.

Tekst podpisano nazwiskiem Elizy Olczyk. Niżej umieszczono prawdziwy artykuł Aleksandry Rybińskiej poświęcony wstrzymanemu ruchowi samolotów. Wynikało z niego, że przestrzeń powietrzna może być zamknięta jeszcze nawet dwa–trzy tygodnie. Krukowski zostawił jego zasadniczą część bez zmian, zmienił tylko fragment ostatniej szpalty. Dopisał w niej jedno zdanie:

„Jak dobrze wiemy, wybuch islandzkiego wulkanu opóźnił powrót do Polski prezydenta Lecha Kaczyńskiego, uniemożliwiając mu wzięcie udziału w moskiewskich uroczystościach Dnia Zwycięstwa”.



Po przeczytaniu prezes zamknie gazetę i wstanie do wyjścia. – Jestem dozwrotnie wdzięczny. Ratuje pan życie mamy – powie na pożegnanie. R. poczuje się zakłopotany.

Druga gazeta dla mamy zostanie przygotowana na kolejny weekend. Będzie nosić datę 14–15 maja 2010 roku i znajdą się w niej dwa artykuły o prezydencie. Znow oba zostaną podpisane nazwiskiem Elizy Olczyk.

Pierwszy z nich – „Prezydent w podróży” – będzie stanowić kronikarską relację z rejsu:

„Minął kolejny dzień podróży prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Polski. Jego decyzja o powrocie do kraju drogą morską wydaje się jak najbardziej słuszna. Prognozy bowiem, o czym piszemy poniżej, nie wskazują na to, by w najbliższych trzech tygodniach przywrócona została transatlantycka komunikacja lotnicza.

Statek z pierwszą polską parą płynie po Atlantyku szerokim łukiem, by jak najdłużej trzymać się z dala od skażonego wulkanicznymi popiołami obszaru. Jak się dowiedzieliśmy, francuska jednostka zbliża się do kontynentu afrykańskiego. Według informacji przekazanych przez wiceszefa Kancelarii Prezydenta Jacka Sasina, wszyscy członkowie delegacji bardzo dobrze znoszą podróż. Sprzyja temu piękna pogoda i spokojne morze. Para prezydencka, która przez pierwsze dni podróży wzbudzała ogromną sensację na pokładzie, bowiem czasy, gdy głowy państwa regularnie pływały statkami, dawno już się skończyły, wiele wypoczywa. Lech Kaczyński jest ponoć w doskonałym nastroju i tryska humorem w towarzystwie swoich współpracowników”.

Drugi tekst będzie już czysto polityczny. Krukowski nada mu tytuł „Spotkanie Kaczyński–Sarkozy”:

„Najprawdopodobniej dojdzie do nieoficjalnego spotkania prezydenta Lecha Kaczyńskiego z prezydentem Francji Nicolasem Sarkozym

– dowiedziała się »Rzeczpospolita«. Według pragnącego zachować anonimowość polskiego dyplomaty szef państwa francuskiego chciałby wykorzystać fakt, iż Lech Kaczyński z towarzyszącą mu delegacją są na pokładzie statku, który zawinie do Marsylii. Którego dnia dojdzie do rozmowy obu polityków i gdzie się ona odbędzie, na razie nie wiadomo. Być może spotkanie będzie miało miejsce w okolicach Nicei, w podmiejskiej willi na wybrzeżu, gdzie prezydent Sarkozy często wypoczywa wraz ze swoją małżonką Carlą Bruni.

Według polskiego dyplomaty prezydenci spędzą ze sobą co najmniej pół dnia. W rozmowach poruszą oczywiście najważniejsze problemy, z którymi boryka się Unia Europejska, w tym kryzys grecki i kwestię bezpieczeństwa energetycznego, ale też sporo czasu poświęcą na niezobowiązującą konwersację. Przypomnijmy, że swego czasu Nicolas Sarkozy był zaskoczony erudycją Lecha Kaczyńskiego i jego wiedza na temat historii Francji.

Jak się dowiedzieliśmy, spotkanie z prezydentem Sarkozym nie będzie jedynym, które Lech Kaczyński odbędzie podczas podróży do domu. Zapewne z Francji uda się do Brukseli, a stamtąd do Berlina, gdzie ma rozmawiać z kanclerz Niemiec Angelą Merkel. Pertraktacje w tej ostatniej sprawie trwają, czy zakończą się sukcesem, w tym momencie trudno orzec, bowiem niemiecka kanclerz ma w najbliższych tygodniach wyjątkowo napięty kalendarz”.

Trzeba powiedzieć, że Krukowski skroił te artykuły perfekcyjnie. Nie spełniały one może kryteriów normalnego materiału informacyjnego, ale nie o informowanie w nich chodziło. Teksty miały uspokoić mamę. I zapewne uspokoiły, bo wylaniał się z nich sielski obraz. Pogoda dopisywała, a statek pruł spokojne wody oceanu. Kurs oczywiście obrano tak, by ominąć chmury wulkanicznego pyłu. Prezydent nie uskarżał się na trudy podróży, wręcz przeciwnie – w otoczeniu pasażerów tryskał humorem.

Wreszcie miał czas, by odpocząć u boku małżonki i porozmawiać ze współpracownikami o polskich sprawach, ale też dużo czytał i nie zapominał o obowiązkach. Nawet samochodowa droga przez Europę zapowiadała się jako podróż przywódcy oczekiwanego przez liderów kontynentu, będących zresztą pod jego urokiem. Tę błogą atmosferę zakłócali jedynie przedstawiciele rządu, którzy jak zwykle mieli zastrzeżenia do działalności prezydenta. Krukowski pamiętał o najdrobniejszych szczegółach. Nawet „pierwszą damę” pisał wielkimi literami. Nieprzypadkowo wybrał też na autorkę fikcyjnych artykułów Elizę Olczyk, wyważoną publicystkę z odpowiednim dorobkiem i bez skłonności do sensacji.

Na Nowogrodzkiej zachowały się dwa papierowe wydania fikcyjnej „Rzeczpospolitej”. Było jeszcze trzecie, które także przekazano prezesowi, ale jego kopia została zniszczona. Gdy Jarosław wyznał mamie prawdę o śmierci brata, nakazano zapomnieć o sprawie i wykasować z dysków wszystkie pliki dotyczące gazety.



Jest grudzień 2013 roku, jedenaście miesięcy po śmierci mamy. U Barbary Winklowej za oknem, na Starym Mokotowie, siąpi deszcz. Choć nie ma jeszcze południa, na dworze jest już szaro. Barbara Winklowska przyjaźniła się z Jadwigą Kaczyńską przez całe jej dorosłe życie. Panie razem studiowały polonistykę i pracowały w Instytucie Badań Literackich. Spędzały urlopy, rozmawiały o dzieciach. Gdy jeszcze przed Smoleńskiem mama braci się rozchorowała, pani Barbara odwiedzała ją w szpitalu.

Winklowska na wstępie zaznacza, że pytała Jarosława, czy może się z nią spotkać. Prezes dał zgodę.

– Jadwiga długo się nie budziła – wspomina. – Bardzo mnie to nurtowało, ale nie miałam odwagi zapytać Jarka, co się z nią dzieje.

– Prezes dużo czasu spędzał w szpitalu?

– Bardzo dużo. Gdy przychodziłam potrzywać Jadwigę za rękę, był zawsze. Proponowałam mu, że możemy się zmieniać, ale sam chciał być przy niej cały czas.

Na początku kwietnia 2010 roku stan zdrowia mamy był bardzo zły. Pani Jadwiga od lat cierpiała na przewlekłą obturacyjną chorobę płuc, która objawia się napadami duszności i trudnościami w oddychaniu. Tuż przed katastrofą nałożyło się na to ciężkie zapalenie płuc a po niej – dokładnie w dniu pogrzebu wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Putry – nastąpił atak sepsy. Łączny skutek był taki, że mama przez wiele tygodni znajdowała się, jak to później określi prezes, „na granicy życia i śmierci”.

To właśnie wtedy tak długo się nie budziła. Jarosław wspomni, że akurat jemu było wtedy łatwiej, bo mama leżała nieprzytomna i nie pytała o Leszka, a więc on nie musiał jej okłamywać.

Kontakt wraca pod koniec kwietnia. Mama czuje się na tyle dobrze, że opuszcza erkę i przenoszą ją do separatki, tej vis à vis pokoju z wieszakiem. Pierwsza noc w nowym miejscu kończy się dramatycznie. Mama budzi się z krzykiem, jest roztrzęsiona. Opowiada dyżurującym przy niej pielęgniarce straszny sen: Leszek z Marylką lecieli z wizytą, ale doszło do napaści. Padły strzały, napastnicy uciekli, a ich samolot się roztrzaskał.

Jedna z pielęgniarek wpada w popłoch i bez słowa ucieka z sali. Druga zachowuje spokój.

– Kochanie – mówi do pani Jadwigi – to jest tylko sen. Damy coś na uspokojenie.

Dwa lata po katastrofie mama opowie o tym śnie w wywiadzie.

Na razie jest jeszcze w szpitalu i dochodzi do siebie. Są dni, kiedy jest całkiem przytomna i dopytuje o Leszka – to wtedy Jarosław zaczyna wymyślać historie o podróży do Brazylii – ale bywa, że myli synów, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzało. Ma przed sobą Jarosława a myśli, że to Lech.

Gdy padają pytania „To ty, Leszczku?”, Jarosław nie wyprowadza jej z błędu. Dla niego te rozmowy są podwójnie trudne. Raz, że musi wcielać

się w rolę brata, po którym nosi żalobę, a dwa, że dowiaduje się, co naprawdę myśli mama. Po jednej z wizyt w szpitalu zwierzy się znajomej: – Mama sądziła, że rozmawia z Leszkiem. Powiedziała, że chciałaby już wyjść do domu, ale ja siłą trzymam ją w szpitalu. A przecież ja to robię dla jej dobra.

Inny razem wyzna: – Znów nas pomyliła. Powiedziała, że Jarek pewnie jest strasznie zatany, bo ostatnio rzadziej ją odwiedzam.

W połowie maja z mamą już całkiem dobrze, ale on jest na skraju załamania. Boi się, czy mama przeżyje wiadomość o śmierci Leszka.

– Niepokoilo go, że komuś ze szpitalnej obsługi coś się przy niej wymusknie – wspomina Winklowa. – I ciągle mnie pytał: „Jak mam jej to powiedzieć?”, „Masz jakiś pomysł?”, „Jak ty byś to zrobiła?”.

23 maja biuro prasowe umawia Jarosława na wywiad, stawiając dziennikarzom warunek: żadnych pytań o uczucia. To zastrzeżenie od tej pory będzie towarzyszyć wszystkim wywiadom udzielanym tabloidom i kolorowym magazynom.

– Zgodnie z umową pytaliśmy więc tylko o politykę – wspomina Tomasz Sygut, były dziennikarz „Super Expressu” – ale po półgodzinie stwierdziłem, że wywiad jest do niczego. Trudno, pomyślałem, najwyżej mnie wyrzucą, ale muszę zadać pytanie, które od kilkudziesięciu dni nurtuje całą Polskę. Jak on sobie z tym wszystkim radzi? Tak po ludzku. Osoba z biura prasowego aż złapała się za głowę, ale prezes zaczął mówić bardzo szczerze. Może akurat miał potrzebę wyrzucenia z siebie emocji, które w nim siedziały? To było niesamowite. Nigdy nie byłem zwolennikiem polityki Jarosława Kaczyńskiego, ale podczas tego wywiadu zobaczyłem w nim prawdziwego człowieka i poczułem z nim jakiś rodzaj wspólnoty.

W redakcyjnym wstępie do tego wywiadu Sygut napisze, że po niektórych pytaniach prezes „milczał ponad minutę, a po kilku miał w oczach łzy”.

Wywiad jest szczerzy. Jarosław mówi w nim, że nie ma już siły dłużej kłamać.

**„Po tragedii Smoleńskiej wszyscy zastanawiają się, jak pan przez to wszystko przeszedł. Jak pan sobie radzi? Nie jako polityk, ale jako człowiek, którego spotkało nieszczęście.**

To jest niesłychanie trudne. Ale muszę sobie radzić. Bo coś innego miałbym zrobić? Przecież odpowiadam jeszcze za mamę. Chcę ją uratować. Mama wciąż nie wie, że Leszek nie żyje. Te wszystkie plotki, że wie, to jakaś gra.

### **Ale przecież pyta o niego...**

Pyta. A ja muszę jej odpowiadać. Na początku było mi łatwiej. Po wielu dniach nieprzytomności mama była w fatalnej kondycji psychicznej i brała mnie za Leszka. Nigdy wcześniej coś takiego jej się nie zdarzało. Teraz powoli zaczyna wracać do zdrowia. Przynajmniej, jeśli chodzi o kondycję psychiczną. Bo fizycznie wciąż nie odzyskała pełnej sprawności. Moja legenda dotycząca Leszka zaczyna się powoli wyczerpywać. Dłużej już nie mogę udawać, że nic się nie stało. W ciągu najbliższych kilku dni będę musiał powiedzieć mamie prawdę. Potwornie się tego boję.

### **Lekarze mówią, że jest już gotowa na przyjęcie takiej informacji?**

Na coś takiego nikt nie jest gotowy”.

Legenda wyczerpie się 25 maja. Jarosław planuje rozmowę z mamą bardzo dokładnie. Radzi się znajomego profesora psychologii, ściągają do Warszawy bratanicę Martę i razem z nią jedzie do szpitala. Mama bardzo płacze. Z trudem przyswajają informację o śmierci syna, wreszcie wypiera z pamięci cały dzień.

Prezes opowie o tej rozmowie tylko raz: „Ostatecznie człowiek zostaje z tym sam. Wiedziałem, że muszę to powiedzieć w atmosferze ciepła i czułości. Tak też się stało... Mama przyjęła to godnie, aczkolwiek była zrozpaczona. Uważam, że dobrze zrobiłem, odwlekając tę

informację. Gdybym powiedział jej wtedy, gdy miała atak sepsy, nie przeżyłaby tego”.

Winklowa: – Szok był potworny. Jadwiga opowiadała mi później, że na wieść o śmierci Leszka z cierpienia pękła jej czaszka. Nie wiem, czy to możliwe z medycznego punktu widzenia, ale coś musiało być na rzeczy, bo po po tym, jak się dowiedziała, ogolono jej głowę do języka.

/





# MAMA

Zaginiony świat / Monografia / Wychowanie /  
Złoty czas / Mickiewicza /  
Owocowy talerz



**/ Zaginiony świat**

Dziewczynka, to na pewno będzie dziewczynka. Marzyła o niej całą ciążę. Miała już nawet imię – Magdalena. Ładne, pasowało do nazwiska. Po 22 godzinach porodu była już jednak tak wycieńczona i obolała, że z ulgą przyjęłaby każde rozwiązanie. Zaczynała tracić przytomność, parcie słabło. Gdy odpłynęła po raz kolejny, lekarka uznała, że siły natury nie wystarczą. Zostawiła ją z panią Ireną i wyszła do kuchni wyjałowić kleszcze.

Pani Irena była położną. Prosta kobieta, ale na przyjmowaniu porodów znała się jak mało kto. Wyjęła spirytus, dodała kawy i starannie zamieszała. Podeszła do ciężkiego, zdobnego biurka, na którym bezwładnie leżała dziewczyna. Ocuciła ją i wmusiła miksturę.

Zadziało jak zastrzyk z adrenaliny. Naraz wróciło parcie i po godzinie spomiędzy ud półprzytomnej kobiety wyciągnięto chłopca. Był siny z niedotlenienia.

– Jesteś niebieski, ale i tak cię kocham – wyszeptła dziewczyna.

Myślała, że to koniec, ale skurcze nie ustały. Minęło 40 minut i wydała z siebie kolejne dziecko. Chciała mieć dziewczynkę, a na świat przyszło dwóch chłopców.

Położna Irena Gajcy była matką poety żołnierza zabitego w Powstaniu. Po wojnie mieszkała na Marymoncie, 20 minut spacerem od państwa Kaczyńskich. Cieszyła się w dzielnicy zasłużoną renomą. Fachu uczyła ją matka, doświadczona warszawska akuszerka. Pani Irena odbierała porody od lat, ale przyjście na świat niebieskich bliźniaków musiało zrobić

na niej wrażenie, bo gdy wróciła do domu, natychmiast opowiedziała o wszystkim mężowi. Było ciężko, ale wszystko skończyło się dobrze. Pani Jadwiga wydała dwóch pięknych i zdrowych synów.

To, że bracia urodzili się bez żadnego uszczerbku, było cudem. Przecież już Jarosław był niebieski, a co dopiero Lech, który przyszedł na świat 40 minut później? Chłopcy mieli szczęście, bo w mieście panowała epidemia pęcherzycy, nieprzyjemnej choroby skóry, i dzięki temu poród przyjmowano w domu. W szpitalu zapewne w ruch poszłyby kleszcze i mogłoby się to skończyć tragicznie. A już na pewno lekarze nie zgodziliby się na podanie alkoholowo-kofeinowej mieszanki, wraz z którą na rodzącą spłynęły nowe siły.

Antoni Gajcy to wnuk żoliborskiej akuszerki. Historię przyjścia braci na świat zna z rodzinnych opowieści. Mówi mi, że Jadwiga Kaczyńska po urodzeniu chłopców zaprzyjaźniła się z jego babcią. W domu bliźniaków historia porodu też musiała być żywa. Lech spotka Gajcego w 2009 roku na obchodach 65. rocznicy wybuchu Powstania. – Pana babcia wyciągnęła nas na świat – powie mu na przywitaniu.

Blok przy ul. Suzina 3, w którym bracia Kaczyńscy przyszli na świat, należał do Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i znajdował się w sercu inteligencko-patriotycznego Żoliborza. To tu, pod kotłownią WSM, padły pierwsze strzały w Powstaniu Warszawskim.

Jak na pierwsze lata po wojnie, mieszkanie było nie do pogardzenia. Dwa pokoje na 41 metrach, bez wanny, ale za to z toaletą i widną kuchnią wychodzącą na przestronne podwórze. Nosiło numer 216, prowadziła do niego galeria biegnąca wzdłuż pierzei budynku utrzymanego w oszczędnej, przedwojennej stylistyce. Mieszkanie należało do Aleksandra i Stefanii Jasiewiczów, dziadków od strony mamy. Jadwiga i Rajmund Kaczyńscy mieszkali tu z synami do 1950 roku. Potem przeprowadzili się kilka ulic dalej – na Lisa-Kuli – do mieszkania załatwionego przez pana Rajmunda.

Młodość upływa chłopcom na pograniczu dwóch światów. Ten pierwszy to Polska Ludowa, którą widać za oknem. To świat rzeczywisty, ale

prymitywny, wyzuty z wartości. Tata, inżynier pracujący w odbudowywanej Warszawie, wraca z niego każdego popołudnia.

Drugi świat – przedwojenny, a właściwie jeszcze XIX-wieczny – już nie istnieje, ale bracia znają go dobrze. Oprawdza ich po nim mama. Jej opowieści wciągają chłopców – są tam ludzie, nastroje, zapachy...

Jedno z tych magicznych, opowiedzianych miejsc – dom pradziadków Szydłowskich w Starachowicach. Sześć pokoi pod adresem Bugaj 219. Obok jest ogród obrośnięty jarzębinami i leszczyną. Można – opowiada chłopcom mama – wspiąć się tam po gałęziach, skryć w cieniu i cały dzień łuskać orzechy. Dalej staw i las ciągnący się w nieskończoność. Piękny, zaginiony świat.

W domu unosi się duch powstań listopadowego i styczniowego. Małą Jadwigę otaczają ludzie z minionej epoki, ukształtowani jeszcze w poprzednim stuleciu: prababcia Jadwiga, ciocia babcia Stefcia, jej siostra Wikcia. Pradziadek Franciszek z braćmi Stanisławem, Jankiem i Adamem.

Franciszek nie jest przez dzieci lubiany, brat szturchnie kiedyś Jadwigę na jego widok: – Chodź, zobaczysz, idzie diabeł! Ukochany jest za to dziadek Janek, dyrektor starachowickiej kopalni i gospodarz domu. Niestety umrze wcześniej, jeszcze zanim Jadwiga skończy dziewięć lat.

Mama mówi, synowie słuchają. W domu pradziadków kwitnie życie towarzyskie. Dziadkowie wydają obiady, grywa się w preferansa, na którego przychodzą zacyni goście: ksiądz proboszcz i generał Piskor, były adiutant naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego.

– Smarkaczu ty jeden! – niesie się co jakiś czas znad kart. Mama opowiada tak plastycznie, że chłopcy czują, jakby słyszeli to na własne uszy.

Najjaśniejszą postacią zaginionego świata jest Jan Fyuth, przyrodni brat mamy, jej wielki autorytet. Bracia chłoną te historie: Jasiak ma przyjaciela ze sportowym samochodem i czasem zabiera mamę na przejażdżkę. Sam jeździ czerwonym motorem. Raz weźmie siostrę do Ziemiańskiej, żeby zobaczyła wielkich: Tuwima, Słonimskiego, Boya. Tylko każe jej się trzymać z tyłu, żeby go ze smarkatą nie widzieli. Jest dowcipny i zna się



na sztuce, oprowadza siostrzyczkę po muzeach, pokazuje rzeźby, obrazy, chce wyrobić w niej gust. Gdy Jadwiga ma 10 lat, dostaje od niego tomik poezji Juliana Tuwima, który już zawsze będzie przypominać jej brata.

W 1939 roku Jan próbuje dostać się do armii, ale kobieta szpieg wyda go Sowiетom. Będzie chciał uciec, lecz zostanie postrzelony podczas ucieczki w głowę. Trafi do szpitala wojskowego, a stamtąd – do łagru w Archangielsku. Chłopcy długo ludzą się razem z mamą, że wujek Jan żyje. O jego śmierci dowiadują się dopiero w latach 60. Rodzinna legenda głosi, że został rozstrzelany w stanie całkowitej amnezji.

W tych opowieściach Rosja majaczy jako miejsce kaźni przodków. Mama mówi: to okropna ziemia, przepelniająca strachem. Z głodu umiera tam prawie cała jej rodzina – siostra cioteczna, ciocia Kazia, stryjenka, jej dwie córki, babcia Jadwiga, mama stryjenki. Na wschodzie życie traci też pradziadek ze strony taty Stanisław. To pułkownik armii rosyjskiej, który w niejasnych okolicznościach zostaje polskim generałem i w czasie rewolucji październikowej ląduje na Syberii, gdzie zabijają go Kozacy. Bracia słuchają z zapartym tchem.

Jest jeszcze dziadek ze strony mamy Aleksander Jasiewicz, który umiera w 1951 roku. Bracia urodzili się jego domu, ale znają go tylko z opowieści. Dziadek jest człowiekiem niedzisiejszym i przez to niezwykłym. Przed wojną prowadzi własną firmę i jest bardzo zasadniczy. Do wszystkich wokoło – współpracowników, kolegów, do własnego zięcia – mówi „panie Tadeuszu”, „panie Rajmundzie”. Nigdy per „ty”. Aleksander Jasiewicz ciekawi chłopców, bo lubi politykować. Jest socjalistą, choć Piłsudskiego szczerze nie trawi. Mały Jarek zachodzi w głowę, dlaczego. Przecież Marszałek był patriotą, nikt nie kierowałby państwem lepiej niż on. O co dziadkowi chodzi?

**Jadwiga Kaczyńska, maj 2006 roku. Za dwa miesiące Jarosław zostanie premierem i przeprowadzi się z mamą do rządowej willi przy Parkowej.**

„Aleksander Jasiewicz – napisze o nim po latach Sławomir Cenckiewicz w biografii Lecha Kaczyńskiego – był jednym z projektantów Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, którą założyli działacze Polskiej Partii Socjalistycznej. Był rozpolitykowany. Związał się z PPS, stąd jego dystans do marszałka Józefa Piłsudskiego i systemu rządów po zamachu majowym 1926 r. Ojciec był antypiłsudczykiem, matka natomiast zwolenniczką marszałka, Jadwiga dorastała zatem w domu pełnym debat politycznych i dyskusji historycznych, tak charakterystycznych dla czasów przedwojennych. Jadwiga Kaczyńska wspomina pewien spacer z ojcem. Miała wówczas może 10 lat. Nagle zauważyła, że wszyscy mężczyźni zdejmują czapki i kłaniają się. Okazało się, że właśnie przejeżdżał Mościcki. Ojciec, mimo że nie miał wyrobionego stosunku do Mościckiego, powiedział do niej: »Dygnij! Tak wypada«. Jadwiga Kaczyńska po latach błyskotliwie i z pewnym sentymentem do dawnych czasów skomentowała tę chwilę tak oto: »Wtedy się dygało...«.

Aleksander Jasiewicz nie zerkał w stronę komunistów i także po wojnie zachował dystans do nowej rzeczywistości. Zarówno w rodzinie Szydłowskich, jak i Jasiewiczów ciągle dyskutowano o polityce. Konflikt pomiędzy Romanem Dmowskim i Józefem Piłsudskim dzielił obie rodziny (...). Aleksander Jasiewicz zmarł w 1951 r. Jadwiga miała wówczas niespełna 24 lata. I mimo smutku, jaki ogarnął panią Stefanię i jej dwie córki, zawsze wspominały Aleksandra jako człowieka obdarzonego wielkim poczuciem humoru, ale też jako tego, który pierwszy w rodzinie przeczuwał, że w 1939 r. wybuchnie wojna i zduśi Polskę z dwóch stron: z Niemiec i Rosji”.

Dziadek Jasiewicz choruje na gruźlicę. Jest zamożny, więc stać go na leczenie za granicą i kuracje w Otwocku, ale często też leży w domu pod opieką lekarza. Dlatego musi wysyłać córkę do dziadków. Gdy zrobi to po raz ostatni, akurat wybuchnie wojna. Mama spędza w Starachowicach całą okupację. Ma zaledwie 13 lat, ale – wnioskuje bracia – jest bardzo



dzielna. Należy do Szarych Szeregów, uczęszcza na tajne komplety i zapisuje się na kurs sanitarny. Służy w zastępie Ziola drużyny Las, i obiera pseudonim Bratek. Będzie opatrywać partyzantom rany, w których lęgnie się robactwo.

Chłopcy dorastają wśród duchów zaginionego świata. Chłoną rodzinną historię, które wiedzie przez XIX-wieczne powstania, towarzyskie salony, syberyjskie łagry, aż do okupacji. Te opowieści ukształtują Jarosława, który już jako dorosły polityk będzie często odwoływać się do czasów II Rzeczypospolitej, jej ideałów i obyczajów. Postawi je jako wzór polityczny, ale też kulturowy – sam w życiu prywatnym będzie przestrzegać staroświeckich konwenansów, które przed laty obowiązywały w starachowickim domu jego pradziadka. Dzięki opowieściom mamy nauczyć się rewerencji wobec kobiet i starszych. I zawsze będzie tęsknić do prawdziwego salonu towarzyskiego, takiego jak ten, w którym generał Piskor z proboszczem grali w preferansa. Ale tego już nie ma – będzie się utwierdzać, rozglądając po współczesnej Warszawie – komuniści zniszczyli to bezpowrotnie.

Jarosław i Lech przepadają za opowieściami, które snuje mama, ale to chłopcy, potrzeba im żywego wzoru. Tata, żołnierz Armii Krajowej i powstaniec warszawski, niestety nim nie zostanie – to temat na oddzielną historię, na którą jeszcze przyjdzie czas – więc bracia rozglądają się wśród rodziny.

Na Saskiej Kępie mieszka starsza siostra mamy Irena nazywana przez bliskich Dziką lub Dzidzią. Kobieta piękna i uzdolniona, z wykształcenia plastyczka. Ciocia podczas okupacji wstąpiła do Narodowych Sił Zbrojnych, ale nie kierował nią patriotyczny zew, lecz uczucie do chłopca. Ukochanym był Stanisław „Miedza” Tomaszewski, który kilka lat później wchodzi do rodziny Kaczyńskich. Bracia często jeżdżą do wujostwa. Lubią dokazywać z ich synem Jankiem, ale największą atrakcją na Saskiej Kępie i tak jest jego tata Stanisław.

Wuj szybko staje się bohaterem chłopców. Sadza ich trzech za stołem, rozkłada rysunki, albumy i opowiada. O tym, jak walczył z hitlerowcami, przygotowywał akcję N i jak było w Biurze Informacji i Propagandy Komendzie Głównej AK. W czasie okupacji Miedza redagował tam satyryczne czasopismo „Der Klabaftermann”, które miało podkopywać morale w III Rzeszy. Wujek pokazuje też braciom swoje grafiki, wśród nich jest ta najsłynniejsza: Hycler z ustami wykrzywionymi w swastykę i oczami niby symbol SS. Wyciąga zdjęcia. Któregoś dnia, gdy chłopcy podrosną, wyjmie to najstraszniejsze, na którym Niemiec strzela do kobiety z dzieckiem na ręku.

Opowie też niesamowitą historię. We wrześniu 1941 roku łapie go gestapo i zamyka na Pawiaku. Tortury są tak wymyślne, że wuj z bezsilności wysyła gryps z prośbą o truciznę. Zamiast cyjanku do więzienia przychodzi bakteria tyfusu. Wycieńczony Miedza idzie do ambulatorium i celowo się zaraża. Po przeniesieniu do szpitala zakaźnego odgrywa atak wyrostka robaczkowego i zostaje przewieziony do szpitala na Wołę. Lekarze przeprowadzają sfigowaną operację, która kończy się równie fikcyjnym zgonem. Następuje zamiana ciał, potem – pogrzeb. W mieście ukazują się klepsydry, a Miedza ucieka w stroju sanitariusza. Do końca okupacji będzie musiał się ukrywać.

Tylko o jednym chłopcy nie dowiedzą się od wuja. O stalinowskim śledztwie, podczas którego wbijano mu gwoździe pod paznokcie. Ale tego domyślą się sami, gdy na początku lat 70. rodzice wybierają się z wujostwem na przyjęcie. Nagle zjawia się nieoczekiwany gość, dyrektor jakiegoś przedsiębiorstwa. Tata spogląda na wuja, wuj – na tatę. Obaj się podnoszą i bez słowa wychodzą. Za nimi – Dzidka, a za nią Jadwiga.

– To ubek, co przesłuchiwał po wojnie – szepcze się później na Saskiej Kępie.

Mama, zawsze mama. To ona sprawuje kontrolę nad chłopcami i decyduje o wszystkim. Także o tym, że Miedza zostaje ojcem chrzestnym

Leszka. Pan Rajmund jest przeciwny, nie lubi Tomaszewskiego, ale w domu ma niewiele do powiedzenia.

Właśnie, chrzciny.

Ksiądz z kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu zapisze w księgach parafialnych: Jarosław i Lech Kaczyński. Sakrament chrztu świętego – 3 czerwca 1951 roku.

Spoglądam na zdjęcie zrobione pod kościołem, zaraz po chrzcinach. Dwóch chłopców wierci się w otwartym wózku. Nad nimi zawadiacko uśmiecha się pan Rajmund – do tego uśmiechu też jeszcze wrócę – jak zawsze w garniturze i pod krawatem. Obok stoi starsza pani w kapeluszu i z broszką. To babcia Stefcia, mama pani Jadwigi. Najbardziej wzrok przykuwają jednak dwie brunetki, między którymi stoi tata. Smukłe, zmysłowe, w letnich sukienkach, jedna zalotnie wystawia twarz do słońca. To siostry Woźnickie, bliźniaczki. Mieszkają przy Suzina, w tym samym bloku co dziadkowie braci. Panie znają się nie tylko z sąsiedztwa, ale też ze studiów na polonistyce. Są ze sobą zaprzyjaźnione.

Bracia będą mieć z nimi relacje luźne, ale ich tragiczna historia zawisnie nad ich dojrzałym życiem.

Woźnickie spędzają okupację w getcie. Ratuje je lekarka Felicja Felhorska. Ukrywa je w domu i opiekuje się nimi po wojnie. Po studiach siostry – jak się wydaje – wychodzą na prostą. Zaczynają pisać książki dla dzieci i przekładać. Zofia tłumaczy literaturę francuską, Ludwika – angielską.

– Obie się z nimi przyjaźniłyśmy. I ja, i pani Dada – mówi mi Hanna Kirchner, znawczyni i badaczka twórczości Zofii Nałkowskiej, która pozna Jadwigę Kaczyńską w Instytucie Badań Literackich na początku lat 60.

– Dada?

– A to pan nie wie? Tak do pani Jadwigi mówili przyjaciele, w tym także siostry Woźnickie.

Rzeczywiście. Już po rozmowie znajdę wywiad, w którym mama braci przyznaje, że nigdy nie lubiła swojego imienia i jeszcze jako mała

dziewczynka prosiła wszystkich, żeby mówić do niej Bunia. A potem została Dadą. To od zdrobnienia, którym w dzieciństwie obdarzał ją tata.

– No, więc siostry Woźnickie – kontynuuje Kirchner – były towarzysko bardzo interesujące. Dowcipne, uzdolnione. Często spotykaliśmy się u nich w domu na wieczornych biesiadach. Siadało się przy długim stole, jadło, dyskutowało o literaturze. Później jednak zaczęły osuwać się w obłąd.

– Co się stało?

– Cierpiały na manię prześladowczą, efekt wojennej traumy. Rodzice zginęli w getcie, po powstaniu wywieziono je na roboty do Niemiec. Ludka próbowała się leczyć, ale na niewiele to się zdało. Twierdziły, że sąsiedzi je gnębią, krzyczą za nimi „Żydowy korowy”. Że mają warsztat, który potwornie hałasuje i je niepokoi.

– Co się z nimi stało?

– Popelniły samobójstwo. Ludka na rogu Pięknej i Marszałkowskiej rzuciła się z trzeciego piętra. Weszła do czyjśgo mieszkania i poprosiła o coś do picia. Pani poszła po szklankę wody, a ona w tym czasie podeszła do okna i skoczyła. Zostawiła po sobie tylko buty. Zosia pochowała ją i wyjechała do Londynu. Po trzech latach też targnęła się na życie.

Ta tragedia zaciąży nad domem Kaczyńskich. Pani Jadwiga po latach powie w jednym z wywiadów, że historia sióstr Woźnickich na zawsze impregnuje jej synów na antysemityzm.





**/ Monografia**

Gdy mama umrze, Jarosław wygłosi na jej pogrzebie osobistą i poruszającą przemowę. Opowie w niej o tym, jaka była mama, ale wspomni też o jej życiu zawodowym. O tym ostatnim powie krótko:

„Nigdy nie potrafiła zabiegać o swoje sprawy, życia nie traktowała w kategoriach kariery, może to nawet nie zawsze było dobre. Bardzo wielką część tego życia poświęciła swoim dzieciom, czyli mojemu świętej pamięci bratu i mnie. To były w wielkiej mierze najpiękniejsze, młodzińcze – bo miała nas wcześniej – lata jej życia”.

Jadwidze Kaczyńskiej rzeczywiście nie udaje się zrobić szczególnej kariery. Jeszcze w Starachowicach kończy szkołę podstawową, gimnazjum (na tajnych kompletach podczas okupacji) i liceum. Kilkanaście miesięcy po zakończeniu wojny, we wrześniu 1946 roku, razem z rodzicami przenosi się do Warszawy, gdzie rozpoczyna studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. W odręcznym życiorysie złożonym w Instytucie Badań Literackich po latach napisze:

„Studia ukończyłam w roku 1951 a dyplom magisterski uzyskałam w styczniu 1953 roku na podstawie pracy »Dziecko w literaturze pozytywizmu« złożonej u prof. dr. J. Krzyżanowskiego”.

Okres studiów okaże się kluczowy i zaważy na całej biografii, choć z samą nauką nie będzie mieć wiele wspólnego. W ciągu tych kilku lat do góry nogami wywróci się życie osobiste pani Jadwigi, która najpierw weźmie szybki ślub (1948, po sesji egzaminacyjnej kończącej drugi rok), a zaraz

potem urodzi chłopców (1949, po trzecim roku). Nianczenie dwójki chłopców okaże się bardzo absorbujące i sprawi, że studia się wydłużą.

Siedzę w archiwum Instytutu Badań Literackich, pierwszego i zarazem ostatniego miejsca pracy pani Jadwigi. Przede mną leży sznurowana teczka z jej nazwiskiem, wygląda skromnie.

Rok 1953. Jadwiga Kaczyńska IBL rozpoczyna prace zlecone w zespole tworzącym „Słownik współczesnych pisarzy polskich”, zajmuje się też bibliografią „Prawdy” Aleksandra Świętochowskiego. Obejmuje posadę asystenta w Pracowni Dokumentacji XIX i XX wieku. Często zabiera pracę do domu i wykonuje ją razem z synami. W jednym z wywiadów wspomni, że chłopcy traktują wspólne robienie fiszek jako zabawę. Karteluszki trafią później do pudełka z rodzinnymi pamiątkami.

1956. Pełnoetatowa praca przy bliźniakach jest jednak niemożliwa. „Sytuacja rodzinna – wyjaśni pani Jadwiga w jednym z podań – zmusiła mnie do czasowej rezygnacji z pracy zawodowej. Do roku 1960 podejmowałam jedynie dorywcze prace w IBL (bibliografia „Prawdy”) i w Polskim Radiu”.

1960. Jadwiga Kaczyńska porzuca Instytut i zaczyna uczyć w szkole języka polskiego. Najpierw zatrudnia się w Szkole Podstawowej nr 77 koło Huty, następnie robi sobie przerwę spowodowaną wyjazdem na plan filmowy z synami (dostanie za to równowartość nauczycielskiej pensji). A później przenosi się do Liceum Ogólnokształcącego im. Romualda Traugutta w Śródmieściu i Liceum Bolesława Chrobrego na Pradze.

1968. Powrót do IBL. Wykonywanie prac zleconych przy „Słowniku pseudonimów pisarzy polskich” i rozpoczęcie monografii bibliograficznej Leona Kruczkowskiego.

1969. Pani Jadwiga bierze roczny urlop bezpłatny w szkole „ze względu na stan zdrowia”, po czym pisze do dyrekcji Instytutu: „Zwracam się z uprzejmą prośbą o umożliwienie mi pracy etatowej pracownika bibliograficzno-dokumentacyjnego (...). Uzyskanie etatu w Instytucie ma dla



mnie dużą wagę, jako stabilizacja umożliwiająca mi pracę w kierunku zgodnym z moimi zainteresowaniami i przygotowaniem zawodowym”. Obejmuje stanowisko starszego dokumentalisty technicznego w Pracowni Edytorstwa i Dokumentacji Literatury XIX i XX wieku, pracuje m.in. nad hasłami do „Przewodnika polonisty”. Przełożeni oceniają, że jest dokumentalistą „wnikliwym, sumiennym i zaangażowanym”.

1987. Emerytura.

Jak na 34 lata, to niewiele, cofnę się więc do początków.

Jest rok 1953. Jadwiga Kaczyńska po raz pierwszy przekracza próg Instytutu, ma 26 lat i urodę w duchu epoki. Dziennikarka Małgorzata Domagalik porówna ją pół wieku później do aktorek włoskiego neorealizmu (słowa padną w telewizyjnym wywiadzie z Jarosławem, jeszcze do nich wróć) i chyba będzie to trafne spostrzeżenie. W każdym razie pracownicy Instytutu szybko zwracają na nią uwagę.

– Zapamiętałam ją jako śliczną brunetkę o alabastrowej cerze i delikatnym głosiku. Sprawiała wrażenie kruchej osoby – wspomina Kirchner.

– Była drobna, ale bardzo efektowna. Szczególną uwagę zwracały jej kruczoczarne włosy – dodaje Winklowa.

Pani Jadwiga trafia do jednego pokoju z warszawskim inteligentem i publicystą Janem Józefem Lipskim, prof. Romanem Lothem i właśnie Winklową. Atmosfera w pracy jest sympatyczna i niezobowiązująca, głównie dzięki Lipskiemu, który wpada do pracowni jak po ogień. Siada, gdzie popadnie – na biurku, na parapecie – i szybko staje się dla mamy postacią centralną. Jest zalatany i pani Jadwiga chętnie wyświadcza mu różne przysługi: przechowuje książki, znosi przesyłki, czasem pośredniczy w kontaktach z innymi działaczami. Lipski ma od lekarzy zakaz palenia, ale panie zawsze trzymają dla niego w szufladzie papierosy na czarną godzinę. Życie towarzyskie Instytutu toczy się popołudniami i uczestniczą w nim głównie kobiety Hanna Filipkowska, Marta Fik, Barbara Winklowa, przesiadując w okolicznych kawiarniach: Turystycznej czy Melodii.

Pani Jadwiga z nimi nie chodzi. Prosto po pracy wsiada w autobus i wraca na Żoliborz do chłopców. Pojawia się tylko przy większych okazjach, na przykład gdy któraś z koleżanek wyprawia imieniny. Gdy wróci od Marty Fik, zda synom szczegółową i barwną relację. – Mężczyźni ją czcili. Jeden aż padł na kolana i wygłosił na jej cześć – powie.

Jarosław takie historie gromadzi w pamięci. Jeśli mama mówi o czymś z dezaprobatą, on też się do tego zraża. A jeśli opowiada z uznaniem – to i on czuje sympatię. Scena z imienin Mart Fik stanie mu przed oczami jesienią 2005 roku, gdy Kazimierz Marcinkiewicz przedstawi niespodziewanego kandydata na ministra spraw zagranicznych. Będzie nim Stefan Meller, to on klękał przed panią Martą. Mama opowiadała o tym żartobliwie, ale z sympatią, więc syn zapisuje anegdotę na plus.

Winklowa wspomina: – Jadwiga zawsze była taka idealna i ułożona. Przez te wszystkie lata tylko raz zachowała się zupełnie spontanicznie. Byłyśmy w delegacji w Krakowie. Wracamy z pracy i pytam, co robimy. Idziemy na spacer czy do kina? A ona na to, że najchętniej napiłaby się wódki. Byłam bardzo zdziwiona, ale kupiłam w delikatesach pół litra wiśniówki. Wypiłyśmy ją w szklankach na wodę sodową.

W Instytucie pani Jadwiga rozmawiałaby tylko o chłopcach. Opowiada o stopniach, które dostają w szkole, o ich braterskiej więzi i wspólnym zamięłowaniu do lektur.

Mama też kocha książki, ale czy spełnia się w Instytucie? Prawdę powiedziawszy, praca w IBL ma niewiele wspólnego z literaturą. To dłu-banina, mozolne wertowanie encyklopedii, przepisywanie nazwisk, dat, kompletowanie bibliografii. Zajęcie raczej dla książkowego mola niż miłośnika poezji. Jadwiga Kaczyńska w jednym z kwestionariuszy osobowych napisze o sobie: „pracownik inżynieryjno-techniczny”.

– To było nudne i żmudne zajęcie – mówi Winklowa – a nasza przełożona prof. Jadwiga Czachowska nie rozumiała, że nie każdego musi fascynować tworzenie haseł do słownika pseudonimów.

– To był powód, dla którego pani Jadwiga odeszła z Instytutu i przeniosła się do pracy w szkole?

– Tak. Prof. Czachowska wymagała wielkiego poświęcenia i wylapywała wszelkie potknięcia pracowników. Jadwiga w końcu zrezygnowała i myślała, że była zadowolona z tej decyzji. Prowadziła kółko teatralne w szkole, uczniowie za nią przepadali, przychodzili do niej do domu. Niestety, ze szkoły też musiała odejść. Miała problemy z gardłem, to częste wśród nauczycieli.

– Po powrocie do Instytutu nie chciała otworzyć doktoratu?

– Myślała, że nie doceniano jej w Instytucie tak, jak na to zasługiwała. Jadwidze brakowało w pracy przebojowości, na pierwszym miejscu były u niej zawsze sprawy synów. Gdyby trafiła na kogoś odpowiedniego, kto by ją wypchnął do kariery naukowej, to na pewno by ją zrobiła. Niestety, nikt taki się nie trafił.

Zamiast robić doktorat pani Jadwiga po powrocie rozpoczyna pracę nad 300-stronicową monografią Leona Kruczkowskiego, autora „Niemców” oraz „Kordiana i chama”, ale też apologety Polski Ludowej. Kruczkowski w przeszłości był posłem PZPR i prezesował Związkowi Literatów Polskich. Na koncie miał też niechlubny artykuł opublikowany w „Życiu Warszawy” po śmierci Józefa Stalina: „Kochaliśmy go. Jak Ojca i jak Przyjaciela. Jego czyny należą do historii, której maleńką częścią jest i nasze życie – ale Jego myśli, Jego słowa, Jego książki – były i są także naszym dobrem osobistym, światłem codziennym dla naszych umysłów i ożywym źródłem wiary dla naszych serc”.

Dlaczego zajmuje się twórczością kogoś takiego? Przecież sama jest daleka od postaw prezentowanych przez Kruczkowskiego. Może to cena powrotu do Instytutu? W archiwum IBL znajduję informację, że Kaczyńska rozpoczęła tę pracę „w porozumieniu” ze swoją surową przełożoną, tą, przez którą odeszła do szkoły. Dalej – wniosek o awans i podwyżkę dla pani Jadwigi z 1974 roku. Kierownik jej pracowni Edmund Jankowski

uzasadnia, że „mgr Kaczyńska pracuje również nad monografią bibliograficzną Leona Kruczkowskiego”.

Hanna Kirchner sugeruje, że monografia autora „Niemców” nie była pomysłem pani Jadwigi. Jak trzeba było zrobić bibliografię, to się ją robiło i tyle. Poza tym, zaznacza, Kruczkowski był znaną postacią z życia literackiego i praca na jego temat to żaden stygmat.

Czy na pewno?

– Kruczkowski nie był grafomanem, to jasne – mówi historyk literatury prof. Michał Głowiński, który pamięta Kaczyńską z pracy w Instytucie. – Po wojnie ujawnił się jednak jako komunistyczny fanatyk, czym zraził do siebie wiele osób. W środowisku pisarzy bardzo go nie lubiano.

– Dlaczego pani Jadwiga napisała jego monografię?

– Myślę, że dyrekcja kazała jej to przygotować, bo mieliśmy złą pozycję polityczną i chciano ją trochę podreperować.

– Gdyby odmówiła, wyrzucono by ją z pracy?

– Na pewno nie.

– Podobno miała nie najlepsze relacje z prof. Czachowską.

– Pani profesor nie była słodką kierowniczką, to fakt, ale nie wyciągnęłaby konsekwencji służbowych wobec podwładnej z powodów politycznych. Po pierwsze, sama w 1968 roku firmowała zebranie ZNP, na którym protestowano przeciwko biciu studentów. Po drugie, to była kobieta bardzo dużej klasy z wielkim dorobkiem. Z całym szacunkiem, ale między panią Kaczyńską, która rzetelnie wywiązywała się z obowiązków bibliografa, czy panią Winklową a prof. Czachowską była ogromna różnica intelektualna. Na pewno nie wchodziły tu w grę żadne animozje.

– A wie pan, dlaczego Jadwiga Kaczyńska nie zrobiła doktoratu?

**Mama żyje sprawami Jarosława. Gdy syn szykuje się rano do pracy,  
prasuje mu koszulę. Kiedy wraca wieczorem, wysłuchuje  
jego politycznych relacji.**



– Któryś z jej synów powiedział gdzieś, że powody były polityczne, ale to nieprawda, bo przecież Jan Józef Lipski czy Roman Zimand jakoś zrobili doktoraty.

Skoro nie chodziło o przeszkody polityczne, to może powód był najprostszy z możliwych: w hierarchii pani Jadwigi własna kariera naukowa znajdowała się na dalszym planie, priorytetem niezmiennie były sprawy synów. To one ją pochłaniały. A jednak to, że nie podchodzi do doktoratu i bierze się za twórczość stalinowskiego literata, zostawia po sobie zadrgę. Własne niespełnienie rekompensuje sobie w życiu chłopców. Od małego pobudza w nich humanistyczne zainteresowania – podtyka książki, uczy historii – i pcha ich do karier naukowych. Lech po latach wspomni we wspólnym wywiadzie-rzeczce „O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich”: „Mama wpływała na nasze decyzje, ale tak, że sądziliśmy, że inicjatywa należy do nas. Tak było na przykład z przekonaniem, że trzeba robić karierę naukową, pisać doktorat. Nam to wszczepiono, ale ja to uważałem za własny pomysł. Z wieloma innymi wyborami życiowymi też tak było”. A Jarosław stwierdzi, że już jako 13-latek mający za sobą grę w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc” wie, że w przyszłości zostanie naukowcem.

Gdy bracia są już dorośli i rozpoczynają upragnione doktoraty, mama jest dumna. Siedzi za długim stołem u Woźnickich i chwali się ich karierami. A kiedy Lech popada w kłopoty i promotor poddaje jego rozprawę miażdżącej krytyce – interweniuje. Prosi Zosię i Ludkę o pomoc, siostry uruchamiają znajomości i nagle okazuje się, że dysertacja wymaga już tylko kosmetycznych poprawek.

Jarosław jest wdzięczny, że mama poświęca własne ambicje dla niego i brata, ale też trapi się, że jej dorobek nie zostaje odpowiednio zwieńczony. Gdy pani Jadwiga jest już na emeryturze, wyznaje znajomemu: – Szkoda, że mama nie zrobiła chociaż doktoratu.

Lech też tego żałuje. Po latach bierze udział w swoistej sztafecie pokoleń: jego córka Marta podobnie jak pani Jadwiga czuje się powołana do opieki nad dziećmi, ale tata goni ją do pracy. „Uważam, że w naszej szerokości geograficznej dziewczynki powinny codziennie jeść zupę – opowie w prasie Marta. – Obieram marchewki jak wiele innych matek. Poza tym wspólny posiłek bardzo łączy. To także czas, kiedy można się zatrzymać i porozmawiać. Myślę, że Tatę to bolało: zrobiłam aplikację, jestem adwokatem, a stoję nad garnkiem”.

Sprawa monografii także jest bolesna. Bracia chyba czują, że byłoby lepiej, gdyby mama jej nie pisała. Nie lubią, kiedy porusza się w ich obecności temat fatalnego zaangażowania autora „Niemców”. „Polityka” w 2007 roku przytoczy anegdotę: jeden z Kaczyńskich (nie wiadomo który) opowiada znajomemu, że mama przygotowuje bibliografię Kruczkowskiego. – Tego Kruczkowskiego? – nie dowierza kolega. Obraza za to pytanie będzie trwać latami.

Po latach życiorys mamy niesamowicie urasta w oczach synów. Podczas pogrzebu Jarosław opowie: „Mama odrzuciła wszelkiego rodzaju ukłony od tych, którzy chcieli, by znalazła się w ówczesnych organizacjach komunistycznych, w ZNP. Później broniła prawa nauczyciela do tego, by nauczać historii polskiej literatury zgodnie z prawdą, by uwzględniać autorów katolickich, choćby Sępa-Szarzyńskiego. Była z tego powodu wzywana do kuratorium, do inspektoratu oświaty, grożono jej, ale nigdy z tego nie zrezygnowała. Była wierna zasadom, kiedy przyszło wspierać kolegów, ale także i synów działających w opozycji, podpisywała różnego rodzaju protesty, to właśnie zwróciło na nią uwagę Służby Bezpieczeństwa. Była wierna swoim zasadom także w tych nie zawsze łatwych czasach po roku 1989, kiedy znalazła się, można powiedzieć, poza głównym nurtem poprawności. Niekiedy nierozumiana przez najbliższych przyjaciół z pracy, zawsze tych zasad broniła. Choć ci przyjaciele, chcę to bardzo mocno podkreślić, pomimo różnic zdań pozostali jej wierni”.

To wspomnienie kołacze mi się po głowie, gdy siedzę w archiwum Instytutu Badań Literackich. Przerzucam ankietę podpisaną przez panią Jadwigę w 1985 roku, wypełnioną na maszynie: „Przynależność do organizacji politycznych i społecznych – ZNP. Okres – od 1953 do 1980”. Czyli do roku rejestracji Solidarności. Kilka dokumentów dalej – kwestionariusz osobowy pochodzący ze stanu wojennego i to samo. Tyle że tym razem mama napisze to odręcznie i jeszcze zostawi adnotację na marginesie: „w latach 1966–1969 przewodnicząca, w innych latach członek”.

Wspominając mamę na pogrzebie, Jarosław najpewniej nie wie o członkostwie mamy w ZNP. Wbrew jego sugestiom ta działalność nie była niczym karygodnym, ale zastanawia co innego: rozdziew między wyobrażeniem o biografii mamy a tym, jak było w rzeczywistości.

Z kolei w Instytucie Pamięci Narodowej znajduję tylko akta paszportowe pani Jadwigi: kilka kwestionariuszy, prośby o wyjazd do rodziny i znajomych w Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Austrii (wszystkie rozpatrzone pozytywnie). Na informacje o tym, że Służba Bezpieczeństwa interesowała się mamą, nie natrafiam.

Okres po 1989 roku Jarosław też mitologizuje. Żaden z moich rozmówców nie przypomina sobie towarzyskiego ostracyzmu wobec pani Jadwigi, choć drobne złośliwości oczywiście się zdarzają. Na przykład w 1993 roku: w kraju trwa polityczna wojna i Jarosław jako jeden z jej bohaterów budzi skrajne emocje. Pani Jadwiga razem z całym Instytutem udaje się do Pen Clubu na wręczenie Nagrody Edytorskiej im. Juliusza Żuławskiego dla prof. Czachowskiej. Po zakończeniu uroczystości podchodzi do Głowińskiego.

– Pan robił do mnie niechętne miny – mówi z wyrzutem.

– To niemożliwe. Nie robię min, w szczególności do dam, których nie znam.

Profesor nigdy nie był z panią Jadwigą w koleżeńskich relacjach, ale musiał ją kojarzyć (przez 20 lat mówili sobie w Instytucie „dzień dobry”).



Odpowiedź była więc złośliwa, ale czy można mówić o niezrozumieniu środowiska, wypchnięciu na towarzyski margines?

Ale jest też pytanie bardziej ogólne. Skąd u Jarosława ta skłonność – może nieświadoma – do uszlachetniania biografii pani Jadwigi? Odpowiedź nasuwa się ta sama, co w przypadku rezygnacji mamy z kariery zawodowej. To wszystko z miłości.

/

**/ Wychowanie**

Chłopcy czasem jadą z mamą do pracy. Wyjście z domu, autobusem na Krakowskie i są w Pałacu Staszica. Pracownicy Instytutu znają ich dobrze, ale najlepiej – Lipski. Gdy wejdą do pokoju, będzie pytać: – Co ostatnio czytaliście?

Bracia za każdym razem mają inną odpowiedź. Sami nie chcą czytać, ale lubią, jak robi to dla nich mama. Sadza ich przy sobie, bierze książkę i czyta im na głos. Czytające popołudnia, czytające niedziele – tak o tym mówią. Gdy mama jest zajęta, wołają gospozię, 14-letnią Władzię, która mieszka z nimi na Żoliborzu.

„Cudaczek-Wyśmiewaczek, lichy malusie i cieniutkie jak igła, mieszkał w tym domku, co to nie był ani duży, ani mały, tylko w sam raz. A ten Cudaczek nie jadł i nie pił, tylko śmiechem żył. Śmiał się i śmiał do rozpuku, a brzuszek pęczniał mu i pęczniał, aż napęczniał jak ziarnko grochu. Wtedy Cudaczek był syty i zadowolony”. Chłopcy nie lubią, kiedy chowa się przed nimi „Cudaczka Wyśmiewaczka”, ich pierwszą ulubioną książkę. Ale mama uważa, że stworek „cieńszym niż włos” to zły wzór dla chłopców. Najpierw podburza dzieci, a potem się z nich nabija. Zamiast Wyśmiewaczka mama woli mówić o dobrych krasnoludkach. Synowie czekają na te opowieści w piżamach. Mama wymyśla bajki sama i miesza je z rzeczywistym światem.

– O, zobaczcie! Krasnoludki biegną – woła czasem.

Jako pierwszy z tej zabawy wypisuje się Jarek. Ma sześć lat.

– Nie, mam. Nie ma krasnoludków, nie wierzę – protestuje, ale zmyślony świat pozostanie mu w pamięci na zawsze. „Krasnoludki były częścią rzeczywistości, którą bardzo lubiłem” – wspomni pół wieku później w wywiadzie.

„Nie namawiam, ale radzę: Jeśli dziś otrzymam władzę, Daję słowo, że zasadzę W ciągu pięciu Dni na piasku Drzewa mego wynalazku. Już nie szyszki, nie żółędzie, Ale rosnąć na nich będzie Schab surowy i pieczony, Boczki, szynki, salcesony, Mortadela i serdelki, Mięś przeróżnych wybór wielki, Nawet prosię w galarecie, Jeśli tylko zapragniecie”. Popołudniowe czytanie to już codzienny rytuał. Po Cudaczku przychodzi czas na Jana Brzechwę i Juliana Tuwima. Mały Jarek najbardziej lubi, gdy mama otwiera książkę na „Szelmostwach Lisa Witalisa”. Przebiegłość, dzięki której lis o puszystym ogonie przejmuje władzę nad lasem, bawi go. Czy mu imponuje? Nie, to przyjdzie później. Ale Jarosław szybko uczy się wierszyka na pamięć i deklamuje go na dwa głosy z bratem. Będzie to robić nawet już jako dojrzały polityk, potrzebny jest tylko odpowiedni nastrój.

„Moi Najmilsi, w bardzo, bardzo dawnych czasach Słoń wcale nie miał trąby. Miał tylko czarniawy, kulfoniasty nos wielkości buta, którym mógł kiwać na wszystkie strony, ale nie mógł nim niczego podnieść”. Mama nawet nie wie, jak wielki wpływ mają książki, które wybiera. Gdy przyniesie „Słoniątko” Rudyarda Kiplinga i „Doktora Dolittle” Hugh Loftinga, Leszek zapragnie w przyszłości zostać lekarzem słoni, a Jarek – ogólnym weterynarzem. Obaj szybko porzucą te plany, ale miłość do zwierząt im pozostanie. Jarosław w przyszłości wyda majątek na weterynarza dla swoich kotów. Gdy któryś się rozchoruje, będzie rzucać wszystko – narady, spotkania – i każe się wieźć na Żoliborz.

„Obserwowałam, jak wyrzekłeś się kolejno wszystkich najszlachetniejszych ambicji, aż oswładnęła tobą jedna tylko namiętność, żądza zysku”. Mama czyta „Opowieść wigilijną” Karola Dickensa, chłopcy słuchają. Historia Ebenezera Scrooge’a trafia im do przekonania, nie są skąpi.

Jarosław nie ma ręki do pieniędzy, nie umie oszczędzać. Po cichu wspomaga żoliborską biedotę, daje na bezdomne zwierzęta, ale w sprawach finansowych łatwo go naciągnąć. Może to jednak nie wpływ moralitetu, tylko cecha przejęta wprost od mamy? Jej też pieniądze się nie trzymały. Kiedyś przyszła do pracy bez grosza w kieszeni – na ulice zaczęły ją Cyganki, wdała się w rozmowę, straciła portfel z pieniędzmi i dokumentami.

„Jestem zuch i tyś jest zuch, jest nas razem zuchów dwóch. Mamy wielkie używanie, przewidziane w naszym planie”. Chłopcy jeszcze nie wiedzą, że w przyszłości przyjdzie im zagrać Jacka i Placka. Na razie mają pięć lat i zaśmiewają się, gdy gosposia Władzia czyta im powieść Makuszyńskiego. A końcową piosenkę każą sobie śpiewać tak długo, aż nauczą się jej na pamięć.

„My, Pierwsza Brygada, Strzelecka gromada, Na stos, rzuciliśmy Swój życia los, Na stos, na stos!” Mama chodzi po mieszkaniu i podśpiewuje pieśni legionowe. „Pierwszą kadrową”, „Ułanów”, „Marsz pierwszej brygady”. Bracia drepczą za nią i też nucą. Na początku bez zrozumienia, ale później już całkiem świadomie. Po pieśniach przychodzi czas na książki o Józefie Piłsudskim, które mama wyszukuje w warszawskich antykwariatach. Jarek od małego jest pod wrażeniem opowieści na jego temat, uważa, że nie było większego patrioty. Gdy podrośnie i przestanie wypatrywać krasnoludków, po wieczornym pacierzu zacznie z bratem śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”.

„Oni by już dawno sprzedali Warszawę i ojczyznę, żeby nie my, szewcy warszawscy. My ojczyzny nie damy. Świat się zawali, wszystkich naczelników, generałów, pułkowników, książąt i ślachciców powywieszamy na latarniach a ojczyzny nie damy”. Mama z rozmysłem pobudza w chłopcach zainteresowanie historią, bitwami, wojskiem. Przynosi im „Olszynkę grochowską” Walerego Przyborowskiego. Jarek z Leszkiem oczami wyobraźni widzą się na miejscu Władka Jasińskiego, który łamie przyrzeczenie złożone przed ciotką i – jak ojciec – zaciąga się do polskiej armii. Mają nadzieję, że zaraz wybuchnie wojna, sami też chcieliby walczyć.

„Chcecie bajki? Oto bajka: Była sobie Pchła Szachrajka. Niesłychana rzecz po prostu, By ktoś tak marnego wzrostu I nędznego pchlego rodu Mógł wyczyniać bez powodu Takie psoty i gałganstwa, Jak pchła owa, proszę państwa”. Nie, nie, to jakieś nieporozumienie. Mama zapisała synów do biblioteki, a tam pani poleciła im Brzechwę dla dzieci. Jarek z Leszkiem tylko wyglądają na pięć–sześć lat, w rzeczywistości mają już dziewięć. Są dobrze wychowani, więc wezmą książkę, ale następnym razem przyjdą do biblioteki z mamą. Pani z wypożyczalni bardzo się zdziwi, gdy usłyszy, że tych dwóch małych i chudych czyta już całkiem dorosłe lektury.

„– Ja jestem Kowalski, a to jest pani Kowalska, innej nie chcę. To rzekłszy młody oficer podniósł do oczu panu Zagłobie głownię ciężkiej dragonńskiej szabli i powtórzył: – Innej nie chcę!” Pani z biblioteki może zostawić „Pchłę szachrajkę” dla maluchów, bracia czytają już z mamą „Potop”. Za chwilę przerobią całą Trylogię. Potem wyjdą na ulicę i będą się bawić w wojsko. Podwórkowa armia składa się z samych oficerów. Są w niej generałowie i marszałkowie. Jarek zostaje hetmanem a Leszek – hetmanem polnym.

„Bóg widzi i będzie sędził, czy hańbiąc mój stan rycerski, nie pohańbiliście się i sami. Jedna jest cześć rycerska, którą każdy, kto opasan, szanować winien”. „Krzyżaków” mama czyta w niedzielę po mszy świętej. Jarek będzie uczęszczać z nią na nabożeństwo nawet jako dorosły mężczyzna. Czasem pójdą do Stanisława Kostki, czasem – do Dzieciątka Jezus, małego kościółka na Czarnieckiego, gdzie proboszczem jest przyjaciel rodziny ks. Roman Indrzejczyk. W latach 80. są okresy, gdy przychodzi do Stanisława Kostki prawie codziennie. Dla Jarosława msza to coś więcej niż modlitwa, to jeden z obowiązków patriotycznych. Nie godzi się, żeby Polak nie chodził na nabożeństwo, uważa Jarosław. A, jeśli jest niewierzący, to musi przynajmniej bronić Kościoła, bo wiara to fundament narodu. Po drugiej stronie jest tylko nihilizm, taki jak u Gombrowicza. Jarosław będzie go czytać sam z ciekawości, ale „Trans-Atlantyk” nie przypadnie

mu do gustu. „Gombrowicz posłużył różnym ludziom do kwestionowania wartości, jaką jest ojczyzna” – oceni w wywiadzie po latach.

Ze światem bez Boga Jarosław osobiście styka się dopiero w latach 90. Najpierw poznaje cyniczną twarz tego świata. Jako minister w Kancelarii Prezydenta jest na porannej mszy w Belwederze. Zerka z bratem na Mieczysława Wachowskiego, który ustawia się do komunii.

– Jak taki sukinsyn jak ty może przyjmować ciało Chrystusa? – spyta po nabożeństwie Lech.

– O co ci chodzi? To przecież służbowo.

Dla Jarosława, który w pamięci ma Sienkiewicza czytanego zaraz po mszy, takie zakłamanie jest nie do pomyślenia.

Potem dostrzega inną stronę tego świata: szczerą i spontaniczną. Idzie na ślub partyjnego kolegi Wojciecha Dobrzyńskiego. Goście panny młodej – pięknej kobiety, z zawodu modelki – to ludzie z branży modowej. Jarosław patrzy z niedowierzaniem: oni nie wiedzą, kiedy wstać a kiedy przyklęknąć, mało kto umie tam zrobić znak krzyża. Jakby pierwszy raz byli w kościele. Szok kulturowy.

„Za słabe są moje ręce do podniesienia tego gmachu – myślał książkę z uciskiem w duszy. Pierwszy raz uczył, że od jego woli jest jakaś nieskończona siła: interes państwa, który uznaje nawet wszechmocny faraon, a przed którym ugiąć się musi on, następca!” Na „Faraonie” mama zdiera głos. Książka jest opasła, rówieśników dawno by znudziła, ale Jarek z Leszkiem słuchają z zainteresowaniem. Wciągają ich polityczne intrygi i walka o władzę. Mają już 13 lat. To koniec czytania w niedzielę. Kolejne lektury będą przerabiać już sami.

Po latach bracia powiedzą w „Alfabecie”, że nawet gdy byli mali, mama traktowała ich poważnie, po partnersku. Zabierała ich na wieczory autorskie dla dorosłych i rozmawiała z nimi o świecie. Pozwalała im czytać „Przegląd kulturalny”, „Politykę”, „Nową Kulturę” i dział międzynarodowy „Trybuny Ludu”. W sobotę – to kolejny domowy rytuał – pani

Jadwiga nastawia im radio, w którym nadają dziennikarskie relacje z zagranicy. Bracia poznają politykę tak samo jak świat książek – stopniowo, od małego.

Gdy mają siedem lat, słuchają o wyborach w Ameryce. Jeszcze za wcześnie, żeby rozumieli różnicę między republikaninem Dwightem Eisenhowerem i demokratą Adlaiem Stevensonem.

W wieku ośmiu lat na ich oczach – a raczej uszach – upada rząd Anthony’ego Edena. Jego następcą wycofuje żołnierzy z Egiptu. Jarek się głowi, czy to koniec Imperium Brytyjskiego.

Jedenaście lat. Bracia odchodzą od odbiornika i wyciągają mapę świata. Ciekawi ich, jak skończy się rebelia w Republice Konga. Czy Związek Radziecki przysła samoloty? Jak zareagują Stany? Co dalej z Lumumbą?

Trzynaście lat. W radiu mówią o kryzysie kubańskim. Bliźniacy już sporo wiedzą, ale nadal rozumują po dziecięcemu. Zastanawiają się, jaki to będzie miało wpływ na Polskę. To co, Jarek, może jednak będzie ta wojna?

Chłopcy wraz z mamą śledzą też zmiany w obozie komunistycznym: przejęcie władzy przez Władysława Gomułkę, przetasowania w partii, powstanie na Węgrzech. Wydaje im się, że wszystko rozumieją, co napawa ich uzasadnionym poczuciem wyższości wobec rówieśników. Koleżanka z klasy Teresa Bogusławska zapyta kiedyś na lekcji wychowawczynie: – Dlaczego po objęciu władzy przez Gomułkę potępia się jego poprzedników, a wcześniej potępiano jego?

Siedmioletni Jarek będzie zdegustowany tą naiwnością. Po co ona w ogóle pyta? Przecież wiadomo, komunizm.

Ale są też sfery życia, w których chłopcy doznają upokorzeń. Podczas szkolnej wycieczki do teatru jakiś wyrostek zaczepia Jarka na ulicy. Chłopak nie umie się sam obronić. Dopiero pan od robót ręcznych, zresztą ormo-wiec, stanie w jego obronie i przegoni chuligana.

A więc bracia z jednej strony czują się lepsi od rówieśników – dobrze znają historię, więcej czytają, rozumieją świat. A z drugiej – padają ofiarą



fizycznej agresji, co ich frustruje i rodzi kompleksy. Chłopcy znają na to lekarstwo, uciekają do własnego świata, do którego wstęp mają jeszcze tylko dwie osoby: brat bliźniak i mama. W tym gronie czują się najlepiej.

– O, idą. Dawajcie, szybko...

Na górze poruszenie. Flaszka znika za pazuchą, śnieg lepi się w kulę za kulą.

– Te! Jacek!

– Placek!

Naraz w kierunku chłopców leci grad śnieżek.

Plask. Pierwsza piguła rozpląszcza się na palcie Jarka. Bach. Druga mało nie strąci Leszowi czapki. Mama przyspiesza kroku, chłopcy gęsiego – za nią.

Scena ma miejsce przy górze niedaleko szkoły. Ilekroć bracia się tu pokażą, dorastająca żulia z Marymontu będzie odkładać alkohol i rzucać w nich śnieżkami. Zazdrość w stosunku do braci Kaczyńskich stanie się wśród rówieśników uczuciem powszechnym.

Do filmu „O dwóch takich, co ukradli księżyc” chłopców zgłosił wuj Stanisław. Zrobił to bez wiedzy pani Jadwigi. Wyrwał stronę z zeszytu, zapisał na niej nazwiska braci, podał ich adres i wysłał zgłoszenie. Pozostali kandydaci dołączali zdjęcia, opisy, a tu pojedyncza kartka. Ludzie z wytwórni byli zaciekawieni taką reklamą i przysłali im zaproszenie.

Casting odbywa się w jednym z warszawskich kin. Bracia idą chętnie – w tym czasie czytują już recenzje filmowe w gazetach, śledzą festiwale – ale na początku są trochę onieśmieleni. Siadają w tylnym rzędzie, na scenę wyciąga ich dopiero kierownik planu. Okazuje się, że są najstarsi na sali. Wyglądają na 7–8 lat, a w rzeczywistości mają 12. Są bystrzy i rozgarnięci, wygrywają.

Zaproszenie na plan przychodzi telegramem, gdy chłopcy spędzają wakacje w Cetniewie. Są przejęci i chcą dobrze wypaść. Zanim pojadą na zdjęcia, będą trenować role przed babcią w domu.

Film jest kręcony częściowo w studiu w Łodzi, a częściowo – w Łebie na wydmach, trwa to ponad pół roku. Na planie są prywatne nauczycielki, braci mają doglądać ludzie z ekipy, ale mama nie chce puścić synów samych i jedzie z nimi. Kilka razy musi interweniować. Na przykład wtedy, gdy bracia mają zjechać z wysokości czwartego piętra na sztucznych pelikanach. Pani Jadwiga protestuje, że to niebezpieczne, i zamiast braci w scenie będą grać kukły. Nie wszystkiego może jednak dopilnować sama. Z Leszką większych problemów nie ma, ale Jarek daje do wiwatu wszystkim: jej, ludziom z filmu, obsłudze hotelu.

Podczas zdjęć znika z planu jeden z kierowników. Szuka go pół ekipy, wreszcie mężczyzna odnajduje się zatrzaśnięty w odległym magazynku. To Jarek go tam zamknął. Ludzie z wytwórni pieklą się, krzyczą, ale po jakimś czasie kierownik ginie ponownie. To znów robota Jarka.

Bracia dostają w Łodzi apartament w Grand Hotelu. Któregoś dnia pokój wypełnia się duszącym dymem. Nadpalają się meble, trzeba pastować podłogi, myć ściany. Okazuje się, że ktoś rozpalił w apartamencie świecę dymną. To znowu Jarek.

Jarosław uważnie obserwuje świat filmu. Ocenia go według dorosłych kryteriów przejętych od mamy, która przykładą dużą wagę do takich kwestii jak dobre maniery, staranne słownictwo czy przyzwoite zachowanie. I tak: 12-letni Jarek z dezaprobatą słucha, jak treser zwierząt mówi Helenie Grossównie, gwiazdzie przedwojennego kina, że nie wygląda już tak jak dawniej. Nie podoba mu się też, gdy kierownik produkcji rano budzi jego i Leszka słowami: „Wstawajcie! Babkę za frak i na plan!” (chłopcami opiekuje się wtedy babcia ściągnięta do Łodzi przez mamę). Z satysfakcją Jarek odnotowuje za to co innego: „W ekipie było dużo osób barwnych, natomiast nie było postaci – mówiąc dzisiejszym brzydkim językiem – menelskich, jakie też w tym świecie nierzadko się zdarzają” (z wywiadu udzielonego w 1998 roku).

Po latach tygodnik „Polityka” pójdzie tropem rozważań o psychicznych skutkach krótkotrwałej kariery aktorskiej. Zapyta: czy to wtedy w Kaczyńskich rodzi się poczucie wyobcowania i przekonanie, że wszyscy są przeciwko nim? A Jarosław przyzna w książce „Polska naszych marzeń”, że jemu i bratu „film wielokrotnie odbija się w następnych latach czkawką”.

Dla mamy wyjazd na plan jest dużym wyrzeczeniem. Musi zwolnić się z pracy i spędzić kilka miesięcy poza domem. Gdy synowie dorastają, pani Jadwiga w ogóle zaniedbuje sprawy zawodowe i rozluźnia kontakty towarzyskie. Urywa się nawet znajomość z Winklową, a przecież panie miałyby tyle wspólnych tematów: książki, wspomnienia ze studiów, plotki z Instytutu. Mama nie ma jednak czasu na kawy z koleżankami.

Wszędzie chłopcy, ciągle chłopcy. Codziennie odbiera ich ze szkoły i dba, żeby nie włóczyli się po podwórku z kluczem na szyi. Tata dobrze zarabia, więc mama co rusz kupuje im nowe stroje. Aż koledzy w szkole się naśmiewają, że mali Kaczyńscy codziennie są inaczej ubrani. Bracia chyba przejmują się tym docinkami. Po latach powiedzą, że ich słynna abnegacja to efekt przekory wobec matczynej dbałości o wygląd. A Jarosław, już jako dorosły mężczyzna, pojedzie kiedyś po garnitur z mamą. Podczas zakupów tak się z nią pokłóci, że każde wróci do domu osobno.

Po latach bracia będą wspominać dzieciństwo w „Alfabcie”.

Jarosław: „Znajdowaliśmy granaty, hełmy – głównie z Powstania Warszawskiego. A poza tym toczyliśmy bitwy na kamienie. To też jakaś pozostałość wojny. Byłem wtedy częstym pacjentem pogotowia ratunkowego. Wystarczyła drobna sprzeczka. Przeważnie chłopcy z mojej ulicy – Lisa-Kuli – walczyli z chłopcami z trójki, dużego bloku przy placu Inwalidów. Najpierw chodziłem się do tego bloku bawić do piaskownicy, a potem głównie walczyłem”.

Lech: „Uważałem wtedy, że bójka na pięści to bójka na niby. Bawiliśmy się w tzw. murowankach – to był niedokończony dom, rozwalony podczas

powstania, na rogu Felińskiego i Pochylej (dawniej Lisa-Kuli). To tam Jarek z Tomkiem Grzywaczem wyciągnęli w 1957 roku pociski moździerzowe i zamierzali nimi walić o ziemię. Ale pamiętam też Jarka z granatem w rękę. Kiedy indziej znów znaleźliśmy bagnet w pochwie”.

Jarosław: „Nie należałem do chłopców, którzy garną się do świata znanych rodziców. Przyjęcie w domu to było głównie oczekiwanie, aż się skończy a wtedy wkraczamy my i spijamy resztki słodkich alkoholi (...). Wypaliłem pierwszego papierosa w wieku sześciu lat. Zostaliśmy jednak zdemaskowani. Kupiliśmy tego papierosa w miejscowym sklepiku. I prowadząca sklep spytała potem mamę, czy to rodzice kupowali”.

Opowieści o bójkach na kamienie, popijaniu i pierwszych papierosach są z pewnością prawdziwe – jak to określiła jedna z ciotek, chłopcy byli urwisowaci – ale okolice murawanki na Felińskiego, o której mówi Lech, u ich rówieśników przywołują odmienne wspomnienia.

Jest rok 2013, siedzę w kawiarni kilkaset metrów, naprzeciwko kościoła św. Stanisława Kostki, w którym mali Kaczyńscy pojawiają się co niedzielę. Szkolna koleżanka braci Hanna Perkowska rozkłada na stole klasowe zdjęcia. Na tle patykówatych rówieśników chłopcy nie wyróżniają się zbyt, może są trochę niżsi. Rozmawiamy o podstawówce na Felińskiego.

– A wtedy – pani Hanna podnosi wzrok znad fotografii i pokazuje ulicę za oknem – chodziliśmy rano do szkoły. Mamy prowadziły nas razem i podczas tej wspólnej drogi podobno ciągle ich tłukłam. Mówię podobno, bo sama już tego nie pamiętam, tak twierdzi moja mama. Mamę braci przypominam sobie za to doskonale. Była zawsze elegancka, zadbana, w starannie ułożonych włosach.

Niedaleko murawanki jest też boisko.

– Grałiśmy tam w piłkę po szkole – opowiada inny z kolegów Wiesław Lasota, dziś lekarz. Odwiedzam go w gabinecie w warszawskim Centrum Onkologii. – Mnie z boiska zawsze ściągała babcia, bardzo specyficzna, po ciężkich przejściach w Oświęcimiu. Przychodziła po zmroku z brzożową

witką, którą biła mnie przy kolegach. Braci już wtedy z nami nie było. Mama zabierała ich do domu, zanim zrobiło się ciemno. Pani Jadwiga cieszyła się wśród nas, młodych urwisów, niemalą sympatią. Co tu dużo mówić, to była piękna kobieta o szlachetnej urodzie. Szczerze? Wszyscy się w niej kochaliśmy.

Z boiska do domu jest parę kroków, ale, jak mama każe, to synowie idą. Musi dopilnować, żeby na czas wrócili z podwórka, dobrze zjedli – czy nie są za drobni, jak na swój wiek? – i odrobili angielski, do czego trzeba ich zaciągać wołami. Któregoś dnia Jarek tak się ociąga, że mama rzuca w niego butem.

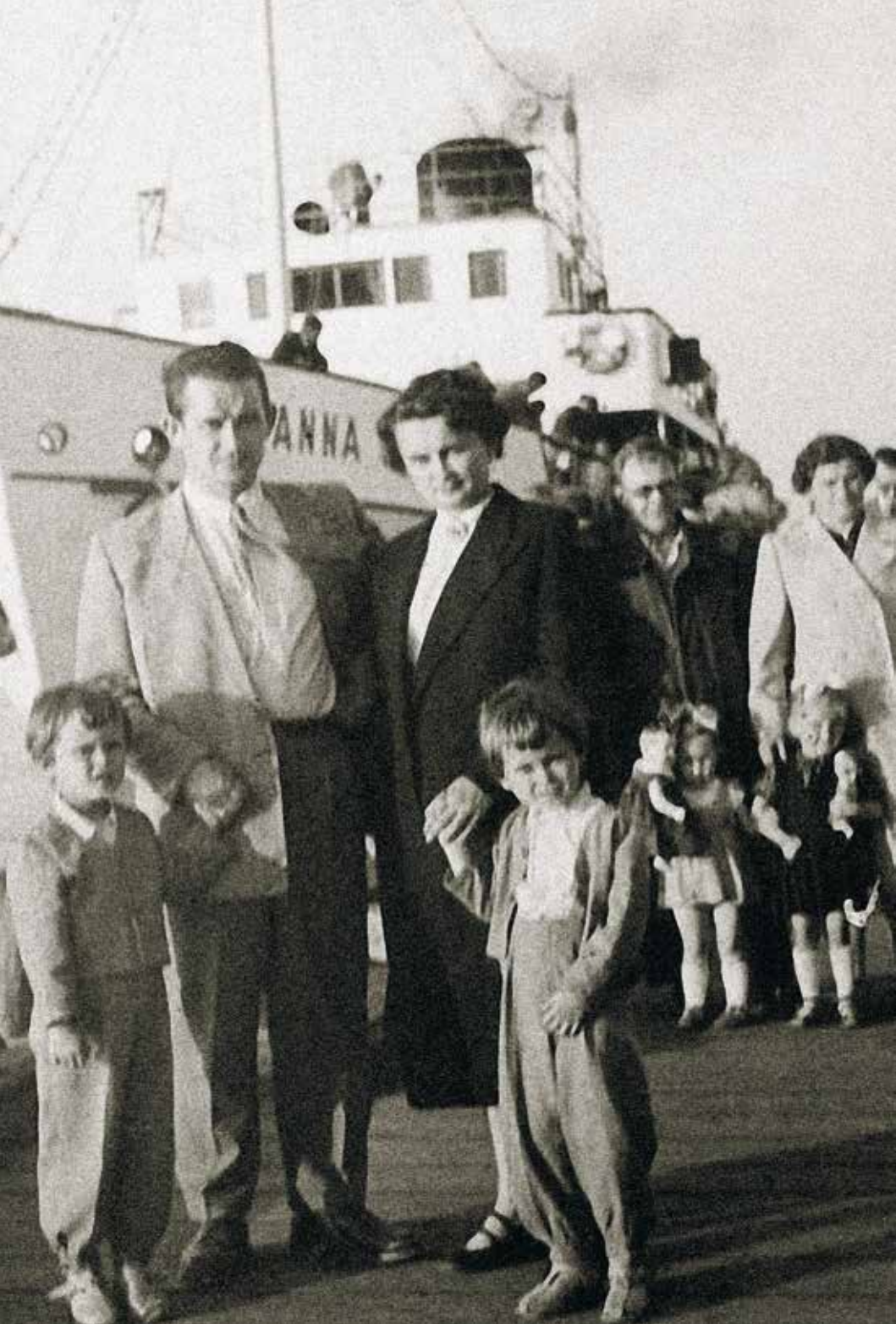
– A! Moje oko, chyba straciłem oko.

Mama mało nie zemdleje, więcej nie podniesie ręki na synów. Nie musi, poza drobnymi incydentami ma u nich posłuch. Czy jest władczą? Tak, bez wątpienia.

Mówi Marek Maldis, kolega braci z bielańskiego liceum im. Lelewela: – Między panią Jadwigą, polonistką, a naszą nauczycielką polskiego, panią Domagalską, była rywalizacja. Jeden z braci dostał kiedyś dwójkę z wypracowania, co ich mama kwestionowała. Bywałem u braci w domu i wyczuwałem, że pani Jadwiga jest osobą dominującą.

Przeglądam rodzinny album braci. Sporo zdjęć z wakacji, większość podpisana przez mamę.

Ółdaki, lipiec 1951 roku. Ujęcie w polu: mama siedzi na kosiarce, na kolanach ma dwuletniego syna (to chyba Leszek), drugi z chłopców majstruje przy pojeździe. Koło niego dyszy wiejski pies, a obok czuwa gospodarz, w gumowcach i kapeluszu. Ółdaki to wieś nad Brokiem, niedaleko Zambrowa – leży na granicy dzisiejszych województw mazowieckiego i podlaskiego. Cioteczna babka braci miała tu pokaźne gospodarstwo: pięciopokojowy dom i 50 hektarów ziemi. Mimo że to rodzina od strony taty, to chłopcy zawsze przyjeżdżają tu z mamą. Pomagają w zbiórce siana, kąpią w rzece zapchlone psy, łowią ryby, gospodarze sadzają ich na koniu.



Któregoś lata zbijają z desek tratwę i spływają w dół rzeki. Mama najpierw się na to zgadza, ale później przerażona goni ich brzegiem. Chłopcy są w Ołdakach co roku, ale nie zapoznają miejscowych dzieci. Zawsze bawią się sami.

Sopot, lipiec 1954. Jedyne zdjęcie, na którym rodzina pozuje w komplecie. Tata trzyma za rękę Leszka, mama – Jarosława. Stoją w porcie, w tle cumuje statek „Anna”.

Urle (?), lipiec–sierpień 1955. Bujne fryzury i ogrodniczki, pole żyta.

Ciechocinek, lipiec 1957. „Mamusia, Jarek, Janek, Leszek”. Mamusia to babcia Jasiewiczowa, a Janek – kuzyn z Saskiej Kępy. Chłopcy idą polną drogą, są objęci. Bracia bardzo chętnie spędzają czas z Jankiem. W albumie jest mnóstwo ich wspólnych zdjęć – głównie z domu na Saskiej Kępie, ale też z wakacji.

Poronin, 1958. Chłopcy na tle gór. Między nimi mama.

Krynica, 1959. Na postumencie siedzi żywy owczarek podhalański. Bracia wdrapali się na górę i obejmują go z obu stron.

Muszyna-Zdrój, data zamazana. Chłopcy na oko mają 10 lat. Stoją w góralskich strojach, jeden z nich trzyma w ręku ciupagę. Tym razem przytulają bernardyna.

Krynica-Zdrój, 1960. Chyba lato. Bracia ustawili się pod słońce i mrużą oczy. Mają na sobie identyczne białe koszule zapięte pod szyją i czarne blezery.

Zdjęcie niepodpisane. Leżaki na tarasie, Jarek z Leszkiem w samych majtkach. W ich objęciach – wilczur.

W każdym z tych miejsc chłopcy są z mamą, nie wiedzą, co to wakacje bez niej. Co lato wyjeżdżają wspólnie, po raz ostatni w 1967 roku, gdy

 **Rodzinne wakacje w Sopocie, 1954 rok.**

**Tata trzyma za rękę Leszka, mama – Jarosława.**

cioteczna siostra pani Jadwigi zaprasza całą trójkę do Odessy. Miejsce z jednej strony wydaje się chłopcom przyjemne. Świeci słońce, na ulicy sprzedają lekkie wino, którego mama pozwala próbować. Ale to jednak Sowiety. Żeby powiedzieć coś o Breżniewie, ciotka zamyka w domu okna. Bieda, aż piszczy, mało kto ma tu w domu wannę. No, i to morze wódki. Nawet ludzie wykształceni piją ją szklankami. Poza tym mama czuje się w Odessie niepewnie, w końcu prosi siostrę, żeby pomogła jej napisać podanie o skrócenie pobytu.

Podczas wyjazdu bracią poznają dwóch ukraińskich kuzynów: Jurija i Wiktora. Odnajdują ich w Odessie, obaj chętnie wspominają tamte wakacje. Pan Wiktor mówi, że przyjazd bliźniaków z Polski był traktowany przez miejscowe dzieci jak wielka sensacja.

– W całym Związku Radzieckim, a na Ukrainie w szczególności, Polacy mieli opinię wywyższających się panów, takich, co to przyjeżdżają z lepszego świata i pogardzają ludźmi radzieckimi. Młodzi ludzie takie rzeczy odczuwają dużo silniej. Dlatego młodych Kaczyńskich traktowano z rezerwą, trochę się ich bano – opowiada pan Wiktor.

Choć nie mówi tego wprost, to z jego opowieści można wywnioskować, że podczas pobytu w Odessie bracia potwierdzili ten stereotyp. – Zachowywali się spokojnie, może dlatego, że trochę się bali nowego otoczenia, obcego języka, dziwnych miejscowych. Byli ciekawi Odessy, ale dużo szeptali między sobą, z min rozumieliśmy, że krytykują, a nawet naśmiewają się z radzieckich realiów.

Jarosław wspomni po latach w „Alfabecie”: „Po powrocie do Polski mieliśmy wrażenie, że wracamy do strefy wolności i zamożności”. Wyjazd do Odessy to ostatnie wakacje z mamą. Bracia mają już 19 lat. Są po maturze i wyczekują inauguracji roku akademickiego.

Kilka tygodni po powrocie z Ukrainy Kaczyńscy wkraczają na wydział prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Mama jest bardzo zadowolona, z dumą opowiada o tym znajomym. Chłopcy podążają kursem, który wytyczyła im przed laty. Są inteligentni, mają rozległą wiedzę i chcą



się uczyć – wygląda, że kariera naukowa stoi przed nimi otworem. Gdy wyfruują na uczelnię, wreszcie ma trochę czasu dla siebie. Odnawia kontakty towarzyskie, wraca do zarzuconych znajomości.

Któregoś lata Winklowa zaprasza ją na działkę. Panie idą na długi spacer.

– Wiesz, tak mnie to śmieszy – mówi pani Jadwiga. – Jarek z Leszkiem zapowiedzieli mi, że kiedyś będą senatorami.

Słowa padają mimochodem. Przecież chłopcy zostaną na uczelni, to dla niej oczywiste. Mama jeszcze nie przeczuwa, że ziarno, które zasiała w dzieciństwie, cały czas w nich kielkuje. Braci ciągnie do polityki.

Jest marzec 1968 roku, na bramie głównej Uniwersytetu Warszawskiego wiszą hasła wypisane przez studentów: „Chcemy dyskusji a nie pałek”, „Warszawa z nami”. Zaraz zacznie się demonstracja. Bracia właśnie szykują się do wyjścia. Mama prosi, żeby zostali w domu, wyciąga im z butów sznurówki, ale oni i tak wychodzą.

– Jesteście kolejnym pokoleniem, które idzie w bój – patetycznie żegna ich z ojcem.

Jarosław uważa, że to przesada. Podczas demonstracji Lech gubi, co prawda, but, ale poza tym bracia wracają na Żoliborz bez szwanku. Po latach Jarosław opíše tę scenę w niepublikowanych wspomnieniach (udostępni mi je jeden z jego współpracowników). Z kolei mama opowie w prasie: „Bez sznurowadeł chyba nie pójda – myślałam. Ale zawsze szli. Później pogodziłam się z ich decyzją. Czulałam, że postępują słusznie, chyba byłoby dziwnie, gdyby tego nie robili. Ale lęk pozostał”.



**/ Złoty czas**

Lęk. Tego uczucia mama nigdy nie oswoi.

Od czasu przeprowadzki Kaczyńskich kamienica na Lisa-Kuli zmieniła się niewiele. Na pewno założono w niej nowe drzwi wejściowe na klatkę – te obecne są z jasnego, litego drewna – ale to chyba wszystko. Skład lokatorów zmienił się za to diametralnie. Z osób, które mieszkały tu jeszcze w latach 70. czy 80. i znały prywatnie rodzinę braci, została tylko sąsiadka spod dwójki na parterze. Rozmawiamy o pani Jadwidze.

– Zaraz po tym, jak Lech został prezydentem Warszawy, spotkałam ją przypadkiem na ulicy – opowiada. – Powiedziała, że w czasie kampanii akurat przebywała w sanatorium, ale gdyby była na miejscu, to nigdy by się na tę prezydenturę nie zgodziła.

– Dlaczego?

– Chyba bała się o synów.

– Myśli pani, że by jej posłuchali?

– Dla braci mama była wszystkim.

Synowie wspinają się po szczeblach władzy, a obawy mamy nie maleją. Który z braci częściej im ulega? Chyba Lech. We wrześniu 2005 roku, na finiszu wyborów prezydenckich, Jarosław musi go stawiać do pionu. Kampania siadła, ale spin doktorzy mają pomysł, jak tchnąć w nią nowego ducha. Kandydat ma wsiąść w awionetkę i lecieć do Mielca, gdzie trwają zamieszki kibiców piłkarskich. Lech się jednak zapiera: – Czy wyście oszaleli? Mama się na to nie zgodzi.

Pomaga dopiero interwencja Jarosława.

Kłopotem jest też ochrona, z której Lech musi korzystać w kampanii. Kandydat ma utrapienie: jak chodzić z obstawą, żeby mama tego nie zauważyła? Jeśli się zorientuje, to się zmartwi, a to może źle wpłynąć na jej stan zdrowia.

Mama wie o przeczeniu synów i stara się ich nie absorbować bez potrzeby. Dziennikarz Michał Majewski przytacza taką anegdotę w jednym z artykułów: Lech jest prezydentem Warszawy. Mama dzwoni do ratusza i prosi o połączenie z synem, który akurat ma konferencję prasową. – To proszę mu teraz nie przekazywać, że dzwoniłam, bo on przerwie tę konferencję.

W 2007 roku panią Jadwigę odwiedza znajoma, panie siedzą w salonie rządowej willi na Parkowej. Rozmowa jak zawsze dotyczy synów, jeden jest prezydentem, drugi – premierem. Mama jest z nich bardzo dumna, ale przede wszystkim się boi.

– Polityka ich niszczy – wyznaje. – Nigdy nie chciałam, żeby się angażowali. To ich kiedyś zabije.

Po Smoleńsku mama będzie sobie nawet robić wyrzuty, o czym powie w wywiadzie: „Bardzo nie chciałam, żeby Leszek jechał do Rosji. Wiedziałam, co dzieje się w Rosji Putina. Wiedziałam o Gruzji, o roli, jaką Leszek odegrał w wojnie 2008 roku – wymienia. I dodaje: – Gdybym była zdrowa, pewnie bardzo bym prosiła Leszka, by tam nie leciał, ale nie byłam przytomna, można powiedzieć: byłam półprzytomna”.

Wyzna też, że chciałaby już umrzeć, ale przy życiu trzyma ją strach o drugiego z synów: „Mam już 85 lat i jestem naprawdę bardzo chora. Nie będę już długo żyć. I bardzo się z tego cieszę. Natomiast muszę jeszcze trochę pożyć dla Jarka. (...) Codziennie odmawiam różaniec, mam też swoje modlitwy. Wydaje mi się, że one ochraniają Jarka tu, na ziemi, Leszka i Marylkę, i tych wszystkich, którzy tam zginęli, na górze, w niebie”.

O Jarosławie często się mówi, że to cynik, bezwzględny gracz, który nie cofnie się przed niczym. Dla władzy poświęci wszystko: wykorzysta rodzinę, zagra trumnami... Powtarza się to nieustannie.

Ci, którzy opowiadają takie rzeczy, niewiele wiedzą o Kaczyńskim. Polityka oczywiście jest dla niego ważna – w końcu wypełnia mu prawie całe życie – ale są dwie sprawy, z którymi zawsze przegrywa: dobro Leszka i spokój mamy. Nie martwić mamy – to zresztą imperatyw towarzyszący obu braciom przez całe życie. Kaczyńscy kierują się nim od małego, i to nie tylko w sytuacjach poważnych.

Scena z dzieciństwa: chłopcy siedzą z mamą u lekarza. Wiercą się, więc pani doktor zwraca im uwagę. – Proszę tak się do nas nie zwracać przy mamie. To nie wypada – reaguje mały Leszek.

To jedna z wielu tego typu historii. Drobną, ale znamionną, bo bracia myślą o mamie zawsze i boją się o nią tak samo, jak ona boi się o nich. Czasem ich troska wydaje się przesadna – tak jak tu, u lekarza – i nierzadko wpływa na ich działalność publiczną. Dotyczy to zwłaszcza Jarosława, który nigdy nie zakłada własnej rodziny i zostaje na Żoliborzu, w związku z czym czuje się odpowiedzialny za życie i zdrowie mamy na co dzień.

Uważa, że jako syn ma wobec mamy obowiązki.

Obowiązek pierwszy. Od początku lat 90. Jarosław większość czasu spędza w pracy i często wyjeżdża poza Warszawę. Z jednej strony lubi podróżować po Polsce, ale z drugiej – wie, że w domu jest ktoś, kto cały czas o nim myśli. A mama najbardziej się niepokoi, gdy syn nie wraca na noc. Objazd kraju w czasie kampanii wyborczych zazwyczaj wygląda więc tak: rano wyjazd, w dzień spotkanie, później kolacja z działaczami i na koniec powrót do Warszawy. I tak codziennie przez lata – jak na gumie, która co noc ściąga go na Żoliborz. Mając do wyboru nocleg w hotelu i powrót do domu, zawsze decyduje się na to drugie. Bo wie, że dopóki nie przekręci klucza w drzwiach, mama nie uśnie.

Obowiązek drugi. W ciągu dnia mama też się martwi, dlatego Jarosław, gdy tylko może, dzwoni do domu. Od czasu, gdy ma telefon komórkowy, robi to z samochodu, ale na początku lat 90. musi zbaczać z trasy, szukać budek telefonicznych, nosić przy sobie drobne. Jest z tym

kłopot – często spóźnia się na spotkania – ale, gdy nie dzwoni, mama się denerwuje.

Sierpień 1993 roku, Kaczyński bierze udział w konwoju z pomocą humanitarną dla Sarajewa. Wyjazd jest wydarzeniem polityczno-towarzystwiskim, uczestniczą w nim m.in. Adam Michnik, Jacek Kuroń, Marek Edelman, ks. Arkadiusz Nowak, Zbigniew Bujak i Henryk Wujec. Jarosław w ostatniej chwili orientuje się, że nie ma paszportu, i spóźnia się na wspólny autokar. Musi jechać ze znajomymi prywatnym samochodem. Wyprawa jest niebezpieczna i odbywa się pod presją czasu. Relację z tej podróży znajduję we wspomnieniach Kaczyńskiego.

„Drogi nad przepaściami, barierki pozrywane – pisze w nich Jarosław. – Niektórzy twierdzili, że wyjazd jest bardzo niebezpieczny i, jeśli by to potwierdzić, to tylko ze względu na drogi właśnie, a także sposób jeżdżenia Chorwatów i Bośniaków. Bardzo kawaleryjski (...). Przyjechaliśmy do Splitu, właśnie drogą nad przepaścią bez barierek, na dole było morze, ale przed tym coś w rodzaju plaży i tam widać było leżące rozbite samochody. Przepaść była solidna, na pewno przeszło sto metrów, może nawet więcej (...).

Przychodziły wieści, że dalej jechać się nie da, że do Sarajewa jest aż siedem stref walk, krótko mówiąc, że nie wiadomo, co dalej robić. Po noclegu, w trakcie którego trochę strzelała artyleria, ale gdzieś z daleka, postanowiliśmy jechać dalej (...). Chcieliśmy dostać się do Sarajewa i to szybko, gdyż zbliżało się decydujące posiedzenie Rady Politycznej i musiałem po prostu wracać. Ponieważ najkrótsza droga miała być zablokowana, postanowiliśmy jechać dłuższą – przez Mostar. Z niewielkimi przygodami, zupełnie pustą drogą przez góry, dotarliśmy do miasta. Ujrzelśmy puste ulice, słychać było pojedyncze strzały”.

Ze Splitu jeszcze udaje mu się zadzwonić. Później, w drodze powrotnej do Warszawy, szuka telefonu w Cieszynie.

„Komórek wtedy nie było, automaty zepsute, w stacjach benzynowych, gdzie prosiłem o dostęp do telefonu, odczuwałem wyraźną niechęć i po

prostu nie zdołałem zadzwonić. Gdy w końcu dotarłem do domu Mama, Ojciec i Leszek byli bardzo zaniepokojeni”.

Obowiązek trzeci. Synowie są dorośli, ale mama cały czas żyje ich sprawami. Interesuje się polityką, czyta prasę, ogląda telewizję. Wszędzie szuka okazji do wymiany poglądów na temat bieżącej sytuacji.

– Pani Jadwiga często mnie zagadywała – opowiada sąsiadka z parteru. – Z jednej strony było mi bardzo miło, ale z drugiej miałam kłopot, bo nasze poglądy się różniły. Nie wiedziałam, co zrobić, więc w końcu powiedziałam jej, że nie interesuję się polityką. Potem jeszcze kilka razy mnie zaczepiła, ale po chwili gryzła się w język. Ach, przepraszam, strofowała się, zapomniałam, że pani się nie interesuje tym sprawami.

Mama nie tylko śledzi polityczne wydarzenia, ale też bardzo się nimi przejmuje. Gdy bracia są u szczytu władzy, mówi prasie: „Niektóre komentarze, ataki boją mnie. Takiego ataku, takiej furii, jeszcze nie było”. Jarosław nie chce, żeby mama się denerwowała, najchętniej ograniczyłby jej dostęp do mediów. Radzi, by nie czytała prasy i nie włączała telewizora. Ale tu sytuacja się odwraca – kiedyś sam poszedł na demonstrację bez sznurowadeł, a teraz to mama nie chce słuchać jego. Syn prosi więc: skoro już mama musi, to niech ogląda „Informacje” w Telewizji Trwam i „Wydarzenia” w Polsacie. Nie są tak napastliwe, mniej w nich komentarzy a więcej wiadomości. Nie przed wszystkim udaje się jednak mamę uchronić.

Historia, którą opowiada mi Lejb Fogelman, znany warszawski prawnik i kolega braci z licealnych czasów:

Jest marzec 2006 roku. Prawicowi posłowie – wśród nich prym wiedzie Zygmunt Wrzodak – atakują go w Sejmie. W wypowiedziach porbrzmiewają aluzje dotyczące pochodzenia.

– Pan Fogelman nie ma prawa wykonywać zawodu adwokata w naszym kraju – pada z trybuny.

– To kolega świty komunistyczno-liberalnej!

– We wszystkich prywatyzacjach widać jego rękę sięgającą po wielkie pieniądze!

Fogelman liczy, że przyjaciel zareaguje. Dobija się na Nowogrodzką. Gdy Jarosław nie oddzwania, telefonuje na Żoliborz. Mama wysłuchuje jego racji. Jest oburzona, mówi, że nie godzi się tak traktować kolegi. Mija pięć minut i do Fogelmana dzwoni Jarosław.

– Cześć, masz czas? To wpadnij do mnie.

Gdy Fogelman przyjedzie na Nowogrodzką, Jarosław mu powie:

– Proszę cię, nie dzwoń do mamy z takimi sprawami, bo ona się bardzo przejmuje.

Obowiązek czwarty. Gdy mama dzwoni do biura, trzeba przerwać spotkanie i przeprosić gości. Czasem ktoś poderwie się do wyjścia, żeby nie krępować prezesa swoją obecnością, ale Jarosław go powstrzyma.

– Siedź, siedź. To mama.

Widok partyjnego przywódcy, byłego (a może i przyszłego?) premiera rozmawiającego z mamą przez telefon jest niezwykle. Jakby to ojciec mówił do kilkuletniej córki. Naraz opada stężała maska – słyszę od jednego z gości – twarz przepelnia łagodność, a głos nabiera nieznanego dotąd barwy: „Nie, mamuniu, tego nie czytaj, to bzdury”, „Jak przyjadę wieczorem, wszystko ci opowiem, obiecuję”, „Oczywiście, zawiozę kota do kliniki”, „Muszę kończyć, mamusi, mam spotkanie, całuję”.

Koło osiemnastej biuro pustoszeje i Jarosław zostaje sam. Wtedy najłatwiej się do niego dostać, ale spotkania czasem przerywa telefon w sekretariacie. Jarosław odbiera go osobiście.

– Przepraszam, ale musiałem przyjąć – powie po powrocie do gabinetu. – Często dzwonią wariaci, ale równie dobrze to może być mama. Odbieram, bo nie chcę, żeby się martwiła.

Obowiązek piąty. W miarę możliwości pomagać w domu. W latach 90. Jarosław, wracając do domu, czasem prosi kierowcę Tadeusza Kopczyńskiego:



– Podjedźmy jeszcze pod Halę Mirowską. Mama prosiła, żeby kupić dobrej wołowiny na zrazy.

Mama gotuje bardzo dobrze. Gdy Jarosław zakłada Porozumienie Centrum i dużo jeździ po kraju, proponuje mu wałówkę na podróż. Kopczyński przypomina sobie wyjazd, na który prezes przynosi kanapki ze sznycłem. Ale to wyjątek – regułą jest, że Jarosław nie robi mamie kłopotu i stołuje się w przydrożnych barach.

A, gdy już wróci do domu, weźmie się do drobnych porządków lub stanie do zmywania. Czasem pomoże w gotowaniu. Co umie przyrządzić? Chociażby mięso w prodiżu.

Jarosław Kaczyński: „Żadnych przypraw nie używałem. To był kurczak sauté. Ogórkowa też była jadalna w moim wykonaniu. Kilka razy upiekłem ciasto. Mama mówiła mi przez telefon, co mam robić”.

Mama: „Jarek pomagał w kuchni, choć nie powiem, by lubił gotować. Robił to, bo uważał to za swój obowiązek. Gotował pomidorową i piekł kurczaki. Gdy zachorowałam, opiekował się mną. Właśnie wtedy najczęściej raczył mnie zupą pomidorową. Nie gotuje najgorzej”.

Obowiązek szósty. Mama jest kruchego zdrowia, choruje właściwie całe dorosłe życie. W samym Instytucie cztery razy prosi o długotrwały bezpłatny urlop (od kilku miesięcy do kilku lat) lub rozwiązanie umowy, za każdym razem z powodu złego stanu zdrowia. Bracia są wyczuleni na punkcie jej dolegliwości, kilka razy dziennie dzwonią do niej i pytają o samopoczucie. Gdy mama źle się czuje, rzucają wszystko i jadą na Żoliborz. Zdarza się, obaj nocują w szpitalu – żaden nie chce wrócić do domu i odpocząć. A kiedy któregoś zatrzymują obowiązki, drugi musi co kilkanaście minut dzwonić i meldować, czy stan mamy się pogarsza.

Lech, będąc prezydentem, odbiera te telefony nawet w trakcie oficjalnych spotkań. Ma encyklopedyczną pamięć do wszystkich niedomagań – umie powiedzieć, na co mama chorowała w lutym 1961 roku. Jarosław takich zdolności nie posiada, ale zawsze może zadzwonić do brata i odtworzyć

sobie wszystkie daty. Samopoczucie mamy to dla niego priorytet. Gdy jej stan poważnie się pogarsza po raz pierwszy (dzieje się to jeszcze przed Smoleńskiem), jedzie na Jasną Górę i składa śluby abstynencji w intencji jej zdrowia. Z kolei Lech rzuca kiedyś do współpracowników, że musi ubiegać się o reelekcję, bo tylko wtedy będzie mógł zapewnić mamie odpowiednią opiekę lekarską. To niby żart, ale czy nie ma w nim ziarna prawdy?

Wrzesień 1997 roku, cisza wyborcza. W oczekiwaniu na głosowanie Jarosław jedzie w sobotę poszwendać się po Krakowie. Zgodnie ze swoim zwyczajem na noc wraca do Warszawy. W domu zastaje mamę z zapaleniem płuc. Mimo że ma szansę na powrót do Sejmu po czteroletniej nieobecności – kandyduje z listy Ruchu Odbudowy Polski – odkłada politykę na bok i zostaje w domu. Na wieczór wyborczy się nie wybiera. W nocy z niedzieli na poniedziałek, gdy czuwa przy mamie, docierają do niego dwie wiadomości. Dobra jest taka, że AWS miażdży czerwonych, a zła – że ROP nie przekroczył progu i mandat poselski przeszedł mu koło nosa. Jarosław zbytnio się tym nie przejmuje, przez najbliższe dni będzie zajęty domowymi sprawami. O tym, że jednak dostał się do Sejmu, dowie się dopiero po trzech dniach, gdy mama wydobrzeje. Przekazuje mu to partyjny współpracownik Przemysław Gosiewski.

Kłopoty z płucami mamy trapią go już kilka lat wcześniej. W sierpniu 1991 roku lekarz mówi, że mógłby jej pomóc wypoczynek w ciepłym kraju. Jarosław, wówczas szef Kancelarii Prezydenta, wpada na pomysł: przecież rząd ma ośrodek wczasowy w Warnie w Bułgarii, może by wysłać tam mamę? Idzie po prośbie do szefa Urzędu Rady Ministrów Krzysztofa Żabińskiego i rozmawia o tym z premierem Janem Krzysztofem Bieleckim. Obaj zapewniają go, że chcą pomóc, ale sprawa posuwa się opornie. Jarosław uważa, że dolegliwość jest pilna i zwraca się o pomoc do doświadczonego pracownika Kancelarii Jerzego Breitkopfa, który w czasach gen. Jaruzelskiego kierował biurem Rady Państwa. Jak się okazuje, ten peerelowski urzędnik może więcej niż premier i skierowanie

jest już właściwie gotowe. W ostatniej wybucha jednak sprawa puczu Janajewa i wyjazd trzeba odwołać – to jedyny raz, kiedy polityka wygrywa ze zdrowiem mamy.

Na co dzień nie ma z nią szans. Syn – nawet gdy jest w pracy – myśli profilaktycznie. Wie, że obturacyjna choroba płuc, na którą cierpi mama, jest poważna, i boi się powikłań. Zakazuje robienia przeciągów w biurze i nastawiania klimatyzacji w samochodzie. Mówi, że nie chce przynieść do domu przeziębienia, bo mógłby zarazić mamę. Jest w tych sprawach bardzo kategoryczny. Gdy jeden z jego doradców otworzy okno na oścież, prezes spyta z wyrzutem:

– Chce pan zabić mamę?

A gdy w 2009 roku jednak lekko się zaziębi, na wszelko wypadek położy się do szpitala. Nie chce przynieść zarasków na Żoliborz.

W lipcu 2006 roku Jarosław zaczyna urzędowanie w Kancelarii Premiera. Od razu prosi, by nie ustawiać mu w gabinecie mniej niż 23–24 stopnie. Współpracownicy szybko nauczą się też, że napoje należy mu przynosić nieschlodzone, najlepiej w temperaturze pokojowej. Jeden ze współpracowników bardzo się zdziwi, gdy Jarosław zaproponuje mu któregoś dnia szklankę piwa (to akurat nie w Kancelarii, tylko na Nowogrodzkiej) i sięgnie po butelkę schowaną w szafie.

Kilka tygodni po objęciu teki premiera przez Jarosława synowska troska o mamę wpływa na politykę. Sprawy zachodzą bardzo daleko. 12 sierpnia radio RMF FM publikuje na stronie internetowej tekst „Tajemnicze odejście szefa BOR-u”:

„Płk Damian Jakubowski nie jest już szefem Biura Ochrony Rządu. Swą decyzję ogłosił podwładnym wczoraj, nie podał przyczyn. Dziś dymisja została przyjęta. Nieoficjalnie mówi się, że powodem jego odejścia są zastrzeżenia polityków co do sposobu, w jaki BOR ich ochrania.

Pojawić się miały także pretensje o nadmierne skonfliktowanie formacji i o wysuwane przez niego bezpodstawne oskarżenia o nadużycia.

Rzecznik BOR nie chce jednak wyjaśniać przyczyn odejścia Jakubowskiego. – Mogę tylko powiedzieć to, co wszyscy usłyszeliśmy, że szef odchodzi i dziękuje nam za współpracę – tłumaczy w rozmowie z RMF FM i dodaje, że pełniącym obowiązki szefa BOR został płk Jan Teleon, dotychczas szef ds. logistyki i zastępca płk. Jakubowskiego. O przyjęciu dymisji Jakubowskiego poinformował wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Władysław Stasiak.

Trudno nie skojarzyć dymisji Jakubowskiego z licznymi wypadkami BOR, jakie odnotowano w ostatnim czasie. Można przypomnieć pistolet, który zgubił ochroniarz jednego z wicepremierów, rajd na Jasnej Górze, który skończył się rozbiciem wartej ponad pół miliona złotych limuzyny, czy też słynną »wpadkę flagową«, w czasie której samochód Lecha Kaczyńskiego jeździł w barwach Księstwa Monako.

Takich potencjalnych powodów może być wiele. Jednak być może to nie one wpłynęły na odejście płk. Damiana Jakubowskiego. Inna wersja wydarzeń mówi, że były już szef BOR ma – wraz z Władysławem Stasiakiem – przejść do Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

48-letni pułkownik Damian Jakubowski na początku lat 90. likwidował Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe. Szefem BOR został w listopadzie. Poprzednie kierownictwo oskarżył o przekształcenie biura w »formację koleśiów«. Zawiadomił NIK o nadużyciach, ale kontrole nie potwierdziły jego zarzutów. Jakubowski zwolnił ze służby stu oficerów. Większość podała BOR do sądu pracy, kilku już procesy wygrało.

To właśnie Jakubowski zasłynął przydzieleniem ochrony Jarosławowi Kaczyńskiemu, kiedy ten był jeszcze posłem, a nie premierem. Ostatnio przydzielił ochronę BOR wiceministrowi obrony Antoniemu Macierewiczowi, choć powinna go chronić Żandarmeria Wojskowa”.

RMF się myli. Powody dymisji tego doświadczonego i zasłużonego oficera są zupełnie inne.

Mama jest dumna z synów, którzy pełnią najwyższe urzędy w państwie, ale boi się o nich. Sesja zdjęciowa w premierowskiej willi na Parkowej, 2007 rok.



Opowiada jeden z funkcjonariuszy: – Zaczęło się od telefonu prezydenta do mamy, która akurat źle się poczuła. Lech Kaczyński przywołał szefa swojej ochrony Krzysztofa Olszowca i wysłał go na Żoliborz. Krzysiek wsiadł w samochód, bomby na dach i ognia. Okazało się, że z mamą rzeczywiście jest nie najlepiej i trzeba ją zawieźć do szpitala na Szaserów. Interwencja nie spodobała się szefowi Biura, który zapowiedział wszczęcie postępowania dyscyplinarnego w sprawie – jak to nazwano – ochraniającego osobę nieuprawnioną. Olszowiec poskarżył się prezydentowi, ten zadzwonił do brata i Jakubowskiemu ścięto głowę.

Obowiązek siódmy. Mama jest kobietą i Jarosław o tym pamięta. Umie dobrać odpowiedni prezent, okazać czułość i stanąć w jej obronie.

Wszyscy moi rozmówcy podkreślają to niepytani: pani Jadwiga od pierwszej rozmowy budziła sympatię i była niedzisiejsza w dobrym tego słowa znaczeniu. Miała w sobie coś takiego, że chciało się przebywać w jej towarzystwie i rozmawiać z nią. Co to było?

Mówi Lejb Fogelman: – Przedwojenna klasa. Pani Jadwiga była jak z tych obrazków, na których damy spotykają się w kawiarni, zakładają nogę na nogę i przy małej czarnej z odgiętym paluszkim dyskutują o teatrze. Urodą przypominała mi matkę i może dlatego tak lubiłem z nią rozmawiać. Raz w miesiącu albo częściej odwiedzałem ją albo do niej dzwoniłem.

Oglądam sesję fotograficzną dla magazynu „Viva” z 2007 roku. Pani Jadwiga pozuje w premierowskiej willi na Parkowej. Jest szczupła, starannie uczesana, w eleganckim toczku z woalką. Bardzo, bardzo efektowna. Trudno uwierzyć, że ma 81 lat.

To ostatnie zdanie nie spodobałoby się jej synowi, Jarosław na pewno dałby za nie reprimendę. Oczywiście zgodziłby się, że mama jest piękną kobietą, ale bez zastrzeżenia „jak na swój wiek”. Jest piękna po prostu, niezależnie od tego, ile ma lat.

Dwa lata po sesji mamy Jarosław daje się namówić na niezwykle telewizyjny wywiad. Idzie do programu „Ona i on” w TVN24 prowadzonego

przez Małgorzatę Domagalik. Rozmowa jest niezwykła, bo dotyczy spraw prywatnych i uczuć. Czyli tego, co on zawsze starał się ukryć.

– Ma pan piękną mamę – mówi dziennikarka.

– Rzeczywiście, niebywale długo młodo wyglądała.

– Mnie się skojarzyła z taką aktorką, Włoszką, taką z włoskiego neo-realizmu.

– Rzeczywiście tak wyglądała. Nawet ciągle tak wygląda, jeśli tylko jest w dobrej formie. Ale mama nie jest z włoskiego neorealizmu, tylko z całkiem polskiej ziemi.

Dalej dziennikarka pyta o dzieciństwo, zastanawia się, czy pani Jadwiga była dla Jarosława kumplem. Pewnie tak, mówi, przecież tak młodo została mamą. Miała zaledwie 21 lat (w rzeczywistości miała prawie 23 lata – M.K.).

Kaczyński nagle przestaje się uśmiechać, wygląda jak trafiony piorunem. – Nie będę mówił, ile mama ma lat – ucina nieprzyjemnie.

Jarosław całe dorosłe życie jest abnegatem i bałaganiarzem. Zdarza mu się nie dopiąć koszuli, chodzić pół dnia w rozwiązanych butach albo wyjść ze spotkania w cudzym płaszczu. We własnych sprawach nie ma głowy do szczegółów. Co innego – gdy chodzi o mamę. Wtedy dba o wszystko.

R., człowiek od gazety, opowiada mi o pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2005 roku: ludzie z Nowogrodzkiej wiedzą, że na wieczorne wyborczym będzie mama i szykują kwiaty nie tylko dla braci, ale też dla niej. Na wszelki wypadek kupują od razu kilka bukietów. Po ogłoszeniu wyników – Lech nieznacznie przegrał z Donaldem Tuskiem – na sali powstaje harmider, ale mama odbiera wszystkie wiązanki. Wieczorem, gdy zbiera się już do wyjścia, R. chce być przewidujący. Gdy mama wysiądzie z samochodu pod domem – myśli – może już nie mieć pomocy, więc nie spakuje jej wszystkich kwiatów, bo by się nie zabrała. Największy bukiet jest bardzo ładny, ale nieporęczny. Czyli też odpada. R. wybiera kwiaty, które jego zdaniem są ładne i łatwe do wzięcia. Na drodze do limuzyny niespodziewanie staje

mu jednak prezes: – Mama dostała jeszcze jeden, większy bukiet. Proszę go przynieść.

R. będzie później zachodzić w głowę: jak to możliwe, że prezes mnie wypatrzył? I że zapamiętał, jakie bukiety dostawała mama? Przecież był taki harmider, setki osób, rozmowy, narady.

Jarosław też często przynosi kwiaty. Wracając wieczorem do domu, prosi kierowcę, żeby zatrzymał się przy kwaciarni. Kupuje czerwone róże, mama lubi je najbardziej.

Oprócz kwiatów mama kocha też książki, a najbardziej – powieść o Ani Shirley. Może dlatego, że pierwsze części – „Anię z Zielonego Wzgórza”, „Anię z Avonlea”, „Anię z Szumiących Topoli” – dostała jako mała dziewczynka od stryja Wincentego Jasiewicza. Jarosław zna tę historię (gdy był mały, mama próbowała mu czytać „Anię”, bez skutku, w końcu to nie lektura dla chłopców) i po latach kupuje jej na imieniny serię wszystkich książek Lucy Maud Montgomery w najnowszym wydaniu.

– Tylko „Emilki ze srebrnego nowiu” nie mogłem dostać, chyba nie wyszła – śmieje się.

Latem 1987 roku, zaraz po przejściu na emeryturę, mama leci na dwa miesiące do Kanady, gdzie mieszka jej kuzyn Lucjan Jasiewicz. Na miejscu czeka na nią niespodzianka, rodzina zabiera ją na Wyspę ks. Edwarda. Jest tam muzeum pisarki i skansen, w którym wszystko wygląda jak w powieści. Na łóżku leży brązowa sukienka Ani, a w gablocie – list od byłego brytyjskiego premiera, który pisze, że czyta „Anię” zawsze, jak jest mu źle. Mama jest zachwycona. Po powrocie będzie podejrzewać, że to Jarek podpowiedział stryjowi tę wyprawę.

Mama i syn zawsze starają się spędzać urodziny i imieniny razem. Na swoją sześćdziesiątkę Jarosław myśli z bratem o dużym przyjęciu, ale jak zawsze brakuje mu czasu. W środę ma posiedzenie klubu, na którym będzie rozliczać przegrana kampanię do europarlamentu, w piątek – musi się stawić w Zielonej Górze, gdzie jako świadek zeznaje w śledztwie



dotyczącym inwigilacji dziennikarzy. A urodziny wypadają w czwartek. Z imprezy rezygnuje, ale postanawia, że przynajmniej spędzi ten dzień z mamą, która odpoczywa w prezydenckim ośrodku na Helu. Ma złamaną rękę i kuruje się po chorobie, ale Jarosław wyjeżdża od niej uspokojony. Uznaje, że urodziny były udane. W prasowym wywiadzie opowie: „Zastałem mamę w nie najlepszej formie. Wspominam ten czas jako złoty – mama żyła, Leszek żył”.



**/ Mickiewicza**

Złoty czas to przede wszystkim niedziele: Jarosław idzie pod rękę z mamą na mszę, a potem do Pałacu, do brata na obiad. Ale też szerzej – okres spędzony na Mickiewicza. Dom znajduje się kilkanaście minut spacerem od kamienicy na Lisa-Kuli. To połówka bliźniaka, Kaczyńscy wprowadzają się tu w 1997 roku.

Miejsce budzi dobre skojarzenia. Jarosław wraca wtedy do Sejmu, trzy lata później brat zostaje ministrem sprawiedliwości i zaczyna się marsz po władzę. Poza wszystkim Jarosław bardzo lubi ten dom: mama ma tu swój pokój, jest ogródek, w którym latem wyleguje się kot. Nawet sąsiedzi są nastawieni przyjaźnie, co – jak nieraz podkreśla prezes – w jego przypadku nie zdarza się często.

Dawny kierowca prezesa Tadeusz Kopczyński, który w latach 90. często gościł na Żoliborzu i był przyjacielem rodziny, opowiada, że akurat trafił się dobry kupiec na mieszkanie przy Lisa-Kuli i pojawiła się szansa na przeprowadzkę do czegoś większego. Dom przy Mickiewicza był w okazyjnej cenie (ze względu na zły stan), ale Jarosław i tak musiał jeszcze zaciągnąć pożyczkę w banku, którą podżyrował mu partyjny kolega Krzysztof Tchórzewski. Tak to pamięta pan Tadeusz. Zweryfikować jego opowieść trudno, bo w 1997 roku posłowie jeszcze nie składają oświadczeń majątkowych.

Prezesowi nie podoba się, gdy dziennikarze mówią o domu przy Mickiewicza „willa”. Uważa to za nadużycie. W środku rzeczywiście nie ma luksusów,

Jadwiga Kaczyńska jest najważniejszą osobą w rodzinie.  
Jej prymat uznają wszyscy, włącznie z panią Marią.  
Zdjęcie zrobione podczas kampanii wyborczej w 2005 roku.



ale okolica jest willowa i w tej sprawie sporu nie ma. Dom znajduje się blisko skrzyżowania Mickiewicza z ulicą Potocką, która oddziela Stary Żoliborz od Marymontu.

Patrząc od góry, czyli od Słowackiego, po prawej stronie Potockiej znajduje się eleganckie osiedle (tu jest dom Jarosława), a po prawej – robotnicza sypialnia, w której po wojnie kwaterowano robotników z Huty pochodzących z Truskawia, Izabelina i innych pobliskich miejscowości.

Zwiedzając tę okolicę, natykam się na pana Mariusza. Na skrzyżowaniu Potockiej i Mickiewicza, gdzie mieści się najbliższy sklep spożywczy, to postać dobrze znana. Pan Mariusz – rocznik 1959 – kiedyś był policjantem, a dziś urzęduje na kamiennych schodkach do monopolowego. Przychodzi wczesnym rankiem, zazwyczaj koło siódmej i siedzi do południa. Widać go już z daleka: bujna, pożółkła broda, podniszczona czarna skóra i zawieszona na szyi smycz z pękiem kluczy i dokumentami. Jest tu codziennie, nawet rentę odbiera pod sklepem. Listonosz wie, że, jak przychodzi poczta, to należy go szukać nie w mieszkaniu (pan Mariusz mieszka na Marymoncie), tylko tu, na skrzyżowaniu.

Schodki do monopolowego znajdują się po stronie robotniczej, ale pan Mariusz ma na oku całe sąsiedztwo, bo siedzi twarzą w kierunku Starego Żoliborza. Jarosława, który mieszka w tej właśnie części, kojarzy bardzo dobrze.

Pan Mariusz odstawia siatkę z trzema puszkami kuflowego i odpala czerwonego route 66. Możemy rozmawiać.

– Rodzinę Kaczyńskich znają tu wszyscy, ale najlepiej to kolega Janek Zakrzewski. O, tutaj – pan Mariusz wskazuje na kamienicę ciągnącą się wzdłuż Potockiej – z tego bloku.

– Zaprowadzi mnie pan do niego?

– On już nie żyje, ale ja wiem, jak było. Jak jeszcze była pani Jadwiga, to podchodził pod furtkę ich domu, ale tę od Solskiego. Wie pan gdzie to? Nie od frontu, czyli od Mickiewicza, tylko od tyłu. Tam, gdzie podjeżdżają po prezesa kierowcy.

Łyk kufłowego.

– No... I normalnie dzwonił dzwonkiem. Pani Jadwiga wychodziła i dawała mu pieniądze. Tak po prostu. Inny znajomy, mój sąsiad Tolek, też tam przychodził. Wpuszczali go do środka, żeby zgrał liście. Dostawał za to od Kaczyńskich wynagrodzenie, a pani Jadwiga na koniec wkładała mu jeszcze do kieszonki 10 złotych ekstra. Taka to była kobieta.

– Pan też do nich chodził?

– Zdarzało się. Raz pchałem wózek ze złomem i pani Jadwiga dała mi ciężkie nogi od maszyny Singera, które potem zaniósłem do skupu.

Drugi route 66.

Do naszej rozmowy przyłącza się tęgi mężczyzna. To kolega pana Mariusza i – jak się za chwilę okaże – także amator piwa Kufłowego. Prosi, żeby przedstawić go jako przyjaciela rodziny Kaczyńskich, co brzmi trochę podejrzanie.

– Pan ich znał w ogóle? – powątpiewam.

– Oczywiście.

Z siatki pana Mariusza znika druga puszka. Paznokiec pod zawleczkę, pszytk.

– Znałem całą rodzinę, ale najlepiej pana Lecha i panią Marię. Przyjeżdżali do pani Jadwigi i pana Jarosława w każdy czwartek. Żartowaliśmy, że to takie obiady czwartkowe.

– A skąd niby pan ich znał? – dalej niedowierzam.

– Pracowałem kiedyś na osiedlu rządowym przy Grzesiuka, gdzie przez pewien czas mieszkał pan Lech, tam go poznałem. No, co pan tak patrzy?

Kufłowe, siup.

– Poważnie mówię. Kiedyś nawet byłem na tym czwartkowym obiadku u pani Jadwigi. Zaprosiła mnie pani Maria.

– Panią Jadwigę też pan znał?

– Proszę pana, co to była za kobieta! Piękna, wytworna. Zresztą, cała rodzina była wspaniała. Naród kochał pana Lecha. Gdyby nie Smoleńsk,

dalej byłby prezydentem. Na szczęście został nam jeszcze pan Jarosław, cały Żoliborz go popiera.

– Pana Rajmunda też panowie znali?

– Ja tak. Wpuścił mnie kiedyś na podwórko, żebym pozbiierał owoce, które pospadały z drzew – mówi pan Mariusz.

– A ja nie. On zawsze trzymał się trochę z boku, nawet do kościoła z nimi nie chodził.

Dopiero teraz mnie tknęło. Mówiąc „złoty czas”, Jarosław wspomina okres, gdy rodzina była już zdekompletowana. Żyła mama, żył Leszek. A tata? Jego już wtedy nie było.



**/ Owocowy talerz**



Domagalik pyta dalej.

– Mama była autorytetem?

– Jest autorytetem i jest pierwszym krytykiem. Czasem usłyszę twarde słowa.

– A dziś, jak wróci pan do domu, to co powie?

– Tego nie wiem. Jak tylko wsiądę do samochodu, to się zapytam, jak mnie oceniła. Może być różnie. Mama często ocenia bardzo surowo. Jest najsurowsza, bez żadnych nieśmiałości.

Jarosław wspomni jeszcze o tych rozmowach podczas pogrzebu mamy: „Jej patriotyzm miał niezachwiany charakter. Był tak mocny, że i mnie potrafiła czasem skrytykować, kiedy powiedziałem coś o naszych rodakach”.

I w prasie: „W soboty i niedziele, jeśli były wolne, był czas na rozmowy, na wiele rzeczy (...). Mama domagała się ode mnie sprawozdań politycznych i często się na mnie o różne rzeczy gniewała. Szczególnie o ostre oceny dotyczące różnych historycznych determinacji tego, co się dzieje”.

Gdy Jarosław rano wychodzi do pracy, mama prasuje mu koszulę i ścieli po nim łóżko. Kiedy wraca – czeka na niego talerz z pokrojonymi kawałkami kiwi i grejpfruta (w jednym z wywiadów mama opowie, że gdy syn pracuje w Kancelarii Premiera, ona jeździ z Parkowej na Żoliborz do budki, w której są najlepsze owoce). To właśnie wieczorami Jarosław najczęściej sprawozdaje mamie stan spraw i wysłuchuje jej recenzji.

Mama może się gniewać na Jarosława i krytykować go, gdy jest z nim na osobności, ale przy innych broni go jak lwica. Szczególnie, gdy jest atakowany przez media. Przy okazji – jak każda matka – idealizuje go. W 2006 roku odwiedza ją dziennikarz. Pani Jadwiga mówi mu:

– Mąż często się obrażał i był pamiętliwy. Jak to dobrze, że Jarek taki nie jest.

Wpływ mamy na politykę jest znaczny. Syn najbardziej liczy się z jej zdaniem w sprawach kadrowych. Ten, do kogo mama nie ma zaufania, popada w tarapaty. Kogo mama lubi – awansuje. To dzięki rekomendacji pani Jadwigi Julia Pitera zaczyna działać w Porozumieniu Centrum na początku lat 90. Panie znają się ze wspólnej pracy w Instytucie. Posłem i wieloletnim sekretarzem komitetu politycznego PiS, do którego zadań należy m.in. protokołowanie posiedzeń władz partii, jest Marek Opióła, prywatnie wnuk Barbary Winklowej. Z panią Jadwigą przyjaźni się też łódzka prawniczka Janina Goss – działaczka PiS, wcześniej PC. Odwiedza ją w domu, przywozi jej kasztany na reumatyzm, serwety, własnoręcznie przyrządzane mieszanki ziół. Goss to postać szerzej nieznana, ale Jarosław ma do niej nieograniczone zaufanie. Konsultuje się z nią w sprawach partyjnych i daje jej wolną rękę w zarządzaniu łódzkimi strukturami. Podobnie jest z Małgorzatą Raczyńską, była szefową „Jedynki” w TVP. Mama ją zna prywatnie i lubi.

Sympatią mamy długo cieszy się też kierowca Michał Sobieszczański. Często bywa na Żoliborzu i chętnie pomaga przy różnych drobnych robotach. Pan Rajmund, tata braci, jest inżynierem, ale to teoretyk o wąskiej specjalności, w domu nie we wszystkich sprawach jest z niego pożytek. A Sobieszczański to szofer i złota rączka zarazem – z wykształcenia jest elektrykiem, ale ma dryg do wszelkiego majsterkowania. Ustawia u Kaczyńskich antenę, przykręca gniazdko, naprawia kran. Mama docenia tę pomoc i ma o Sobieszczańskim dobre zdanie. Jarosław w końcu awansuje go z kierowcy na członka zarządu kontrolowanej przez siebie spółki Srebrna.

Dostęp do jej spraw mają na Nowogrodzkiej tylko najbardziej zaufani ludzie prezesa. O względy mamy zabiegają nie tylko osoby z zaplecza, ale też politycy o wielkich ambicjach tacy jak Zbigniew Ziobro. „To zdolny człowiek. Kiedyś dzwonił do mnie radzić się, a właściwie rozmawiać o drobnych sprawach. Dziś już nie dzwoni. Jest za granicą. Myślę, że jest teraz bardzo pewny siebie” – mówi mama w wywiadzie udzielonym kilka miesięcy przed katastrofą smoleńską. Półtora roku po tej wypowiedzi Ziobro zostaje usunięty z partii. Czy dlatego, że nie dzwoni do mamy? Oczywiście nie, ale dla Jarosława na pewno jest to też jakaś wskazówka.

Piotr Perszewski, były działacz Porozumienia Centrum, jest właścicielem domu przy ul. Zawojskiej na Sadybie. Szeregowiec znajduje się na tyłach miejskiego żłobka i z punktu widzenia PC jest historyczny. Gdy na początku lat 90. ugrupowanie wypada z parlamentu i traci lokal w Śródmieściu, gospodarz udostępnia mieszkanie na partyjną siedzibę. Perszewski poznał mamę szefa właśnie w biurze. Pani Jadwiga bardzo angażowała się w życie Jarosława: przychodziła do siedziby PC, siadała w biurze i czekała, aż syn skończy narady.

– Kiedy ją spotykałem, siadałem obok i rozmawialiśmy sobie o życiu – mówi. – Jarek jest silnym człowiekiem, ale w kontaktach z bliskimi, a w szczególności z mamą staje się łagodny, delikatny i taki synowski. Z kolei mama była silną osobowością o rozwiniętym instynkcie opiekuńczym. Przychodziła do biura, bo chciała być blisko syna, dopilnować, żeby zjadł, wypił herbatę.

Inny z pracowników Zawojskiej dodaje: – Miałem wrażenie, że mama wbrew swoim intencjom osacza prezesa.

Mama była nie tylko zaangażowana w sprawy synów, ale też dumna z nich.

– Robiłam kiedyś wywiad z panią Jadwigą – wspomina Renata Kim, wówczas dziennikarka polskiej sekcji BBC. – Już po kilkunastu minutach rozmowy czuło się, że to silna, dominująca osobowość. Jarosław był tego

dnia w domu, oczywiście przyszedł się przywitać, obowiązkowo ucałował mnie w rękę, ale miałam wrażenie, że tylko w oddali, cichutko przemyka w kapciach. Tym, co mnie uderzyło najbardziej podczas tego wywiadu, była duma pani Jadwigi z synów. Do dziś pamiętam siłę, z jaką mówiła, że bracia we wszystkim, co robią, kierują się dobrem Polski. To nie była pusta formułka. W tych słowach było autentyczne przekonanie.

Jeden z byłych polityków PiS, nazwijmy go K., opowiada mi z kolei taką historię: jest rok 2005, Z. występuje w TVN24. Nazajutrz dzwonią do niego z Nowogrodzkiej, ma natychmiast przyjechać do szefa.

Prezes wita go srogo.

- Dlaczego wystąpił pan w telewizji pijany?
- Ale przysięgam, że to nieprawda. Ja w adwencie w ogóle nie piję.
- Mam informację, że jednak pan pił.
- Nieprawda, udowodnię to panu.

K. jedzie do siedziby TVN i prosi znajomego dziennikarza o płytę z programem. Gdy puści nagranie na Nowogrodzkiej, prezes przyzna: – Wszystko w porządku. Mamie musiało się przywidzieć.

Jarosław mówi w „Alfabcie”: „W domu nigdy zbyt intensywnie nie oglądało się telewizji i nie słuchało radia, a już na pewno nie robiło się tego rano. Tak zresztą jest do dzisiaj. Telewizor zapala się wieczorem, czasem w niedzielę popołudniu”.

Ten zwyczaj dotyczy i Jarosława, i Lecha. Gdy synowie działają w polityce, telewizję częściej ogląda mama. Obaj polegają na jej opinii, a mama ma swoich ulubieńców. Jednym z nich jest dawny działacz PC i były szef Kancelarii Prezydenta Andrzej Urbański.

- Dobrze wczoraj wypadłeś – mówi mu czasem Lech.
- Widziałeś?
- Nie, mama mówiła.

Pani Jadwiga przez całe życie jest najważniejszą osobą w rodzinie. Jej prymat uznają wszyscy, nie tylko bracia. Człowiek, który w czasach

prezydentury Lecha pracował w Pałacu, opowiada, że z jej zdaniem się nie dyskutuje. Gdy mama coś postanawia, inni przyjmują to do wiadomości. Włącznie z panią Marią, synową. Umawiając się na coś z mężem, prezydentowa zawsze wstrzymuje się z decyzjami do czasu, aż opinię wyda mama.

– Jeszcze poczekajmy – prosi współpracowników. – Zaraz będzie Żoliborz, mamusia. A wtedy nas już nie ma, nie liczymy się.

Czy jest w tym żal? Nie, pani Maria mówi to bez emocji. Nawet w „mamusiu” nie ma złości. To świadomość, że w świecie synów istnieje nienaruszalna hierarchia. Mama zawsze jest w niej na pierwszym miejscu.

Gdy przychodzą pierwsze święta po katastrofie, mama przyznaje znajomej: – Nie chcę ich obchodzić, najchętniej bym się schowała do mysiej dziury.

Mimo że cierpi po stracie syna, to fizycznie czuje się lepiej, od kilku miesięcy jest już na Żoliborzu.

Dom sukcesywnie zamienia się w mały szpital. Najpierw Jarosław kupuje specjalne łóżko z regulowaną wysokością i sterowanym oparciem. Musi zamontować windę, sprowadzić specjalną aparaturę, filtry powietrza, zainstalować urządzenie regulujące temperaturę. Lekarze zalecili, żeby powietrze w mieszkaniu miało cały czas 27 stopni. No, i jeszcze pielęgniarki – gdy Jarosław jest w pracy, ktoś musi czuwać przy mamie.

Koszty są bardzo wysokie, a prezes nie ma pieniędzy. Pierwszej pożyczki – 200 tys. zł – udziela mu Janina Goss. Drugie zobowiązanie – 160 tysięcy – pochodzi od innego człowieka z partii i zostaje zapisane na mamę. A trzecie – 150 tysięcy – to dług w SKOK, który idzie na spłatę wcześniejszych pożyczek. W zorganizowaniu opieki też pomaga partia. Przy mamie zmieniają się trzy osoby: Hanna Rudzińska, Bożena Meszka-Stefanowska i Wioletta Żydowicz.

Pani Hania to żona kierowcy, pana Jacka. Pani Bożena jest zawodową pielęgniarką, mieszka w Skierniewicach, ale pracuje w warszawskim szpitalu na Szaserów, gdzie leżała mama. Do tego jest miejską radną PiS

i dostaje etat asystencki u europośla Tomasza Poręby, zaufanego współpracownika prezesa. Przez pewien czas ma też podpisaną umowę z mamą. Pani Wioletta długo przychodzi społecznie, ale później na osobistą prośbę Jarosława trafia do pracy w recepcji na Nowogrodzkiej, na drugim piętrze. Pensję ma mieć niedużą – ok. 2 tys. zł – ale prezesowi bardzo na tym zależy. Po kilku dniach wejdzie na jej piętro – nigdy tego nie robi, jego gabinet mieści się poziom niżej – i sprawdzi, czy wszystko w porządku. Pani Wioletta zakotwiczy w partii na dłużej. Po śmierci mamy zostanie asystentką eurodeputowanego Kosmy Złotowskiego, byłego działacza PC, człowieka z wąskiego kręgu. W pomoc angażują się jeszcze siostry franciszkanki. Mama je polubi – jedna z nich ma doktorat z filozofii – będzie z nimi rozmawiać o historii, literaturze. Siostry nie chcą pieniędzy, więc Jarosław co miesiąc przekazuje datki na ich dom opieki. Każdej nocy, zanim położy się spać, zostawia im też w kuchni kanapki.

Co do lekarzy: tym z Szaserów prezes jest wdzięczny, ale życie go nauczyło, by ufać i sprawdzać. Dlatego regularnie konsultuje się ze specjalistami z innych szpitali.

Pani Jadwidze nie pozwala się martwić.

– Mama – mówi jej któregoś wieczoru – nie żyłbym, gdybyś nie miała dobrej opieki. O długi się nie martw, wszystko spłacone.

Pani Jadwiga uwierzy synowi i nawet powtórzy potem te słowa znajomej. Syn jednak nie mówi jej całej prawdy. Żeby mieć na zaadaptowanie domu, aparaturę i pielęgniarki, w 2011 roku pisze książkę „Polska naszych marzeń”. To niby część kampanii wyborczej, ale tak naprawdę chodzi o ekstra zarobek. Prezes dostaje 160 tysięcy, ale to wciąż mało. Po roku ogłasza współpracownikom w partii:

– Muszę się wycofać na kwartał, potrzebuję pieniędzy. Napiszę własną historię III RP.

Goss już nawet szuka wydawcy, ale Jarosław jest niezadowolony z materiału i każe wstrzymać publikację. Nie ma pieniędzy, ale cieszy się, bo

mama w domu odżyła. Są dni, gdy ubiera odświętną sukienkę i zaprasza znajome panie. Pani Bożenka podaje ryżowe wafle z herbatą i przez chwilę jest jak dawniej.

Mama umiera 17 stycznia 2013 roku.

Przed śmiercią nie ma już z nią kontaktu, ale Jarosław nie chce wyjść ze szpitala. Blady i wychudły siedzi przy jej łóżku trzy dni. Gdy lekarz go zobaczy, każe mu iść na rentgen – okaże się, że ma obustronne zapalenie płuc. Pogrzeb i stypę u Stanisława Kostki załatwią za niego współpracownicy, ale nekrolog napisze sam:

„Dla mojego śp. Brata Lecha i dla mnie Najwspanialsza, Najukochańsza, Najlepsza i Niezastąpiona Mama, najlepszy nauczyciel, najlepszy przyjaciel i niezachwiane wsparcie. Pozostała nim także w ostatnich, najtrudniejszych latach życia, po smoleńskiej tragedii, w bardzo ciężkiej chorobie. Dzielnie znosiła cierpienie, spokojnie i z godnością przyjęła śmierć. Pozostała po Niej niemożliwa do wypełnienia pustka. Syn Jarosław”.

Msza odbywa się w bazylice św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu, *vis à vis* Instytutu Badań Literackich. Dziennikarze nie mają do środka wstępu, ale zaprzyjaźniona z partią firma wszystko nagrywa i udostępnia telewizjom sygnał. Ci, którzy nie mieszczą się w kościele, mogą oglądać nabożeństwo na zewnątrz, na specjalnie rozstawionym telebimie. Transmisję na żywo prowadzi też Telewizja Trwam – tylko jej wolno wejść do bazyliki. Mszy przewodniczy biskup Antoni Dydycz, przemawia też kardynał Kazimierz Nycz. Jarosław cały czas mocno kaszle, ale chce zabrać głos. Mówi drżącym głosem, z trudem powstrzymuje płacz.

„Eminencjo, najdosłojniejszy księżę kardynale. Ekscelecje, księża arcybiskupi i biskupi. Wielebni księża, wielebni ojcowie, gospodarze tego kościoła. Szanowni państwo, wszyscy, którzy zgromadzili się tutaj, żeby pożegnać moją mamę, ze sztandarami, z warta honorową. Chciałem powiedzieć kilka słów na temat mamy. Pogrzeb jest wielki i piękny, z udziałem najwyższych przedstawicieli Kościoła, choć przecież mama

była osobą świecką. Ale przede wszystkim mama była osobą skromną, bardzo skromną. Cichą, spokojną...

Miała ogromny dar kontaktu z ludźmi, była niezwykle sympatyczna, niezwykle łatwo te kontakty nawiązywała. Wszędzie, gdzie była, miała mnóstwo znajomych, mnóstwo pań, z którymi utrzymywała kontakty. Miała też szeroki krąg przyjaciół. Była naprawdę czynnie dobra. Bardzo wielu ludziom, wśród nich są i tacy obecni w tym kościele, pomogła. Pomagała przed laty sama, później prosiła o pomoc innych. A przyszedł taki czas, że prosiła często o pomoc swoich synów.

Bardzo wielką część swojego życia – jak o tym mówił jego ekscelencja – poświęciła swoim dzieciom, czyli mojemu świętej pamięci bratu i mnie. Miała nas wcześniej i to były w wielkiej mierze najpiękniejsze, młodsze lata jej życia.

Warto podkreślić także jeszcze jedno. Mama miała swoją zasadniczość, która odnosiła się do spraw wiary, bo miała taką wiarą, której można zazdrościć, wyniesioną jeszcze od ludzi XIX wieku. Ale była też osobą wesołą, bardzo dowcipną, do końca. To, co pozostaje w moich uszach, to śmiech, jaki dobiegał z jej pokoju, kiedy przychodziły panie, które się nią opiekowały. Dobiegał nawet jeszcze z pokoju szpitalnego nawet, gdy niedługo przed śmiercią wydawało się, że jest dobrze i wydawało się, że wyjdzie ze szpitala.

Mimo bardzo twardych zasad potrafiła być miłą, bliska ludziom, niesłychanie wręcz ujmująca. Dlatego mogła być ambasadorem wartości ukształtowanych w czasach jej dziadków i przenosić je w nowe czasy. Kochała literaturę. Przy końcu życia, gdy zachowywała jeszcze świadomość, szczególnie ważny był dzień jej 86. urodzin, 31 grudnia zeszłego roku. Wyraźnie już uświadomiła sobie, że odchodzi, kazała mi zabrać swoje książki i odwiedzić do domu. I może ten gest, to przeświadczenie, że książki są tak ważne, był dobrym podsumowaniem niezwykle ważnego aspektu jej życia.



W modlitwie do św. Józefa, którą ułożył Leon XIII, przy końcu są takie słowa: »Pobożnie żyć, święcie umierać i wiecznego szczęścia w niebie dostąpić«. Ja wiem, że mama żyła pobożnie i umierała święcie. Proszę Boga o to, żeby dostąpiła tego szczęścia.

Chciałem podziękować na koniec tym wszystkim, którzy na koniec życia mamy pomagali jej, dzięki którym mogła żyć. Chciałem podziękować pani Hannie Rudzińskiej, która mamę wspierała, towarzyszyła jej. Chciałem podziękować pani Bożenie Meszce, która w ciągu ostatnich 20 miesięcy mimo tylu zajęć tak bardzo się mamą opiekowała. Dziękuję też wszystkim, którzy za mnie, bo dotknęła mnie niemoc, załatwili wszystko, co potrzeba. Kolegom z Prawa i Sprawiedliwość, nie będę wymieniał ich nazwisk, bo było ich wielu. Widzę tu twarze prawie całego mojego klubu parlamentarnego. Dziękuję, żeście tu przyszli”.

Dwa miesiące po pogrzebie Jarosław udzieli obszernego wywiadu, w którym opowie o śmierci mamy:

### **Wraca Pan do domu i, jak zawsze, wchodzi na górę, żeby zameldować się mamie, której już nie ma?**

To trudne pytanie. Proszę się nie nastawiać na głębokie celebryckie zwierzenia, bo celebrytą nie jestem. Śmierć mamy ostatecznie zakończyła pewien okres w moim życiu. Jest to dla mnie tak straszny cios, że nie umiem nawet mówić na ten temat. Wiedziałem, że mama jest ciężko chora. Sądziłem, że będzie jednak żyła dłużej. Ale śmierć przyszła niespodziewanie...

### **Śmierć zawsze przychodzi niespodziewanie.**

Różnie to bywa, niektórzy ludzie chorują bardzo ciężko i wiadomo mniej więcej, kiedy muszą odejść. Ale mama nie była w tej ostatniej fazie choroby, pewnie mogłaby jeszcze jakiś czas żyć.

### **Czy taka strata zmienia człowieka? Czy Pana zmieniła?**

Na pewno, tylko że ja zawsze żyłem w dwóch rytmach – prywatnym, dość ograniczonym, i służbowym. Ten drugi podlega przejściowym zakłóceniom, natomiast pierwszy, wraz z odejściem Leszka i kilku bliskich mi osób, a teraz z odejściem mamy, zmienił się radykalnie. I ta zmiana jest dla mnie bardzo, ale to bardzo trudna.

### **Jak takie przejścia wpływają na ludzi: łagodniejemy, pokorniejemy, myślimy o własnym odchodzeniu?**

Mogę mówić tylko za siebie – jest mi po prostu bardzo smutno. Coś dla mnie bardzo ważnego, drogiego skończyło się i wiem, że już nie wróci (...).

### **Mama mówiła mi, że wołałaby, żeby Pan się nie zajmował polityką.**

Pewnie by wołała, chociaż tak naprawdę tego nie wiem. Ostatnio bardzo się denerwowała i bez żadnej wątpliwości jej śmierć przyspieszyła też katastrofa smoleńska. Mama w rok po niej, gdy urządzono niebывałą kampanię przeciw obchodom rocznicy, dostała ze zdenerwowania wylewu. Jego skutkiem był w 20 miesięcy później atak padaczki. Szpital, jakieś szpitalne zakażenie i w efekcie śmierć. Gdyby nie było Smoleńska, mama by dzisiaj żyła. Tego jestem pewien. Dlatego ta sprawa jest dla mnie jeszcze bardziej bolesna.

### **Odeszła, zostawiając Panu jakieś wskazówki na przyszłość, czy kazała tylko zabrać książki ze szpitala, o czym wspomniał Pan na pogrzebie?**

Mama w dniu swoich 86. urodzin, 31 grudnia, zdała sobie sprawę, że jest z nią bardzo źle. Powiedziała mi, że nie boi się śmierci. To był ostatni dzień, kiedy jeszcze mogłem z nią normalnie porozmawiać. Martwiła się o mnie, co będzie, jak umrze. Przyniosłem jej wtedy urodzinowy prezent – pierścionek. Ucieszyła się, zawsze lubiła ładne przedmioty. Była wzruszona tym prezentem. Powiedziała mi wtedy też po raz pierwszy

coś, co wydawało mi się zawsze oczywiste, ale mama unikała takich ogólnych stwierdzeń; powiedziała, że ona i jej pokolenie nie miało szczęścia: „Popatrz, wojna, później komunizm, byliśmy strasznym rocznikiem”.

Mama, choć nie żyje, to cały czas towarzyszy synowi. Spogląda na niego ze zdjęcia, które wisi w salonie nad kanapą. Fotografia jest duża, czarno-biała i oprawiona niczym obraz. Musi pochodzić jeszcze z lat 70. Mama wygląda na niej ładnie, ale smutno.

Jarosław jeździ do niej raz w tygodniu. Rano przyjeżdża po niego do domu kierowca i wiezie na cmentarz. Prezes wysiada przy kwiatarni na Powązkowskiej, kupuje kwiaty, lampkę i piechotę idzie na grób, w którym leżą mama i – symbolicznie – brat (tata też jest na Powązkach, ale kawalek dalej, razem ze swoimi rodzicami). Czasem prosi ochroniarzy o uprzątnięcie liści i umycie płyty. Gdy grób jest już sprzątnięty, modli się. O czym wtedy myśli? Może zastanawia się, co by mama powiedziała, gdyby była dziś przy nim.

A może wraca do niego myśl z wywiadu: że to ostatnia ofiara Smoleńska.







# TATA

Fokstrot / Imiona / „Wyborcza” /  
Inżynierska skrupulatność /  
Żal / Nowotwór

**/ Fokstrot**

Danuta Jeżewska, sanitariuszka z II batalionu szturmowego „Odwet”, nawet w domu lubi zadawać szyku. Zawsze w starannie ułożonych włosach, sukience i czółenkach na delikatnym obcasie. W uszach błyskają złote kolczyki, na palcach – okazałe pierścionki. Pani Danuta przyjmuje mnie w swoim mieszkaniu na warszawskim Wilanowie, pełnym pamiątek po nieżyjącym mężu. Rajmund Kaczyński gościł tu wielokrotnie, z gospodynią znalazł się jeszcze z Kresów. Oboje wychowali się w Baranowiczach.

– Boże – zamyśla się Jeżewska – jak tam było pięknie...

Pytam o wczesne lata ojca braci.

– Rajmund był wesołym i towarzyskim chłopcem – mówi. – Poznaliśmy się pod szkołą. Ja uczęszczałam do liceum żeńskiego, a on – do męskiego. Urządzaliśmy wspólne wycieczki rowerowe, bywaliśmy na tych samych zabawach. Znały się też nasze mamy.

Baranowicze w międzywojniu były największym miastem w województwie nowogródzkim, młodym i jak na tamte czasy bardzo nowoczesnym. Od końca XIX wieku przecinały się tam dwie linie kolejowe: Brześć Litewski–Moskwa oraz Równe–Wilno. Czyniło to z Baranowicz ważny ośrodek gospodarczy II Rzeczypospolitej, który w 1922 r. odwiedził sam Marszałek Piłsudski. Dziś miasto należy do Białorusi.

O Rajmundzie można chyba powiedzieć, że był kresowiakiem. Urodził się, co prawda, w Grajewie, ale do Baranowicz przeprowadził się w wieku

pięciu lat. Państwa Kaczyńskich ściągnęła tam posada naczelnika ekspedycji węzła kolejowego, którą w 1927 r. objął jego ojciec Aleksander.

Miasto rozwijało się razem z Rajmundem. Gdy on kończy szkoły, w Baranowiczach pojawiają się kolejne instytucje: bank, poczta, kino i stacja nadawcza Polskiego Radia, дума okolicy. Starając się po latach o zatrudnienie na Politechnice Warszawskiej, Rajmund Kaczyński wymieni w swoim życiorysie trzy szkoły ukończone na Kresach: szkołę powszechną, gimnazjum męskie oraz liceum, w którym na kilka miesięcy przed wybuchem wojny zdąży jeszcze złożyć egzamin maturalny.

Rodzina Kaczyńskich z całą pewnością plasowała się w wyższych stanach miasta. „Mieli dwa domy, sad, kilkanaście hektarów lasu” – napisze w sylwetce rodu „Polityka”. Z kolei Kaczyński przyzna w wywiadzie, że „dziadkowie byli bardzo zamożni”. Pieniądże w domu trzymała mama Franciszka, która na co dzień zajmowała się obrotem nieruchomościami. Tata Aleksander był wysokim urzędnikiem kolejowym.

– A zna pan korzenie Aleksandra Kaczyńskiego? – pyta mnie pan Wiktor, ukraiński kuzyn Jarosława. Ten, którego bracia odwiedzili zaraz po maturze. Dziś to rodzinny specjalista od genealogii, ma rozrysowane drzewo całego rodu, wiele pokoleń wstecz.

– Historia jest bardzo ciekawa. Babcia Aleksandra była z domu Jasiewicz i nie jest to przypadkowa zbieżność nazwisk. Kuzynem dziadka Aleksandra był niejaki Adam Jasiewicz, inżynier spokrewniony z panią Jadwigą. Czyli rodziny braci ze strony mamy i taty połączone są więzami krwi.

Poglądy w domu Kaczyńskich były antykomunistyczne. Babcia Franciszka po latach będzie opowiadać dorastającemu Jarosławowi o pewnej rodzinie ziemiańskiej, która z roku na rok staczała się coraz niżej i niżej, aż wreszcie jeden z jej członków przed okupacją został pomocnikiem hycła. Wojna minęła, babcia Frania spotkała na ulicy tego samego mężczyznę, tym razem już lepiej ubranego, który, jak się okazało, został ubekiem.

– Widzisz – usłyszysz Jarek od babci – spadł niżej pomocnika hycła.



Rajmund miał dwoje rodzeństwa, oboje przedwcześnie zmarli. Braciszek Piotr, starszy od niego o kilkanaście miesięcy, odszedł jeszcze jako dziecko. W wieku pięciu lat rozchorował się na dyfteryt i nie udało się go uratować. Siostra Jadwiga zmarła tuż przed wybuchem wojny, już jako studentka pierwszego roku prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Dostała ataku ślepej kiszki, uciekła ze szpitala, by wyjechać z kolegami nad morze, i zmarła. Rajmund bardzo kochał siostrę i ciężko przeżył jej śmierć.

Te tragiczne wydarzenia odcisnęły się na nim silnym piętnem i w znacznej mierze ukształtowały go jako przyszłego rodzica, przewrażliwionego na punkcie zdrowia synów i nieustannie wysyłającego ich do lekarza Kaczyńskich, doktora Kokoszki.

17 września 1939 r. do Baranowicz wchodzą Sowieci. W mieście pojawiają się czerwone flagi, zaczynają się samosądy i grabieże. Komuniści – w większości kryminaliści i chłopci narodowości białoruskiej lub żydowskiej – za główny cel agresji obierają miejscową elitę: państwowych funkcjonariuszy, ziemian, co bogatszych rolników i oficerów, którzy w obawie przed rozstrzelaniem sami zrywają z mundurów wojskowe dystynkcje. Dla Kaczyńskich jest jasne, że po głowę ich rodziny, wysokiego urzędnika kolejowego, też przyjdą. Trzeba czym prędzej uciekać przez zieloną granicę.

Kaczyńscy przedostają się do Warszawy zimą 1939 roku. To, jak do tego doszło, nie jest do końca jasne. Jarosław Kaczyński opowiadał w „Alfabcie”, że jego dziadek Aleksander tuż przed wybuchem wojny objął kierownicze stanowisko w dyrekcji kolejowej w Brześciu i że to stamtąd uciekał: „Przyszli Sowieci. Rosjanin, który objął funkcję dziadka, powiedział mu po kilku miesiącach: *Aleksandrze Pietrowiczu uchaditie* (...). Dla dziadka Kaczyńskiego wojna była kataklizmem. Został zdegradowany, stracił dom, który kupił we wrześniu. Ratowała go babcia Frania”.

Jego wersja różni się jednak od tego, co pamięta Danuta Jeżewska.

– Bolszewicy, którzy weszli do miasta, zachowywali się strasznie. Żydzi z czerwonymi opaskami zabrali naszej rodzinie samochód, zaczęły się strzelaniny, w szkołach już uczyli po rosyjsku, wprowadzano radzieckie uroczystości – wspomina pani Danuta. – Pamiętam, jak spotkałyśmy Kaczyńskich. Nasze mamy były przerażone tym, co się dzieje w mieście. Trzeba uciekać, powtarzały, bo zaraz zaczną wywozić. Opuściliśmy Baranowicze w ostatniej chwili, po mojego ojca, który był weterynarzem, przyszli tydzień po naszym wyjeździe. Kaczyńscy uciekli zaraz po nas.

Przeprawa z Baranowicz do Warszawy jest ciężka i kosztowna. Panuje srogi mróz, na polach zalega śnieg po pas, a pierwsze 150 kilometrów do Bugu trzeba iść piechotą. Chyba że ma się złote carskie ruble – co bogatsze i bardziej przewidujące rodziny odkładały je na czarną godzinę – za które miejscowi chłopci podwożą furmankami po kilka kilometrów. Podobnie płaci się za noclegi. Czy 18-letni Rajmund rozumie, co się dzieje? Czy wie, dlaczego ojciec z szanowanego obywatela nagle staje się wrogiem nowej władzy? Czy ma świadomość niebezpieczeństwa? Na pewno czuje się odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale też za rodziców. Podczas gdy w domu Jeżewskich zapada decyzja, że pierwszy idzie ojciec, a po nim ruszy matka z dziećmi, u Kaczyńskich ciężar bierze na siebie właśnie Rajmund. W pojedynkę sprawdza drogę. Po kilku dniach wraca po rodziców i wprowadza ich z Baranowicz.

Na Bugu zastaje ich odwilż. Rzeka nadal jest jednak skuta grubym lodem i można się jeszcze przeprawić pieszo. Dla wielu baranowiczian przekroczenie jej jest pożegnaniem ze światem Kresów, do którego już nigdy nie wrócą.

– Za Bugiem – mówi pani Danuta – było już łatwiej, w okolice Warszawy można było dojechać pociągiem. Miasto zastaliśmy w fatalnym stanie, domy były popalone. Ja zatrzymałam się na Barskiej, a Rajmund na Hożej, nieopodal skrzyżowania z Chałubińskiego. Szybko się odnaleźliśmy. My, kresowiaci, szukaliśmy siebie nawzajem.

Rajmund Kaczyński podobnie jak jego rodzice – gospodarna i przewidywająca mama oraz piastujący stanowisko urzędnicze tata – twardo stąpał po ziemi. Był zdecydowany i miał dryg do przedmiotów ścisłych. W Baranowiczach ukończył liceum matematyczno-fizyczne, a zaraz po przyjeździe do pogrążonej w wojnie Warszawy podjął naukę w Technische Fachschule, szkole samochodowo-lotniczej, która działała w budynku Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Po jej ukończeniu wstąpił na wydział mechaniczny Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej. Niemcy uruchomili ją z myślą o przyszłych absolwentach, którzy po zwycięstwie Hitlera nad Stalinem mieli być wysyłani do pracy na Syberii. Niemniej językiem wykładowym był tam polski, a Państwo Podziemne akceptowało tę placówkę.

Pomysł, by zaciągnąć się do konspiracji, wyszedł od kolegi z Kresów Jerzego Fiedlera, który zaraz po wojnie wyemigrował do Francji, a potem do Australii. W wojennej Warszawie Rajmund czuł się osamotniony. Nie znał miasta ani ludzi, a Fiedler, który podobnie jak on uciekł z Baranowicz, był jednym z jego nielicznych znajomych.

Do Armii Krajowej wstąpili wspólnie latem 1942 r. i po pół roku przeszli szkolenie wojskowe, po którym otrzymali stopnie plutonowych podchorążych. Fiedler przyjął pseudonim „Grot” a Rajmund – „Irka”, na pamiątkę po jednej z jego dziewczyn.

W wojsku Kaczyński wyostrzył się i stał się apodyktyczny.

– Rajmund mieszkał w Śródmieściu, ale udzielał się w środowisku żoliborskiej „Baszty”. Był po podchorążówce i w jednym z prywatnych mieszkań robił szkolenia, jak obchodzić się z bronią. Chłopcy mieli z nim ciężko – mówi mi Halina Wołłowicz, która zostanie sanitariuszką i łączniczką o pseudonimie „Rena”. Będzie służyć w pułku „Baszta”, razem z Rajmundem.

– Dlaczego? – pytam, rozglądając się po skromnym pokoiku w Domu Lekarza Seniora przy ul. Wołoskiej, który zajmuje pani Halina. Gdyby nie

zdjęcia z podróży do Afryki wiszące na bielonych ścianach, byłoby tu smutno i zupełnie niedomowo.

– Bo tak ich musztrował! Ktoś mu nawet zwrócił uwagę, żeby się trochę uspokoił i był bardziej ostrożny, bo jeszcze sąsiedzi doniosą. Kazał robić przysiady, rzucał łaciną, docinał. Był trochę agresywny. Nie znosił sprzeciwu, przez co koledzy nie bardzo go lubili.

– Żołnierze byli tacy przewrażliwieni?

– Przed wojną nikt tak się nie zachowywał, ale Rajmund chciał dominować. Był typem zdobywcy, wiedział, czego chce. Do tego inteligentny i przystojny.

– To przynajmniej dziewczynom się podobał – zgaduję.

– Był władczy i bardzo męski. Mógł się podobać, a kobiety były jego wielką słabością.

Gdy wybuchły walki powstańcze, Rajmund Kaczyński był już dowódcą drużyny, prowadził ją w szturmie na tor wyścigów konnych na Służewcu. Ale powstanie skończyło się dla niego już po kilku godzinach – kawaleria SS odstrzeliła mu kciuk prawej dłoni. Rajmund wycofał się za mur, gdzie na rannych czekała Rena. Powiedzieć, że trafia do niej pod opiekę, byłoby jednak sporą nieścisłością, bo dziewczyna na widok palca wiszącego na cienkiej skórce mało nie zemdląła. Kaczyński był cały we krwi, ale znosił to dzielnie. Kazał koleżance wziąć scyzoryk i obciąć dyndający kciuk. Może chciał zaimponować dziewczynie, w której się podkochiwał? A może po prostu był odporny na ból?

Dwa tygodnie później Rajmund – cały czas z ręką na temblaku i paskudzącą się raną – dowiedział się, że Rena kwateruje w bloku przy Puławskiej 132. Zastał ją siedzącą na podłodze pod oknem.

Na widok kolegi dziewczyna poderwała się i wyciągnęła go na dwór.

– Nagle poczułam, że muszę stamtąd wyjść. Dlaczego? Sama nie wiem. Po prostu musiałam stamtąd wyjść. Rajmundowi się to nie spodobało. Powiedział, że jestem latawica, on do mnie przychodzi porozmawiać,

a mnie zaraz gdzieś gna. Uszliśmy może 50 metrów i w budynek uderzył pocisk artyleryjski, wszyscy zginęli.

– Uratowała mu pani życie.

– Można tak powiedzieć. Śmieję się, że gdyby nie mój upór, to braci by nie było.

Koniec września, okolice Instytut Higieny na Mokotowie. Wieść o tym, że dowództwo dzielnicy myśli o kapitulacji, rozniosła się wśród cywilów. Do budynku, w którym chowają się niedobitki z „Baszty”, przychodzi grupka zrozpaczonych kobiet. Zawodzą, żeby już skończyć z tą wojną i się poddać. Rajmund ma już tego dość. Bierze kawałek szmaty i gramoli się do wyjścia z piwnicy. Koledzy łapią go za koszulę, krzyczą, że Niemcy z miejsca go zastrzelą, ale jak Kaczyński coś postanowi, to żadna siła go nie powstrzyma.

W jednej ręce trzyma białą chustę, w drugiej, tej na temblaku – pistolet. Za nim gęsiego wynurzają się kolejni. Z naprzeciwiaka, od Puławskiej, suną dwa szeregi żandarmów, którzy na szczęście dla Rajmunda okazują się Polakami. – Nie bójta się, chłopaki, nic wam nie byndzie. Tylko nie strzelajta! – krzyczy jeden z nich z wyraźnym śląskim akcentem.

„Opiekę nad nami przejęli teraz esesmani, faszyci ukraińscy i jacyś »kałmucy«. Patrząc na nas z nienawiścią, szukali w naszych kieszeniach cenniejszych rzeczy. Grozili natychmiastową kulą w łeb w razie znalezienia chociażby jednego naboju – napisze po latach w swoich wspomnieniach kolega Rajmunda z „Baszty” Tadeusz Kubalski, pseudonim „Zbroja”. – Na rogu Szustra i Puławskiej stało kilka czołgów, wokół których kręcili się uzbrojeni żołnierze. Na jednym z czołgów grał patefon. Dolatywały nas skoczne melodie fokstrotów, mieszające się z rykami pijanych esesmanów i »kałmuków«. Przed nami leżały wciśnięte w porytą ziemię rozjechane czołgami dwa kobiece ciała w kombinezonach (...). W pewnym momencie od grupy nieszczęśliwców oderwał się jakiś młody chłopak i skierował pędem w stronę pobliskich ruin. Już po kilku krokach

położyła go seria z niemieckiego peemu. Któryś z Niemców podszedł do niego bliżej, oddał do leżącego jeszcze jedną serię i więcej nikt się nim nie interesował. Widzieliśmy jednak, że chłopak jeszcze przez długą chwilę poruszał nogami”.

– Wyprowadzono nas do Pruszkowa, a potem do Skierniewic, skąd mieliśmy trafić do obozu jenieckiego – ciągnie Fiedler. – Rajmund się jednak uparł, że do żadnych Niemiec nie pojedzie. Wypatrzył chłopą, któremu esesmani kazali zbierać ciała jeńców i wywozić je furmanką. Wymyślił, że położy się na dnie wozu i wyjedzie. Tłumaczyłem mu, że jak Niemcy go tam zobaczą, to już po nim, ale jak zwykle wiedział lepiej. Nie, nie zobaczą, machał ręką.

– Woźnica zgodził się go wywieźć?

– A skąd! Awantura była jak cholera, chłop krzyczał, że jeszcze i jego zabiją, ale postraszyliśmy go, że jak nam nie pomoże, to będzie miał do czynienia z AK. Zaciągnęliśmy furmankę do zaułka, na Rajmunda położyliśmy ciała kolegów i jakoś się udało. Nad trupami zebrały się już much, smród unosił się taki, że Niemcy trzymali się od tego wozu z daleka. Nas wywieźli do obozu, a Rajmund znalazł się na wolności.



Chłopcy mają na oko 23, może 24 lata. Na trotuarze stoi ich sześciu, ale tylko jeden patrzy prosto w obiektyw, reszta błądzi wzrokiem. To chyba najważniejsza osoba na tej wycieczce. Pozuje całym sobą – stoi pewnie, nogi szeroko rozstawione, prawa ręka w kieszeni. Inni są bokiem, miętoszą coś w palcach, ktoś niepewnie trzyma papierosa. Ten najważniejszy jako jedyny jest też ubrany w elegancką marynarkę, białą koszulę, krawat i buty na lekkim obcasie. Pozostali – w workowatych spodniach lub na sportowo. Fotografie podpisano: „Sierpień 1945. W Poznaniu, przed Wieżą Śląską. W drodze do Rządkowa”.

Drugie zdjęcie wygląda na zrobione tego samego dnia. Chłopcy wystają pod kamienicą. Z okna na pierwszym piętrze wygląda do nich blondynka, chyba coś mówi. Chłopak w jasnej marynarce trzyma się pod boki.

Dwie kolejne fotografie, na nich widać kierownika najlepiej. Na pierwszej stoi w odrapanej bramie z dziewczyną. Tym razem to brunetka w letniej wydekoltowanej sukience. Na drugim zdjęciu kobieta płoszy się i chowa za ścianą. Może onieśmiela ją ten chłopak? Widać, że jest pewny siebie, uśmiecha się zawadiacko. Ma żywe oczy i bujne czarne włosy z przedziałkiem na środku.

„Wrzesień 1945. We Wrocławiu, w drodze do Grunowa (Grunau) koło Jeleniej Góry”. Tu chłopcy pozują na miejskim rynku. Ten czarny, najniższy z całej trójki, znów trzyma się pod boki. Tym razem jest w wojskowych bryczesach i butach z cholewami.

– Ależ on lubił te buty – Ryszard Witkowski puka palcem w ekran monitora. Jest już na emeryturze, ale obsługuje komputer lepiej niż jeden 20-latek. Jak na inżyniera lotnictwa przystało lubi też porządek, nawet zdjęcia z młodości ma zeskanowane i skatalogowane na twardym dysku.

Te, na których widać chłopaka o zniewalającym uśmiechu i gęstej czarnej czuprynie, znajdują się w folderze zatytułowanym „Rajmund Kaczyński – lotnik”. Bo mało kto wie, że ojciec braci był niespełnionym pilotem. Zaraz po wojnie zapisał się do kółka lotniczego – poznał w nim Witkowskiego – i wziął udział w dwóch wyprawach. To z nich pochodzą najwcześniejsze zdjęcia pana Rajmunda, jakie udało mi się zdobyć. Celem pierwszego wyjazdu była szkoła szybowcowa w Rzadkowie w Wielkopolsce. Niemcy zostawili w niej sporo maszyn, jeszcze ze swastykami na ogonie, na których Rajmund z kolegami zrobili kurs i latali po okolicy. Druga wyprawa była do Jeżowa na Dolnym Śląsku – tu młodzi piloci mogli uczyć się szybownictwa od niemieckich instruktorów. Kariera lotnicza Rajmunda Kaczyńskiego nie trwała długo. W 1946 r. zakwalifikowano go jako inwalidę, który operuje tylko trzema palcami, i zabroniono mu siadania za sterami.

Rajmund, mówi Witkowski, był lubiany, ale miał trudny charakter. Wszystko wiedział najlepiej, wszystko chciał robić po swojemu i w każdej sprawie miał własne zdanie. Zawsze znalazł coś, z czym mógł się nie zgodzić. Bardzo się wtedy denerwował i kłął: – Cholera, to nie tak!

Słuchając opowieści o Kaczyńskim lotniku, przeżywam déjà vu. Przecież to wypisz-wymaluj jego syn Jarosław. Od polityków PiS wielokrotnie słyszałem o tym, że prezes nie ulega odruchom stadnym i na wszystko ma własny pomysł. Że jest wizjonerem z całościowym planem reform obejmujących każdą sferę życia. Od makroekonomii po żeglugę rzeczną.

Zresztą, co tam opowieści współpracowników. Sam w 2007 r. przeprowadzałem wywiad, podczas którego Jarosław Kaczyński stwierdził, że jak po raz kolejny wygra wybory, to nakaże powołać do życia nową państwową uczelnię. Nawet miał już dla niej gotową nazwę – Uniwersytet im. Oskara Haleckiego, antykomunistycznego historyka. I jeszcze to zdjęcie spod Wieży Śląskiej w Poznaniu. Wrażenie, że Rajmund jest w tej grupie przywódcą, ma się od pierwszego spojrzenia. A przecież od Jarosława bije to samo. Była posłanka PiS i wieloletnia znajoma prezesa Joanna Kluzik-Rostkowska powiedziała kiedyś, że Kaczyński ma w sobie coś takiego, że gdy wchodzi do pokoju, to od razu czuć, że to wszedł kierownik.

– A niech pan spojrzysz na to – Witkowski klika myszką na zdjęcie, na którym kilku chłopców majstruje przy szybowcu. Pełne słońce, wszyscy ubrani w koszule i lekkie swetry. Wszyscy poza jednym, który ma na sobie ciężki zimowy kożuch i akurat odwrócił się do fotografa plecami. Mimo to bez trudno rozpoznaję kto to taki dzięki wysokim skórzany butom.

– Był wrzesień – kontynuuje Witkowski – a Rajmund wybrał się na tę wycieczkę w zakopiańskim płaszczu.

Znów mam wrażenie, że już gdzieś to słyszałem. Prezes PiS też całe życie będzie zmarzluchem. Wyda w partii zakaz nastawiania klimatyzacji i otwierania okien. Będzie wyjaśniać, że to z troski o mamę, ale czy nie ma tu też wpływu taty?





**/ Imiona**

Usiedli w dwie pary przy jednym stoliku. Ona przysła z kolegą z medycyny Leszkiem, on – z przyszłą panią anestezjolog Danusią. Ona była drobną brunetką, bardzo młodą, dopiero na pierwszym roku filologii polskiej. On to już mężczyzna pełną piersią. 25 lat, zdążył zapisać kartę wojenną i właśnie kończył studia na Politechnice. Jego partnerka założyła bordową sukienkę w kropki i wyglądała wspaniale, ale w oko wpadła mu ta młoda polonistka o alabastrowej cerze i delikatnym głosie.

Ona i on przyszedli tego wieczoru osobno, ale wyszli razem. Był luty 1947 roku, przy ul. Oczki w Warszawie odbywał się Bal Medyka.

– Jadwiga była bardzo ładna, mogła się podobać mężczyznom. Już na balu mieli się z Rajmundem ku sobie – opowiada Danuta Jeżewska, emerytowana anestezjolog. Jej sukienkę, tę bordo w kropki, Jadwiga Kaczyńska będzie wspominać jeszcze kilkadziesiąt lat później. – Po balu spotkaliśmy się kilka razy. Rajmund miał łódź nad Wisłą, na którą nas zabierał, byliśmy też wspólnie na jakimś przyjęciu, ale potem kontakt nam się urwał. Zakochali się w sobie.

W księgach parafialnych żoliborskiego kościoła Stanisława Kostki zapisano, że Jadwiga Jasiewicz i Rajmund Kaczyński przyjęli sakrament małżeństwa 15 sierpnia 1948 roku, czyli 17 miesięcy po balu na Oczki, z którego w archiwach niestety nie zachowały się żadne zdjęcia.

Fotografii ze ślubu Kaczyńscy też nigdy nie pokazali publicznie. Udzielając wywiadu do książki „O dwóch takich...”, Jarosław i Lech

pozwolili dziennikarzom zeskanować rodzinny album, ale zdjęć z kościoła Stanisława Kostki w nim nie było.

Ślub w ogóle był cichy i trochę dziwny, bo nie zaproszono nikogo z powstańczych przyjaciół pana młodego. I to pomimo tego, że Rajmund Kaczyński rok wcześniej był jeszcze na ślubie kolegi z „Baszty” Jana Piotrowskiego pseudonim „Tur”. – Popłynęło tam morze wódki, wywiązała się jakaś scysja i wzywano milicję. O tym, że niedługo potem Rajmund też się ożenił, dowiedziałam się po fakcie. Żaden z naszych kolegów z pułku nie był na jego ślubie – wspomina Halina Wołłowicz. Fiedler mówi to samo: – Nie znam nikogo, kto by tam był. Nie wiem nawet, kogo Irka wzięła na świadka.

Powodów, dla których ślub odbył się w tajemnicy przed kolegami z Powstania, mogło być kilka. Rozpoczynając nowy etap w życiu, pan Rajmund mógł postanowić, że poprzedni, wojenny rozdział zamyka i więcej do niego nie wraca. Może dręczyły go wspomnienia: widok kobiet rozjechanych przez niemiecki czołg, smród ciał, którymi przywalono go na furmance? Może chciał to wszystko wymazać. Ale decyzja o tym, by nie zapraszać żołnierzy, równie dobrze mogła wyjść od panny młodej, której nie pasowało towarzystwo narzeczonego, rozpite i skore do awantury. A może zbiegło się jedno i drugie?

Niecałe 10 miesięcy po ślubie, 18 czerwca 1949 roku, przyszli na świat dwaj synowie Kaczyńskich: Jarosław i Lech.

Po latach pani Jadwiga będzie opowiadać o związku z Rajmundem bez większych emocji.

W roku 2010: „Na ten bal przyszedłam z kimś innym – z moim narzeczoną Leszkiem. A wyszedłam z Rajmundem. Następnego dnia Rajmund sam przedstawił się moim rodzicom. Chyba tak od razu go nie zaakceptowali. Uważali, że jeszcze mam czas na takie sprawy. A mnie było przykro powiedzieć o wszystkim Leszkowi. To był porządny chłopiec. Do dziś uważam, że zrobiłam mu świństwo, ale najbardziej cierpiałam, że musiałam oddać

mu bransoletkę z granatami, którą chciał mi podarować. Chyba byłam próżna. Strasznie się martwiłam, że nie mogę przyjąć takiej pięknej rzeczy. Nie mówiłam Leszkowi, że wybrałam Rajmunda, bo to chyba nie ja wybrałam. To Rajmund. On był taki zasadniczy. Ja byłam łagodniejsza (...). Z Rajmundem stworzyłam normalny warszawski dom (...).

Nie wyszłam za mąż z rozsądku, ale chyba też nie z jakiejś wielkiej miłości. Na pewno zakochałam się w moim mężu, naturalnie. Rajmund zakochał się, ale potem rozmyślał. Ja także rozmyślałam. Wstydziliśmy się do tego przed sobą przyznać. Ale potem pobraliśmy się i myślę, że dobrze się stało”.

W 2013 roku: „Jakoś tak przyjął to normalnie (o reakcji męża na wiadomość o narodzinach bliźniaków – M.K.). Może uważał, że to podnosi jego męską dumę”.

W 2007 roku: „Przed nim miałam narzeczonego Leszka Jastrzębskiego – on jeszcze żyje i nie chciałabym, żeby myślał, że go pomijam. To było tak, że zostałam zaproszona jeszcze przez innego kolegę na bal studencki. Tam poznałam Rajmunda. Bardzo szybko, bo po sześciu miesiącach oświadczył mi się. Leszek podobno nie zniósł tego najlepiej. Mój drugi syn dostał imię Lech właśnie z powodu sentymentów. Mąż zgodził się na to, ponieważ uważał, że to taki wspianałomyślny gest. No i o Leszku miał dobre zdanie: To porządny człowiek (...). Zresztą Jarosław też było imieniem wybranym przeze mnie. Zdawałam wtedy egzamin u profesora Doroszewskiego – Jarosława – i bardzo mi się spodobało. Wtedy wszyscy byli zdumieni: jak to Jarosław? Ale mój mąż powiedział: Ona urodziła, więc niech sobie daje imię, jakie chce. Dla Lecha wybrał imię Rajnold, podobne do tego, jakie sam nosił. Ale ja zaprotestowałam: Nie chcę Rajnolda (...). Przeżyliśmy razem 56 lat, głównie w harmonii (...). Przechodziliśmy przez różne, także trudne chwile”.

W podobnym tonie o tacie będą opowiadać jego synowie.

Lech Kaczyński w 2006 roku: „Zawsze byłem trochę bliżej z mamą.

Jadwiga i Rajmund Kaczyńscy biorą cichy ślub. Przyjaciele pana  
młodego z Powstania dowiedzą się o nim po fakcie.



Ojciec całe dnie spędzał w pracy, miał mniejszy wpływ na moje życie. Ale i z nim rozmawialiśmy stosunkowo dużo – porównując z innymi rodzicami. Bardzo o nas dbano – na żoliborskiej ulicy byliśmy wyśmiewani, że codziennie jesteśmy inaczej ubrani. Później jako młodzieniec miałem pewne trudności w kontaktach z ojcem. Jego wyróżniał bardzo stanowczy charakter, ja byłem wtedy dużo spokojniejszy, nie tak jak dzisiaj. No i jego opiekuńczość! Ciężkie awantury o to, że chodzę bez czapki. Wtedy dostawałem szau!”

Jarosław w 2007 roku: „Ja mam charakter zdecydowany, dążę do celu. Ale ojciec miał inny charakter niż ja. Był bardzo asertywny i taki dosyć twardy. Ja jestem twardy w innym sensie, w sensie dążenia do celu. A w kontaktach z ludźmi jestem dosyć spolegliwy (...). Hipochondrii nie mam, ale pamiętam swoje dzieciństwo, kiedy chodziliśmy do doktora Kokoszki. Byłem bardzo mały, ale miałem poczucie, że to jest nadużycie (...). To wynikało z tego, że ojcu zmarło dwoje rodzeństwa. Nie było interwencji lekarskiej na czas”.

Lech w 2009 roku: „Tata był osobą asertywną, o silnym charakterze. Jeśli były jakieś napięcia między nami, to bynajmniej niewynikające z tego, że nie próbował mieć wpływu na nasze wychowanie. Inna sprawa jest to, że ja i Jarek nie zawsze mu się podporządkowywaliśmy. Ojciec walczył w powstaniu warszawskim, był odznaczony *Virtuti Militari*, ale dla nas marzył o spokojnym życiu i karierze naukowej. Jego wizja to my jako profesorowie. Gratulował mi wiele razy, w różnych okolicznościach, ale najbardziej pamiętam moment, kiedy był autentycznie usatysfakcjonowany tym, co osiągnąłem. To było wówczas, gdy zdobyłem habilitację. To sprawiło mu największą radość, mimo że byłem wtedy senatorem RP i wiceprzewodniczącym »Solidarności«”.

Czytam te wspomnienia jeszcze raz. Nakładam je na to, co słyszałem o panu Rajmundzie wcześniej, i próbuję zsumować. Rajmund Kaczyński – człowiek stanowczy i przekonany o własnej wartości – zakochuje się

w pięknej dziewczynie. Jej rodzice za nim nie przepadają. Ich zdaniem córka jest za młoda na poważny związek, ale on podejmuje męską decyzję i szybko się oświadcza. Później trochę żałuje, ale nie wypada mu się przyznać do pomyłki i wycofać, więc ślub się odbywa.

Choć między nim a żoną nie ma wielkiej miłości, to w domu szybko pojawiają się dzieci. Świeżo upieczony ojciec dostaje od razu dwóch synów, rozpiera go duma. Gdy pierwszy z chłopców zostaje nazwany na część egzaminatora żony, tata proponuje, by drugi nosił imię podobne do jego własnego. Mama się jednak nie zgadza i upamiętnia byłego narzeczonego.

Relacje ojca z synami są trudne. Tata chce ich trzymać krótko, ale ma niewielki wpływ na wychowanie. Chłopcy buntują się przeciw niemu, wolą być bliżej mamy. Gdy podrosną, pan Rajmund będzie chciał, żeby porobili kariery naukowe, żyli spokojnie i nie narażali się. Ale i tu ponosi porażkę – synowie kilka lat po studiach angażują się w działalność podziemną. Mama też się o nich boi, ale akceptuje ich życiowe wybory. Tata długo ma z tym kłopot.

Opowieść o ojcu nasuwa kilka pytań. Pierwsze, które narzuca mi się najbardziej, dotyczy reakcji pana Rajmunda na decyzję o imionach synów. Czy to możliwe, że mężczyzna, przyzwyczajony do stawiania na swoim, przyjął to tak bezboleśnie, jak wynikałoby ze wspomnienia żony? Czy naprawdę nie ukłuła go męska duma? W tym samym wywiadzie pani Jadwiga opowie przecież, że mąż do końca życia był o nią zazdrosny.

Ale zastanawiają mnie też kwestie bardziej ogólne. Dlaczego uczucie w małżeństwie Kaczyńskich tak szybko wygasło? Jakim piętnem odcisnęły się na synach chłodne relacje między rodzicami? Czy dosyć twardy sposób bycia taty – jak określił to Jarosław – jakoś ukształtował charakter chłopców? No, i dlaczego bracia wyrażali się o Kaczyńskim seniorze z takim dystansem?







**/ „Wyborcza”**

Wskazówki szukam u znajomych pana Rajmunda. Pierwszy trop podsuwa Witkowski: to polityka i historia oddaliły synów od ojca.

– Rajmund po studiach uaktywnił się partyjnie – mówi. – A gdy w latach 90. i dwutysięcznych przedstawiałem go kolegom, zawsze zaznaczałem, że zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa. Rajmund krzywił się na to i machał ręką. Nie popierał polityki synów.

Gdyby pan Rajmund rzeczywiście był członkiem PZPR, to dla jego syna byłby to kłopot. Bo Jarosław Kaczyński zawsze traktował kwestie biograficzne i rodzinne bardzo pryncypialnie. Kiedy na początku lat 90. Teresa Torañska zapytała go, czy ujawniłby własnego ojca, on odparł: „Gdyby był agentem, to bym ujawnił”. A gdy dziennikarka porównała go do Pawki Morozowa, zdenerwował się: „On doniósł na ojca do NKWD, bo ojciec ukrywał zboże, moja droga. Ujawnienie zboża na rzecz rekwizycji jest działaniem na rzecz narodowej opresji, ale nie jest tym samym, co bycie agentem. Nie porównuj rzeczy nieporównywalnych”. W innym wywiadzie – udzielonym wiele lat później – Kaczyński powiedział zaś: „Istotne są informacje, gdy ktoś wychował się w rodzinie KPP i tę tradycję niechęci do państwa polskiego, niszczenia polskiej kultury kontynuuje. I to należy podnosić, bo to ma merytoryczne uzasadnienie”. I stwierdził, że jego ta sytuacja nie dotyczy, bo jedyną formą publicznej aktywności Kaczyńskiego seniora była przynależność do Solidarności.

Przeglądam materiały z teczeki pracowniczej pana Rajmunda złożonej w archiwum Politechniki Warszawskiej.

Opinia z 1964 roku. „Mgr. inż. Rajmunda Kaczyńskiego cechuje wysokie poczucie odpowiedzialności za mienie społeczne, zdolność do współpracy w zespole i społeczne podejście do zagadnień”. Pod dokumentem podpisuje się prof. Stanisław Andrzejewski, który podobnie jak pan Rajmund był w Powstaniu.

Inna charakterystyka, z tego samego okresu. „Pracownik sumienny, obowiązkowy o dużym poczuciu odpowiedzialności oraz dążności do jak najlepszego wywiązywania się z powierzonych mu obowiązków. Przynależność partyjna – bezpartyjny”.

Ankieta ewidencyjna z 1972 roku. W rubryce „Przynależność do organizacji i stowarzyszeń” Kaczyński wpisuje Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskiego, o partii nie wspomina.

Zaświadczenie z 1976 roku. „Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację stwierdza, że obywatel Kaczyński jest członkiem zwyczajnym ZBoWiD”. Z numeru legitymacji wynika, że pan Rajmund wstąpił tam od razu po wojnie. Związek był politycznie podporządkowany partii, ale przynależność do niego nie wiązała się z koniecznością wstąpienia do PZPR i na pewno nie jest niczym hańbiącym.

W teczce znajdują jeszcze opinie z 1967 roku autorstwa prorektora Politechniki prof. Jana Różyckiego, wieloletniego członka PZPR: „Rajmund Kaczyński dał się poznać jako dobry organizator. Postawa moralna i społeczna bez zarzutu. Opinia powyższa została uzgodniona z organizacją partyjną i radą zakładową Politechniki Warszawskiej”. Obok tekstu ktoś dopisał ołówkiem „celem przedstawienia w ZBoWiD”.

Na kolejnych kartach czytamy, że pan Rajmund otrzymał Złoty Krzyż Zasługi w 1976 roku i Warszawski Krzyż Powstańczy w 1982 roku. Odznaczenia przyznano mu na mocy uchwał podpisanych przez Henryka Jabłońskiego, byłego członka Biura Politycznego KC PZPR.

Dokumentacja w tej sprawie znajduje się w archiwum Rady Państwa, która nadawała odznaczenia. We wniosku o Krzyż Zasługi napisano, że

pan Rajmund został uhonorowany w Dzień Nauczyciela, za zasługi w pracy zawodowej i społecznej. Wśród nich wymieniono „wybitną rolę przy budowie i organizacji Instytutu Techniki Ciepłej” oraz „opracowanie metody podziemnego wytopu siarki”. W rubryce „przynależność partyjna” ponownie zostawiono puste miejsce, ale na drugiej stronie przystawiono dwie pieczęcie: Komitetu Uczelnianego PZPR i Rady Zakładowej ZNP. I partia, i związek wsparły wnioski o odznaczenie pana Rajmunda.

Czyli Witkowski się myli. Kaczyński senior cieszył się dobrą opinią w PZPR, udzielał się w ZBoWiD i należał do satelickiego ZNP, ale partyjny nie był. Na wszelki wypadek odszukuję jeszcze prof. Jana Felickiego, I sekretarza komitetu uczelnianego PZPR na Politechnice, który potwierdza: pan Rajmund nie miał legitymacji, choć kilku kolegów z partii go kojarzy.

W pracy ojciec braci zostanie zapamiętany jako człowiek, który żywo interesuje się polityką. Po śmierci Stalina pozwala sobie na spontaniczność. Wiadomość zastaje go na budowie wśród robotników.

– No, chłopaki, dziś świętego Józefa! – cieszy się.

Na Politechnice wyżywa się już tylko w dyskusjach o sprawach międzynarodowych. Gdy w połowie lat 60. dochodzi do incydentu w Zatoce Tonkińskiej, pan Rajmund woła do swojego pokoju zaprzyjaźnionego pracownika Politechniki Wiesława Gogóła. Parzy herbatę i rozprawia z nim przez kilka godzin.

Kaczyński dobrze odnajduje się w środowisku uczelni. Jego donośny głos niesie się po korytarzach Instytutu do późnych godzin. Pracy jest tyle, że czasem trudno wyrwać się na noc do domu. Niektórzy trzymają w szafach radzieckie łóżka polowe, na których zawsze można się zdrzemnąć i zregenerować siły. Pan Rajmund bywa na imieninach kolegów z wydziału, przychodzi na brydża, czasem wpadnie do pobliskiej Słodkiej Dziurki. Z dawnymi przyjaciółmi z Powstania długo nie ma kontaktu, na coroczne, sierpniowe spotkania ludzi z „Baszty” zacznie uczęszczać

dopiero w latach 70. Na Politechnice niechętnie wraca do czasów wojny i nie wdaje się w dyskusje o ustroju Polski Ludowej. W zaufanym gronie co najwyżej oceni położenie geopolityczne kraju jako trudne – mówi o politycznych kleszczach, w jakich znalazło się państwo – i będzie się skupiać na tym, na co ma wpływ. Wychodzi z założenia, że trzeba budować Polskę taką, jaka jest, samemu sobie wyznacza tylko takie cele, które są w jego zasięgu.

Opinie przełożonych nie kłamią, pan Rajmund rzeczywiście jest sumiennym pracownikiem. Potrafi poświęcić pięć lat na należyte wyposażenie stanowisk eksperymentalnych Instytutu. Urządza narzędziownię, instaluje silniki, kotły. Gdy ktoś nie przykłada się do obowiązków lub nie postępuje po jego myśli, ze złością mnie gazetę i ciska nią o podłogę. Choć często ma rację, to mało kogo umie przekonać, bo jego szorstki i drażliwy sposób bycia daje się kolegom we znaki. Jeden z profesorów zakłada nawet specjalny zeszyt, w którym zapisuje wszystkie mądrości pana Rajmunda i potem złośliwie mu je odczytuje.

Obcesowość Kaczyńskiego nie zawsze jest jednak wadą – w całym Instytucie nie ma osoby, która egzekwowałaby pracę od robotników równie skrupulatnie. Jednocześnie Kaczyński nie stroni od kontaktów z decydentami. W podległym mu warsztacie umieszcza syna prominentnego dyrektora departamentu inwestycji Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Jeździ na zagraniczne kontrakty, o które niełatwo w tych czasach. W samej Libii, mówi mi prof. Gogół, siedzi prawie rok. Bracia muszą się chwalić tymi wojażami, bo Marek Maldis, uczeń z ich klasy, wspomina, że niektóre z tych podróży są przedmiotem koleżeńskiej zazdrości – co tam Libia, pan Rajmund pewnego razu jedzie do Londynu, a w drodze powrotnej zatrzymuje się jeszcze na kilka dni w Paryżu.

Angażuje się też w wielkie PRL-owskie przedsięwzięcie: kopanie siarki u ujścia Sanu. Zdobywa kontrakt w zakładzie przetwórczym Siarkopol i wierzy, że złoża staną się polskim hitem eksportowym. Opracowuje podgrzewacz

dwufazowy, który ułatwia wydobycie siarki. Do Tarnobrzegu przyjeżdża około 500 razy. Jego wysiłki idą jednak na marne – po kilku latach Amerykanie wykończą PRL-owskie przedsiębiorstwo dumpingowymi cenami.

Poglądy ludzi, którymi pan Rajmund otacza się w pracy, są dosyć spójne i mówią też coś o nim samym. W niepublikowanych wspomnieniach Jarosława Kaczyńskiego znajduję trochę nieskładny, ale znamiennej opis reakcji przyjaciół taty na uchwałę dekomunizacyjną, którą Porozumienie Centrum podjęło na początku lat 90.: „Mój Ojciec, już wtedy emeryt, odwiedził swój Instytut na Politechnice i usłyszał od kolegów, z których część, chociaż nie większość, była partyjna: »Rajmund, twój syn teraz chce nas wszystkich wyrzucić z roboty«. Krótko mówiąc, ekstowarzysze, i to nawet ci, którzy wystąpili z partii w 1981 roku albo na początku 1982, wzięli to do siebie”.

Postawa Rajmunda Kaczyńskiego, który w duchu może był niechętny wobec komunistycznej władzy, ale na zewnątrz ją afirmował, charakteryzowała wielu byłych żołnierzy Armii Krajowej i powstańców. Przejście przez wojenną pożogę stanowiło doświadczenie tak traumatyczne, że wielu z nich było skłonnych nie tylko zaakceptować rzeczywistość Polski Ludowej, ale też sprzeciwiać się wszelkim przejawom antykomunizmu. Przypadek pana Rajmunda, który chciał widzieć synów jako profesorów wiodących spokojne życie, był więc modelowy.

Jeszcze jedno wspomnienie z „Alfabetu”, które chyba najpełniej oddaje atmosferę rodzinnego domu. Tym razem Jarosław odpowiada na pytanie o rodzinnego bohatera: „Ogromny wpływ wywarła na mnie mama. Jej opisy wojny, walk, w jakich uczestniczyli Jej starsi koledzy, wreszcie Jej własnego zaangażowania w konspirację”. A zaraz potem mówi o ojcu: „Z wczesnego dzieciństwa pamiętam najprawdziwszy strach przed władzą. Widzę na ulicy, jak milicjant prowadzi babę z koszem pełnym serów. I mam poczucie, że to dramat. Myśmy czuli atmosferę wielkiego strachu, który przepaja wręcz powietrze. Ojciec był w AK, stąd obawa w rodzinie.

Od 1954 dobrze zarabiał, a jednak się obawiał. Pamiętam spotkanie u ciotki i wujka (Tomaszewskich – M.K.) na Saskiej Kępie. W pewnym momencie ktoś przybiega z informacją, że w Warszawie — czyli po drugiej stronie rzeki — powstanie. I mój ojciec, i wuj wyjeżdżają natychmiast, żeby sprawdzić, i jednocześnie uspokajać ludzi, żeby nie było powstania. Czekam z Leszkiem i Jankiem (kuzynem – M.K) w napięciu, wracają po godzinie z informacją, że panuje całkowity spokój, nic się nie dzieje. Pamiętam mój ówczesny zawód, ogromne rozczarowanie. To dobrze pokazuje mój ówczesny nastrój wynikający z głupoty siedmiolatka i jednocześnie nastawienie tych, którzy w powstaniu 1944 naprawdę byli, i pragnienie, by to się nie powtórzyło”.

Jarosław od małego jest żądny wrażeń i chłonie wojenne historie. Tyle że tata jest w traumie po Powstaniu i nie bardzo chce wprowadzać syna do świata swoich wspomnień. Bo o czym miałby mu opowiedzieć? O głodzie, o kanałach czy o tym chłopcu z Mokotowa, który umierając jeszcze ruszał nogami?

Małemu Jarkowi zostaje tylko mama, która nie ma takich oporów. Łatwiej jej wracać do czasów wojny, bo nie przeżyła aż tyle. W chwili wybuchu wojny miała prawie 13 lat. Należała jedynie do Szarych Szezegów i nie była w Powstaniu. Sama ma do powiedzenia nie za dużo, ale posiłkuje się opowieściami zasłyszczanymi od starszych kolegów. W przeciwieństwie do taty chce zaspokajać ciekawość syna.

Zawsze może też wysłać Jarka na Saską Kępę. Wuj Stanisław chętnie dzieli się wspomnieniami z siostrzeńcem. Sławomir Cenckiewicz w biografii Lecha Kaczyńskiego napisze po latach, że Miedza traktował braci jak własne dzieci. Pani Jadwiga przyzna z kolei, że za Tomaszewskim nie przepadał Rajmund. Może był zazdrosny o jego relacje z chłopcami? A może widział, że bracia lgną do niego jak do ojca?

Tak czy inaczej, opowieści mamy i wujka wystarczą Jarosławowi i w niemalym stopniu uformują jego przyszłą postawę. Kaczyński już



jako dojrzały polityk będzie się często powoływać na tradycję Armii Krajowej. Kiedyś stwierdzi nawet, że polskie społeczeństwo dzieli się na dwie grupy: tę czerpiącą z dziedzictwa AK i tę wywodzącą się z Komunistycznej Partii Polski.

W tym wszystkim jest jednak paradoks. Tata Jarosława jako były żołnierz wywodzi się z tej tradycji całym sobą, ale ze względu na osobiste przeżycia nie umie – nie chce? – przekazać jej synowi. Historia Powstania, jego mit w dużej mierze zbudują więc Jarosława jako polityka, ale stworzą też mur, który oddzieli go od ojca.

Na tle pana Rajmunda, który udaje się na wewnętrzną emigrację i ucieka przed własną historią, biografia mamy urasta w oczach syna do historii pełnej niesamowitości. Podczas przemówienia na jej pogrzebie Jarosław będzie idealizował jej życiorys. Opowie o jej niezłomności i rzekomej niezgodzie na wstąpienie do ZNP. Mitologizacji ulegnie też jej dzieciństwo:

„Przed wojną jeszcze jako uczennica potrafiła walczyć przeciw prześladowaniu koleżanki przez uczniów i nauczycielki. Podczas wojny potrafiła być w Szarych Szeregach i to bardzo wcześnie, miała jeszcze 14 lat, kiedy wstąpiła do Szarych Szeregów”.

Dla porównania: na pogrzebie pana Rajmunda głosu nie zabierze żaden z synów. A przecież historia żołnierza Armii Krajowej i powstańca z pewnością zasługuje na upamiętnienie nie mniej niż działalność mamy w Szarych Szeregach czy stanięcie w obronie uczennicy, której dokuczano w szkole.

Gdy słucha się przemówienia z pogrzebu mamy, uwagę zwraca jeszcze jeden fragment – poświęcony mitycznemu domowi w Starachowicach. Kaczyński mówi w nim, że panią Jadwigę w dużej mierze wychowywali dziadkowie, ludzie ukształtowani przez wiek XIX: „Mama miała niebываły dar opowiadania, dzięki któremu i my, jej synowie, mogliśmy uczestniczyć w jakiejś mierze w jej życiu, w przeszłości i słyszeć przekazywane w sposób bardzo barwny opisy obyczajów ludzi zupełnie innej epoki”.

Z tego zaginionego świata wywodzi się też pan Rajmund, ale najwidoczniej on nie umie opowiadać o nim tak plastycznie jak mama, bo Jarosław nigdy nie powołuje się na rozmowy z tatą o Kresach. W wywiadach już prędzej wspomina dziadka za strony ojca, który zabierał go na spacerzy na Dworzec Gdański i opowiadał o okupacji.

O polityce w III RP Jarosław też raczej nie porozmawia z tatą, choć upadek komuny jeszcze upływa w domu pod znakiem wspólnej radości z mandatów senatorskich zdobytych przez Jarosława i Leszka. Telefon w domu się urywa, dzwonią przyjaciele, dalecy znajomi, dawno niewidziani krewni. Wszyscy z gratulacjami, które pod nieobecność syna przyjmuje senior rodu. Jest dumny jak rzadko kiedy.

Świeżo upieczony senator zjawia się na Żoliborzu dopiero kilka dni po wyborach. Bankiet, który wyprawili mu nowi przyjaciele z Elbląga, był huczny, a po drodze do Warszawy należało jeszcze zahaczyć o Gdańsk, żeby naradzić się z Wałęsą i bratem. Jest zmęczony, ale szczęśliwy. Pan Rajmund cieszy się jak dziecko, relacjonuje wszystkie telefony i długo rozmawia z synem.

Jarosław wchodzi do Sejmu bez kompleksów. Gra szybko i ostro, czym zresztą przypomina ojca. Działa według zasady: albo robimy po mojemu, albo nie robimy wcale. Jest przy tym bardzo sprawny. Składa pierwszy rząd, tworzy partię, odwraca sojusze. Najpierw blisko współpracuje z Lechem Wałęsą, a potem pali jego kukłę i wyzywa od Bolków.

W jego politycznej biografii jest tylko jedna stała. To niechęć do „Gazety Wyborczej”, która w niemal każdej sprawie obsadza go w roli czarnego charakteru. Spór Jarosława Kaczyńskiego z Adamem Michnikiem jest fundamentalny i trwa nieprzerwanie od 1989 roku.

A tak się składa, że pan Rajmund jest stałym czytelnikiem „Gazety”. To z niej czerpie wiedzę o polityce międzynarodowej i krajowej. Codziennie rozkłada się w domu ze świeżą płachtą „Wyborczej”, czym drażni syna i żonę. Gdy w 2006 roku do kiosków wchodzi „Dziennik Polska–Europa–Świat”, pani Jadwiga zwierza się jednej z dziennikarek,

która przychodzi do niej na wywiad: – Wreszcie będą w domu dwie gazety, bo mąż to tylko „Wyborczą”.

Polityka braci, mówiąc delikatnie, nie budzi entuzjazmu ojca. Szczególną niechęcią pan Rajmund darzy Porozumienie Centrum, ukochane dziecko Jarosława. Ojcu nie podoba się ani program partii – jako zbyt radykalny i konfrontacyjny – ani jej styl. W każdej sprawie uważa, że można by mądrzej i lepiej. Swoim zwyczajem nie powstrzymuje się z wygłaszaniem zastrzeżeń. I, co najciekawsze, ma Jarosławowi za złe cechy, które koledzy z pracy przypisują jemu, czyli kłótniwość i nieumiejętność współpracy. Drugiego z synów ocenia pod tym względem nieco wyżej, ale też bez przesady. Widzi przecież, że delikatniejszy Lech nie tylko w życiu, ale i w polityce pozostaje pod wpływem silniejszego Jarosława.

31 sierpnia 1992 roku. Kaczyński senior zaprasza na imieninowy obiad kolegę z Instytutu doktora Edwarda Radwańskiego. Jak zawsze przychodzi elegancki – świeża koszula, krawat, dyplomatka, kapelusz – i nie szczędzi grosza na restaurację. Jest w dobrym humorze, dopóki rozmowa nie zejdzie na tematy polityczne.

– A jak oceniasz mojego syna na nowym stanowisku? – pyta o Lecha, który od kilku miesięcy sprawuje funkcję prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

– Źle. On jest teraz urzędnikiem i powinien się odciąć od PC.

Kaczyński senior wzdycha.

– No, widzisz. Nawet Leszek nie potrafi...

Edward Radwański jest dziś na emeryturze. Jak mówi, z panem Rajmundem łączyła go męska przyjaźń, która zrodziła się podczas kilkuset wspólnych wyjazdów do Siarkopolu. Pytam, dlaczego Porozumienie Centrum tak drażniło Kaczyńskiego seniora?

– Rajmund – mówi mi – chciał, żeby synowie działali w polityce mniej partyjnie, a bardziej obywatelsko.

Ta odpowiedź jednak nie do końca mnie przekonuje. Z pytaniem o stosunek ojca do polityki synów idę więc do ludzi z „Baszty”.

Halina Wołłowicz, czyli sanitariuszka Rena, kupiła po wojnie działkę w podwarszawskim Chojnowie. To tam dwa razy do roku – na początek i koniec Powstania – spotykają się ludzie z pułku. Pan Rajmund po raz pierwszy pojawia się tam na początku lat 70., potem przychodzi już regularnie aż do śmierci.

– Pamiętam, jak na jednym z naszych spotkań przestrzegał, żeby nie dawać jego synom władzy, bo będą z tego kłopoty. Ale może to było tylko takie gadanie – zastanawia się Wołłowicz. – Nie wiem, czy on to mówił poważnie.

– Ale jak najpoważniej – dopowiada z przekonaniem Hanna Stadnik, sanitariuszka Hanka i uczestniczka spotkań w Chojnowie. – „Moi chłopcy niczego dobrego nie zrobią, wszystko zniszczą, oni nie potrafią współpracować”, słyszałam takie rzeczy z jego ust kilkakrotnie. Nie było w tym złości, Rajmund mówił o tym ze łzami w oczach.

– U mnie w domu też to powtarzał: „Mają szalone ambicje, jak je spełnią, będzie źle, powiadam ci. Oni nie potrafią normalnie rozmawiać” – mówi Jeżewska.

Te trzy historie – z obiadu w restauracji, z działki w Chojnowie i z mieszkania pani Danuty – mogą oznaczać tylko tyle, że pan Rajmund po prostu miał inne poglądy niż synowie. Bo w istocie miał.

Ale może to pęknięcie było głębsze? Żeby to sprawdzić, cofnę się do dzieciństwa braci, a nawet wcześniej.





**/ Inżynierska skrupulatność**

Po ślubie Kaczyńscy wprowadzają się do ciasnego mieszkania rodziców pani Jadwigi przy ul. Suzina. Na swoje idą rok po narodzinach synów. Dom, w którym będą dorastać bracia, mieści się w przedwojennym budynku przy ul. Lisa-Kuli, później przemianowanej na Pochyłą. To wciąż Żoliborz, ledwie 15 minut spaceru od dziadków. Kamienica ma niepowtarzalny, kameralny klimat. Dozorczynią jest tu pani Bartulska, sympatyczna staruszka, która raz na jakiś czas zapomina zejść do kotłowni i napalić. Mieszkańcy marzną, ale nikt się nie złości. W sąsiedztwie mieszka głównie inteligencja – nauczyciele, lekarze, profesura.

Mieszkanie jest jasne i przestronne. Trzy pokoje, własna łazienka, duży hall, razem 78 metrów. Okna z kuchni i stołowego wychodzą na zielone podwórze, w którym sąsiedzi hodują warzywa, a w bawialnym staje biurko do pracy dla pana Rajmunda. To on załatwił mieszkanie od rodziny Kowalskich – w zamian za wynajem obiecał przeprowadzić w nim remont, na który pójdą pieniądze z prezentu ślubnego od jego zamożnej ciotki.

Podział obowiązków w domu jest tradycyjny. Żona siedzi z dziećmi, mąż przynosi pieniądze. Pan Rajmund zarabia godziwie, ale jest bardzo zajęty. W pracy siedzi do późna, a po powrocie do domu też ma co robić. Najpierw przeprowadza obiecany remont. Potem walczy z sąsiadem spod trójki, który chce puścić schodki na poddasze i zaadaptować strych kamienicy. Pan Rajmund pisze odwołanie do dzielnicowej rady narodowej.

Protest zostaje uwzględniony. A na koniec, już w latach 80., sam razem z innymi mieszkańcami przebudowuje poddasze na mieszkanie.

Któregoś razu wraca do domu po ciężkim dniu. Wykończony rzuca się na krzesło w kuchni i zasypia. Gdy się ocknie, zrozumie, że coś jest nie tak.

– Gdzie ja jestem?

– Pomylił pan mieszkania, panie Rajmundzie – odpowie mu sąsiadka z parteru. – Nie chciałam pana budzić, był pan taki zmęczony.

Etat na uczelni Kaczyński łączy z dorywczymi zajęciami i fuchami w przedsiębiorstwach, w których obejmuje stanowiska projektanta i kierownika grup montażowych. Cieszy się opinią zdolnego i ambitnego inżyniera. Zna angielski, jako tako radzi sobie też z niemieckim i francuskim. W odbudowywanej Warszawie jego wiedza dotycząca instalacji sanitarnych i urządzeń chłodniczych jest w cenie. W przyszłości zrobi nawet dwa podejścia do doktoratu. Jedno w sprawie przepływów wielofazowych, a drugie dotyczące elektrowni – tego, jak je planować, budować, remontować.

W świecie pani Jadwigi z kolei ważne są książki. Po synach, którzy zajmują u niej zawsze pierwsze miejsce – może nawet najważniejsze.

„Mama kochała literaturę. Lubiała czytać i dyskutować, miała w tym zresztą świetnego partnera w ojcu, jej mężu. Literaturą niezwykle się przejmowała. Literatura ją bawiła, ale potrafiła ją także gniewać”.

Pan Rajmund jak na człowieka tak zapracowanego czyta sporo, ale nie może zaimponować żonie. Ona interesuje się literaturą angielską, teatrem, czyta poezję, śledzi krytykę literacką. A on jest z innego świata. Ścisły umysł, praca dyplomowa z projektu wiertarki promieniowej, zawsze w towarzystwie inżynierów i robotników. Ona rozumuje kategoriami przedwojennymi, tęskni do świata, który zna z opowieści dziadków. Jeśli ktoś wydaje się jej intrygujący, to kolega z pokoju w Instytucie Badań Literackich Jan Józef Lipski. A mąż jest fachowcem od pomp, turbin i kotłów.

Pan Rajmund towarzyszy żonie podczas kolacji u sióstr Woźnickich, na których dyskutuje się o sztuce, ale jest tam cieniem głośnego i pewnego



siebie inżyniera, który na każdy temat ma coś do powiedzenia. Wśród humanistów czuje się nieswojo i mówi rzadko. Hanna Kirchner zapamięta go z tych spotkań zupełnie inaczej niż ludzie z Politechniki – jako człowieka cichego i przeciętnego, który niczym się nie wyróżnia.

Czy to, że Rajmund i Jadwiga żyją w dwóch różnych światach, odbija się na ich małżeństwie i czy ma to jakiś wpływ na ich synów? A jeśli tak, to po czyjej stronie opowiadają się bracia?

Radwański wspomina znamienne rozmowę z panią Jadwigą. Jest rok 2005. Kilka miesięcy po śmierci pana Rajmunda, Lech Kaczyński właśnie został prezydentem. Radwański dzwoni na Żoliborz z gratulacjami i życzeniami dla synów. – No, i żeby mieli tyle skrupulatności inżynierskiej co tata – mówi na koniec.

Odpowiedź pada szorstka. Kierowanie państwem, poucza pani Jadwiga, wymaga wielkich idei, a nie skrupulatności inżyniera.

Może to i słuszna uwaga, ale Radwański wyczuwa w niej ostentację, lekceważenie dla profesji ojca.

Hanna Stadnik: – Rajmund żalił się, że Jadwiga uważa małżeństwo z nim za mezalians. Mówił, że go nie szanuje, a przy tym ma duże oczekiwania finansowe. To dlatego pracował na tyłu etatach.

Jedna z moich rozmówczyń, która była w prywatnych relacjach z panią Jadwigą, twierdzi z kolei, że mama braci przez lata obserwowała dwóch mężczyzn. W domu miała skrupulatnego i nieco apodyktycznego specjalistę od pomp, a w pracy biurko w biurko siedział z nią humanista, człowiek wysoko postawiony w hierarchii warszawskiej inteligencji. Z tym pierwszym tworzyła rodzinę i była mu wierna, ale to ten drugi jej imponował.

Wpływ na wychowanie synów pan Rajmund miał niewielki, a może i żaden. Koleżanka Jarosława z klasy w podstawówce Hanna Perkowska opowiada, że to mama zawsze odprowadzała braci, odbierała ich i chodziła na szkolne wywiadówki. – Ojca nie widziałam ani razu – mówi.

– On bardzo dużo pracował, zwyczajnie nie miał czasu, by zajmować się dziećmi – dodaje sąsiadka z dołu, ta, u której Kaczyński zasnął w kuchni.

To, że pan Rajmund nie zajmował się synami, nie oznacza, że nie miał zdania na temat metod wychowawczych żony. Oczywiście miał i – jak można się domyślić – była to opinia krytyczna. Gdyby to on decydował, sprawy miałyby się zupełnie inaczej.

Inaczej, czyli jak?

Pan Rajmund najchętniej trzymałby synów krótko i uczył ich wojskowego drylu – tak, jak musztrował żołnierzy na kursach podczas okupacji. Jako inżynier i żołnierz cenił dyscyplinę. Mama jego zdaniem była dla chłopców za miękka, dawała sobie wchodzić na głowę i pozwalała im na zbyt wiele: spływy kajakowe, robienie tratwy w Ołdakach. On sam był zwolennikiem twardej ręki, ale synów nie bił. Jarosław zapamięta tylko jedno lanie, gdy jako mały chłopiec podpala w ogródku siano gospodarzy. Ucieka przez grządki, ale tata go dogania i spuszcza solidne manto.

Pan Rajmund jak każdy ojciec chciał wychować synów na swoje podobieństwo. Był przystojny, wysportowany, lubił typowo męskie zajęcia i chciał widzieć w chłopcach część siebie. Gdyby miał na to czas, pielęgnowałby w nich te cechy, które cenil w sobie, a więc skrupulatność, systematyczność, schludność. Po latach, gdy synowie trochę podrośli, pan Rajmund opowiadał koledze z pracy, że Lech ma taką dobrą pamięć do dat. Czyli chłopak – mówił z dumą – jednak coś odziedziczył po ojcu.

W rzeczywistości jednak bracia od małego pozęglowali w kierunku, który obrała im mama. Zamiast wałęsać się po zmroku, siedzieli w domu i czytali książki. Nie interesowały ich przedmioty ściśle w szkole ani prace remontowe wykonywane w domu przez tatę. W podwórkowej hierarchii też nie stali najwyżej. O ich pozycji dużo mówiły mecze piłkarskie, które rządziły się tymi samymi prawami co teraz. Chłopcy silniejsi szli ataku, ci słabsi stawali z tyłu.

– Bracia nie byli może ciamajdami czy oferkami, ale do sportu jakoś się nie kwapili – wspomina kolega z podstawówki Wiesław Lasota, dziś lekarz onkolog. – Grali głównie w obronie, może czasem w pomocy.

Albo na bramce. Jarosław po latach będzie sam opowiadać, że na tej pozycji najczęściej wystawiano drobnego Leszka. Podobno szło mu tam całkiem nieźle, choć Hanna Perkowska mówi mi, że chłopców w rodzaju Kaczyńskich na podwórko nazywano ciapciakami. Tak ich zapamiętała.

Wśród podwórkowych kolegów braci był Krzysztof Arens, który do dziś mieszka zresztą w sąsiednim domu na Lisa-Kuli. Jeden z Kaczyńskich przyszedł kiedyś do niego do domu ufarbowany na blond i cały w piegach (prawdopodobnie ucharakteryzowano go tak do filmu „O dwóch takich, co ukradli księżyc”).

Mama Krzysztofa, pani Barbara, omyłkowo wzięła chłopca za Lecha, co spotkało się z rezolutną, ale uprzejmą odpowiedzią. Bardzo panią przepraszam, padło z ust młodego gościa, ale ja nie jestem Leszek. Jestem Jarosław.

– Kochałam ich jak własnych synów – mówi pani Arens. Gdy pytam ją, co pamięta z dzieciństwa Kaczyńskich, odpowiada bez zastanowienia: piękne, staranne wychowanie odebrane w dobrej rodzinie i ciągła opieka mamy. – Nie latali po ulicy samopas jak inni.

Pozostałe sąsiadki mówią to samo – bracia nigdy nie chuliganili, byli grzeczni, uczynni. Po latach Jarosław będzie zresztą poczytywać sobie to za polityczną, czy wręcz kulturową przewagę nad konkurentami. W przeciwieństwie do Donalda Tuska, powie z wyższością, nie wychowałem się na podwórku, tylko w trochę lepszych miejscach.

Chłopcy, mówi mi przyjaciółka rodziny, czują się od małego powołani do wielkich spraw, co oczywiście jest zasługą mamy. Są drobnej postury, ale zachowują się bardzo dojrzałe. Gdy mają siedem lat, wyglądają na cztery–pięć, a mentalnie są rozwinięci jak 10-latkowie. To dzięki poważnym lekturom, które od małego czytają z panią Jadwigą.

**/ žal**

W rodzinie krążą historie o tym, jak to mali Kaczyńscy interesują się dorosłymi sprawami.

Na przykład: bracia leżą w łózkach z anginą. W radiu trwa relacja z uroczystości objęcia władzy we Francji przez Charles'a de Gaulle'a. Chłopcy mają dopiero dziewięć lat, ale transmisji słuchają z zapartym tchem.

Bracia od małego interesują się polityką i są nastroszeni patriotycznie. Przed zaśnięciem śpiewają „Mazurka Dąbrowskiego”, a w każdą niedzielę obowiązkowo uczestniczą w mszy świętej. To też wpływ pani Jadwigi, bo tata do kościoła nie chodzi. Bardzo możliwe, że to wszystko – dorosłe książki, polityka, historia – było zgodne z naturalnymi predyspozycjami braci, ale jeśli ktoś wzmacniał ich w tych zainteresowaniach, to raczej mama, a nie tata.

– Rajmund chciał trzymać synów krótko, a im się to nie podobało – mówi Fiedler. – Nie było między nimi zgody i przykro się na to patrzyło. Prawda jest taka, że chłopcy nie uznawali jego, a on chłopców.

Czy to nie krzywdząca opinia? Przecież, gdy bracia byli młodzi, Fiedler mieszkał w Australii i z rodziną Kaczyńskich widywał się sporadycznie i może nie miał pełnego obrazu. Ale co, jeśli pozostali przyjaciele pana Rajmunda mówią to samo?

A mówią.

Radwański wspomina na przykład, że często opowiadał Kaczyńskiemu seniorowi o swojej córce. O jej harcerstwie, wyjazdach na obozy. On tego

śluchał, ale nie odwzajemniał się historiami o swoich chłopcach. Radwański pamięta tylko jedną opowieść Rajmunda: gdy bracia grali w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, mama miała z nimi kłopot, bo byli bardzo ruchliwi i często jej uciekali. Jak na tyle lat znajomości to niewiele. A przecież Radwański nie był pierwszym lepszym kolegą z pracy. Był przyjacielem, towarzyszył panu Rajmundowi w kilkuset delegacjach do Tarnobrzega. Razem podróżowali, pracowali, spędzali wieczory, chodzili na kawę... I nic, żadnej dykteryjki z rodzinnych wakacji, ze szkoły chłopców. Dziwne.

Odpytuję kolejnych znajomych – z każdą rozmową pojawiają się wspomnienia coraz bardziej przykre.

Jeżewska: – Rajmund krytykował metody wychowawcze pani Jadwigi. Podsumowywał je: byle nie na ulicy, byle nie na ulicy. Narzekał, że chłopcy nie mają sportowych uzdolnień, nie umieją jeździć na nartach czy łyżwach.

Stadnik: – Środowiska „Baszty” spotykało się regularnie przez lata. Organizowano oplatki, jajeczka, wypadu na działkę w Chojnowie. Wszyscy przyjeżdżali z rodzinami, pokazywali zdjęcia dzieci, wnuków. A Rajmund zawsze był sam, mówił, że żona i dzieci go nie szanują. Czy czułam w tym złość? Nie. Był w tym tylko żal.

Znajoma rodziny: – Rajmund uważał, że mama źle wychowuje synów. Był nimi rozczarowany i nie akceptował ich takimi, jacy byli. Chciał ułożyć ich na swoje podobieństwo, ale oni woleli słuchać mamy.

Jeżewska: – Rajmund czuł, że chłopcy go nie cierpią.

Tata ma złe relacje z synami, ale spośród obu braci faworyzuje Lecha, tego spokojniejszego i bardziej uległego. Drugiego z synów chwali rzadko.

Jarosław jest krnąbrny, gorzej znosi apodyktyczne zapędy ojca i znacznie częściej się buntuje. Podobnie jak pan Rajmund ma silny, dominujący charakter. Całe życie mieszka z ojcem pod jednym dachem i przez to jest skazany na konflikt z nim. Spina się z nim co rusz. Aż do ostatnich chwil życia Kaczyńskiego seniora.

Lata dwutysięczne. Michał Sobieszczański, kierowca Jarosława, przyjeżdża na Żoliborz po dokumenty, których szef zapomniał rano zabrać do pracy. Papiery odnalezione, szofer już się zbiera z powrotem, ale w drzwiach zatrzymuje go pan Rajmund. Prosi o pomoc przy drobnej domowej robocie, przy której strasznie się rozgaduje. Po godzinie do domu dzwoni zaniepokojony prezes. Ojciec wdaje się w kłótnię, krzyczy. Na koniec rzuca słuchawką.

Sprzeczce przysłuchuje się zakłopotany kierowca.

– Nie będzie się teraz do mnie odzywać – z zadowoleniem macha ręką pan Rajmund, nie wygląda na speszzonego. – A, to niech się nie odzywa. Co mnie to obchodzi? Przejdzie mu.

Hanna Stadnik kiwa głową: – Rajmund zawsze powtarzał, że większy kłopot ma z Jarkiem. Że w duecie braci to on jest prowodyrem tego, co złe.

Był w tym paradoks. Oto ojciec, który chciał wychować synów na swoje podobieństwo, sądził, że poniósł w tym względzie całkowitą porażkę. Z obu braci faworyzował tego bardziej uległego, podczas gdy to w silniejszym – tym, z którym nieustannie się wadził – mógł przeglądać się jak w lustrze. Bo Jarosław w istocie był jego kopią.

Nawet sposób funkcjonowania mieli taki sam. Utwierdza mnie w tym szczególnie ze wspólnych wyjazdów do Siarkopolu, o którym wspomina Radwański: – Rajmund ciężko pracował, ale był strasznym śpiochem. Do pracy przychodził na dziesiątą, a podczas delegacji tak długo spał, że musiałem mu robić śniadanie.

Gdy pan Rajmund przeszedł na emeryturę, opowiada mi inny ze znajomych rodziny, rytm dnia ojca i syna złał się całkowicie. Obaj – oczywiście każdy w swoim pokoju – urzędowali do pierwszej–drugiej w nocy. Ten młodszy poprawiał dokumenty lub czytał dla przyjemności, a starszy majsterkował (hobbystycznie zajmował się renowacją mebli i tapicerowaniem krzeseł) albo podobnie jak syn siedział nad książką. I następnego dnia obaj to odsypiali.

W sierpniu 2012 roku „Newsweek” publikuje tekst „Ojciec braci” poświęcony Rajmundowi Kaczyńskiemu. Prezes PiS nie zostawia na nim suchej nitki, mówi, że to artykuł rodem z marca 1968 roku. Autorowi Cezaremu Łazarewiczowi zarzuca kłamstwo, insynuację i naruszenie dobrego imienia jego nieżyjącego taty. Przy okazji szczegółowo opowiada o przeprowadzce na Lisa-Kuli i wyjazdach zagranicznych ojca, o których mowa w artykule. Nie odnosi się jednak wcale do fragmentu, który jest najbardziej drażliwy:

„Pracę naukową (Rajmund Kaczyński – M.K.) rozpoczął dopiero w drugiej połowie lat 70. A gdy już wybrał temat pracy, to okazał się tak trudny i zawily, że musiał prosić o pomoc koleżankę matematyczkę. Zamykali się na wiele godzin w pokoju 104 na pierwszym piętrze instytutu i pracowali do późna. Zamiast doktoratu powstały plotki o ich gorącym romansie.

Prof. Gogół: – Na pewno nie był świętoszkiem i nigdy nie krył zainteresowania kobietami, ale o swoich przygodach nikomu nie opowiadał. Profesor przyznaje jednak, że jeśli takie plotki docierały do rodziny, to mogły być bolesne. Rósł więc mur między Rajmundem a Jadwigą i synami”.

Powody, dla których Kaczyński zostawił wątek obyczajowy bez komentarza, mogły być dwa. Albo wiedział, że informacja o romansie to kłamstwo, ale z jakiegoś powodu nie chciał się do niej odnosić. Albo coś jednak było na rzeczy i nie mógł tego zdementować.

Historia opisana przez „Newsweek” ma związek z doktoratem dotyczącym elektrowni, którego Rajmund Kaczyński nigdy nie dokończył.

– Rajmund wybrał sobie ładny temat – opowiada prof. Gogół – tylko chyba nie na pracę naukową. Zobaczysz, ostrzegałem go, będą ci się wszyscy mieszać, partia, NOT, ministerstwo przemysłu, dyrektorzy elektrowni. Ale on powtarzał, że zagadnienie wymaga uporządkowania i ostro wziął się do pracy. Poprosił znajomą probabilistyczkę, żeby pomogła mu z rachunkiem prawdopodobieństwa. Rzeczywiście zamykali się w tym pokoju 104 i wspólnie radzili. A że Instytut był rozplotkowany, to różne rzeczy opowiadano.



Wołowicz pamięta, że Kaczyński senior opowiadał jej o tej sprawie. – W grę wchodziło coś więcej niż przyjaźń między kobietą a mężczyzną – mówi. – Rajmund później bardzo tej historii żałował, bo to od niej zaczęły się jego rodzinne problemy.

Pozostali znajomi pana Rajmunda twierdzą z kolei, że w domu Kaczyńskich czuło się ciężar jakiegoś wydarzenia z przeszłości, które zachwiało rodzinną harmonię i wpłynęło na stosunek Jarosława do ojca.

Fiedler: – Coś się tam popsulo. Nie było w tym domu miłości. Rajmund ani nie żył dobrze z żoną, ani z synami.

Jeżewska: – Opowiadał mi, że w pewnym momencie zaproponowano mu nawet wyprowadzkę dla dobra rodziny. Ostatecznie jednak do niej nie doszło.

Pracując nad doktoratem, Rajmund Kaczyński jest już po pięćdziesiątce, ale jako mężczyzna wciąż czuje się pewnie. Jedna z moich rozmówczyń twierdzi, że ma urodę i sposób bycia filmowego amanta. Jest szczupły, zadbany, ma ciemną oprawę oczu i wyraźnie zarysowaną szczękę. Zawsze czysto ogolony i w eleganckim garniturze od krawca. Słowem, lubi się podobać.

Prof. Gogół: – Rajmund zwracał uwagę na kobiety i umiał prawić im komplementy. Zachowywał się jak pełnowartościowy mężczyzna.

Jeżewska: – Był wesoły i otwarty. Podszedł, przytulił, uśmiechnął się. Trochę szalała.

Wołowicz: – Ja powiem wprost. Babiarsz.

Jarosław Kaczyński w przeciwieństwie do ojca jest wobec kobiet nieśmiały i zachowawczy, hołduje dawnym konwenansom. Źle się czuje w sytuacji, gdy dystans między nim a którąś z pań zbyt szybko się skraca. Kobieta numer jeden jest w jego życiu pani Jadwiga. Syn jest wyczulony na punkcie godności mamy. Bardzo nie lubi, kiedy ktoś jej uchybia. Nawet niechęć.

Przekonała się o tym Małgorzata Domagalik, podając w telewizyjnym wywiadzie informację, z której można było wywnioskować wiek mamy.

Jeśli coś takiego zasługiwało na reprimendę, to zainteresowanie ojca innymi kobietami musiało urastać w oczach syna do czegoś absolutnie niedopuszczalnego. Być może więc na atmosferze domu Kaczyńskich nie zaciężał wcale romans ojca – prof. Gogół twierdzi, że plotka była tylko plotką – tylko jego stosunek do kobiet. Skłonność do uwodzenia, chęć podobańca się, bycia zauważonym.

/



**/ Nowotwór**

Statki, które mijają się nocą,  
w przelocie do siebie coś mówią.  
Daleki znak, syreny zew,  
co znów w ciemnościach się gubią.  
Tak i my w życiu oceanie  
mówimy, a ktoś nas słyszy,  
Spojrzenie tylko, tylko głos,  
tylko znak – potem znów ciemność i cisza.

Ten wiersz Henry’ego Longfellowa przyniosła mi jedna z rozmówczyń, która przez lata utrzymywała relacje z rodziną Kaczyńskich. Jak mówi, Jadwiga, Jarosław i Rajmund byli właśnie jak te statki mijające się nocą. Mieszkali pod jednym dachem, ale żyli osobno. Z jednej strony – mama i syn, a z drugiej – tata. Trwało to aż do śmierci pana Rajmunda.

1 września 2002 roku. Na Żoliborzu zbierają się najbliżsi – pani Jadwiga, syn Jarosław, Lech z żoną i wnuczka Marta – oraz kilkoro przyjaciół. Mimo że Kaczyński senior obchodzi 80. urodziny, atmosfera jest taka sobie.

– Nawet w takiej chwili czuć było tam chłód – wspomina Wołłowicz.  
– Padały drobne złośliwości pod adresem Rajmunda.

Niecałe dwa lata później, 1 sierpnia. Kaczyński senior po raz ostatni w życiu przyjeżdża na Powązki, żeby wziąć udział w uroczystościach powstańczych. Rocznicą jest okrągła i obchody, za które odpowiada jego syn

Lech, wówczas prezydent Warszawy – mają godną oprawę. Otwarto muzeum, w miejskich autobusach można poczytać wiersze wybrane przez warszawskich powstańców, wśród których biuro prezydenta wymienia z rozpędu panią Jadwigę.

Rajmund Kaczyński jest już bardzo słaby. Pod bramę cmentarza podwozi go auto z kierowcą, dalej idzie sam. Gdy doczłapie do pomnika Gloria Victis, zachwieje się i mało nie upadnie.

– Żaden z synów go nie podtrzymał, nie było przy nim nikogo – opowiada Stadnik. – Był w takim stanie, że nie miał siły wyjść z Powązek. Poprosiłam o meleks, ale nawet do niego ledwo doszedł.

Rak zżerał go od dawna. Mimo że pan Rajmund palił jak smok – potrafił rozżarzać jednego papierosa od drugiego, w jego pokoju na Żoliborzu było zawsze siwo od dymu – to chorobę wykryto przypadkiem. Dostał zapalenia płuc. Lekarka przysłała do domu, osłuchiwała go i kazała jechać do szpitala na badania. Diagnoza była gotowa jeszcze tego samego dnia. Nowotwór płuc.

Palenie ojca było zresztą kolejną kością niezgody w domu. Pan Rajmund palił nie tylko w swoim pokoju, ale w całej willi. I przez lata robił to jako jedyny w rodzinie. Znajomy z Instytutu wspomina, że gościł kiedyś u Kaczyńskich na kolacji. Było bardzo sympatycznie, gospodyni podała smaczną rybę, ale pan Rajmund ani razu nie wyszedł na papierosa. Cały czas palił przy stole. Niewykluczone, że mama przyplaciła to zdrowiem. Jedną najczęstszych przyczyn przewlekłej obturacyjnej choroby płuc, na którą cierpiała, jest właśnie palenie. Także bierne.

– W ostatnich lata życia – opowiada Jeżewska – Rajmund dużo czasu spędzał u naszej wspólnej przyjaciółki Alusi. Przyjeżdżał taksówką, od progu ogłaszał, że jest głodny, i pytał, czy może coś zjeść. Po obiedzie rozsiadał się w fotelu, zapalał papierosa, drzemał.

– Miała z nim pani kontakt aż do jego śmierci?

– Tak. Którego dnia Rajmund zadzwonił ze szpitala i poprosił Alusię, żeby przywiozła mu komplet męskich ubrań po nieżyjącym mężu. Garnitur, czystą koszulę.

– Po co?

– Alusia też o to spytała. Powiedział, że chce się wypisać na własną prośbę, bo się boi, że oddadzą go do hospicjum.

– Kto?

– Bliscy.

– Przyniosły mu panie te ubrania?

– Nie, przecież lekarze i tak nie wpuściliby Alusi do szpitala.

Pan Rajmund nie trafił do hospicjum, po wyjściu ze szpitala wrócił prosto na Żoliborz. Jeżewska zdążyła jeszcze zadzwonić do niego do domu. Odebrał Jarosław. Powiedział, że tata czuje się źle i chyba nie pojejdzie, ale pan Rajmund to usłyszał i przyjął telefon.

– To była pani ostatnia rozmowa z ojcem braci?

– Tak, chociaż trudno to nazwać rozmową. Bardzo się skarżył.

– Na co?

– Że nie dają mu w spokoju odejść.

Dwa dni później Rajmund Kaczyński umiera. Jest 17 kwietnia 2005 roku. Bracia za pół roku mają wygrać podwójne wybory i objąć pełnię władzy w Polsce. Na razie są w trakcie kampanii, na którą rodzinny dramat właściwie nie wpływa. W dniu odejścia taty Jarosław gości w porannej audycji Radia Zet. A nazajutrz na wywiad radiowy przychodzi Lech – ma na sobie zwyczajny, nieżałobny strój. Żaden z nich nie wspomina o śmierci ojca. Prasa jej nie odnotowuje, partyjni współpracownicy – też nie. Jeden z nich po latach skonstatuje: – Gdy mama się zaziębiała, Jarosław mówił o tym wszystkim jeszcze tego samego dnia. O śmierci taty dowiedziałem się przypadkiem, z kilkutygodniowym opóźnieniem.

Wbrew temu, co będą pisać później gazety, pan Rajmund wcale nie umiera na nowotwór.

– Robiliśmy mu napromieniowanie – wspomina Wiesław Lasota, lekarz z warszawskiego Centrum Onkologii, który opiekował się Kaczyńskim seniorem – i rak się zatrzymał. Zmarł na niewydolność krążenia.

Pogrzeb jest cichy – nie zawiadomiono o nim mediów, w głównych gazetach nie było nekrologów zamówionych przez rodzinę – ale godny. Tata braci zostaje pochowany jako żołnierz. W asyście wojskowej i z mszą w Katedrze Polowej, którą odprawia zaprzyjaźniony z rodziną ks. Roman Indrzejczyk. Pan Rajmund spocznie na Powązkach w rodzinnym grobowcu, w którym leżą jego rodzice: Franciszka i Aleksander Kaczyński. Jeden z wieńców, który trafi na marmurową płytę, będzie pochodzić od partii syna.

– Na pogrzeb przyszło mnóstwo przyjaciół Rajmunda – wspomina Stadnik. – Z samej „Bazty” było 30 osób. Z rodziny nikt nie zabrał głosu, ale na szczęście jeden z kolegów wygłosił ładną mowę pogrzebową. Po dwóch dniach dostałam telefon od pani Jadwigi, która poprosiła mnie o powiadomienie ludzi z pułku o mszy świętej w kaplicy Muzeum Powstania Warszawskiego w intencji Rajmunda i wspomnieniowej herbacie. Stawiło się 20 osób. W roli gospodyni występowała tam synowa Rajmunda, pani Maria.

– Jarosława Kaczyńskiego i pani Jadwigi nie było?

– Byli, ale czułam od nich chłód. Jedna z koleżanek zagadnęła pana Jarosława o tatę. Miło, ale bezpośrednio. Wie pan, my, ludzie z Powstania, jesteśmy już starzy, i dzieci naszych przyjaciół traktujemy jak własne. Pan Jarosław ofuknął ją, bardzo nieprzyjemnie na nią naskoczył.



13 miesięcy później przewodniczący Samoobrony Andrzej Lepper obejmuje tekę wicepremiera w rządzie Prawa i Sprawiedliwości. Hanna Stadnik nie wytrzymuje. Łapie za telefon i dzwoni na Żoliborz.



– Dzień dobry, panie Jarosławie. Tu mówi koleżanka pańskiego taty. Jak pan mógł wziąć takiego człowieka do rządu? Przecież to się w głowie nie mieści.

– Ale...

– ...proszę mi nie przerywać i wysłuchać do końca! Wasz tata w grobie się przewraca, patrząc na to, co wyprawiacie. Chcę, żeby pan to wiedział. Dziękuję, że mnie pan wysłuchał. Do widzenia.

Kilka miesięcy później Stadnik zadzwoni na Żoliborz ponownie, ale usłyszy komunikat, że wybrany numer nie istnieje.

/





# BLIŹNIACY

Buzie / Wspólne życie /  
Gabinet profesora Boucharda /  
Układ / Więż paradoksalna /  
Brat nad bratem / Przeklęta ziemia /  
Życie wśród duchów /  
Mit /

**/ Buzie**

Patrząc na tych chłopców, można by pomyśleć, że zawsze maszerują noga w nogę. Do szkoły razem, na boisko razem, wszędzie razem. Kiedy stoją na przerwie, jednakowo biorą się pod boki. Jak ruszają, jeden drugiego podtrzymuje ramieniem. A gdy się czymś zainteresują, składają usta w identyczny dzióbek. Dzieje się to nieczęsto, bo na lekcjach mało co ich zaciekawia. Obaj mają dużą wiedzę, ale są przemądrzali. Gdy w szkole ktoś się głupio odezwie, zaraz posyłają mu to samo powłóczyście spojrzenie. Jakby chcieli powiedzieć: – Jak ty nic nie rozumiesz!

A gdy usłyszą od kolegi z klasy, że Katyń był robotą Niemców, najpierw udzielają mu historycznego wykładu, a na końcu mało nie rzucają się z pięściami.

Mają takie same buzie i gęste czupryny. Nawet uszy im równo odstają (to po tacie), a za uszami identycznie kręcą się loki. Postury też są jednakowej. Obaj drobni, ręce kościste, nogi jak patyki wygięte w iks, ale klatki bębniaste. Bez względu na porę roku zawsze są identycznie ubrani. Zimą noszą jednakowe białe czapki z pomponami i kożuchy z futrzanymi kołnierzami. Wiosną – takie same dziecięce marynarki, spodnie w szkocką kratę, ogrodniczeki, rajstopy z równo odznaczonymi kolanami i dwurzędowe palta na cztery guziki. Latem – bluzki w te same wzorki, identyczne trampki, beżowe podkolanówki, kąpielowe majtki, spodenki w kratkę, buty z klamerkami i sandały. W chłodniejszy dzień nawet tak samo wykładają kołnierzyki swetra na swoje białe kurtki.

Chłopcy od małego wszystko robią razem, ale wolą, żeby ich traktować osobno. Żaden nie chce być lustrzanym odbiciem drugiego.



Ze względu na niski wzrost nie mają łatwego życia w szkole, ale kto popchnie jednego, zaraz ma do czynienia z dwoma. Nie biją się najlepiej, częściej sekundują potężniejszym kolegom, zawsze we dwóch. Stopnie mają przeciętne. Szkoda im czasu na naukę, w wolnym czasie wolą czytać książki i gazety. Za to lubią zadawać nauczycielom pytania, które rówieśnikom nie przyszłyby do głowy. Kiedy patronem podstawówki zostaje komunista, którego zwolniono z niemieckiego obozu koncentracyjnego, mały Jarek pyta kierownika szkoły: – Jak to? To można było tak sobie wychodzić z obozu?

Wśród nauczycieli nie ma takiego, który by ich potrafił rozróżniać. Kiedy w liceum Jarek ma być pytany z angielskiego, wysłała do odpowiedzi brata, który jego zdaniem ma większe zdolności językowe. Nauczycielka nie tylko się nabiera, ale jeszcze konstatuje z satysfakcją: – Wy mnie zawsze chcecie oszukać, ale wy mnie nigdy nie oszukacie. Ja was zawsze rozróżnię.

Z matematyki i fizyki za Leszka odpowiada Jarek, któremu lepiej idzie z przedmiotami ścisłymi (to umiejętność odziedziczona po tacie). Ale na polskim znów musi go ratować Lech. Bracia są już wtedy w różnych klasach, ale z romantyzmu pyta ich ten sam nauczyciel, pan Roszkowski zwany „Szczurem”. Kiedy Leszek podający się za Jarka skończy, zdezorientowany „Szczur” powie:

– Słuchaj, czy ty się uczysz z bratem? Bo ty tak świetnie umiesz, a twój brat nie.

W efekcie Jarek dostaje na okres czwórki z plusem, a Leszek dwójkę. Musi interweniować mama. Leszek zostanie przeniesiony z liceum Lelewela, do którego chodzą dzieci lewicujących inteligentów, komunistów, inżynierów. Od tej pory będzie chodzić do robotniczego DWLotu.

Zdjęcie z rodzinnego albumu, zrobione u kogoś w domu (może na Saskiej Kępie?): Leszek kuca przy suce bokserce i miętosi jej skórę na grzbiecie, a Jarek siedzi na poręczu kwiecistego fotela. Leszek pogodnie

uśmiecha się do obiektywu, a Jarek patrzy w dal nieobecny. Zdjęcie zrobiono we wrześniu 1964 roku. Bracia mają na nim 15 lat. Powoli zbliżają się do matury, ale wyglądają, jakby dopiero kończyli podstawówkę.

Obaj mają dziecinnie twarze i odstają od rówieśników. Koledzy z liceum mają już dziewczyny, piją alkohol na prywatkach, a Jarek z Leszkiem – prosto ze szkoły do domu. Do kawiarni nie pójdą, bo boją się, że kelner wyprosi ich za młodzieńczy wygląd. Dziewczyn nie podrywają, bo mają metr sześćdziesiąt siedem wzrostu i są wstydlivi.

Chłopcy noszą takie same ubrania i mają podobne kompleksy, ale wolą, żeby ich traktować osobno. Żaden nie chce być lustrzanym odbiciem drugiego.

Kawiarnia na Felińskiego, parę kroków od starego mieszkania Kaczyńskich. Koleżanka braci z podstawówki Hanna Perkowska podnosi ze stołu dwa zdjęcia klasowe.

Pierwsze zrobiono na boisku. Jest lato – chłopcy kucają w krótkich spodenkach, dziewczynki są w spódnicach i sukienkach. Druga fotografia pochodzi z balu szkolnego w 1957 roku. Wszystkie dzieci są w przebraniach górników, żołnierzy, księżniczek.

– Niech pan poszuka Kaczyńskich – prosi pani Hanna.

Łatwiej mi idzie ze zdjęciem z boiska. Jarek siedzi w pierwszym rzędzie po lewej stronie, Leszek – w drugim po prawej. Na balu wyłapuję tylko jednego z braci. Ma na głowie papierową czapkę przyozdobioną paskami kolorowej krepiny. Ale gdzie jest drugi?

Pani Hanna przychodzi mi z pomocą. Ten drugi – to chyba Jarek? – stoi dwa rzędy nad Leszkiem. Jest w identycznej czapce, tyle że w przeciwieństwie do brata znowu nie patrzy w obiektyw.

– Spodziewał się pan, że będą pozowali jeden przy drugim? Nic z tego, zawsze stawali do zdjęć osobno.

W rzeczywistości małym Kaczyńskim bliźniactwo ciąży.

Z programu „Ona i on”:



– Czy posiadanie brata bliźniaka determinuje? Rodzice ubierali was tak samo? – pyta Domagalik.

– Dłuższy czas ubieraliśmy się tak samo. To jest takie życie podwójne. Jak jest klasówka, to jest najpierw pytanie, co brat dostał, a dopiero potem, co samemu. Bliźniactwo to jest doświadczenie bardzo, ale to bardzo korzystne, bo obniża poziom egoizmu, poziom tego wszystkiego, co łączy się z nadmiernym ukochaniem siebie.

– A dlaczego was w szkole rozdzielono? Nauczyciele pewnie nie wiedzieli, kogo pytają?

– Nie, nie. Leszek wolał być w jednej klasie, a ja w drugiej. Rozdzielenie było dla nas ulgą na poziomie życia w szkole. W tym sensie, że człowiek wreszcie się interesuje tylko tym, co on sam robi. To było obciążenie o charakterze psychicznym. Człowiek był zadowolony dopiero wtedy, jak jemu poszło dobrze i mnie poszło dobrze. A kiedy się było samemu, to się pytało tylko o siebie.

Leszek z kolei zasugeruje po latach, że siadanie w oddzielnych ławkach i rozdzielenie do różnych klas było buntem. Przeciwno byciu identycznym, noszeniu tych samych ubrań.

Zresztą czy bracia naprawdę są jednakowi?

– Nauczyciele ich mylili, ale ja ich rozróżniałem bez pudła – twierdzi Marek Maldis, kolega szkolny z Lelewela.

To jemu bracia sekundują podczas bójek. Maldis jest uczniem rozrabiającym i nie dotrwa w Lelewelu do matury. Wcześniej przeniosą go do szkoły z internatem w Aninie. Po czym rozpoznaje Kaczyńskich? Na przykład po głosach. Albo po pieprzyku zdobiącym lewy policzek Leszka.

Mama widzi coś jeszcze. Dla niej Leszek ma buzię bardziej okrągłą, a Jarek – pociągłą. Z czasem tych różnic przybywa. Leszkowi przestają na przykład odstawać uszy (chyba że to kwestia odrośniętych włosów, które mają maskować defekt). A Jarkowi zostają po stare – szpiczaste i odchylone.

Jego rysy twarzy jakby się do nich upodobniają, z wiekiem robią się bardziej wyraziste. Nozdrza stają się szersze, usta nabierają wydatności, kości policzkowe zarysowują się mocniej niż u brata.

To niesamowite: te buzie zmieniają się zgodnie z usposobieniem braci.

– Mieli różne charaktery. Leszek był bardziej refleksyjny, a Jarek – ostrzejszy – mówi Maldis.

Rodzina też to zauważa. W rozmowach z koleżankami mama zaznacza, że Jarosław częściej broi i jest bardziej skłonny do chłopięcych zabaw. Wspiną się po dachach, lubi wygłupy. Ale z drugiej strony jest krnąbrny i nie szuka towarzystwa poza domem. Po prostu lubi być sam.

„Jarek – opowie potem mama w wywiadzie. – jest typem samotnika. Ma przyjaciół, wypróbowanych od lat, ale nie otacza się tłumami. Odpoczywa, jeżdżąc po Polsce. W lesie, na wsi – spokojnie”.

Z kolei Leszek ma w sobie więcej łagodności i jest łatwiejszym dzieckiem. Przyjdzie, opowie, co w szkole, zwierzy się z kłopotów i z tego, co czuje. W wieku 18 lat siada i mówi: – Mama, znajdę żonę i założę rodzinę. Będę mieć dwójkę dzieci. Córkę i syna. Dam mu na imię Stefan.

Jarek takich rzeczy nie opowiada. Do dzieci go nie ciągnie, poza tym jest zamknięty i – martwi się mama – ma niską samoocenę.

Leszek to ukochany wnuczek babci Jasiewiczowej, matki pani Jadwigi. Faworyzuje go także tata. A mama? Chyba niestety też. „Leszek był taką moją wielką miłością” – wyzna w jednym z ostatnich wywiadów pani Jadwiga.

W przeciwieństwie do brata Leszek łatwo nawiązuje znajomości wśród szkolnych kolegów. „Lubi być wśród ludzi – mówi mama. – ma masę przyjaciół, w towarzystwie czuje się najlepiej”. Nie odrzuca znajomości z walterowcami, którzy stanowią licealną elitę: Ewą Skrzypek, Hanną Szymanko, Konradem Bielińskim czy Maldisem. Jarosław nie umie – albo raczej nie chce – odnaleźć się w ich gronie. Widzi, że walterowcy budują wokół siebie środowisko, ale on nie ma ochoty się

podporządkować. Nie czuje się ani gorszy, ani głupszy. Bratu mówi, że to komuna i odciąga go. – Oni do nas nie pasują – przekonuje.

To znamienne: nie my – do nich, ale oni – do nas. Jarosław ma inne poglądy od walterowców i lubi ich prowokować. Gdy już na studiach Szymanko przyniesie mu do podpisu list w obronie „Dziadów” Dejmka i zacznie mówić o Polsce „moczarstwowej”, Jarosław powie z przekorą:

– Może byłaby lepsza niż gomulłowska?

Jarosław nie jest wyznawcą Mieczysława Moczara, ale niektóre zmiany, jakie przynoszą jego czasy, przyjmuje z zadowoleniem. Podoba mu się na przykład, że na lekcjach śpiewu zaczynają uczyć „Marszu Mokotowa”.

W Lelewelu bracia poznają Lejba Fogelmana. Ale znów: bliżej zakoleguje się z nim Leszek. Usiądzie z nim w ławce, będzie chodzić do niego do domu, dyskutować z nim o Kołakowskim, opowiadać dla żartu, że jego tata ma związki z Moczarem. Jarosław też polubi Łońkę – pospiera się z nim o „Marksizm a jednostkę ludzką” Adama Schaffa – ale jednak będzie trzymać się trochę z boku.

Maj 1967 roku, bracia właśnie zdali maturę. Leszek postanawia, że po raz pierwszy w życiu się upije. Kupuje pomarańczówkę, wino i jedzie do Legionowa, gdzie kolega Tadek Sierakowski ma wolną chatę. Jarosław zostaje z mamą w domu. Gdy Leszek wraca do domu wężykiem, on, trzeźwiutki, wychodzi po niego na przystanek. Nazajutrz będzie patrzeć, jak brat prosi o miskę i wymiotuje po wieczornym picciu.

Kto dowodzi w tym duecie? Mama nie ma wątpliwości, że bardziej wsobny z braci. – Całe życie kierownikiem był Jarek – wyzna po latach znajomej.

Kuzyn Wiktor, który obserwował Kaczyńskich podczas wakacji w Odesie, potwierdza: – Ja też nie miałem w tej sprawie wątpliwości. Lech był spokojniejszy, a Jarosław bardziej żwawy. Dominował nad bratem.

Sąsiadka z parteru na Lisa-Kuli: – Jarek zawsze kroczy pierwszy, a za nim z teczką leci Leszek. Zawsze tak to wyglądało, nawet jak już chodzili na studia.

**/ Wspólne życie**

Studia zaczynają się jesienią 1967 roku. Bracia czekają na nie z niecierpliwością. Liczą na ciekawsze przedmioty i poważniejsze towarzystwo. Może wreszcie ich niedojrzały wygląd przestanie grać taką rolę jak w liceum. Skończyli 18 lat i chcą po raz pierwszy poczuć się naprawdę dorośli.

„Bardzo poważnie podszedłem do pełnoletniości – wspomni Jarosław. – Uznałem, że to coś ważnego. Wśród osób, z którymi żyłem, przyjmowało się też, że student w przeciwieństwie do ucznia to ktoś dorosły, który jest jeszcze na garnuszku, ale już ma prawo człowieka dorosłego”.

W wywiadach bracia będą też opowiadać o nadziei na aktywność polityczną, którą miałyby przynieść studia. Okazja przychodzi bardzo szybko. Pod koniec stycznia 1968 roku cenzura zdejmuje z Teatru Narodowego „Dziady” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Jarosław jednak bierze od Szymanko tekst protestu i chce z bratem zbierać podpisy na wydziale prawa. Idzie bardzo opornie.

W marcu zaczyna się bunt studentów. Kaczyńscy idą na demonstrację, Jarosław wznosi okrzyki, Lech wyłapuje uderzenie pałką, ale ich rola w sumie sprowadza się do statystowania w tłumie.

Może to jeszcze za wcześnie? Bracia są dopiero na pierwszym roku.

„Alfabet braci”, wspomina Lech: „To był piątek, dla naszego roku wolny dzień. Przed dwunastą pojawiliśmy się na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Proszę pamiętać, że studiowaliśmy dopiero kilka miesięcy, nie znaleźliśmy nawet wszystkich studentów z naszego roku. I nagle zobaczyłem

grupę kolegów z wydziału. Szli razem, trzymając się pod ręce. Nie wiedziałem — są za czy przeciw? Szybko okazało się, że to uderzenie grupy działaczy Związku Młodzieży Socjalistycznej. Krzyczeli »michnikarze precz z uczelni!«. Wśród nich dostrzegłem niebieskie oczy kolegi Kusztelaka, starszego od nas, choć z pierwszego roku. Wcześniej studiował romanistykę. Potem w naszym kręgu ukuto określenie »kusztelakowcy« na określenie młodych zwolenników partii (...). Zaczęło być głośno. Jarrek krzyczał hasła. Obok nas stał Jarosław Weintraub, niewysoki, rudy »komandos« drugiego szeregu. Demonstracja przeszła spod budynku biblioteki pod budynek rektoratu. Prorektor Zygmunt Rybicki wyszedł na balkon. Z naszej strony pojawia się delegacja, w składzie której dostrzegłem Jadwigę Lewicką, czyli dzisiejszą profesor Jadwigę Staniszkis, którą znałem już z zajęć z socjologii. Wiec właściwie się już rozchodził, gdy rozeszła się dziwna wieść, że »pomoc przyszła«. Z daleka zobaczyłem dla kogo. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem oddział gołędzinowców, dziś powiedzielibyśmy ZOMO. W hełmach, z pałkami. Ruszyliśmy w tamtą stronę. Lecz nagle idąca przed nami grupa mężczyzn, cywilów, rozwija się w tyralierę i wyciąga pały. Dostałem. Poczulem suche uderzenie, ból pojawił się następnego dnia. Uszliśmy, korzystając z ochrony robotników prowadzących na terenie uniwersytetu proste prace budowlane. Gdy zobaczyli, co się dzieje, porwali łopaty i ruszyli na pałkarzy. Tamci się natychmiast cofnęli (...). Po drodze zdołaliśmy wsadzić dziewczyny przez parterowe okna do budynku wydziału historii.

Tu nie pamiętam dokładnie – ale możliwe, że na chwilę też tam zaszliśmy. Potem pamiętam kolejną scenę: wrzaski, krzyki, mnóstwo ormowców krzyżących: »gówniarze, uciekać stąd!«. Wyszliśmy na Krakowskie Przedmieście, gdzie trwała już regularna bitwa (...). Studenci odpowiadali. Ogromne zamieszanie.

Szczególnie odznaczała się jedna z grup atakujących gołędzinowców — wbiegała do kościoła Świętego Krzyża, po czym po chwili znowu ude-

rzała (...). Przez chwilę tam byliśmy, po czym przez wielkich ormowców zostaliśmy wypchnięci poza teren bitwy.

Udało nam się dostać do domu. Następnego dnia rano poszliśmy na zajęcia WF-u, które odbywały się na terenie klubu »Polonia«. Tam dowiedzieliśmy się, że coś się będzie działo na Politechnice. Jarek zarządził: »jedziemy na Politechnikę«. Pojechaliśmy, zresztą wspólnie z obecnym ministrem skarbu państwa Wojciechem Jasińskim. Na tym wiecu Weintraub ogłosił, że delegacja wysłana poprzedniego dnia do rektora Rybickiego została aresztowana. Tam też wznoszono okrzyki »prasa kłamie!«. To była reakcja na notatki z gazet o »wichrzycielach« i »awanturkach«. Padło hasło marszu pod »Sztandar«. I ulicą Polną ruszyła demonstracja (...). Pod redakcję »Sztandaru Młodych«, która mieściła się w okolicach placu Unii Lubelskiej. Po drodze zaczął się atak na naszą, kilkutysięczną grupę. Przeskoczyliśmy jakimiś podwórzami na Marszałkowską. Tam zobaczyłem, jak zatrzymują się samochody, coś w rodzaju nysek, wysypują się z nich milicjanci i walą kogo popadnie. Jakaś otyła kobiecina, na pewno nie studentka, jest okładana pałami, ciągną ją do samochodu. Chodziło o zastraszenie, spacyfikowanie miasta. Proszę pamiętać, że w tych wydarzeniach bierze udział pewnie kilka tysięcy studentów, ale większość mieszkańców żyje codziennym rytmem.

Wskakujemy do tramwaju, a po chwili widzimy z jego okien grupę studentów idących Marszałkowską przed Alejami Jerozolimskimi, na wysokości ówczesnej Składnicy Harcerskiej. Wyskakujemy z tramwaju i oczywiście się dołączamy (...). Zamieszanie, gonią nas, pałują ludzi. Ale niespodziewanie jedzie autobus, zatrzymuje się, wpuszcza ludzi i natychmiast zamyka drzwi. Wpadamy do niego z Jarkiem i dwoma kolegami. Rusza i staje aż na placu Zamkowym, gdzie kończył trasę. Wtedy zorientowałem się, że jestem bez buta! A proszę pamiętać, że jest 9 marca, zimno. To przeważało — wskakujemy do taksówki i jedziemy do domu. Następny dzień upływa spokojnie, bo to niedziela”.

I Jarosław: „Pamiętam, jak staliśmy na dziedzińcu Uniwersytetu, na wiecu. Wszyscy studenci podnosili pięści za Ireną Lasotę, która, stojąc na balkonie, zrobiła to jako pierwsza. Mnie to bardzo złościło, bo to komunistyczny gest, ale też podnosiłem. Byłem przekonany, że ten ruch nie wygra, nie identyfikowałem się z nim do końca, ale to był dylemat: bić się czy nie bić. Obowiązkiem było się bić”.

Pięć miesięcy po demonstracjach nadarzy się druga okazja, by się wykazać.

W sierpniu 1968 roku Kaczyńscy jadą na obowiązkowy obóz wojskowy dla studentów. Towarzystwo jest doborowe – kilkuset chłopców, w większości z inteligenckich domów. Jest syn urzędującego wicepremiera Andrzej Jaroszewicz, który od rana do wieczora paraduje po jednostce w pasie oficerskim. Ale też przyszli profesorowie, znani dziennikarze, prawnicy: Andrzej Rzepliński, Marek Safjan, Tomasz Gruszecki, Janusz Atlas, Stefan Szczepłek, Bogusław Wołoszański, Fogelman.

Aktywiści Związku Młodzieży Socjalistycznej są tu w mniejszości. Gdy przysięga wojskowa dochodzi do słów o wierności Związkowi Radzieckiemu, trzy czwarte placu apelowego milknie. Kaczyńscy też się nie odezwą.

Wspomina prof. Gruszecki, dziś profesor ekonomii i wykładowca: – To był jeden wielki cyrk. Otwarcie nabijaliśmy się ze zgrzebności PRL-owskiego wojska.

W sensie fizycznym obóz jest jednak uciążliwy: wielogodzinne marsze w palącym słońcu, ciągłe zbiórki, czołganie się. Kaczyńscy jako najmniejsi w kompanii zawsze idą w ostatniej czwórce. Starym zwyczajem zaliczają też za siebie strzelanie i inne ćwiczenia. Dowódca jednostki pułkownik Florczak, który wszędzie poruszają się ze sztuceredem na ramieniu i rudym wyżłem przy nodze, nawet nie próbuje ich rozróżnić.

**Bracia są dojrzały i interesują się dorosłymi sprawami, ale nie wyglądają na swój wiek. Tu mają czternaście lat. Między nimi – babcia Stefcia i kuzyn Janek.**





21 sierpnia, nocna pobudka. Florczak ogłasza: wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji.

Któryś z aktywistów ZMS podłapuje to i zgłasza pomysł przygotowania listu poparcia dla – jak to określa – bratniej pomocy, ale inicjatywa napotyka na bierny opór reszty. Gorliwego działacza otwarcie atakuje tylko dwóch studentów. Jednym z nich jest Gruszecki.

– Kaczyński nie zabierali w tej sprawie głosu? – pytam go.

– Nie. Stosunek większości kolegów był szyderczy, ale sprzeciw zgłosiliśmy tylko my dwaj.

A więc bracia, podobnie jak w marcu, objawiają się po stronie dobra, ale znów jedynie w rolach drugoplanowych. Płyną z głównym nurtem grupy. Dają się nieść nastrojowi większości, ale nie wrywają się do pierwszego szeregu tak, jak robili to w Lelewelu podczas klasowych dyskusji o Katyniu. Może wciąż zbierają się w sobie?

W sytuacjach prywatnych, gdy siedzą w zaufanym gronie kolegów, są jednak śmielsi. Szczególnie że studia to czas, gdy Jarek zaczyna popijać. Jest niewprawiony, więc czasem go ponosi. Ktoregoś popołudnie idzie z bratem i dwoma nowymi kolegami z grupy – Maciejem Łętowskim i Sławomirem Popowskim – do Fukiera na piwo.

Dyskusja jak zawsze o polityce, a dokładniej o tym, co kto robi, jak dojdzie do władzy.

– A ja to będę wieszal komunistów na latarniach – odzywa się nagle Jarosław. W przeciwieństwie do brata i kolegów nie wygląda, jakby żartował. Ma zaciśnięte zęby i minę taką, jaką musiał mieć warszawski szewc Wojtek w „Olszynie grochowskiej”, którą w dzieciństwie czytała mu mama. On też chciał wieszać na latarniach, tyle że nie komunistów, ale „jenerałów i ślachciców”.

Inna sytuacja: chłopcy po zajęciach przechodzą obok odbudowywanego Zamku Królewskiego.

– Dobrze, dobrze. Musimy doglądać budowy, bo kiedyś będziemy z tego budynku korzystać.

Popowski jest najstarszy z całej czwórki. Zaczął studia rok wcześniej, ale wciągnęło go hipisowskie towarzystwo, zawalił sesję i musiał repetować.

– Kaczyńscy śmiali się, że jestem austromarksistą – wspomina.

Po burzliwych latach 70. została mu gęsta i starannie wypielegnowana broda, dziś już mlecznobiała. Popowski to dziś nobliwy pan w klubowej marynarce, który podczas rozmowy pyka fajkę. Jest letnie przedpołudnie, siedzimy w ogródku przy Krakowskim Przedmieściu.

– A oni jacy byli?

– Różnili się. Jarek już wtedy traktował politykę jako grę i w przeciwieństwie do socjalistycznego Leszka był bardziej endecki.

Jarosław przyzna się do tych fascynacji po latach. Powie, że w liceum był pod wrażeniem „Polityki polskiej i odbudowania państwa” Romana Dmowskiego. Stwierdzi też, że gdyby wtedy spotkał na swojej drodze młodych narodowców, to pewnie pozeğlowałby razem z nimi.

– A towarzysko?

– Ciekawi. Spędzaliśmy ze sobą dużo czasu, chodziliśmy czwórką i dyskutowaliśmy o polityce, często przy alkoholu. U Hopfera piliśmy wino, w Kubusiu i u Fukiera – piwo, a w Harendzie – herbatę. Mój ojciec ich bardzo lubił. Kiedyś nawet postawił im wódkę, jak przyjechali do mnie na Kawęczyńską.

Kawęczyńska, czyli Praga – blisko szkoły, w której pod koniec lat 60. uczyła mama braci.

Lech twierdzi w „Alfabcie”, że „na studiach miał mnóstwo koleżanek, może nawet więcej niż przeciętny facet”. Z kolei Sławomir Cenckiewicz, pisze w jego biografii tak: „Jarosław nie przepadał za prywatkami, a zabawy sylwestrowe raczej omijał. Natomiast Lech z radością rzucał się w wir tanecznych pługów z koleżankami z uniwersytetu. Zawsze odpowiadał na prywatkowe zaproszenia, a w sylwestra bawił się do samego rana”.

– Spotykał ich pan na prywatkach? – pytam Popowskiego.

– Nie. Jak chcieliśmy z Maćkiem pójść się pobawić czy poderwać dziewczyny, to szliśmy bez nich.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się to oczywiste. Kaczyńscy byli od rozmów o polityce, a nie od prywatek.

Opinię Popowskiego można chyba uznać za miarodajną. On sam przez skromność o tym nie wspomina, ale od jego znajomych wiem, że na studiach prowadził rozrywkowy tryb życia i cieszył się powodzeniem u dziewcząt.

Bracia poznają Popowskiego i Łętowskiego na proseminarium (później przekształconym w seminarium) z teorii państwa i prawa. Skład grupy jest bardzo ciekawy – oprócz wymienionej czwórki w zajęcia uczestniczy jeszcze m.in. Wołoszański – ale najbardziej interesujący jest prowadzący: prof. Stanisław Ehrlich, wybitny teoretyk prawa i socjologii, znawca mechanizmów władzy. Profesor bardzo angażuje się seminarium, ale nie wie, że będzie jedną z najważniejszych postaci w procesie formacyjnym młodego Jarosława.

Ehrlich urodził się w Przemyślu, w znanej galicyjskiej rodzinie adwokackiej. Studiował na uniwersytetach we Lwowie oraz w Krakowie i był zdeklarowanym marksistą. Fascynował się założycielem Włoskiej Partii Komunistycznej filozofem Antoni Gramscim i niemieckim teoretykiem socjalizmu Karolem Kautskym.

Podczas okupacji jego rodzinę wymordowali hitlerowcy, a on sam trafił do batalionów pracy przymusowej na Uralu. Jak pisze Cenckiewicz w biografii Lecha Kaczyńskiego, publikował w kolaboracyjnym „Czerwonym Sztandarze”, działał w Związku Patriotów Polskich i Polskiej Partii Robotniczej, był żołnierzem Armii Czerwonej, a także dosłużył się stopnia majora w ludowym Wojsku Polskim.

„Po wojnie – opowiada w „Alfabcie” Jarosław – Ehrlich zgłosił się do Romana Zambrowskiego, że chce tworzyć pismo prawnicze. Tamten spytał:

– to nie chcecie do polityki? – Ja tak rozumiem politykę – odpowiedział Ehrlich. Był szefem pisma »Państwo i Prawo« do 1966 roku. Był też ważną postacią na wydziale prawa”.

– Mówiło się, że za Stalina trząśł całym uniwersytetem – opowiada Popowski. – W sensie naukowym interesowały go grupy nacisku i grupy interesu, szczególnie w społeczeństwach kapitalistycznych. Chciał badać ich działanie także w socjalizmie, ale że nie mógł nazwać tego wprost, to stworzył zespół badawczo-naukowy „Organizacje społeczne i ich normy”, którego my zostaliśmy członkami. Kiedy trafiliśmy do niego na proseminarium, był już w politycznej niełasce, bo po 1956 roku przeszedł na pozycji rewizjonistyczne.

„W 1966 roku może w przeczuciu antysemitycznych czystek – ciągnie Jarosław – zrezygnował z kierowania »Państwem i Prawem«. A dwa lata później odebrano mu katedrę (...). W 68. roku seminarium się zachwiało, ale zdołał je utrzymać. To nas z tym trudnym człowiekiem zintegrowało. Zaczął nas zapraszać do kawiarni. Mówił więcej o polityce niż o prawie. Można się było od niego mnóstwo dowiedzieć o funkcjonowaniu ówczesnego państwa (...). Mówił, kogo na wydziale prawa uważa za agenta, a czuł te sprawy bardzo dobrze (...). W 1971 roku spotkał się z nami w kawiarni na Wiejskiej. Właśnie wtedy prezydent Egiptu Sadat wyemancypował się od Rosjan, wyrzucając radzieckich doradców. Ehrlich mówił: skoro tam można, to i tu. Gierek też mógłby to zrobić. Był tym bardzo podniecony. Myśmy to oceniali bardziej realistycznie niż on, człowiek blisko 70-letni. Potem pokładał z kolei nadzieję w załamaniu się komunistycznych zamierzeń w Portugalii. To wydarzenie było dla niego dowodem, że komunistów można pokonać. Był przeciwko systemowi, ale uważał, że będzie się zmieniał od środka. Wierzył, że w ZSRR wrócą ludzie i idee z czasów Chruszczowowskiej odwilży (...). Zapraszał nas do Bristolu, dywagował o możliwościach zmian w socjalizmie, o Gomułce (...). Równocześnie bał się prawicy, ale chciał demokracji”.

Ehrlich szybko staje się dla Jarosława mistrzem prawniczym (studentowi do przekonania trafiają zwłaszcza wykłady o społecznym charakterze prawa), ale też przewodnikiem po świecie nagiej polityki i partyjnych rozgrywek. A mechanizmy władzy interesują Jarosława najbardziej. Seminarium to dla niego podróż w nieznaną. Profesor pokazuje mu i objaśnia to, co do tej pory on tylko sobie wyobrażał i przeczuwał.

Ehrlich imponuje też tym, że jest przedwojenny. To profesor dawnego typu – zna cztery języki, ma doktorat zrobiony w latach 30., a podczas zajęć często odwołuje się do szkoły prawa, którą przeszedł w Prokuratorii Generalnej w czasach II Rzeczypospolitej. Jego stosunek do uczestników seminarium kryje w sobie paradoks, który zapewne też intryguje Jarosława.

Z jednej strony Ehrlich tworzy stosowny dystans między profesorem a studentami.

Popowski: – Maciek Łętowski, który pisał u niego doktorat, dopiero po obronie mógł zagrać z nim w tenisa. Wcześniej profesor nie dopuszczał go do takiej zażyłości. Wobec studentów był surowy i wymagający. Nie krzyczał, ale budził respekt, widzieliśmy w nim autorytet. Do dziś pamiętam jego ściągnięte usta, przez które zwracał się do nas „panie kolego”.

Ale z drugiej strony Ehrlich traktuje studentów jako pełnoprawnych dyskutantów. Zaprasza ich do kawiarni, częstuje alkoholem, tworzy indywidualne więzi.

„Zawsze coś stawiał na stół. Do dziś pamiętam taką scenę – przychodzimy w sześciu, siedmiu, na stole dwie butelki wina. Patrzymy smętnie, że to niezbyt dużo. A Ehrlich się śmieje i mówi: niech panowie zajrzą pod stół. A tam las butelek. Dopiero jego ostatnia żona, młodsza od niego o ponad 30 lat, położyła kres tym uciechom”.

Wobec profesora, który polewa wino i wskazuje agentów bezpieczeństwa wśród wykładowców, Jarosław bez skrępowania mówi, co myśli. Ale nie odstaje od grupy, nie prezentuje ostrzejszych sądów.

– Profesor ogólnie tępił postawy antyradzieckie – mówi Popowski – ale na naszym seminarium nie było takiej potrzeby. Dużo rozmawialiśmy o polityce, ale nikt z nas nie był radykalny.

Kiedy grupa kończy studia – Popowski podkreśla, że wszyscy obronili się na piątce – Ehrlich zaprasza uczestników seminarium do swojego mieszkania przy Kazimierzowskiej. Jak zwykle otwiera wino i kolejno pasuje studentów kordem na swoich doktorantów.

Jarosław i Lech bardzo liczą na kontynuację kariery na Uniwersytecie Warszawskim, ale profesor od kilku lat jest w odwrocie i nie może załatwić asystentury. Popowski pamięta, że bracia mają o to nieuzasadniony żal.

Jarosław będzie mieć kontakt z Ehrlichem jeszcze przez kilka lat. Profesor goni go do doktoratu, lobbuje w jego sprawie u władz uczelni, ale też krytykuje go za samotnicze usposobienie. Każe mu chodzić ma imienniny, dbać o kontakty towarzyskie.

Po uzyskaniu dyplomów magisterskich bracia stają przed dylematem: skoro nie można zostać na uczelni, to co dalej? Starają się o aplikację sądową, ale bez skutku. Z pomocą przychodzi mama. Uruchamia swoje znajomości i załatwia dwie posady. Asystenturę w resortowym Zakładzie Badań nad Szkolnictwem Wyższym w Warszawie i staż naukowy w Instytucie Prawa Państwowego na Uniwersytecie Gdańskim. Między synami nie ma sporu. Jarosław – zamknięty w sobie i zżyty z matką domator – zostaje. A otwarty na ludzi, łagodny i bardziej uległy Lech wyjeżdża do Trójmiasta.

Barbara Winklowska, którą pytam o ten moment w biografii braci, mówi, że na decyzji zaważyło coś jeszcze: – Leszek był bardzo związany z bratem, ale z tego, co wiem, to chciał spróbować oddzielnego, samodzielnego życia.

Jarosław nie cieszy się z tej decyzji, wolałby zatrzymać Leszka przy sobie. Po latach uzna jego wyjazd za praprzyczynę życiowej tragedii.

„Momentem, który rozstrzygnął o życiu Leszka, a i pewnie o śmierci, przedwczesnej, straszliwie przedwczesnej, był 2 kwietnia 1971 roku – powie w wywiadzie udzielonym w pierwszą rocznicę katastrofy. – Gdyby został wtedy w Warszawie, to pewnie jego życie ułożyłoby się inaczej”.

/





**/ Gabinet profesora Boucharda**

Żeby rozwiązać zagadkę Jarosława Kaczyńskiego, trzeba w pełni zrozumieć, czym jest bliźniactwo. Na pewno każdy słyszał powiedzenie, że jak jednego bliźniaka boli ząb, to trzeba borować drugiego, ale chyba większość z nas traktuje to bardziej jako żart niż rzeczywisty opis. Właściwie, dlaczego? Co my, niebliźnięta, wiemy o bliźniętach?

Tajemnica bliźniactwa jednojajowego intryguje uczonych od dawna. Być może dlatego, że ten wszechogarniający, niemal metafizyczny stan zawsze stał w sprzeczności z przeświadczeniem człowieka o jego wyjątkowości i niepowtarzalności. Zagadka przez wiele wieków wydawała się nierozwiązywalna, bo natura pozostawiła nauce niewielkie pole manewru w tej kwestii. „Większość zwierząt – pisze Lawrence Wright w książce „Bliźnięta. Tajemnica tożsamości” – wydaje na świat mioty wielozygotowe, to znaczy rodzeństwo wielojajowe obojga płci, i osobniki te nie są niczym więcej niż zwykłymi braćmi i siostrami. Pewien gatunek pancernika jest jedynym zwierzęciem, które rodzi monozygotyczne mioty – to znaczy jednojajowe embriony, zazwyczaj czworaczki. Ludzie jednak wydają na świat zarówno dwuzygotyczne (DZ), jak i monozygotyczne (MZ) bliźnięta”.

Pierwszym naukowcem, który na poważnie zajął się badaniem jednojajowych, był dopiero sir Francis Galton, przyrodni brat cioteczny Karola Darwina i twórca pojęcia eugeniki. W drugiej połowie XIX wieku zauważył,

że bliźnięta przejawiają te same skłonności do bólu zębów, w tym samym czasie zapadają na choroby i umierają.

Na początku XX wieku badania nad jednojajowymi zostały wprzęgnięte w służbę hitlerowskiej ideologii. Odpowiedzialność za to w dużej mierze ponosi hrabia Otmar von Verschuer z frankfurckiego Instytutu Biologii Dziedziczenia i Higieny Rasowej, pionier powszechnie uznawanych psychologicznych, klinicznych i antropologicznych badań nad bliźniętami. Verschuer jak większość jego rodaków był zainfekowany nazizmem i wierzył, że dzięki eugenicie uda się stworzyć rasę nadludzi zdolnych do panowania nad światem. W tym celu prowadził spis genetycznych defektów niemieckiej populacji i postulował badania nad bliźniętami, które miały wykazać „związki pomiędzy chorobą, typami rasowymi a krzyżowaniem się ras”.

Jednym z uczniów Verschuera był Josef Mengele, zdolny absolwent Uniwersytetu Monachijskiego i członek NSDAP. Hrabia wiązał z nim duże nadzieje: pomógł mu uzyskać stypendium dotyczące badania nad kolorem oczu, pomagał mu w badaniach antropologicznych, wysyłał do analizy próbki krwi. Mengele był nie tylko lekarzem, ale też żołnierzem. Po wycofaniu z frontu wschodniego, na którym odniósł poważne rany, wiosną 1943 roku przeniesiono go (prawdopodobnie dzięki wstawienictwu Verschuera) do obozu w Auschwitz.

Mengele miał tu zastąpić jednego z chorych lekarzy, ale dzięki swojej charyzmie i przebytemu szlakowi bojowemu szybko zdominował całe otoczenie. Budził grozę wśród więźniów i strażników. Każdego ranka wypachniony wodą kolońską i uśmiechnięty ustawiał się na rampie kolejowej. Przystojny, w idealnym mundurze, z Krzyżem Żelaznym na piersiach i cienką trzcinką w dłoni. Ci, którzy przeżyli Auschwitz, zapamiętali, że wypatrując pociągów, wyszczerzał garnitur śnieżnobiałych zębów i pogwizdywał walce Straussa.

Selekcji nowych więźniów dokonywał osobiście. Część od razu kierował do komór gazowych, a część – do badań. Interesowały go wszelkie

anomalii: karły, grubasy, garbaci, niedorozwinięci. Jego zwyrodniały umysł ponad wszystko upodobał sobie jednak bliźnięta. Na ich widok doktor wpadał w obłąd. Przepychał się, wyciągał je z tłumu, oglądał.

Przez obóz Auschwitz przeszło około trzech tysięcy bliźnięt. Nazywano je dziećmi Mengelego. Doktor miał do nich osobliwy stosunek. Z jednej strony głaskał je po głowie, częstował słodyczami, dziewczynkom rozdawał suknie, a chłopcom – spodenki. Z drugiej – przeprowadzał na nich nieludzkie eksperymenty. Głodził je na śmierć, zarażał chorobami epidemicznymi, sprawdzał, ile czasu minie, zanim umrą. Przetaczał im krew, sterylizował, kastrował, wstrzykiwał chemikalia do oczu i wreszcie osobiście zabijał. Pewną parę, w której jedno z bliźnięt było garbate, przyszył do siebie plecami. „Jego entuzjazm – pisze Lawrence Wright – dla tych badań nie miał granic. Pracował do późna w nocy, i nawet niedziele spędzał w swoim biurze, by zaprowadzić porządek w zapiskach (...). Z blisko 3000 bliźnięt w Oświęcimiu tylko 157 przeżyło »naukową« ciekawość Mengelego”.

O wynikach badań Mengelego wiadomo niewiele, bo dokumentacja wujka Pepiego – jak nazywały go obozowe bliźnięta liczące na ocalenie – przepadła. Wiele wskazuje na to, że zniszczył ją jego mistrz hrabia Verschuer. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można jednak założyć, że eksperymenty wiodły na manowce. Jako gorliwy funkcjonariusz Mengele podporządkował się nazistowskiej ideologii i pracował pod tezę – chciał udowodnić, że wyższość rasy aryjskiej jest dziedziczna. Mimo wszechstronnego wykształcenia był też zadziwiająco naiwny. Próbował na przykład zmienić kolor oczu i włosów Żydów oraz Cyganów, co może oznaczać, że liczył na wytworzenie genetycznych mutacji. Z punktu widzenia nauki to absurd. Jego badania były przy tym nierzetelne – wykonywano je pod presją czasu, prawdopodobnie przewidując, że dostęp do materiału biologicznego nie będzie wieczny. Mengele w systematyczny sposób nie badał rodziców bliźnięt, co przy studiach nad rodzeństwem

jednojąkowym jest konieczne. No, i poza wszystkim: w jego eksperymentach więcej było sadyzmu niż naukowej docieklivosti.

Konsekwencje działalności duetu Verscheuer-Mengele były dla świata nauki fatalne. Po zakończeniu drugiej wojny światowej na dekady uznano teorie odwołujące się do rasy za skażone zbrodniczą ideologią. Temat badań nad bliźniętami miał zostać zdjęty z półki dopiero po 34 latach.

Z „Tajemnicy tożsamości”:

„W roku 1979 profesor Thomas J. Bouchard jr. siedział w swoim gabinecie na Uniwersytecie Stanu Minnesota, na którym B.F. Skinner (Burrhus Frederic, amerykański psycholog, badacz warunkowania sprawczego polegającego na regulowaniu częstotliwości jakiegoś zachowania poprzez nagradzanie albo karanie – M.K.) wykonał pionierską pracę z dziedziny behawioryzmu, kiedy wszedł tam jeden ze studentów z egzemplarzem »Minnesota Tribune«.

– Czy czytał pan tę fascynującą historię o wychowanych oddzielnie bliźniętach? Naprawdę powinien się pan tym zająć. Poruszał pan na wykładach ten temat. Bouchard zaczął czytać: »Lima, Ohio. James Springer wychowany w przekonaniu, że jego bliźniak jednojąkowy zmarł przy urodzeniu, mówi, że spotkanie twarzą w twarz z bratem było najwspanialszą rzeczą, jaka mu się w życiu przydarzyła.

Urodzeni w sierpniu 1939 roku w Piqua, Ohio, bracia zostali adoptowani przez różne rodziny, kiedy mieli zaledwie kilka tygodni. Twierdzą, że nie wiedzą, co się stało z ich biologicznymi rodzicami ani dlaczego oddano ich do adopcji.

Początkowo obu parom rodziców adopcyjnych – Jessiemu i Lucille Lewisom oraz Ernestowi i Sarah Springerom – powiedziano, że drugie z bliźniąt zmarło przy porodzie. Pani Lewis przez przypadek poznała jednak prawdę, kiedy ponownie musiała stawić się w sądzie w celu zakończenia procedury adopcyjnej.

Przypomina sobie, że kiedy opowiedziała, iż nadała swojemu synowi imiona James Edward, urzędnik sądowy wykrzyknął: 'Nie może pani twego zrobić. Drugiego chłopca także nazwali James'.

Mijały lata, w czasie których Lewis myślał o swoim bracie, ale mówi, że wahał się, czy odszukać go, ponieważ bał się, że może to wywołać problemy.

W końcu jednak ciekawość wzięła górę«.

Dziwne było już to, że obu chłopcom nadano imię Jim, ale jeszcze dziwniejsze, że każdy z nich ożenił się a potem rozwiódł z kobietą o imieniu Linda, po czym ożenił się z kobietą o imieniu Betty, a pierwotne dzieci nazywały się James Alan Lewis i James Allen Springer i każde z nich miało psa o imieniu Toy. W artykule pisano również o tym, że każdy z bliźniaków lubił stolarstwo i rysunek techniczny i wraz z rodziną spędzał wakacje na tej samej plaży na Florydzie. Obaj pracowali na niepełnym etacie w resorcie wymiaru sprawiedliwości. Każdy z nich mierzył sto osiemdziesiąt centymetrów i ważył dziewięćdziesiąt kilogramów. Jedyną widoczną różnicą między nimi było to, że Lewis nosił krótkie włosy i zaczesywał je gładko do tyłu, podczas gdy Springer miał dłuższe, zaczesane do przodu. Być może była to seria absurdalnych zbiegów okoliczności, która o niczym nie świadczyła, ale z drugiej strony mogło to stanowić rozwiązanie zagadki istnienia, odkrycie tajemnicy tego, w jaki sposób stajemy się ludźmi, jakimi jesteśmy.

Temat wychowywanych oddzielnie bliźniąt nie było obcy Bouchardowi, wysokiemu, powłóczęcemu nogami mężczyźnie o otwartej, czerstwej twarzy i jaskrawoniebieskiej oczach ocienionych krzaczastymi siwymi brwiami (...). Bouchard już wcześniej myślał o badaniach nad wychowywanymi oddzielnie bliźniętami, nie wiedział jednak, jak do nich dotrzeć; w owym czasie w Stanach Zjednoczonych zanotowano jedynie dziewiętnaście takich przypadków, a siedemdziesiąt osiem na świecie (...). Po rozdzieleniu w bardzo wczesnym okresie życia tylko niektóre z tych bliźniąt wychowywała później niezwiązana z nimi więzami krwi rodzina,





Wygląd braci zmienia się zgodnie z ich usposobieniem. Rysy Jarosława się wyostają, twarz Lecha pozostaje łagodniejsza. Czasy liceum, 1965 rok.



co sprawiało, że Lewis i Springer byli tym bardziej wyjątkowi, niemal idealni z punktu widzenia behawiorysty, który strawił lata akademickiej kariery, próbując ustalić wpływ natury oraz wpływ wychowania na osobowość człowieka. Bouchard zdał sobie sprawę, jakie to ważne, by dotrzeć do bliźniaków zanim zaczną tworzyć o sobie mity lub wzmacniać wspólne nawyki i schematy myślowe, co jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech fenomenu bliźniactwa. Poprosił, by Jim Lewis i Jim Springer zgodzili się przyjechać na uniwersytet i poddać testom (...).

Rano, przed rozpoczęciem testów, Bouchard zabrał ich na śniadanie. Tak naprawdę po raz pierwszy pracował z bliźniakami. Zamierzał poinformować ich o swoich badaniach, przyłapał się jednak na tym, że obsesyjnie zwraca uwagę na pewne szczegóły ich zachowania: na przykład sposób, w jaki każdy z nich sięga po widelec lub obgryza paznokcie. Każdy z bliźniaków miał charakterystyczne zmierzwione brwi i Bouchard zaczął bezwiednie liczyć w nich włosy. »Pan się na nas gapi«, powiedzieli. Bouchard musiał ich przeprosić. Oszło mu go podobieństwo ich gestów, głosów i budowy ciała. Ci mężczyźni wiedli całkowicie odmienne życie, a jednak kiedy Bouchard zamknął oczy, nie potrafił odgadnąć, który z nich mówi.

– Zaczęliśmy rano i skończyliśmy wieczorem – wspomina Jim Springer. – Zabierali Jima [Lewisa] do jednej sali, a mnie do innej. Tylko mijaliśmy się na korytarzach, to wszystko (...).

Obaj Jimowie wyrosli w zachodnim Ohio (...). Zgodnie z informacjami podanymi w życiorysach i kwestionariuszach, jakie wypełnili, każdy z nich mieszkał w podobnym domu i dzielnicy, a biała ławka otaczała drzewo na podwórku; każdy miał dobrze wyposażony warsztat, w którym robił miniaturowe stoliki piknikowe (Lewis) lub miniaturowe fotele na biegunach (Springer); obaj uwielbiali wyścigi starych samochodów i nienawidzili baseballu. Ich żony powiedziały badaczom, że Jimowie byli romantykami i że po całym domu rozkładali miłosne liściki, ale spali niespokojnie, w nocy zgrzytali zębami, a w dzień obgryzali paznokcie.

Obaj Jimowie, równie zadziwiającym zbiegiem okoliczności, cierpieli na te same choroby: obaj mieli wysokie ciśnienie i przeszli ataki serca; obaj poddali się wazektomii; obaj mieli hemoroidy; obaj niedowidzieli na to samo oko. Pewne dające się mierzyć cechy osobowości, jak łatwość nawiązywania kontaktów towarzyskich, zdolność do adaptacji, tolerancja i opanowanie, również były tak podobne, że mogliby uchodzić za tę samą osobę. Analogicznie rzecz się miała z ich zdolnościami umysłowymi. »Jedyna różnica polega na tym, że ja potrafię mówić o swoich uczuciach, podczas gdy Jimowi łatwiej o nich pisać«, mówi Springer. Boucharda uderzyły również ich sposób wyrażania się, mimika, ruchy i sposób, w jaki siadali na krześle i podawali rękę – byli praktycznie nie do odróżnienia (...). Od czasów dzieciństwa obaj Jimowie cierpieli na ten sam rodzaj migreny, ale nie stwierdzono, by miała ona podłoże genetyczne. W dorosłym już życiu obaj Jimowie przybrali na wadze pięć kilogramów”.<sup>1</sup>

Studia prof. Boucharda nad rozdzielonymi bliźniętami trwały 16 lat i objęły 66 par. Każde badanie trwało tydzień, w jego trakcie rodzeństwa odpowiadały na 15 tysięcy pytań. Wszystkie pary przyjeżdżały do profesora w sobotę i przywoziły z sobą dokumenty adopcyjne, świadectwa lekarskie i szkolne, fotografie, listy. W niedzielę jedno z bliźnięt pisało historię swojego życia, a drugie było poddawane testowi osobowości. Potem następowała zmiana miejsc. W poniedziałek badacze dokonywali 99 fizycznych pomiarów – sprawdzano m.in. kształt głowy, ucha, źrenicy, przyczepiano do głowy elektrody i robiono encefalogram – i przeprowadzali testy inteligencji. Sprawdzali podatność na alergię, zdejmowali odciski palców. Wtorek to morfologia, puls, ciśnienie, testy psychiatryczne i kwestionariusz życia seksualnego. Środa – wzrok i zęby.

---

1 Wright Lawrence, „Bliźnięta. Geny, środowisko i tajemnica tożsamości”, przeł. Barbara Sławomirska, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1998, str. 38–42

Czwartek – próbki głosu, kolejny test inteligencji (badanie Wechslera) i rejestrowanie na wideo cech osobniczych. Bliźnięta musiały pokazać, jak zapalają papierosa, łapią klucze, podają rękę, rysują dom i człowieka, wkładają patyk do otworu. Piątek – psychomotoryka oraz kwestionariusz stresu, fobii i traum.

„Nie byliśmy gotowi na to, co znajdowaliśmy” – pisał już po roku badań Bouchard. Wśród par, które przeszły przez jego gabinet, znaleźli się Jack Yufe i Oskar Störn, urodzeni jako bliźnięta w Port of Spain, stolicy Trynidadu i Tobago w 1933 roku. Rozdzielono ich po kilku miesiącach. Jack został z ojcem, żydowskim kupcem, a Oskar trafił do babci ze strony matki – Niemki, katoliczki i zdeklarowanej nazistki. Jack interesował się swoimi korzeniami, jako nastolatek wyjechał do Izraela, gdzie pracował w kibucu, a potem zaciągnął się do marynarki wojennej. Oskar w tym czasie wstąpił w szeregi Hitlerjugend. Jack mówił po hiszpańsku, angielsku i co nieco po hebrajsku a niemieckiego nie znał w ogóle. Z kolei Oskar rozumiał tylko niemiecki. Bracia przez lata właściwie się nie znali, żyli na różnych kontynentach i posługiwali się odmiennymi kodami kulturowymi. Jack uważał się za liberalnego Kalifornijczyka i był przedsiębiorcą, z kolei Oskar zajmował się działalnością związkową i miał cechy typowego Niemca. Ich kontakt ograniczał się do kartek pocztowych, które wysyłali sobie na święta.

Jack i Oskar na dobre poznali się dopiero w wieku 47 lat. Świadkiem ich spotkania był Bouchard. Pierwsze podobieństwa w zachowaniu ujawniły się już na lotnisku: zamaszysty krok, krótko przyszczyżone wąsy i niebieskie koszule z dwoma kieszeniami i pagonami.

Po tygodniu badań profesor odkrył, że bracia mieli masę dziwnych i niewytłumaczalnych nawyków. Nosili gumki na nadgarstkach, spuszcza li wodę w toalecie nie tylko po użyciu, ale i przed nim, lubili dla żartu kichać w windzie, choć sami obsesyjnie bali się zarazków. Czytali gazety od końca, podkreślali w nich interesujące fragmenty, gustowali

w pikantnych daniach, słodkich likierach i tostach z masłem maczanych w kawie. Obaj byli też zaborczymi mężami. Amerykańska prasa pisała o nich „Bliźnięta – nazista i Żyd”. Wyniki badań przeprowadzonych przez prof. Boucharda były niezwykle, bo nikt nie mógł powiedzieć, że „nazista i Żyd” wychowywali się w podobnych środowiskach, a ich cechy i nawyki zostały nabyte.

Inne sesje kończyły się podobnymi wnioskami. Jedną z par przebadanych przez profesora były Barbara Herbert i Daphne Goodship, które zostały rozdzielone w niemowlęctwie i spotkały się po 39 latach osobnego życia. Barbara dorastała w skromnej brytyjskiej rodzinie jako córka ogrodnika, a Daphne wychowywała się w zamożnym domu londyńskiego przemysłowca. Kobiety poznały się w 1980 roku i ze względu na sposób bycia zostały nazwane przez prof. Boucharda Chichoczącymi Siostrami. Obie przyszły na pierwsze spotkanie w podobnych strojach – miały na sobie beżowe sukienki oraz beżowe żakiety – i niemal identycznie się pozdrowiły. Jak się okazało, miał z sobą nie mniej wspólnego niż „nazista i Żyd”: były równie oszczędne, czytały te same książki, lubiły kolor niebieski i czarną zimną kawę oraz podobnie unosiły głowę. W wieku 15 lat spadły ze schodów i – jak podejrzewały – miały z tego powodu słabe kostki. Obie w tym samym wieku poznały też na wieczorkach tanecznych swoich przyszłych mężów. Poroniły pierwszą ciążę, a potem urodziły dwóch chłopców i dziewczynkę.

Po 10 latach badań Bouchard doszedł do wniosków sprzecznych z oczekiwaniami psychologii zajmującej się kształtowaniem osobowości. Okazało się na przykład, że konserwatyzm, radykalizm czy autorytaryzm w dużej mierze są zapisane w genach. Współczynnik ich dziedziczności wynosi odpowiednio 0,54, 0,65 i 0,62, czyli więcej niż prawdopodobieństwo odziedziczenia takich cech jak ekstrawertyzm, uprzejmość, neurotyczność czy otwartość, które wynosi tylko 0,41. Wyniki swoich badań prof. Bouchard zrelacjonował w niepokojącym artykule, który w 1988 roku

zamieścił „Journal of Personality and Social Psychology”. Stwierdził w nim: zbieżność ilorazu inteligencji dla rozdzielonych bliźniąt jest bardzo wysoka i wynosi 0,76, z kolei zgodność cech wynosi aż 0,87. Uznał też, że połowa różnic osobowości u jednojajowych ma podłoże genetyczne. Najbardziej zaskakującym odkryciem było jednak to, że rozdzielone bliźnięta są tak samo podobne (a w niektórych przypadkach nawet bardziej!) jak te wychowywane razem.

Prof. Bouchard pozostawił jednak bez odpowiedzi pytanie najważniejsze: jak to możliwe, że nieznające się bliźnięta gustują w tych samych potrawach, nadają psom identyczne imiona, żenią się z Lindami i rozkładają w domu miłosne liściki? Na czym polega ta metafizyczna więź?

Tej tajemnicy nie wyjaśniły dotąd żadne badania.





# **/ Układ**



Jarosław źle znosi życie z bratem na odległość.

Kilka lat po wyprowadzce Lech przyjeżdża na Żoliborz w odwiedziny. Ale nie sam, przywozi z Trójmiasta narzeczoną, która – jak się okazuje – jest jego studentką. Jarosław musi być zazdrosny, bo gdy dziewczyna wychodzi, zaczyna ją przedrzeźniać. Udaje, że pije herbatę z odgiętym palcem, tak jak przed chwilą robiła to ona. Leszek prosi, żeby przestał, ale on nie słucha. Bracia są już poważnymi mężczyznami – mają otwarte przewody doktorskie, pracują na uczelniach – ale zaczynają się bić jak dzieci. Gdy para się w końcu rozstaje, Jarosław nie rozpacza.

Lech już nigdy nie wróci na stałe do rodzinnego domu. Jako minister stanu w Kancelarii Prezydenta i prezes NIK, korzysta odpowiednio z prezydenckiego hotelu przy ul. Klonowej i ze służbowego mieszkania przy Grzesiuła. Do rodziców i brata nie wprowadza się nawet wtedy, gdy jesienią 1991 roku konfliktuje się z Lechem Wałęsą i na krótko wraca do pracy w Sejmie. Pani Maria z córką zostają w Trójmieście, a on jest w Warszawie sam. Nie wraca na Żoliborz, woli mieszkać w hotelu poselskim.

Gdy w 1997 roku Kaczyńscy przeprowadzają się na Mickiewicza, Jarosław szykuje w nowym domu mały pokój dla brata. Lech – wówczas profesor na Uniwersytecie kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie – nie ma służbowego mieszkania i nawet wprowadza się tam, ale na krótko. Niebawem ściągnie do Warszawy żonę i wynajmie mieszkanie w przedwojennej kamienicy na Solcu.

Mimo że bracia mieszkają osobno, to wciąż są zżyci.

Powiedzieć, że tworzą symbiozę, to niewiele. Oni rozumieją się bez słów – wystarczy, że jeden spojrzy i drugi już wie, o co chodzi. Na wspólnych wakacjach, jak chcą porozmawiać, to idą do lasu i znikają na trzy–cztery godziny.

– Oby tylko na kolację wrócili – martwi się wtedy pani Maria.

Bracia konsultują się we wszystkich sprawach i dzwonią do siebie kilka–kilkanaście razy na dobę: zawsze przed zaśnięciem, po przebudzeniu i jeszcze w środku dnia. Nie wdają się w długie dyskusje, rozmawiają rzeczowo i informacyjnie. „Kładę się”, „Wstałeś?”, „Jadę do mamy”, „Wracasz?”, „Nie martw się, wszystko w porządku” – to tego typu telefony.

Wzajemnie się kontrolują. Mogą być kilkaset kilometrów od siebie, ale Jarosław zawsze wie, co w danej chwili robi Lech. A Lech ma informacje o planie dnia Jarosława.

Bezwiednie wykonują te same czynności. Na przykład: Jarosław jako redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” raz w tygodniu zwołuje kolegium. Zebrania mają służyć przygotowaniu nowego numeru, ale w rzeczywistości zamieniają się w monolog szefa. Jarosław siada w fotelu i zaczyna opowiadać: co w Sejmie usłyszał od Geremka, jak się pokłócił z Mazowieckim, co jego kierowca pan Tadzio wygarnął Michnikowi... Relacjonuje plotki, ale też przedstawia solidną analizę, objaśnia polityczną sytuację. W kolegiach uczestniczy cała redakcja.

Reporterka tygodnika Aleksandra Zawłocka bardzo się zdziwi, gdy któregoś popołudnia pójdzie do prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, za które w tym czasie odpowiada Lech Kaczyński.

**Kampania wyborcza 1989 roku. Jarosław jest rozczarowany Okrągłym Stołem, decyduje się na start do Senatu w ostatniej chwili.**



– Nagle w holu zaroilo się od młodych urzędników – opowiada Zawłocka. – Rozstawiają krzesła, siadają na parapetach, na podłodze, wysypują herbatniki na talerze. Co to, pytam, seans filmowy? Nie, happy hour. Schowałam się za filarem. Przyszedł Lech, usiadł w fotelu i zaczął opowiadać o polityce. Dokładnie tak, jak Jarosław robił to w redakcji.

Gdy bracia się spotykają, wracają wspomnienia. Wystarczy jedno skojarzenie w rozmowie i nagle zaczynają na dwa głosy recytować „Lisa Witalisa”. Jeden jest prezydentem, drugi premierem, ale robią to tak samo jak wtedy, gdy byli dziećmi.

Niektóre z ich zwyczajów dziwią. Bracia, mówi ich znajomy, zawsze starają się zajmować miejsca po przekątnej stołu, nie lubią być na wprost siebie. Gdy ktoś ich tak posadzi, robią się niespokojni. Nie mogą utrzymać na sobie wzroku, kręcą się. Jakby – słyszę od swojego rozmówcy – coś ich drażniło w twarzy brata bliźniaka.

Czy przez te wszystkie lata równoległego życia ich relacje ewoluują? Jarosław nadal przewodzi, czy może Lechowi udaje się wreszcie uzyskać odrębność?

Znajomy: – W tej sprawie nic się nie zmieni aż do Smoleńska. Leszek do końca życia będzie uznawać polityczny prymat brata.

Początek lat 90., bracia są ministrami w Kancelarii Prezydenta. Sławomir Popowski – wcześniej kolega z seminarium prof. Ehrlicha a teraz dziennikarz – przeprowadza cykl politycznych wywiadów o współczesnej Polsce. Wśród jego rozmówców jest m.in. Lech Kaczyński. Kiedy Popowski przynosi mu do autoryzacji tekst, słyszy, że trzeba jeszcze skonsultować z bratem fragment o potrzebie wejścia Polski do NATO.

Po powrocie Lech zawyrokuje: – Muszę wycofać wywiad. Jarek mówi, żeby jeszcze tego nie dawać.

Lech traktuje słowo brata jak świętość. Gdy Jarosław prosi, robi wszystko, żeby go nie zawieść. W sprawach poważnych i niepoważnych.

W 1992 roku Porozumienie Centrum popada w tarapaty i prezes zaczyna ewakuować ludzi z biura. Brat jest już w tym czasie szefem Najwyższej Izby Kontroli, więc tych najbardziej zaufanych można przesunąć do niego. Jedną z osób, o które chce się zatroszczyć, jest sekretarka Zofia Swoczyna.

Lech to formalista, więc przyjmuje ją po godzinach urzędowania. Ale że robi to na polecenie brata, to zachowuje się zupełnie nie jak prezes państwowej instytucji. Oprowadza ją po gmachu, przedstawia pracowników, zastanawia się, w którym wydziale będzie się jej najlepiej pracowało.

To, że Lech trafia do Izby, też wychodzi od brata. Jarosław opisze to w swoich niepublikowanych wspomnieniach: „Padła propozycja ze strony KLD, by szefem NIK-u został Leszek. Skąd taki pomysł? Nie wiem. Może chcieli mieć jako szefa NIK-u kogoś, kogo dobrze znali. Początkowo Leszek odmówił, wręcz wyśmiał pomysł. Ale doszło później do bardzo specyficznego zdarzenia. Otóż w miejscu ustronnym przez przypadek usłyszałem rozmowę dwóch naszych posłów z tych mniej znanych i może nieszczególnie subtelných. Narzekali oni na to, że Leszek – nie wiedzieć dlaczego – nie chce stanowiska, które traktowali jako piąte czy szóste co do ważności w kraju. Co do tych numerów można by dyskutować, ale NIK uchodził wtedy rzeczywiście za bardzo ważną instytucję. Powiedziałem o tym Leszkowi i powiedziałem, że wobec sytuacji w klubie nie ma sensu buntowania przeciw sobie jego członków. Leszek nie był zadowolony, ale powiedział: »Dobrze, ale tylko na rok«”.

Lech wierzy w polityczny instynkt brata bezgranicznie. Nawet jeśli sam czegoś nie chce, to i tak mu ulega. Uważa, że strategię Jarosława są słuszne, choćby opierały się na tak wątych podstawach jak podsłuchana rozmowa w klozecie. Zresztą, wszystko, co się wydarzy w politycznym życiu, najpierw zrodzi się w głowie Jarosława. To on będzie projektować jego biografię i sterować jego decyzjami.

W 1995 roku dochodzi do zmiany prezesa NIK. Jarosław akurat przeżywa ciężki okres. Wegetuje poza Sejmem, a sondaże dają jego partii 4 procent.

Instynkt też go chwilowo opuszcza. Tuż przed wyborami prezydenckimi wikła się w kompromitującą historię. Najpierw namawia prezesa Sądu Najwyższego Adama Strzembosza na start i prosi działaczy o pomoc w zarejestrowaniu jego kandydatury. Ale kiedy notowania sędziego spadają, skłóca się z nim i każe wycofać podpisy zebrane pod kandydaturą.

Dla PC to poważny kłopot. Wybory tuż-tuż, a partia nie ma kogo poprzeć. Jarosław zaczyna nakłaniać do startu brata. Lech się opiera: wie, że nie ma szans, zdobędzie góra 3–4 procent i roztrwoni dorobek, który zgromadził w Najwyższej Izbie Kontroli. Ale Jarosław nalega. Przekonuje, że tylko jego kandydatura może przedłużyć żywot Porozumienia Centrum, jego ukochanego dziecka. Lech nie przepada za PC, ale chce zadowolić brata i w końcu się zgadza. Robi to, mimo że tym razem kalkulacje Jarosława zawodzą. Notowania Lecha spadają przed wyborami poniżej 1 procenta i jego kandydatura musi podzielić los Strzembosza – zostaje wycofana. Mimo to Jarosław uznaje akcję za umiarkowanie udaną: „Razem ocaliliśmy partię” – powie w prasie.

Przełom nadchodzi dopiero w 2000 roku.

Lech od kilku lat żyje między Warszawą a Trójmiastem. W tygodniu pracuje na UKSW w Warszawie, a weekendy spędza z rodziną w Sopocie. Na początku czerwca wsiada w Gdyni do ekspresu i jedzie na spotkanie ze studentami. W okolicach Ciechanowa dzwoni żona i mówi, że szuka go premier. Jeśli Lech nie chce z nim rozmawiać, lepiej niech wyłączy telefon. Rzeczywiście: po pięciu minutach dzwonią z gabinetu szefa rządu.

– Widzę pana w składzie Rady Ministrów – oświadcza uroczyście Jerzy Buzek. Lech chciałby dopytać, na jakim stanowisku, ale nie bardzo ma jak, bo w przedziale jest pełno ludzi. Przyjedzie do Kancelarii Premiera, to się dowie.

Najpierw musi jednak skonsultować się z bratem. Jarosław akurat jest na badaniach lekarskich, więc Lech odwołuje zajęcia na uczelni i jedzie prosto do szpitala.

Jarosław szybko analizuje sytuację: kadencja będzie pewnie skrócona, ale jest jeszcze dość czasu, żeby coś zrobić. Jeśli dobrze to rozegramy, wnioskuje, to mamy szansę na powrót do gry. Rozpisuje bratu rozmowę na warianty: jeśli Buzek zaproponuje Ministerstwo Sprawiedliwości, to trzeba brać, ale z zastrzeżeniem prawa do zmian personalnych w ministerstwie i prokuraturze. A jeśli MON – poprosić o czas do namysłu.

Lech słucha, ale nie pali się do rządu. Dobrze mu na uczelni, powoli kończy książkę profesorską, ma doktoranta i, jak dobrze pójdzie, to za rok dostanie nominację profesorską. Ma już 51 lat, ale przecież dekadę spędził poza uniwersytetem. Najpierw w Solidarności, potem w legalnej polityce.

– Gdyby nie przerwa, miałbym profesurę w wieku 40 lat. To przyzwoite tempo – zauważa.

Jarosław przytakuje. Stopień profesora to duża sprawa, ale on jednak wolałby wrócić do gry. I wróci, bo brat jak zwykle mu ulegnie.

Lech spędza w rządzie trochę ponad rok i zbiera pozytywne recenzje. Tylko czy to na pewno jego zasługa?

Ze wspomnień Jarosława: „Zacząłem (...) współpracować z Leszkiem, tak jak nie współpracowałem nigdy przedtem ani potem. To znaczy omijając z daleka gmach ministerstwa, byłem w jakiejś mierze jego merytorycznym sekretarzem. Przedstawiałem oceny, pomysły, poprawiałem wywiady, czasem też prowadziłem jakieś rozmowy, szukałem ludzi”.

Jarosław nie tylko pomaga bratu zarządzać ministerstwem, ale też układa nową strategię polityczną. Początkowo myśli o reanimacji PC. Ma już w głowie scenariusz dla siebie, brata i kilku wiernych towarzyszy: najlepiej, gdyby po ministerstwie Leszek wrócił do NIK. Na wiceprezesów mógłby wziąć Władysława Stasiaka i Ludwika Dorna, który objąłby nadzór nad Departamentem Kontroli i Analiz Strategicznych. A on, Adam Lipiński i Przemysław Gosiewski dalej działaliby w Fundacji Prasowej Solidarności. Cel to podwójne wybory w 2005 roku – Leszek kandydatem na prezydenta, on na czele nowej parlamentarnej formacji.

Sytuacja jednak przyspiesza, więc Jarosław też dociska pedał gazu: ugrupowanie trzeba powołać natychmiast. I to pod przywództwem Leszka, jeszcze zanim go Buzek odwoła.

29 maja 2001 roku odbywa się kongres Prawa i Sprawiedliwości, na którym funkcję prezesa obejmuje Lech Kaczyński. Jego brat kilka miesięcy później zostanie skromnym posłem. Układ oczywiście będzie fikcją, bo Lech ani się nie zna na partyjnej robocie, ani jej nie lubi. Mimo to Jarosław napisze w swoich wspomnieniach, że od tego momentu „sytuacja zaczyna się układać jak w bajce”. I ma rację, bo sukcesy zaczną przychodzić jeden po drugim: najpierw prezydentura Warszawy, potem zwycięstwo w wyborach parlamentarnych i prezydentura Polski.







**/ Więź paradoksalna**

Koło trzeciej nad ranem na końcu korytarza zamajaczy samotna postać. Czarny płaszcz, przygarbiona sylwetka. Głowa zwieszona i zrezygnowany krok.

– To chyba Tusk – wybełkocze jeden z posłów PiS.

W holu sejmowego hotelu jeszcze trwa świętowanie. Gdy sylwetka się zbliży i stanie przed drzwiami swojego pokoju, ktoś spyta: – Co? Nie udało się?

Samotna postać nie odpowie.

Siedem godzin wcześniej, Pałac Kultury.

– Kochani – niesie się ze sceny – cisza wyborcza jeszcze trwa, ale powiem wam coś. Na końcu tej sali jest stół z kanapkami. Dobrze wam radzę, zjedzcie je, bo to będą wasze ostatnie kanapki w III RP!

– Lechu! Lechu!

Chwila skupienia i jest. Wygrał: 53,52 do 46,48.

– Lech Kaczyński! Lech Kaczyński! Jeszcze Polska...

– Kochani, za chwilę z tej sceny przemówi nasz prezydent. Prezydent IV RP.

Wchodzi na mównicę. Z jednej strony mama, z drugiej – żona. Z tyłu córka z mężem i wnuczką.

– Chciałbym zwrócić się do Donalda Tuska, który wspaniale walczył w tej kampanii, z wyrazami mojego najszczęśliwszego szacunku i sympatii. Ale też chciałbym się zwrócić do prezesa mojej partii, Jarosława Kaczyńskiego. To on był głównym strategiem, to on jednoczył ludzi, czasem

wbrew mojemu oporowi. Dzisiaj mogę mu powiedzieć: panie prezesie, melduję wykonanie zadania!

Nazajutrz Lech przyjedzie do siedziby Prawa i Sprawiedliwości. W biurze pusto. Na stole leżą obcięte krawaty, stoi kilka pustych butelek. Prezydent elekt czeka na niemieckich dziennikarzy, z którymi umówił się na rozmowę.

Przywołuje pracownika, który jako jedyny przyszedł tego dnia do biura. Daje mu 50 złotych i prosi o kebab z tureckiego baru Balbinka, jedno piwo w butelce i czerwoną hellenę, którą będzie popijać podczas wywiadu. Jest w wysmienitym humorze.

Ale kiedy dwa miesiące później wprowadzi się do Pałacu, zaczną nACHodzić go wątpliwości: czy to na pewno ja powinienem tu być? Może to brat bardziej zasługuje na prezydenturę?

Z tych rozterek Lech zwierzy się wielu osobom. Koledze z Trójmiasta powie wprost: – Wszystko zawdzięczam Jarkowi, to on powinien być prezydentem.

Tym wyznaniem Lech dotyka całej złożoności braterskiej relacji. Jarek i Leszek jeszcze jako dzieci przyjmują odmienne role. Pierwszy od małego zdradza instynkt przywódcy, rozwija w sobie poczucie niezależności i odrębności. Nie podporządkowuje się ani ojcu, ani rówieśnikom. Przez pierwsze 40 lat swojego życia nie jest w stanie zadomowić się w żadnej grupie – towarzyskiej, zawodowej, politycznej. Bo w żadnej z nich nie sprawuje przywództwa, wszędzie jest jednym z wielu. Dobrze się czuje tylko w towarzystwie brata (dominuje nad nim, być może nieświadomie) i mamy (to jedyna osoba, której wyższość uznaje).

Pierwszym środowiskiem, w którym się odnajdzie, będzie jego własna partia. Kiedy powstaje, Jarosław ma 41 lat. Jest silnym liderem. Budzi respekt wśród działaczy, a w krytycznych momentach zachowuje zdolność chłodnej analizy. Gdy ktoś go ukłuje, nie odpowie od razu, ale zapamięta. Karę wymierzy nawet po pół roku – na zimno i z brutalną precyzją.

Jarosław ma trudny charakter. Jest zamknięty w sobie, trudno do niego dotrzeć. Jego samotnicze usposobienie i silny indywidualizm powodują, że mama, tata i babcia od małego faworyzują drugiego z bliźniaków.

To pierwszy paradoks braterskiej relacji: Jarosław poświęca dla mamy więcej niż brat – ogranicza polityczną aktywność, żeby się nią opiekować, popada w długi – ale i tak jest drugi. Gdy mama mówi o „swojej wielkiej miłości”, ma na myśli nie jego, lecz Leszka.

W polityce jest tak samo. W oczach wyborców Jarosław zawsze będzie tym gorszym bratem – cynicznym, brutalnym, władcym. Czy taki wizerunek go boli? Często na to narzeka, ale z drugiej strony sam go świadomie podtrzymuje. Przecież to Jarosław od początku lat 90. rozpisuje role w ten sposób: ja – zły, Leszek – dobry. Ja – od mokrej roboty, on – od stanowisk i zaszczytów. Jak mówi mi były skarbnik Porozumienia Centrum Stanisław Rojek, który na początku lat 90. obserwował relacje między Kaczyńskimi, Jarosław całą politykę uprawia dla Lecha. – Sam zawsze zadowolał się partią. Władzę chciał zdobywać z miłości do brata i dla brata.

Ten imperatyw nie zniknie nawet wtedy, gdy w 2006 roku Jarosław sam zostanie premierem. Nadal będzie robić wszystko z myślą o bracie. Przyzna się do tego w „Polsce naszych marzeń”: „Leszek jeździł na te wszystkie spotkania [zagraniczne]. Natomiast ja miałem jechać do Brukseli na Radę Europejską, gdzie była dyskutowana sprawa przyszłego Traktatu Lizbońskiego tylko wtedy, jeżeli byłaby decyzja o polskim wecie. A to po to, żeby Leszek nie brał tego na siebie. To ja miałem być złym policjantem. Weta nie było, więc poleciał Leszek”.

Czyli Jarosław poświęca się nie tylko dla mamy, ale i dla brata. To dla niego wciela się w rolę złego w polityce międzynarodowej i krajowej. Sam zapłaci za to cenę w 2010 roku podczas walki o prezydenturę. Mimo że wyborcy będą mu współczuć po stracie brata, to brak zaufania weźmie górę i przegra wybory. To drugi paradoks w tych relacjach: Jarosław polityk jest brutalny i mściwy, ale Jarosław brat jest czuły i gotowy do poświęceń.

Leszek na jego tle od dziecka wypada korzystniej. Jest ekstrawertyczny i łagodny, łącznie do ludzi. Nie kryje się z uczuciami tak jak Jarosław. Z mamą dzieli się wszystkim nawet jako dorosły mężczyzna. Kilka dni przed wylotem do Smoleńska przyjdzie do szpitala i będzie się zwierzać z osobistych problemów.

Nie wywołuje konfliktów i łatwiej go sobie podporządkować, ale w życiu potrzebuje oparcia. Najpierw znajduje je w mamie, później w żonie, która matkuje mu tak, jak w młodości robiła to pani Jadwiga. Gdy mieszka na Żoliborzu, zawsze biegnie za Jarosławem. Najpierw jako żołnierz podwórkowej armii, później jako student niosący teczkę z książkami. Przenosząc się do Trójmiasta, próbuje się z tego wyzwolić, ale okazuje się, że zwierzchnictwo brata działa też na odległość. Całe życie będzie widział w Jarosławie przewodnika, nawet jako prezydent.

Czy bliźniactwo obezwładnia Lecha? Tak. A czy Jarosław to wykorzystuje? Nie. On dominuje, ale karierę oddaje bratu. To paradoks numer trzy.

Kto przypisze Jarosławowi rolę lidera w braterskim zespole, spotka się z jego reprimendą. Może przywódca nie uświadamia sobie własnej pozycji w tym tandemie, a może tylko nie chce sprawić bratu przykrości?

– Pisałam cykl tekstów o kulisach powstania rządu Jana Olszewskiego – opowiada Ola Zawłocka. – Po którymś z materiałów dotarło do mnie, że Jarosław Kaczyński ma o coś pretensje. Pojechała do niego i mówię: panie Jarku, ja na wszystko mam notatki i taśmy, poza tym sam mi pan sprzedał część tych historii. Nie o to chodzi, odpowiada Jarosław, ale dlaczego pani tak brzydko nazywa mojego brata? Chodziło o to, że w artykułach jego nazywam „bratem większym”, a Lecha – „mniejszym”. Zaproponowałam, że mogę to zamienić na „starszego” i „młodszego”, w końcu Jarosław urodził się pierwszy. Skrzywił się, ale dalej nie protestował.

Jarosław nie tylko nie przyjmuje, że brat jest mniejszy, ale też twierdzi, że w niektórych kwestiach nad nim góruje. Na przykład w dziedzinie polityki zagranicznej. Gdy Lech zostaje prezydentem, Jarosław często odwiedza go

w Pałacu i słucha charakterystyk europejskich liderów. Między Angelą Merkel a jej mężem, opowiada mu brat, panują chłodne relacje. Pani kanclerz ma też osobliwy stosunek do Władimira Putina: z jednej strony nienawidzi go, a z drugiej się boi. Z kolei José Barroso jest próżny i jako Portugalczyk ma kompleks małego kraju, więc trzeba go dowartościować. Jak? Mówmy mu to, co chce usłyszeć, radzi Lech, i udostępniamy mu rządowego tupolewa. Jarosław stosuje się do tych wskazówek:

„Uważałem, że trzeba Barroso podbudowywać jako samodzielny czynnik polityczny, bo to nas trochę wzmacnia wobec nacisków silniejszych od nas partnerów. I w ramach naszych możliwości to robiłem, także różne grzeczności w rodzaju oddawania mu do dyspozycji naszego rządowego samolotu (tak, tak – Tu-154M), żeby mógł polecieć na konferencję, bo nie miał własnego samolotu. I on tą naszą tutką latał (...). Podtrzymywanie jego samodzielności było w naszym interesie”.

Potem bracia będą się śmiać, że Barroso je im z ręki i – jak trzeba – to zabił pod dywan niekorzystne dokumenty, takie jak raport o polskim mięsie.

Nicolas Sarkozy, ciągnie Lech, też jest próżny, ale jego tak łatwo już się nie ogra, bo to jeden z liderów kontynentu. Micheil Saakaszwili jest z kolei strasznym kobieciarzem. Prezydent przyjaźni się z nim, ale opowiada, że Miszka podrywa wszystko, co nie ucieka na drzewo. Nawet za polskimi urzędniczkami się ogląda. Julię Tymoszenko bracia zachwycają się wspólnie. Jest taka słowiańska, umie grać kobiecością i całuje na przywitaniu. Z bliska nie ma jednej zmarszczki! Julia przypomina Kaczyńskim Oleńkę z „Potopu”. Za przywódcami z regionu Lech nie przepada. Nie podoba mu się, że Vaclav Klaus jest taki prorosyjski. Ale najgorsza jest Grzybowska, czyli Grybauskaite. Z takiego małego kraju, a jak się wywyższa. I jeszcze bardzo dobrze mówi po angielsku.

Jarosław uważa, że Leszek też przyzwycięży sobie radzi z językiem. Ma trochę kłopotów z akcentem i woli mówić przez tłumacza, ale za to wszystko rozumie.





Za miesiąc bracia zostaną wybrani do Senatu. Lech z Gdańska,  
Jarosław – po sąsiedzku, z Elbląga. Sopot, 1989 rok.



Jarosław jest jest szczerze przekonany o dyplomatycznych talentach brata. „Leszek, wbrew temu, co mu przypisywano, był bardzo sprawny i w oficjalnych, i w zakulisowych działaniach. Z łatwością nawiązywał dobre kontakty, wiedział, z kim gra i jak swoich rozmówców podchodzić. Pod tym względem nie miał żadnych kompleksów. W charakterystyce Leszka, która Amerykanie sporządzili na potrzeby swych polityków i dyplomatów, przypisano mu umiejętność tworzenia koalicji. Charakteryzowano go jako polityka samodzielnego i sprawnego organizatora, a konkluzja była taka, że nie można nim sterować. W praktyce wyglądało to tak, że na różnych konferencjach Leszek tworzył takie konfiguracje, żeby zawsze w końcu choćby częściowo przeforsować własne pomysły. W przeciwieństwie do mnie lubił te rozgrywki przy stole i za kulisami”.

Na międzynarodowe kwalifikacje prezydenta można jednak spojrzeć inaczej: Lech bierze dyplomację na siebie, bo to Jarosław ustępuje mu w tej dziedzinie pola. Jako człowiek mający trudności z nawiązywaniem kontaktów nie umie się odnaleźć na europejskich salonach i woli oddelegować na nie brata. Poza tym jak zawsze chce, żeby to Leszek prezentował się jako ten dobry.

W rzeczywistości brat góruje nad Jarosławem tylko w dwóch sprawach. Pierwsza z nich to pamięć: „Leszek od dzieciństwa się w tym ćwiczył (...). Od dziecka pamiętał niebywałą wręcz liczbę telefonów. Często ktoś mówił mu, żeby sobie zapisał numer, a on tylko prosił, żeby mu powiedzieć. I pamiętał. Znałem tylko dwie osoby obdarzone taką fenomenalną pamięcią: Leszka i Adama Michnika. Leszek tego nie ćwiczył, to był dar”.

Drugą sferą jest inteligencja emocjonalna, ale to wynika z różnic w usposobieniu braci: „Leszek był człowiekiem dużo bardziej ode mnie towarzyskim, miał znacznie większą łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi. Miał wręcz gigantyczną liczbę znajomych”.

W pozostałych kwestiach przeważa Jarosław. Lepiej przemawia, jest

odporniejszy psychicznie i bardziej błyskotliwy. W przeciwieństwie do Lecha ma charyzmę i intuicję. To strateg i zarazem polityczny gracz. Jest też bardziej opanowany. Lech ukłuty nie potrafi zachować zimnej krwi i zaplanować zemsty. Reaguje natychmiast, spontanicznie i emocjonalnie. To czwarty paradoks braterskiej relacji: po najwyższe zaszczyty sięga mniej zdolny z bliźniaków.

/

**/ Brat nad bratem**

Wieczory w Pałacu są długie i przyjemne. W kieliszkach czerwone wino, współpracownicy siedzą na miękkich kanapach. Prezydent przechodzi z dygresji w dygresję: mówi o powstaniu Chmielnickiego, pierwszej Solidarności, młodym Tusku i przewrocie majowym. Kiedy podkula jedną nogę i podkładał ją pod siebie, to znak, że czuje się swobodnie. A gdy zupełnie się rozpręży, ściągnie marynarkę, klęknie kolaniem na sofie a łokciami podeprze się na zagłówku. Ktoś, kto tego wcześniej nie widział, pomyśli, że mu niewygodnie, ale on może tak siedzieć kilkadziesiąt minut. Jest wtedy najbardziej zrelaksowany.

Jednak nikt nie zna dnia ani godziny, kiedy wieczór zamieni się w piekło.

Wystarczy czyjeś wspomnienie: kiedyś, dawno temu był w Rzeszowie działacz PC, który miał sklep z żelazem. He, he, i okazał się antysemitą. Prezydent wstaje, twarz mu się zmienia, idzie w kąt i pyta roztrzęsiony:

- Sugerujesz, że Jarek jest antysemitą? Tak?
- Ale przysięgam, że nie. Naprawdę, panie prezydencie.
- Nie kłam. Chciałeś go obrazić.

Czasem to może być niefortunna opinia: Lech dyskutuje ze znajomym o poziomie tygodników opinii. Omówili już wszystkie magazyny. A, przypomni sobie gość, jest jeszcze „Tygodnik Solidarność”, ale to najnudniejsze pismo.

- Mój brat był tam kiedyś naczelnym – wzdycha Lech.
- Tak, ale to dawno temu. Ja mówię o tym, co dziś.

Wszystko, co wydarzy się w politycznym życiu Lecha, najpierw zrodzi się w głowie Jarosława. To on projektuje biografię brata.





Mija pół godziny i temat wraca.

– Wiesz – odzywa się Lech – ja do teraz nie mogę się otrząsnąć po tym, co powiedziałaś o Jarku.

A czasem nieodpowiednie nazwisko: dajmy na to, Kruk. Gdy prezydent je słyszy, podrywa się. Niespokojnie krąży po pokoju, ale się nie odzywa. Gdy ktoś go spyta, co się stało, wyjaśni.

– Na podwórku był kiedyś Henio Kruk, co rzucił w Jarka kamieniem.

Albo krzywy uśmiech: prezydent może go zrozumieć opacznie.

– Śmiejesz się z Jarka? Przecież widzę.

Lech Kaczyński broni brata nawet wtedy, gdy nikt go nie atakuje, bo czuje się wobec niego zobowiązany. Wie o jego wszystkich wyrzeczeniach: dla niego, dla mamy, dla Polski.

– Ja mam lepiej od Jarka – wyzna jednemu z prezydenckich ministrów.

– On nie zaznał w życiu szczęścia, wszystko poświęcił ojczyźnie.

Na każdym kroku stara się wynagrodzić to bratu. Gdy dostanie od olimpijczyków jadących na igrzyska reprezentacyjną koszulkę z numerem jeden i swoim nazwiskiem, ucieszy się.

– Dobrze, że nie ma imienia. Będzie dla brata.

Sam nie czuje się dobrze w prezydenckim gorscie. Pałac go przytłacza, jest wykończony atakami mediów, presją. W sprawach politycznych woli polegać na bracie. Kiedy w 2007 roku, w ostatnich tygodniach rządów PiS, jeden z tygodników przysłał mu pytania dotyczące jego związków z Ryszardem Krauze, prezydent wpada w popłoch. Zadzwońić do brata nie może, bo telefony mogą być na podsłuchu. Woła jednego z ministrów, każe mu wydrukować korespondencję i wysyła go do Kancelarii Premiera. Niech Jarek powie, co robić.

Urzędnik wraca uspokojony: nic nie robić, nie odpowiadać. Samo przyschnie.

Lech boi się, żeby nie zawieść oczekiwań brata. Gdy robi coś, czego Jarosław by nie pochwalił, przestrzega współpracowników:



– Tylko ani słowa Jarkowi, broń Boże. Jak się dowiem, że ktoś mu powtórzył...

Czasem brat pozwala mu podjąć ważną decyzję. Lech jest wtedy przejęty, bo jak rzadko, czuje na sobie ciężar odpowiedzialności. Zanim wskaże Jaromira Netzla na prezesa PZU, poprosi na rozmowę zaufanego człowieka ze służb: – Tylko proszę go dobrze sprawdzić. Bo, jak się pomyłę, to brat nie pozwoli mi nawet zrobić szefa spółdzielni Plastuś.

Państwowy urzędnik zaprzyjaźniony z Lechem, który w 2007 roku objął stanowisko w rządowej administracji, z kolei opowiada: – Moja nominacja zależała od tego, jak wypadnę na zapoznawczej rozmowie z Jarosławem. Leszek chyba się bał, że pójdzie mi źle, bo postanowił mnie przygotować. Zaprosił mnie do Pałacu. Musisz wiedzieć, przestrzegł mnie od razu, że mój brat to nie ja. Co miał na myśli? Że Jarosław nie jest takim miłym i ciepłym facetem jak on. I miał rację. Twarz niby ta sama, ale wzrok zimny i lustrujący. Przez kilkanaście sekund patrzył mi się prosto w oczy. Może chciał sprawdzić, czy się speszę? W porównaniu z Leszkiem miał suchy sposób bycia i dawał odczuć nieufność. Doszukiwał się drugiego dna i zadawał dużo pytań w stylu: Co pan mówi? Tak? Pamiętam jeszcze jedną radę przed tym spotkaniem. Jak będziesz się przedstawiał, to pamiętaj, najpierw imię, później nazwisko. Jarek skreśla osoby, które mówią odwrotnie.

Obawy o reakcję brata są uzasadnione, bo Jarosław nie ma dobrego zdania o ludziach otaczających prezydenta. Sam też nie ma ręki do współpracowników, ale nie przeszkadza mu to w przestrzeganiu brata przed różnymi nominacjami. Takich decyzji – samodzielnych, podejmowanych na własne konto – Lech boi się najbardziej.

Lipiec 2007 roku. Prezydent dowiaduje się nieformalnymi kanałami, że jego doradca do spraw sportu Artur Piłka ma zostać zatrzymany. Zarzut jest poważny: udział w obrocie kilogramem kokainy.

– Co ja teraz zrobię? – powtarza, drepcząc wokół stołu. – Brat mówił, żeby go nie zatrudniać, bo mu źle z oczu patrzy. Niech go zatrzymają, ale to nie może wyjść do mediów.

– Ale, Leszku, to na pewno wyjdzie.

– To co mam zrobić? Przecież Jarek nie może się o tym dowiedzieć.

W chwilach zwątpienia prezydent snuje rozważania o tym, że jeszcze kiedyś mógłby zostać podwładnym brata. Może wtedy byłoby lepiej – odpowiedzialność za decyzje spoczywałaby na Jarosławie, on wykonywałby tylko zadania.

– U Jarka w rządzie to ja mógłbym być. Ministrem sprawiedliwości, szefem MON...

Jedyne, czego by wołał uniknąć, to powrót do partii. Mimo że był jej pierwszym prezesem, to nie interesuje się tym, co się dzieje w Prawie i Sprawiedliwości. Demonstracyjnie to zresztą podkreśla. Mówi, że zna Dorna czy Lipińskiego, ale Szydło? Kim jest ten Szydło?

Porażki PiS są jednak porażkami brata i martwią go bardziej niż własne niepowodzenia. Najbardziej boli go klęska poniesiona w 2007 roku. W dniu przegranych wyborów dociera do niego plotka, że Jarosław jest tak załamany, że może zrezygnować z kierowania partią. Lech ściąga do Pałacu najważniejszych polityków PiS i radzi się, jak powstrzymać brata przed tym nierozważnym krokiem.

Spotkanie kończy się jednak przedwcześnie, bo po północy dzwoni pani Maria i każe prezydentowi iść spać.

Jarosław w końcu pozbiera się sam, ale Lech jeszcze długo będzie przeżywać jego porażkę i szukać okazji do odreagowania.



Na dworze mróz, prawie noc. Przy długim stole w Lotosie prawie wszystkie miejsca zajęte. Wjeżdżają tatory, śledzie w oleju i befsztyki. Michał Kamiński wstaje do telefonu. Dzwoni prezydent.

– Przyjeżdżaj do Pałacu. Tusk złamał prawo, przyszykujesz komunikat.

– Ale, Leszku, co się stało?

– Powołał szefa wywiadu wojskowego bez mojej opinii. To jest złamanie przepisów, niebywały skandal. Tylko żebyś mi znowu nie mówił, że idę na wojnę.

Prezydent jest na tej wojnie od dnia, w którym Donald Tusk objął stanowisko premiera.

Kamiński już nie wróci do znajomych. Dzwoni po kierowcę i prosi prezydenckiego prawnika Roberta Drabę o sprawdzenie, który artykuł ustawy naruszono. Draba go jednak uczuła: trzeba się upewnić, czy prośba o opinię na pewno nie wpłynęła. Bo, jeśli wpłynęła, a my wydamy oświadczenie, to będzie kompromitacja.

Godzinę później Kamiński i Draba są w Pałacu. Lech jest w złośliwym nastroju. Patrząc na Kamińskiego, mówi, że niektórzy wiecznie się tu czegoś boją, ale tym razem nie będzie żadnego sabotażu. Bo on, prezydent, osobiście wszystkiego dopilnował.

– Dobrze, Leszku. Niemiła księdzu ofiara, cielę wraca do domu...

Gdy Kamiński chce się wycofać, w drzwiach staje szefowa prezydenckiego sekretariatu Zofia Kruszyńska-Gust. Płacze, w ręku trzyma faks.

– Nie wiem, jak to się stało, ale to pismo jednak przyszło.

– Kiedy?

– Dwa tygodnie temu.

– Małgosiu, dlaczego mi tego nie pokazałaś? Nie możecie mnie tak wystawiać, rozumiesz?

Prezydent jest purpurowy ze złości. Zrzuca z biurka stertę gazet.

– O! – wyciąga ze stosu kartkę papieru. – Jednak mi to przynieśli.



**/ Przeklęta ziemia**

– Rozwiązanie jednej z zagadek Kaczyńskiego – mówi człowiek, który przyjaźnił się z oboma braćmi – od lat jest w gazetach. On sam podawał je kilkakrotnie. Mówił o tym i pisał, drukowano to, ale jakoś nikt nie zwracał na to uwagi. Jeśli chce pan wiedzieć, co to takiego, proszę przejrzyć wszystkie jego wywiady udzielone po katastrofie smoleńskiej i zwrócić uwagę na fragmenty poświęcone śmierci Leszka i tego, co ona oznacza dla Jarosława. Jak zbierze pan to w jednym miejscu i wczyta się uważnie, to dostanie pan klucz. Żadna zakulisowa wiedza nie jest tu potrzebna.

Wywiadów na temat brata Jarosław udzielił kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset, ale wbrew pozorom ta selekcja nie jest taka trudna. Mojemu rozmówcy nie chodzi przecież o wykłady dotyczące publicznego dorobku Lecha Kaczyńskiego – jego wizji państwa czy poglądów w sprawach międzynarodowych – ale o to, co brat mówi o bracie.

Idę chronologicznie.

Maj 2010: „Oczywiście będę bywał na Wawelu regularnie. W każdej wolnej chwili (...). Tu w Warszawie myślę o tablicy Lecha i Marii na rodzinnym grobie. Będę mógł tam w każdej chwili pójść, pomodlić się i porozmawiać z bratem”.

Czerwiec 2010: „Ta śmierć jest dla mnie wstrząsem. Ona zakończyła stan mojego życia, który uważałem za normalny. Całe życie byłem jednym z braci Kaczyńskich. Czasem złościłem się na to określenie, ale na poziomie egzystencjalnym, życiowym byłem zawsze z moim bratem. Na-

sze życia toczyły się równolegle, więc bliźniacza była bardzo silna. Ja nie znam stanu rozłączenia, życia samemu. Zawsze był przy mnie Lech. W tym sensie ten nowy etap wydaje mi się jakiś nienormalny, dziwaczny, niezrozumiały.

### **Czuje się Pan zagubiony?**

Czuje się nieswojo. To jest sytuacja inna, niż ma większość ludzi, i bardzo trudna do wytłumaczenia. Ja zawsze miałem brata bliźniaka (...).

### **Czuje Pan, jakby część Pana umarła?**

Tak, to jest takie uczucie. Poza żalem i bólem mam poczucie, że wchodzę w jakiś inny rozdział mojego życia. Coś, co dobrze znałem, definitywnie się skończyło.

### **Rozumiem, że w Pana sytuacji trudno jest mówić o emocjach, ale czy Pan nie pozwolił sobie na nie? Nie dał Pan sobie prawa do rozpacz?** **Przecież ona jest uzasadniona.**

Dałem sobie prawo do rozpacz, ale nie do opowiadania o niej.

### **Łzy?**

Byłem wychowany w świecie, w którym mężczyźni nie płaczą. Prawdziwy mężczyzna tłumil emocje, umiał je powściągać. Nie twierdzą, że to jest bardzo dobre czy łatwe, ale tak mnie wychowano – nie objawia się uczuć.

### **Patrzyłam na Pana w kilka dni po katastrofie i myślałam, że to nie-ludzkie tak szybko się pozbierać. Współczułam Panu, ale także mnie to przerażało.**

Dusi mnie ból i nie potrafię na ten temat mówić (...).

### **Inaczej patrzy Pan teraz na swoje życie? Ono nabrało innych sensów?**

Ono będzie inne. Będę w nowej dla mnie sytuacji. Nie mogę sobie nawet

wyobrazić, jak to teraz będzie. Uciekam w aktywność przed nieustannym myśleniem o tym. Pracuję. Modlę się. I śpię. Pracuję, modlę się i śpię.

### **Wie Pan, czego chciałby brat? Czy to tylko figura retoryczna?**

Wiem, że chciałby, żebym kandydował. Bo często miał do mnie pretensje, a nawet złościł się, że nie podejmowałem pewnych wyzwań, wyższych funkcji w państwie (...). Wie pani, na czym polegało nasze bliźniactwo? Że przekraczało się miłość własną – ten egoizm, który każdy człowiek nosi w sobie. U nas on był przekroczony. Bardziej chciało się szczęścia tej drugiej osoby niż swojego własnego. Wracając do lat szkolnych – bardziej mnie cieszył dobry stopień brata niż mój. To jest najdalej posunięta życzliwość. Poświęcenie własnych interesów dla dobra drugiego. I ogromna satysfakcja z sukcesów tej drugiej strony (...).

### **Rodzeństwo często rywalizuje o uczucia matki. Wam to nie było obce?**

Nigdy nie rywalizowaliśmy o nic.

### **Czuje Pan jego obecność?**

Bardzo chciałbym czuć, ale nie czuję... Tylko gdy dzwoni telefon, to przez ułamek sekundy myślę, że to on (...).

### **Myśli Pan o sobie w kategoriach: niezwykły człowiek?**

Nie miałem szansy na całkowitą zwyczajność. Byłem jednym z braci bliźniaków – samo to odróżniało nas od rówieśników.

### **Pan ma jeszcze marzenia?**

Marzę o tym, żeby się obudzić, zobaczyć nad sobą światła, twarze lekarzy i usłyszeć, że miałem zawał, a to wszystko, co się ostatnio wydarzyło, to był tylko zły sen...”



Strajk w Stoczni Gdańskiej, sierpień 1988 roku.  
W opozycyjnej hierarchii Jarosław był niżej od Lecha.





Styczeń 2011: „Na Wawelu jestem często. Byłem już kilkanaście razy. Wtedy jest msza w podziemiach – gdy nie ma turystów, wcześniej rano lub wieczorem (...). Wymyśliłem podróż Leszka do Ameryki Południowej. (...). To mnie bardzo dużo kosztowało. Momentami sam chciałem wierzyć w te opowieści, że Leszek żyje (...). Wiele mi zostało po bracie, krawaty, a nawet słoniki na szczęście. A nad łóżkiem mam jego zdjęcie, takie zwykłe, zrobione na jakiejś konferencji. Wszędzie są dziesiątki jego osobistych rzeczy, bo to był też jego dom (...). Straciłem brata bliźniaka. Trzeba go mieć, żeby zrozumieć, co to za strata. Nie wierzę, żeby czas, przynajmniej dla człowieka w moim wieku, cokolwiek znaczył. Może gdybym był 30 lat młodszy, to tak (...). Myślę o bracie setki razy dziennie. Można powiedzieć, że nie zapominam o nim ani na chwilę. Bo to jest coś, co już na pewno we mnie zostanie”.

Kwiecień 2011: „Miałem świadomość, że jakby mój brat mógł na chwilę zmartwychwstać i odpowiedzieć na pytanie, czy mam kandydować powiedziałby: kandyduj. Nawymyślałby mi, gdybym tego nie zrobił”.

Październik 2011: „Miałem głębokie wewnętrzne przekonanie, że gdyby Leszek nagle ożył i bym go o to zapytał, powiedziałby, abym kandydował (na prezydenta – M.K.)”.

„Jest takie poczucie utraty wparcia, przeświadczenia, że zawsze jest ktoś, o kogo się można oprzeć. Bliźniactwo to jest taki związek szczególny, to nie jest normalne braterstwo, to coś, jak sądzę, dużo, dużo bardziej intensywne. Takie współprzeżywanie, przeżywanie za kogoś, czyli za brata życia. Takie lepsze życzenie bratu niż sobie. Kochaj bliźniego swego jak siebie samego. W tym przypadku kocha się brata bardziej niż samego siebie. Strata jest nie do nadrobienia. Czego mi brakuje? Wszystkiego, przede wszystkim samej świadomości, że Leszek jest. Nie mam oczekiwania, że będę jeszcze kiedyś spełniony, szczęśliwy. Wiem, że ten moment już nigdy nie nadejdzie”.

Kwiecień 2013: „Obawiam się, że gdybym miał do czynienia tylko z takim codziennym życiem, mogłoby być różnie. Ale mam do czynienia

też z polityką, ze sprawami kraju, Polski. Nie mogę się załamywać. A jednak zawsze wraca takie pytanie: Co by Leszek zrobił, co by mi doradził, o co mógłby być na mnie zły?”

Jarosław przedstawia w tych wywiadach bliźniactwo jako przekroczenie własnego egoizmu, życzenie bratu lepiej niż samemu sobie. Przyznaje, że odejście Leszka to śmierć części jego samego; strata, której nie da się opisać słowami i którą może zrozumieć tylko innych bliźniak. Po katastrofie czuje się nieswojo, bo nie zna innego stanu niż bliźniactwo. Twierdzi, że na co dzień nie odczuwa obecności brata, ale myśli o nim sto razy dziennie i zastanawia się, co w tej czy innej sytuacji Leszek by mu doradził. Zaraz też sobie odpowiada: gdyby Leszek ożył, to powiedziałby, żebym kandydował na prezydenta.

A może Jarosław to od niego słyszy? Przecież – jak sam mówi – bliźniactwo jest współodczuwaniem, a on jeździ na grób brata, żeby z nim porozmawiać.

Współpracownik prezesa, ten, który polecił mi uważne czytanie wywiadów, dopowiada: – Też tak to rozumiem. Po Smoleńsku z ogólnej atmosfery wynikało, że Jarosław w różnych sprawach chodził do Leszka i otrzymywał od niego wskazówki.

Identyczny trop znajduję w tekście „Elegia na odejście” opublikowanym dwa lata po katastrofie w „Tygodniku Powszechnym”. Autor Michał Majewski przytacza w nim swoją rozmowę z politykiem, który opowiadał mu o kulisach posmoleńskiej decyzji w sprawie walki o prezydenturę: „Poseł i wówczas jeden z najbliższych współpracowników Jarosława Kaczyńskiego mówił o rozterkach prezesa. O jego rozważaniach, czy powinien stawać w wyborcze szranki. Mój rozmówca stwierdził, że Jarosław Kaczyński skonsultował tę decyzję z bratem. Przerwałem, aby dopytać, czy się nie mylił. Nie mylił się. – Jarosław często rozmawia z Lechem. Wtedy też. To, że Lech chciałby jego prezydentury, było ważnym argumentem – usłyszałem”.

Kiedy dochodzi do tej „rozmowy” braci? Żeby znaleźć ten moment, cofnę się do wydarzeń z kwietnia 2010 roku.

Jarosław po raz ostatni widzi brata żywego w piątek wieczorem, dzień przed katastrofą. Spotykają się u mamy w szpitalu. Obaj stoją u wezłowania łóżka. Chwile spierają się o politykę, Jarosław pyta, jakim samolotem brat leci na jutrzejsze obchody, ale tematem numer jeden jak zawsze jest mama. Lech za chwilę wejdzie w trudny okres, zacznie się kampania wyborcza, walka o reelekcję, więc Jarosław ma wziąć szpital na siebie. Do tej pory dyżurowali tu na zmianę, czuwali przy mamie, patrzyli lekarzom na ręce, czasem nocowali w pokoju przy sali. Jeszcze kilka tygodni temu wspólnie wymusili przeprowadzenie zabiegu, który – jak sądzili – uratował jej życie. A teraz to wszystko zostanie na głowie Jarosława. Będzie siedział na Szaserów i zdawał bratu relację. Lech jutro wylatuje do Katynia, ale po powrocie może jeszcze wpadnie do mamy. W Warszawie powinien być z powrotem około osiemnastej.

W piątek po szpitalu zdzwaniają się jeszcze raz, koło północy. Nie mają niczego do omówienia, muszą się tylko na chwilę usłyszeć. Rankiem Lech telefonuje na Żoliborz dwukrotnie. Po raz pierwszy koło szóstej, przygotowując się do wyjścia.

I potem z samolotu, gdy ma już informacje z porannego obchodu. Jest 8.20, ale Jarosław jeszcze się nie dobudził. Słyszy od brata, że powinien jeszcze pospać.

– Bo się rozpadniesz.

Połączenie się zrywa – nie pierwszy raz, gdy Lech dzwoni z aparatu satelitarne w tupolewie. Jarosław nieraz mu mówił, żeby przestał latać tymi gratami. Skoro nawet telefony tam szwankują, to czy można ufać pozostałym urządzeniom? Mimo rady brata już się nie kładzie. Niedługo ma być po niego kierowca, trzeba się szykować do szpitala. Podczas golenia telefon dzwoni ponownie. Jarosław jest pewien, że to znowu Leszek. Pewnie już wylądował.

„Usłyszałem jednak jakiś nieznamy głos – opowie później w prasie. – Chyba był to któryś ze współpracowników ministra Sikorskiego. Później słuchawkę przejął sam minister. Poznałem go. Nie miałem cienia wątpliwości, że stało się coś złego. Dowiedziałem się, że doszło do katastrofy. Rozbił się samolot. Wszyscy zginęli. Powiedziałem mu: »To jest wynik waszej zbrodniczej polityki – nie kupiliście nowych samolotów«. Na tym rozmowa się skończyła. (...) Chyba sam odłożyłem słuchawkę. Po kwadransie był następny telefon. Miałem cień nadziei, że może jednak ktoś przeżył. Znowu dzwonił Sikorski i kategorycznie stwierdził, że katastrofa była wynikiem błędu pilota. Pamiętam jego słowa: »to był błąd pilota«. Oznajmił to zdecydowanie i jednoznacznie”.

Od tej rozmowy Jarosław będzie działać racjonalnie i metodycznie, nie da sobie czasu na rozpacz. Wie, że gdyby zaczął teraz myśleć o bracie, ogarnęłaby go niemoc, na którą nie może sobie pozwolić.

Dlatego wyznacza sobie małe zadania. Najpierw musi dotrzeć do szpitala i sprawdzić, co z mamą. Jeśli wszystko dobrze – uchronić przed informacjami o katastrofie. Mama nie może się dowiedzieć. Niech lekarze wymyślą jakiś pretekst i zabiorą ją z ośmioosobowej sali, najlepiej do izolatki. Z Szaserów szybko na Nowogrodzką. Pierwsza myśl jest taka, żeby lecieć do Smoleńska, do Leszka. Trzeba zorganizować przelot i formalności. Niech zajmie się tym partyjny skarbnik Staszek Kostrzewski. Sobota, więc pewnie jest w domu na wsi. Akurat pracuje przy drzewach w ogrodzie, ale za godzinę, półtorej powinien być w Warszawie. Będzie musiał podjąć pieniądze z konta i zorganizować samolot.

Nowogrodzka wygląda tego dnia inaczej niż zwykle. Jest weekend, więc w sekretariacie nie ma pani Basi. Jest pusto, ale już schodzą się kolejne osoby: wiceprezes Adam Lipiński, szef komitetu wykonawczego Joachim Brudziński, posłowie Karol Karski, Wojciech Jasiński, Tomasz Dudziński, eurodeputowani Adam Bielan i Paweł Kowal i pracownicy: R., Marcin Mastalerek i Mariusz Chłopik.

Jarosław jest już u siebie. Stoi przy biurku w żalobnym garniturze i bez krawata. Pewnie przebrał się już na Nowogrodzkiej. W szafie zawsze ma kilka zapasowych ubrań. Białe drzwi do jego gabinetu, które zawsze są zamknięte, dziś stoją otworem, ale ludzie boją się wchodzić. A jak już wejdą, to milczą. Kowal chciałby złożyć kondolencje, ale nie wie, czy powinien. Może jest jeszcze za wcześnie? – zastanawia się. Bielan podaje szefowi rękę, ale szybko odwraca się i bez słowa ucieka z płaczem do kuchni. Tylko Brudziński się odzywa. Ma myśl, że to, co się stało, musi mieć sens, że to Boży zamysł. Zerka na telewizor, jeszcze się ludzi, że może ktoś przeżył. A po głowie chodzi mu oazowa piosenka:

„Mądrość stół zastawiła obficie  
I na święto zaprasza swój lud  
Przychodźcie na ucztę Syna Bożego,  
Przyjmijcie ten chleb, co Pan daje nam.  
Liczne są nieszczęścia, które cierpi sprawiedliwy,  
Ale Pan go ze wszystkich wybawia,  
On czuwa nad każdą jego kością,  
I żadna z nich nie zostanie złamana”.

Brudzińskiemu – podobnie jak prezesowi – pomagają małe zadania. Kursuje między gabinetem Jarosława a pracownikami, którzy obmyślają przelot do Smoleńska. Gdy zamówią turbośmigłowego Saaba 340, zaraportuje: – Jarku, samolot wynajęty.

A kiedy około trzynastej Kowal załatwi kwestie formalne, powie: – Jarku, Paweł ma już wizy, możemy ruszać.

Na koniec pójdzie jeszcze z Kostrzewskim do kantoru po dolary i wysłe R. po butelkę koniaku. Boże, a jedzenie? Przecież szef dziś jeszcze nie jadł! Błękitny Barek, z którego przynoszą mu jedzenie w tygodniu,

jest zamknięty, więc trzeba iść do Inaby. Jarosław nie lubi sushi, ale w karcie jest tam jedna tradycyjna potrawa: schabowy.

Prezes je w ciszy. Jest opanowany. Wypowiada się oszczędnie i głównie w sprawach organizacyjnych. Od serca odezwie się tylko raz, gdy któryś z pracowników przyjdzie z informacją, że dzwonił z Kancelarii Premiera.

– Tusk leci do Smoleńska. Pytają, czy prezes nie chce z nimi...

– Nie, chcę być z przyjaciółmi, nie z wrogami. Oni zabili mi brata.

Czy chodzi mu o zamach? Nikt o to nie dopytuje, ale raczej nie. Jarosław w tych dniach jeszcze nie rozumie, co zaszło w Smoleńsku. Dlaczego – pyta współpracowników – oni w takiej mgłę lądowali, dlaczego?

A „zabili” znaczy „zaszczuli”. Wtedy to jeszcze przenośnia odnosząca się do stanu samolotów, rozdzielania wizyt i ogólnie tego, w jaki sposób traktowano brata za życia. Jarosław nie mógł tego ścierpieć przez całą prezydenturę. Z bliska widział, że Leszek – człowiek wrażliwy, ale też słabszy psychicznie niż on – źle znosi ataki. W jednym z posmoleńskich wywiadów podsumuje zachowanie Tuska i jego ekipy w dosadnych słowach: „zupełnie niebywałe, zdziczałe, okupacyjne można powiedzieć”.

On sam jest silny, a przynajmniej takim widzi go otoczenie. Cierpi, ale trzyma to w sobie. Cały czas powściąga emocje. Może tak działają na niego proszki, które dostał w szpitalu („Nigdy w życiu podobnych leków nie brałem, w związku z tym zadziałały na mnie niezwykle silnie”).

– On wbrew pozorom jest bardzo wrażliwy, tylko ma skłonność do zamykania się w sobie. Nie odreagowuje na innych i nigdy nie dzieli się uczuciami – twierdzi polityk PiS, który 10 kwietnia był na Nowogrodzkiej. – Może brał coś na uspokojenie, ale było widać, że cierpi. Gdyby miał jednym słowem opisać Jarka z tego dnia, to powiedziałbym, że był przywalony.

Albo ogłuszony. On sam wyzna później w prasie, że „był w potwornym szoku, czuł się jak bokser po bardzo ciężkim nokaucie”.

„Jarosław – opowie z kolei Brudziński w rozmowie z Teresą Torzańską – jako jedyny z nas nie rozsypał się emocjonalnie. Zobaczyłem w nim bardzo silnego człowieka, który analizuje sytuację, ocenia, planuje. Tragedia osobista nie odebrała mu umiejętności analitycznego rozumienia tej tragedii.

Powiem coś pani, ale proszę, bardzo panią proszę, nie traktować tego w kategoriach podlizywania się szefowi przez podwładnego. Pomyślałem, że dobrze mieć takiego silnego przywódcę. On nas swoim opanowaniem i spokojem budował. I to, żeśmy sprawnie funkcjonowali, wynikało z charakteru Jarosława”.

Lot może odbyć się tylko do Witebska, bo na lądowanie w Smoleńsku nie ma zgody. Podróż trwa półtorej godziny i upływa w całkowitej ciszy. Prezes zajmuje miejsce z przodu pokładu. Siada samotnie, ale Brudziński na wszelki wypadek jeszcze zastawia go ciałem.

W autokarze prezes zajmuje to samo miejsce, z przodu po lewej stronie. Choć wygląda, jakby wcisnęło go w fotel, to – jak mówi Brudziński – „jest intelektualnie zmobilizowany” i „myśli strategicznie”. Chce, żeby odczytać mu wszystkie wersje nekrologów przygotowane przez współpracowników. Wysłuchuje ich w milczeniu dwukrotnie, konsultuje się telefonicznie z bratanią, po czym prosi o połączenie z biurem w Warszawie. Z głowy podyktuje nowy tekst w imieniu całej rodziny:

„10 kwietnia 2010 roku zginął tragicznie nasz Syn, Brat, Ojciec, Dziadek i Teść śp. Lech Aleksander Kaczyński, Prezydent RP, działacz opozycji demokratycznej lat 70-tych i Solidarności. Był mądrym, uczciwym, dzielnym i wyjątkowo dobrym Człowiekiem, niezwykle kochającym Synem, Bratem, Ojcem i Dziadkiem. Matka Jadwiga, Brat Jarosław, Córka Marta, Zięć Marcin, Wnuczki Ewa i Martyna”.

Autokar wtacza się na lotnisko. Rosjanie w kilka godzin wykarczowali cały teren i utwardzili go żwirem, ale nadal jest bardzo grząsko. Wystarczy kilka kroków i buty są całe w błocie. Ci, którzy są tu od rana, chodzą w gumowcach. Dookoła walają się kawałki wraku i strzępy ubrań. W oddali



widać koło osadzone na goleni samolotu postawionej na sztorc. Bliżej, na drzewie – damski czerwony żakiet. Chyba ten, który Grażyna Gęsicka często nosiła w Sejmie.

Wychodzą. Pierwszy Jarosław, za nim ksiądz z brewiarzem, dalej – posłowie. Prezes prosi, żeby pokazać mu drogę do brata. Ambasador Jerzy Bahr odradza. Tłumaczy, że widok jest zbyt drastyczny.

„Nie uległem tym namowom – opowie później Jarosław. – Miałbym nie zobaczyć własnego Brata? Poszedłem tam, gdzie znajdowały się zwłoki. Ciało mojego Brata było w bardzo złym stanie, ale oczywiście ja nie miałem problemów z jego identyfikacją. Zrobiłem wtedy to, co normalnie się w takich sytuacjach czyni. Nie chcę o tym opowiadać w szczegółach. Pamiętam jednak to potworne uczucie chłodu ciała Leszka. To było wstrząsające. Przy mnie byli jacyś funkcjonariusze, urzędnicy. Zwróciłem jednemu z nich uwagę, by zdjął z głowy czapkę”.

Czy to wtedy Jarosław pyta brata o start w wyborach? Nie, jeszcze za wcześniej.

Rosyjski protokół identyfikacji zwłok sucho zrelacjonuje: oględziny ciała trwają od 20.30 do 20.37 czasu polskiego. Uczestniczy w nich obywatel Rzeczypospolitej Polskiej Jarosław Kaczyński w asyście konsul Wioletty Sobierańskiej. Procedurę przeprowadza prokurator Rachmatulin.

– Czy poznaje pan osobę prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego?

– Poznaje.

– Po czym pan go poznaje?

– Po ogólnej budowie ciała oraz po dużej bliźnie operacyjnej na ramieniu, którą ma po wypadku samochodowym.

– Czy zgadza się pan na badanie DNA?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo rozpoznaję brata bez najmniejszych wątpliwości.

Prokurator Rachmatulin protokołuje odmowę i drżącą ręką (według Brudzińskiego z przejęcia) podaje Jarosławowi formularz do podpisu. Przyklęknienie, modlitwa, ucałowanie brata.

W drodze powrotnej prezesa znów przejmuje Bahr. Składa mu kondolencje i próbuje mówić o tym, co przeżywał po śmierci ojca.

– Ale nie stracił pan brata – ucina Jarosław.

Bahr milknie. Po kilkunastu minutach zajrzy do Kaczyńskiego ponownie. Zastanie go w samotności, na tym samym przednim, lewym fotelu autokaru. Przekaze mu zaproszenie do namiotu, w którym jest Władimir Putin.

– Czy przyjdzie pan?

– Nie.

Brudziński: „To był drugi moment w tym dniu, kiedy poczułem dumę (...). Nie wyobrażam sobie sytuacji, że Jarosław idzie do niego, a premier Putin siedzi w namiocie, rozparty. I mówi: no, Polaczki przyszli, podojdite do mnie teraz, a ja wam będę współczuł”. Jarosław nie życzy sobie takiego współczucia.

Zostaje w autokarze i prosi o połączenie z Antonim Macierewiczem, który jest w drodze powrotnej do Polski. Po zakończeniu obchodów w Katyniu chciał przyjechać na miejsce katastrofy, ale Kaczyński kazał mu wsiąść do pociągu i jechać do Warszawy. Teraz to on udziela prezesowi wskazówek.

– Pamiętaj, Jarek – przestrzega – nie możesz wrócić do kraju bez ciała. Musisz zabrać Leszka z tej przeklętej ziemi.

Poseł nawet nie wie, w jaką stronę tu trafił. Podobnie o Rosji opowiadała mama. Wspominając rodzinę wymordowaną na Wschodzie, często mówiła: „ta okropna ziemia”.

Jarosław bierze radę Macierewicza do siebie. Wracając do tej rozmowy w filmie „Lider”, powie o pośle: przyjaciel. Na wydanie zwłok prezes zaczeka w pobliskim hotelu.

Kostrzewski uruchamia dolary. Posyła po drugą butelkę i kilka pizz, ale Jarosław odmawia jedzenia i alkoholu. Prosi tylko o wrzątek na herbatę.

– Pan mi mówił, że Leszek zrezygnował z tego wyjazdu? Dlaczego nie posłuchałem? – gryzie się w rozmowie z Bielaniem.

Te wyrzuty sumienia (według książki Lawrence’a Wrghta pojawiają się one u większości bliźniąt dotkniętych śmiercią rodzeństwa) będą wracać jeszcze wielokrotnie i w różnej formie. Jarosław powie w kilku wywiadach, że wiedział o złym stanie rządowych samolotów i w związku z tym namawiał brata na podróż pociągiem. Zaznaczy, co prawda, że prezydent zdecydował się na tupolewa ze względu na nieplanową wizytę w Wilnie, która wypadła mu w ostatniej chwili, ale w każdej z tych wypowiedzi poczucie winy będzie pobrzmiwać.

W prywatnych rozmowach Wilno też wróci. Raz Jarosław obarczy odpowiedzialnością siebie (Błagałem go, żeby pojechał pociągiem, ale może gdybym nalegał mocniej, to Leszek by dziś żył?), kiedy indziej poszuka winnych dookoła (Kto go namówił do tego wyjazdu? Tam musiała pójść jakaś gruba polityka, Leszek wrócił taki przygnębiony), a jeszcze innym razem podda się (Już bym wolał, żebyśmy zginęli razem).

Wbrew radom Macierewicza Jarosław musi wrócić do Polski bez brata. Putin zmienił zdanie i jednak nie wyda ciała tej nocy. W końcu to prezydent – wyjaśni Kowalowi – należy się pożegnanie z honorami, ceremonia, asysta wojskowa. Trzeba poczekać do niedzieli. A Jarosław czekać nie może, bo musi wracać do mamy.

– Nie chcę mieć dwóch pogrzebów w rodzinie – mówi.

Podczas pobytu w hotelu cały czas waży słowa, podejrzewa, że jego pokój jest na podsłuchu. „Oni – stwierdzi potem Brudziński – zainscenizowali lub wyreżyserowali nasz pobyt w hotelu, bo liczyli, na pewno liczyli, że Jarosław – mówiąc kolokwialnie – popłynie i wyrzuci z siebie, co o nich myśli (...). I się zawiedli. Bo Jarosław (...) to pierwsza liga

(...). We wszystkim, co robił i mówił, czuć było – użyję mocnych słów – majestat Rzeczypospolitej. On wszystkie ich ruchy analizował. I nie popłynął, i nie mają na niego nic, po prostu nic”.

/



**/ Życie wśród duchów**

Jarosław ląduje w Warszawie koło czwartej nad ranem, ale nie kładzie się spać. Jedzie na Żoliborz zdjąć zabłocone ubranie. Czyści buty i rusza na Szaserów upewnić się, że mama nic nie wie. Po szpitalu – już za dnia – do biura. Myśli tylko o Leszku i mamie, nie ogląda telewizji, nie słucha radia. Jest tak pochłonięty, że nie wie, co od kilkunastu godzin dzieje się w Warszawie. A dzieje się rzecz niezwykła. Na Krakowskim Przedmieściu stoi kilkudziesięcioletni tłum. Ludzie czuwają całą noc, przynoszą lampki, kładą kwiaty.

Na Nowogrodzkiej są już Brudziński, Bielan i Kostrzewski, zjawia się też pani Basia. Bielan chce dodać szefowi otuchy, ale też sprowadzić go na polityczne tory. Mówi o atmosferze na Krakowskim Przedmieściu, próbuje go delikatnie ukierunkować: tam jest mnóstwo ludzi, może byłoby dobrze, żeby ktoś do nich wyszedł, przemówił. Jarosław nie reaguje.

Brat wraca z przekłętej ziemi wojskową CASĄ, towarzyszą mu Paweł Kowal i dwoje ministrów z Kancelarii Prezydenta Maciej Łopiński i Małgorzata Bochenek. Ląduje chwilę po piętnastej i prosto z Okęcia przewożą go na Krakowskie Przedmieście. To wtedy Jarosław po raz pierwszy widzi morze ludzi, o którym opowiadał mu Bielan. Jest poruszony, mówi, że tłum jest taki jak na pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II.

Razem z Martą i jej mężem, kuzynem Jankiem, urzędnikami Kancelarii Prezydenta i kilkoma posłami patrzy, jak żołnierze wnoszą trumnę z Leszkiem do prezydenckiej kaplicy. Za chwilę ma się zacząć msza,

ale najpierw Jarosław musi zadać bratu pytanie: Kto ma kandydować? Ja czy ktoś inny?

– Bardzo dobrze pamiętam tę chwilę – wspomina jeden z parlamentarzystów. – Prezes wszedł do kaplicy, odwrócił się, porozumiewawczo spojrzął na Martę i zamknął za sobą skrzydła drzwi wejściowych. My wszyscy zostaliśmy na zewnątrz. Wyszedł po kwadransie. Był zmieniony, jakby mu ulżyło. Miał twarz człowieka pogodzonego z losem. Dopiero wtedy zaprosił resztę osób na mszę.

– Tak. Myślę, że to był ten moment, kiedy Jarek skonsultował się z Leszkiem – dopowiada człowiek, który doradzał mi uważne czytanie posmoleńskich wywiadów prezesa.

– Pan wierzy, że Jarosław rozmawiał z umarłym bratem?

– W sensie dosłownym oczywiście nie. Ale, gdyby mnie pan zapytał, czy jestem zdziwiony, że Jarosław czuje więź z Leszkiem, to też bym powiedział, że nie. Obserwowałem braci przez lata i wiem, że bliźniactwo to coś transcendentnego.

Wright pisze, że świat nauki stawiał już sobie pytania o telepatię bliźniąt (oczywiście żywych). Jako pierwszy z tym zagadnieniem mierzył się badacz z Minnesoty prof. David Lykken, zafrapowany zadziwiającymi zbiegami okoliczności, które przytrafiają się bliźniętom jednojajowym. Lykken rozdzielił parę siostr – każdą z nich umieścił w oddzielnej sypialni – i monitorował przez noc ich fale mózgowo. Sądził, że przez sen telepatia będzie lepiej wyczuwalna. Badanie miało udowodnić, że jedna z bliźniaczek usłyszy wołanie siostry puszczone z taśmy i – poprzez wysyłane fale – odpowiada jej myślowym sygnałem. Wynik początkowo był pozytywny, ale Lykken znalazł błąd w programie komputerowym i hipoteza runęła.

Podobny eksperyment przeprowadziła brytyjska badaczka zjawisk paranormalnych Susan Blackmore. Punktem wyjścia była historia, która intryguje wielu rodziców rodzeństw jednojajowych: bliźnięta rozsądzone



do osobnych pokoi, gdy się je poprosi o narysowanie tego, co przychodzi im do głowy, często przynoszą podobne obrazki. Blackmore dokonała tu pewnej modyfikacji. Zamknęła jedno z rodzeństwa, dała mu kartkę, kredki i poprosiła o przekazanie myślą drugiemu bliźniakowi tego, co zamierza narysować. Wynik był podobny jak w badaniu Lykken: dowodów na istnienie telepatii nie stwierdzono. Blackmore uznała, że coś, co można by nazwać jasnowidzeniem bliźniąt, bierze się z tego, że jednogajowi często myślą o tym samym.

Trzeciego badania podjęli się nieznani z nazwiska eksperci amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej, również zainspirowani legendami o bliźniątach przekazujących sobie informacje na odległość. Taka telepatia byłaby dla CIA nieoceniona. Ich eksperyment miał następujący przebieg: parę bliźniąt umieszczono w odległych od siebie o sześć metrów oświetlonych pokojach. Kazano im zamykać i otwierać oczy na sygnał, bo zauważono, że ta czynność powtarzana przy świetle wywołuje fale alfa. Spośród 13 par bliźniąt poddanych eksperymentowi tylko u dwóch wykryto jakąkolwiek interakcję, telepatii nie stwierdzono u nikogo.

Tyle badania naukowe. Ale czy Jarosław nie mógł sądzić, że brat z zaświatów doradza mu kandydowanie? Jeden z moich rozmówców opowiada, że prezydent jeszcze za życia dopytywał doradców, czy nie dałoby się zrobić w Pałacu podmiany. Od dawna marzył, żeby w kolejnych wyborach wystartował Jarosław. Z jednej strony sam nie czuł się dobrze jako głowa państwa, a z drugiej – chciał, żeby brat też posmakował prezydentury.

W poniedziałek, po cichu, ruszają pierwsze przygotowania do kampanii. Na Nowogrodzkiej zajmuje się nimi R., który nie ma bezpośredniego dostępu do prezesa, ale kontaktuje się z Kostrzewskim. R. jeszcze nie wtajemnicza pracowników, ale już wykonuje pierwsze ruchy – wykupuje domenę internetową z nazwiskiem Jarosława, zleca wstępny projekt witryny.

A prezes ma myśl: chciałby po raz ostatni zobaczyć brata takiego, jakim go zapamiętał za życia. Prosi, żeby mu znaleźć zakład zajmujący

się tanatopraksją. Męczy go też, że Leszek przyleciał do Polski w ruskiej trumnie. Zabieg – jak się okaże, nie do końca udany – wraz z przełożeniem zwłok ma się odbyć w nocy z poniedziałku na wtorek. Jarosław czuwa przy bracie do rana, na ostatnią drogę daje mu dwie pamiątki z ich wspólnego czy – jak sam to nazywa – równoległego życia. Gdy jeden ze współpracowników spróbuje go później spytać, co to za przedmioty, Jarosław nie odpowie. To zbyt osobiste.

W tym czasie decyduje się też sprawa pochówku. Jeszcze przed przełożeniem zwłok Jarosław mówi, że brat zostaje w Warszawie. Czuje, że musi mieć go przy sobie. Myśli o Powązkach, nie tych wojskowych, bo przecież Leszek nie będzie leżał obok Bieruta. Zostaje rodzinny grobowiec, w którym złożono tatę. Gdy decyzja jest już właściwie podjęta (Jarosław uzgadnia ją z Martą), w biurze zjawiają się spin doktorzy Adam Bielan i Michał Kamiński. Przynoszą notatkę przygotowaną przez Kowala, który opisuje trzy warianty pogrzebu: Powązki, Wawel i Świątynię Opatrności Bożej. Jarosław początkowo jest sceptyczny.

– Wawel nie. Chcę mieć Leszka bliżej.

Na Świątynię naciska metropolita warszawski arcybiskup Kazimierz Nycz, ale Jarosław mówi, że to wykluczone. To jeszcze plac budowy, nie godzi się chować prezydenta w takich warunkach. Poza tym Leszek nie lubił Świątyni. W Warszawie jest jeszcze archikatedra, ale arcybiskup twierdzi, że może tam pochować tylko prezydenta. Czyli Marylka musiałaby iść gdzie indziej. Może to tylko element nacisku w negocjacjach dotyczących Świątyni, w której – jak zapewnia metropolita – są dwa miejsca, ale Jarosław odbiera to źle. Świątynia odpada, a o archikatedrę nie będzie się prosić.

Więc może Wawel?

– To Kraków, daleko.

Ale z drugiej strony Wawel kusi. Królewski sarkofag, sąsiedztwo Marszałka Piłsudskiego, Mickiewicz. Taki pochówek dałby Leszkowi miejsce

w historii. A w Warszawie postawi się grób symboliczny, na który będzie można przyjść, pomodlić się i porozmawiać z bratem. Początkowo Jarosław myśli tylko o tablicy, ale ostatecznie decyduje się na okazały pomnik z dużym czarnym krzyżem.

Tak, jednak Wawel. Dziewięć miesięcy po śmierci brata Jarosław wyjaśni w wywiadzie: „Może kiedyś, gdy się zestarzeję, będę miał problemy z dojazdami, ale trudno. Należało godnie pochować pierwszego prezydenta Polski po 1989 roku z prawdziwego zdarzenia: wykształcony, bez trudnych momentów w życiorysie, bez majątku nie wiadomo skąd, a przede wszystkim, broniącego na poważnie polskiej racji stanu”.

Sprawa wyborów jeszcze na chwilę wraca w czwartek. Jarosław zwołuje współpracowników na Nowogrodzką. Nie pyta „czy”, ale „jak”. To, że ma kandydować, jest oczywiste, nikt nie oponuje. Gdy goście wychodzą, u prezesa niespodziewanie zjawia się Adam Hofman, który dopiero aspiruje do grona doradców. Musiał być gdzieś w pobliżu i czekać, aż się skończy narada. Ma z sobą wyniki badań, z których wynika, że Jarosław nie ma szans w wyborach prezydenckich. Przekonuje, że partia powinna wystawić kobietę. Kogo? Choćby Joannę Kluzik-Rostkowską.

Z biura prezes jedzie na Szaserów. Z mamą nie najgorzej, ale jest rozdrażniony wizytą Hofmana. Każe zawrócić wszystkich uczestników narady – Brudzińskiego, Kostrzewskiego, Bielana, Kamińskiego i Mariusza Błaszczaka – i ściągnąć ich do szpitala. Spotkanie odbywa się w salce, *vis à vis* mamy. Jarosław relacjonuje wyniki sondażu i prosi o opinię. Wie, że decyzja o jego starcie jest dyskusyjna – ma duży elektorat negatywny, na jego niekorzyść będzie też działać brak rodziny – więc chce rozłożyć odpowiedzialność na więcej osób. Dwór reaguje zgodnie z oczekiwaniami: doradcy jeden po drugim zapewniają, że tylko Jarosław może ponieść sztandar brata.

No, właśnie, ale czy na pewno go niesie? W kampanii nie jest to takie oczywiste. W wywiadzie udzielonym już po jej zakończeniu sam postawi

pytanie: „W jaki sposób poważny polityk mógłby nie zajmować się sprawą Smoleńska?”. I wyzna: „Polityk też ma prawo do osobistych odczuć. Kiedy ginie najbliższy mi człowiek, to proszę wybaczyć, ale nie będę się kierował względami politycznymi. W tej sprawie kieruję się sercem”. Czyli Jarosław, zarówno jako polityk, jak i osierocony bliźniak, czuje w sobie imperatyw, by mówić o śmierci brata, szukać jej przyczyn, dążyć do ukarania winnych.

W czasie kampanii na pewno wyznacza sobie granicę, które nie przekracza. Gdy na finiszu kampanii Michał Kamiński przynosi mu propozycję przemówienia do wygłoszenia na Jasnej Górze, on ją odrzuca. Kwestionuje apel, który według Kamińskiego powinien skierować do polityków Platformy: „Wybaczam i proszę o wybaczenie. Z tego miejsca polscy biskupi zwracali się do niemieckich biskupów i dziś ja powtarzam ten ewangeliczny gest”. Choćby miało mu to dać wygraną, to nie jest w stanie tego powiedzieć. Ale z drugiej strony w ciągu tych dwóch miesięcy sam odkłada temat Smoleńska do szuflady. Poza kilkoma ezopowymi wypowiedziami – „wojna polsko-polska zakończyła się tragedią” czy „chłopcy bawili się zapalkami i podpalili dom” – w ogóle go nie podnosi.

Po porażce dwukrotnie przyzna, że to był błąd. Za każdym razem będzie oczywiście rozmyślać odpowiedzialność. Na sierpniowym posiedzeniu Klubu Parlamentarnego PiS jeszcze użyje liczby mnogiej: „Cnotę straciliśmy, rubla nie zarobiliśmy”.

Ale już we wrześniowym wywiadzie prasowym po prostu zrzuci winę na innych: „Nigdy nie uchylałem się od odpowiedzialności za kampanie wyborcze czy jakiegokolwiek polityczne działania partii. Ale tym razem się uchylam. Byłem w takim stanie, że – uczciwie mówiąc – to za mnie wymyślano tę kampanię. Kto ją wymyślał? Sztab. Dokładnie jego część”.

A rok później w książce „Polska naszych marzeń” powie, że schowanie tematu katastrofy wynikało z kalkulacji i miało mu dać prezydenturę: „W sztabie mnie namawiano (podpierając się badaniami), żeby nie

było żadnego Smoleńska. Przystalem na to, bo sądziłem, że zwycięstwo jest najważniejsze, także dla wyjaśnienia katastrofy i uczczenia ofiar, i oczywiście Leszka. Ale jednocześnie mówiłem im, że jeżeli wygram, to w pierwszym wystąpieniu kwitującym zwycięstwo powiem o Smoleńsku, a jeżeli przegram, to też o tym powiem”.

Kiedy do Jarosława dociera, że w tej wyborczej grze zaparł się siebie? Bardzo szybko, dzień po porażce. Czując strunę znowu porusza w nim Antoni Macierewicz.

– Był poniedziałek, koło godziny trzynastej – wspomina członek sztabu wyborczego. – Przyjechałem do biura z duszą na ramieniu, bo już w sobotę, dzień przed głosowaniem, widziałem, w jakim kierunku zmierzają sprawy.

– To znaczy?

– Zaufani ludzie Jarosława – R., pracownicy partii związani z Adamem Lipińskim – przeganiali moich wolontariuszy. Dawali do zrozumienia: kampania się skończyła, wasz czas minął. Do widzenia, teraz wraca stare.

– Normalna walka o pozycję.

– Tak, ale w PiS takie sygnały są znaczące i nie biorą się znikąd. Są miarą atmosfery panującej w gabinecie prezesa. Ja odebrałem to jako zapowiedź rozliczeń. Wiedziałem, że pojawiają się zarzuty o wysokie koszty wynajmu biura w Hotelu Europejskim, gdzie mieścił się nasz sztab. Ale tego, co się stało, nie przewidziałem. Kiedy o tej trzynastej wszedłem do biura, u prezesa akurat trwało spotkanie. Usiadłem w sekretariacie. Po 15 minutach drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszli Macierewicz i Piotr Naimski. Prezes chciał się ze mną przywitać, ale pan Antoni stanął przy futrynie i zablokował go ciałem. Spojrzał mu w oczy i powiedział: „Jarek, ty zapomniałeś o Lechu”. To był cios w samo serce, w miłość do brata. Zmroziło mnie.

– Wszedł pan do jego gabinetu?





Wakacje w leśniczówce koło Sławna, 2003 rok.  
Lech i Jarosław uwielbiają wspólne spacerować.  
Wchodzą do lasu i znikają na trzy-cztery godziny.

– Tak. Jarosław chłodno oświadczył: „Kampania się skończyła, teraz trzeba umyć twarz”.

– W obecności Macierewicza?

– Nie. Byliśmy już tylko ja i prezes.

W „Liderze” Jarosław przyzna, że to właśnie wtedy, prawie trzy miesiące po Smoleńsku, dociera do niego, czym jest śmierć brata: „W takiej pustce, w bezpośredniej relacji z tym, co się stało, znalazłem się po 4 lipca, kiedy wybory były rozstrzygnięte. Ludzie się rozjechali, a ja zostałem z mamą w szpitalu i z tym poczuciem, że Leszka nie ma”.

Czesław Telatycki, były poseł PiS z Łodzi, a wcześniej działacz Porozumienia Centrum, mówi, że do dziś ma przed oczami Jarosława przemawiającego podczas rady politycznej partii zwołanej niedługo po Smoleńsku: – Może nie dyszał zemstą, ale widać było w nim przeświadczenie, że skrzywdzono mu rodziną i że winni muszą ponieść za to karę. To był smutny, pozbawiony radości człowiek.

Motywy smutku powraca w rozmowach z wieloma znajomymi prezesa. Jarek, opowiada jeden z nich, przed Smoleńskiem uważał, że najszczęśliwsze dni są dopiero przed nim. Cieszył się, że po prezydenturze Leszka obaj wezmą długie urlopy i wyjadą w Bory Tucholskie. Będą wędrować po lesie, siedzieć przy herbacie i wreszcie sobie opowiedzą, jak to naprawdę było. Od upadku komuny aż do wielkiego zwycięstwa w 2005 roku. Spokojnie, bez pośpiechu.

Inne niespełnione marzenie, też odłożone na po prezydenturze: sprzedać Żoliborz, kupić bliźniak pod miastem i zamieszkać w nim całą rodziną. W jednej połówce – Jarosław z mamą, w drugiej – Leszek z Marylką. Wszystko było już uzgodnione, słyszę od niepartyjnego znajomego prezesa. Nawet prezydentowa już się zgodziła.

Ktoś inny mówi, że Jarosław ma smutek w oczach także wtedy, gdy się śmieje. Niby żartuje, ale już nie tak jak kiedyś, nie pełną pierśią. I że gdy wspomina Leszka, to na sekundę zapala mu się w oku iskierka, która jednak szybko gaśnie.



A kiedy już zniknie, przychodzi zrezygnowanie: oddałbym całą karierę za Leszka, mówi wtedy Jarosław. Albo złość: zmarnowali mi życie...

Czy to oznacza, że śmierć brata zamieniła Kaczyńskiego w mściciela? Pytam o to wszystkich rozmówców mających dostęp do prezesa. Jedni odpowiadają twierdząco. Inni kluczą: zemsta – nie, ale znalezienie winnych i wymierzenie sprawiedliwości – już tak. A sam Jarosław zmienia słowa. Zamiast „zemsta” mówi „zobowiązanie”.

Gdy mama umiera, po raz pierwszy oświadcza, że śmierć brata przyspieszyła jej odejście (później to jeszcze powtórzy).

„Ten związek był bezpośredni. Wylew, jakiego doznała, był skutkiem tego, co się działo przed pierwszą rocznicą tragedii. Widziała niestety, choć starałem się ją chronić, tę uruchomioną wtedy potworną kampanię nienawiści. Widziałem, że odbierane jest nam nawet prawo do godnego uczczenia śmierci jej świętej pamięci syna. Wtedy zaczął się cały ciąg komplikacji zdrowotnych, zakażeń szpitalnych. Tak, gdyby nie było Smoleńska, Mama nie doznałaby wylewu i na pewno by żyła”.

Mówi też wprost, że to dla mamy i brata chce przejąć władzę: „Moim zobowiązaniem wobec Mamy i wobec mojego Brata, prezydenta Rzeczypospolitej, jest, by z całych sił próbować w Polsce coś zmienić, by naprawić to, co złe”.

Śmierć brata i mamy to kluczowe momenty w jego politycznej biografii. Od nich Jarosław rozpoczyna życie wśród duchów. Tak jak wcześniej zdawał mamie polityczne relacje i konsultował się z bratem, tak dziś robi to na grobach. Przy ich wspólnym pomniku na Powązkach stawia się w każdy sobotni poranek, przychodzi też do nich w dniu wszystkich wyborów. Do tego oddzielnie odwiedza Leszka na Wawelu. Jeździ do niego prywatnie, bez kamer – 18 dnia każdego miesiąca (miesięcznica pochówku), w Dzień Zaduszny, Święta Wielkanocne, Boże Narodzenie i w urodziny.

Łącznie jest u mamy i brata 70 razy w roku.

Przeglądam zdjęcia Jarosława Kaczyńskiego zrobione po katastrofie smoleńskiej. Niemal na wszystkich oficjalnych fotografiach prezes występuje w jednakowym zestawie: czarny garnitur, czarny krawat, biała koszula. W sytuacjach prywatnych jest podobnie. Zdjęcia z wycieczki nad jezioro: Jarosław siedzi w łódce i popija kawę z papierowego kubeczka. Jest bez marynarki, ale w czarnych spodniach i czarnej koszuli. W wywiadzie prasowym wyjaśni, że zamierza nosić żałobę po bracie do końca życia.

Jeden z jego współpracowników, którego o to pytam, mówi, że nakłonienie szefa do zdjęcia żałobnej marynarki jest właściwie niemożliwe. Do tej pory udało się to zaledwie kilka razy w trakcie kampanii wyborczych. Ale nawet wtedy prezes kazał sobie przypinać czarną wstążeczkę do koszuli czy swetra.

Drugi twierdzi, że po katastrofie Jarosław przestał obchodzić urodziny. Nie przyjmuje prezentów i denerwuje się, gdy ktoś chce mu składać życzenia.

Inny polityk, od lat zaprzyjaźniony z oboma braćmi, wspomina pewną nieprzyjemną sytuację. Gdy po raz pierwszy po Smoleńsku przyszedł do pracy w normalnym, nieżałobnym stroju, Jarosław nie był w stanie ukryć niezadowolenia. A było już pół roku po katastrofie.

– Spojrzał na mnie – opowiada mój rozmówca – i spytał, czemu mam na sobie niebieską koszulę i czerwony krawat. Powiedziałem, że nie można nosić żałoby całe życie. Wyraźnie mu się to nie spodobało.

Po przejrzeniu fotografii Jarosława, który wciąż chodzi na czarno, cisną się pytania: Czy żałoba trwająca całe życie nie jest przesadą? Czy bracia nie byli na swoim punkcie przewrażliwieni? Można się nad nimi zastanawiać, dopóki nie pozna się dramatycznej historii amerykańskich bliźniaczek Lindy i Brendy McGee.

Siostry bardzo się od siebie różniły. Linda była spokojna i wycofana, Brenda zaś – wesoła, gadatliwa, aktywna. Linda pracowała jako nauczycielka, a Brenda była zatrudniona na stanowisku analityka w firmie Marsh & McLennan, której biuro mieściło się na 97 piętrze północnej wieży World Trade Center. Zginęła w zamachu terrorystycznym 11 września.

Wraz z drapaczem chmur runęło życie drugiej z sióstr McGee. Linda przeżyła załamanie psychiczne, w jednym z wywiadów telewizyjnych stwierdziła, że czuje się, jakby ktoś uciął jej nogę.

– W końcu może nauczę się znów chodzić, ale co to będzie za chodzenie? – pytała.

Dr Nancy Segal, dyrektorka Centrum Badań nad Bliźniakami na Uniwersytecie Kalifornijskim w Fullerton, spędziła na rozmowach z Lindą wiele godzin. Kobieta wyznała jej, że po stracie siostry nie umie sobie znaleźć miejsca. Nie może kontynuować pracy w szkole, ma kłopot ze spamiętaniem 31 nazwisk swoich uczniów i nie potrafi stanąć z nimi twarzą w twarz. W dniu urodzin prosi, żeby znajomi nie składali jej życzeń. Zamyka się w domu, zaciąga rolety i na wszelki wypadek wyłącza telefon.

To, co w zachowaniu Jarosława Kaczyńskiego przeciętny człowiek mógłby ocenić jako niezrozumiałe, wśród bliźniaków jest absolutną normą. W rzeczywistości w jego dozgonnej żalobie nie ma nic nadzwyczajnego. W rezygnacji z radosnego obchodzenia urodzin, świąt i sylwestrów – też nie. Prezes zachowuje się dokładnie tak, jak Linda McGee po stracie siostry: uważa, że wraz z odejściem bliźniaka umarła część jego samego i że nie ma czego świętować.

Czy jest to dziwne? Może dla niebliźniaka. Według badań naukowych nad psychologią jednojajowych to zupełnie normalne.



**/ Mit**

Siedem miesięcy po Smoleńsku Jarosław oczyszcza partię ze współpracowników brata. Rozstaje się z politykami, którzy przyjaźnili się z Leszkiem. Pierwsza zostaje wyrzucona Elżbieta Jakubiak, była szefowa gabinetu prezydenta.

– Myśleliście, że zajmiecie przy mnie taką pozycję, jaką mieliście przy Leszku. Ale nie zajmiecie – oznajmia jej prezes.

Później napisze o niej w książce: Leszek miał z nią w Pałacu wielki kłopot. Jakubiak chciała być królową, a została tylko księżniczką i nie mogła się z tym pogodzić. Ma zacięcie do destrukcji. Uczestniczyła w spisku przeciwko partii, bardzo zaszkodziła.

Drugi jest Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego i przyjaciel Lecha. Podczas spotkania słyszy od Jarosława gorzkie słowa. – To, że byliście politycznymi dziećmi Leszka, nie znaczy, że ja też będę waszym ojcem.

Trzeci – Paweł Kowal. Europeoseł, częsty uczestnik wieczornych spotkań na sofach. Odchodzi sam, na pożegnanie wysyła do Jarosława prywatny list. Pisze, że już 10 kwietnia, na smoleńskim wrakowisku, czuł w nim obcość. Pyta, dlaczego ich przyjaźń z Leszkiem go boli. Jarosław nie odpisze, ale odpowie mu publicznie, w książce: Kowal jest bardzo młody i strasznie się śpieszył do awansów. Daliśmy mu mandat eurodeputowanego i miejsce we władzach partii, ale było mu mało. Nie wiem, na co liczył.





**Bracia nie lubią być na wprost siebie. Gdy ktoś ich tak posadzi, stają się niespokojni, nie mogą utrzymać na sobie wzroku.**

W prywatnych rozmowach będzie się zastanawiać: początki jego kariery są niejasne, może to śpionch WSI? O innym przyjacielu Leszka, którego też się pozbędzie, prezes zaczyna rozpowiadać jeszcze gorsze rzeczy: to człowiek z lumpiarskiej rodziny, wychowany na melinach.

A gdy dziennikarze pytają go na sejmowym korytarzu o PjN (Polska Jest Najważniejsza), partię, do której przystępują współpracownicy Lecha, stwierdza: – To osoby nielojalne i niemoralne. Oni się bardzo, bardzo przymilali do prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a później do mnie, w sposób niekiedy wręcz żenujący. Nie chcemy takich osób w partii, to jest poziom moralny, z którym nie rozmawiamy.

Jarosław jest przekonany, że rozłam inspirowały osoby związane z rocznikiem „Teologia Polityczna”, m.in. Dariusz Karłowicz i Dariusz Gawin. To także ludzie, którzy mieli bliskie kontakty z Lechem. Prezes uważa, że to dziwne towarzystwo. Niby myśliciele, a tacy zamożni, z kontaktami w niemieckich fundacjach.

Spośród przyjaciół prezydenta w PiS zostają tylko dwie osoby: Maciej Łopiński i Anna Fotyga. Reszta jest upokarzana. Z zazdrości o przyjaźń? Uczucie na pewno nie jest Jarosławowi obce, zawsze chciał mieć brata tylko dla siebie.

Zaraz po rozstaniu z Klubem Parlamentarnym PiS Ołdakowski opowie w prasie o relacjach, które łączyły go z Lechem. O tym, jak podczas ich ostatniego spotkania rozmawiali o wczesnym Wajdzie, Kalinie Jędrusik, książkach Eduardo Mendozy i o życiu. Gdy dziennikarze zapytają, czy Jarosław mógł być o to zazdrosny, nie zaprzeczy. A trzy lata później w wywiadzie-rzecz zatytułowanym „Muzeum” uzupełni: „Jarosława Kaczyńskiego chyba krępowało, że mieliśmy tak bliski kontakt z jego bratem, i zdecydowanie nie był zainteresowany przenoszeniem tej bliskości na swoją osobę”.

– A moim zdaniem tu chodzi przede wszystkim o mit – mówi polityk, który przez kilkanaście lat współpracował z oboma braćmi. – Jarosław



idealizuje Lecha. Żyje wyobrażeniem o postaci niezłomnej, bez najmniejszej rysy. A Leszek był normalnym człowiekiem. Kochanym, serdecznym, ale dalekim od ideału. Miał ludzkie słabości, w polityce też wiele rzeczy mu nie wychodziło. Do tego część jego poglądów, na Kościół czy aborcję, nie zgadzała się z linią partii, czyli de facto z poglądami jej prezesa. Jarosław jednocześnie wypiera to ze świadomości, ale też wie, że my, przyjaciele Leszka, o tym wszystkim wiemy. Dlatego nie chcąc zakłócać mitu brata, instynktownie odsuwa od siebie ludzi, którzy się z nim przyjaźnili i znali prawdę.

– To idealizowanie zaczęło się po śmierci prezydenta?

– Nie, trwało też za życia. Jarosław zawsze uważał, że brat jest stworzony do wielkich spraw. Oczywiście dostrzegał rozmaite wpadki, do których dochodziło w trakcie prezydentury, ale nie dopuszczał do siebie, że wina leży po stronie Leszka. Sądził, że w dół ciągnie go otoczenie. Niekompetentne, skłócone i nielojalne. Pamięta pan słynny szczyt unijny w 2007 roku?

– Prezydent jechał na niego z postanowieniem, że wywalczy pierwsiastkowy sposób liczenia głosów, a wrócił z tzw. Joaniną, czyli mechanizmem, który jeszcze przed szczytem proponował Polsce Nicolas Sarkozy.

– Gorzej! Nie zadbał o wpisanie Joaniny do Traktatu Lizbońskiego i nie dopilnował, żeby doprecyzowano, jak długo można za pomocą tego mechanizmu blokować decyzje Unii. Osobiście położył te negocjacje. Szerpowie Ewa Ośniecka-Tamecka i Marek Cichocki chcieli walczyć o pierwsiastek do końca, ale prezydent odsunął ich od rozmów, poszedł na kolację z Barroso i odpuścił. Jarosław nie przyjmował tego do wiadomości. Oficjalnie kazał ogłosić sukces, a prywatnie mówił, że doszło do zdrady ze strony szerpów.

Drugi z nich, Marek Cichocki, zostanie po Smoleńsku zaliczony do inspiratorów partyjnego rozłamu. Bo kto raz zdradził brata, ten nigdy nie zagrzeje miejsca u Jarosława.





# **SAM PRZECIWIW ŚWIATU**

**Wódka pod schab / Stan wojenny /  
Formacja KPP kontra człowiek z innej parafii /  
Zemsta bibliotekarza /  
Sex instructor. First lesson free /  
Swąd /**

**/ Wódka pod schab**

„O polityce myślałem nieustannie, od zawsze. Marzyłem o tym. To jest mój sposób życia. Rozmyślanie o polityce wypełniało mi dni od młodych lat”.

To już pięć lat, osiem miesięcy i osiem dni od wyjazdu brata. Jest grudzień 1976 r. Pora działać.

Jarosław zdał na piątkę egzaminy doktorskie z teorii państwa i prawa oraz filozofii marksistowskiej. Dzień po obronie pracy z roli ciał kolegialnych w kierowaniu szkołą wyższą odpoczywa w domu, a dwa dni po – idzie do mamy do pracy. Melduje się u Jana Józefa Lipskiego i mówi, że jest gotowy.

Lipski jest współzałożycielem Komitetu Obrony Robotników i jedną z najważniejszych postaci antykomunistycznej opozycji. Ze względu na jego wiek i przyjaźń z mamą Jarosław darzy go szacunkiem, ale nie będzie szukać z nim prywatnych kontaktów. Nie zabiega o spotkania, nie przychodzi na jego imieniny. Może nie pasuje mu, że bawi się tam „komuna” – walterowcy, których pamięta z liceum?

Jego stosunki z Lipskim są – można powiedzieć – służbowe. Jarosław dostaje zadania i je wykonuje. Na początku ma jechać do Płocka, do robotników represjonowanych za udział w strajkach. Będzie tam kursować przez kilka miesięcy, zawsze w pojedynkę. Po raz pierwszy zobaczy biedne robotnicze mieszkania – odrapane klatki schodowe, ściany czarne od sadzy, na stołach stary razowy chleb. Po jednej z wizyt zwija go bezpieka.

„Uratował mnie doktorat – przyzna w „Alfabcie”. – Wsadzili mnie do radiowozu. Milicjant się mnie czepiał o jakieś nieściśności w dowodzie. A oficer SB z obrzydliwą mordą tłustego urzędnika spytał nagle: »Ma pan może stopień naukowy?«. Odpowiedziałem, że jestem doktorem. Oddał mi dowód, wypuszcza. Nie wiem, czy to mnie nie uratowało przed pobiciem. Była najwyraźniej instrukcja, że nie wolno (...). Mnie w zasadzie nigdy nie pobili. Raz jeden mnie szarpali, to wszystko. Byłem przekonany, że następnego dnia zrobią mi w domu rewizję. Nic takiego się nie stało”.

Dla Jarosława to pracowity czas. Oprócz działalności ma jeszcze obowiązki. Leszka nie ma, więc teraz to na nim spoczywa robienie zakupów dla mamy. W domu pieniędzy nie brakuje, ale czasy, gdy wracał ze sklepu z szynką i sokiem pomarańczowym w puszkach, się skończyły. Na większe zakupy mama wysyła go co sobotę. Gdy zaczynają się problemy z zaopatrzeniem, krąży po żoliborskich bazarach i stoi w coraz dłuższych kolejkach po mięso.

A przecież jeszcze pracuje. Raz w tygodniu jeździ pociągiem do Białegostoku, gdzie prowadzi wykłady dla studentów (później dojdą mu jeszcze weekendowe zajęcia w Suwałkach). Jest adiunktem w filii Uniwersytetu Warszawskiego u profesora Andrzeja Stelmachowskiego. Stanowisko załatwił mu Ehrlich. Kaczyński będzie później opowiadać, że musiał odejść z Zakładu Badań nad Szkolnictwem Wyższym (tu po magisterce umieściła go mama), gdy okazało się, że jednak nie jest synem partyjnego funkcjonariusza odpowiedzialnego za warszawskie spółdzielnie mieszkaniowe.

Wykłady w Białymstoku są też lepiej płatne. Ze świadectwa pracy wynika, że jako starszy asystent naukowo-badawczy Jarosław zarabiał w Zakładzie 3400 złotych. A w Białymstoku razem z dodatkami ma ponad 8 tys.

Tylko te dojazdy. Pociąga wyrusza z Warszawy o piątej, więc Jarosław musi wstawać, gdy jeszcze jest ciemno. Nie znosi tego, ale nie ma wyjścia,

bo zajęcia na uczelni zaczynają się kilka minut po ósmej. Wieczorem, po wykładach czeka na niego znajomy i maluchem podwozi go na dworzec, dzięki czemu Jarosław może na noc wracać do domu. Gdy nie zdąży, nocuje w mieszkaniu kolegi albo w hotelu asystenckim.

Ze studentami się nie spoufala, z życia towarzyskiego nie korzysta zupełnie. Profesor Stelmachowski zaprasza go kiedyś na kolację, ale on się wymawia. Idzie do pokoju, przyrządza sobie posiłek i spędza wieczór w samotności. Dziekan uzna to za nietakt.

„Przypominam sobie też »białe noce« w Białymstoku – powie Jarosław w wywiadzie-rzece „Czas na zmiany” – kiedy po powrocie z Suwałk, gdzie jeździłem do punktu konsultacyjnego, w soboty wieczorem kładłem się do łóżka w hotelu asystenckim. Naprzeciwko hotelu był akademik, w którym organizowano dyskoteki. Grali tam do świtu i to tak, że o spaniu nie mogło być mowy. Słuchałem tych melodii, zresztą wiele z nich lubiłem, i miałem czas spokojnie się zastanawiać. Myślałem sobie wtedy: »Stajemy garstką przeciw temu całemu imperium, z czasem ono musi nas zetrzeć«”.

Studenci początkowo skarżą się na zajęcia z doktorem Kaczyńskim. Że podczas wykładów pali papierosy (w tym czasie schodzi mu półtorej paczki dziennie), czyta z kartki i się jąka. To wszystko przez nerwy – Jarosław nigdy wcześniej nie występował publicznie. Ostatecznie jednak przyjmuje uwagi i odkłada notatki. Od tej pory będzie już zawsze mówić z głowy.

Na razie jest początkującym działaczem. Dostaje zadania mało skomplikowane, choć i tak kilka razy ratuje się przed wpadką. Tak jest w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie w robotniczych blokach ma porozkładać ulotki. Już sam dojazd okazuje się wyprawą: pociągami do Kielc, elektryczką do Olkusza i złapaną na drodze ciężarówką do Sosnowca. Na miejscu szybko zostaje zdekonspirowany przez milicję. Chowa aktówkę do siatki na zakupy, przewraca kurtkę na lewą stronę, zakłada czapkę z włóczki i dojeżdża taksówką na Uniwersytet Śląski. Przedstawi się jako pracownik naukowy

z Białegostoku i poprosi o spotkanie z jednym z wykładowców. Docenta nie będzie, ale stempel na delegacji wziętej z uczelni mu przystawią. Dzięki niemu spokojnie pojedzie na dworzec i wróci do Warszawy.

Mickiewicza 27 to masywna, przedwojenna kamienica w centralnym punkcie Żoliborza. Z warszawskiego mieszkania Jarosława jest tu 10 minut spokojnego spaceru. Wystarczy dojść do placu Inwalidów, a potem cały czas prosto w kierunku placu Komuny Paryskiej (dziś Wilsona).

Wejście na klatkę schodową jest od ulicy, z tyłu rozciąga się duże podwórko z drzewami, piaskownicą i murowanym śmietnikiem.

Mieszkanie na parterze składa się z trzech wysokich pokoiów, kuchni i dawnej słuźbówki. Nosi numer 64. W dzień wchodzi się bez pukania (drzwi nigdy nie są zamknięte), a wieczorem, żeby uniknąć płacenia dozorca, który otwiera frontową bramę – przez okno od ulicy.

Na regale wypełnionym książkami wisi regulamin i grafik dyżurów. Obok – wersalka nakryta wzorzystą kapą z frędzlami. Przy ciężkim biurku pnie się wysoka roślina, dookoła pełno papierów, nieopóźnione popielniczki, szklanki z niedopitą herbatą i telefon z okrągłą tarczą. W oknach grube zasłony.

Mieszkanie jest objęte PT (podsluch telefoniczny), PP (podsluch pomieszczeń) i obserwacją. Bezpieka ma nawet zdjęcia, na których widać rozkład pokoiów. Żeby swobodnie porozmawiać, trzeba wyjść na ławeczkę przy śmietniku albo odkręcić kran w łazience. Można też pisać na karteczkach. W mieszkaniu panuje nieustanny harmider. Kręci się mnóstwo ludzi – obsiadają fotele, łóżka, parapety, podłogę.

Gospodarz jest Jarosławowi znany. Jacek Kuroń to już prawie legenda – człowiek po dwóch odsiadkach i z kilkunastoletnim opozycyjnym dorobkiem. Ale Kaczyński niechętnie zagłada na Mickiewicza. Mimo że sam dopiero zaczyna działać, to nie uznaje hierarchii podziemia i nie czuje się od Kuronia gorszy. Nie tylko nie stara się o względy, ale jeszcze próbuje traktować go z ostentacją.



„W 1977 roku po raz pierwszy zaproszono mnie na duże zebranie KOR – opowie Teresie Torańskiej w wywiadzie-rzece „My”. – Przyszedłem, usiadłem przy stole. Otwierają się drzwi i wkracza czołówka opozycji: Kuroń, Macierewicz, Jan Józef Lipski itp. Patrząc ze zdumieniem, a tu wszyscy, którzy siedzieli przy stole, wstają i przenoszą się pod ściany. Podniosłem się także, ale by ustąpić miejsca Lipskiemu, który był starszym panem, kolegą mojej mamy i człowiekiem chorym. On jednak usiadł obok, a Kuroń, wykorzystując ten moment, już wieszał swoją skórzaną marynarkę na moim krześle. Ja jednak spokojnie na nim usiadłem i miejsca Kuroniowi nie ustąpiłem. Po jakimś czasie poszedłem do Jacka do domu i on piętnaście minut trzymał mnie bez krzesła. Zapamiętał i się zemścił (śmiech). Szczerze ci powiem, gdyby nie silna motywacja, że ja muszę z tym komunizmem walczyć, a więc muszę być w opozycji, to ja bym ją w jasną cholerę rzucił, bo tego towarzystwa nie akceptowałem”.

Historia będzie w przyszłości często przywoływana. Publicysta Rafał Ziemkiewicz stwierdzi nawet, że to kwintesencja politycznej biografii Jarosława. I że gdyby przyszło mu kiedyś pisać powieść o Jarosławie lub kręcić film „Prezes Kaczyński”, to zacząłby właśnie od tej sceny.

Na pewno jest ona charakterystyczna. Oto 28-letni chłopak – Ziemkiewicz nazwie go „pętakiem” – przychodzi na pierwsze w życiu zebranie i odmawia miejsca jednemu z przywódców podziemia. I jeszcze jak to tłumaczy: 51-letniemu Lipskiemu mogłem ustąpić, bo był starszy, chory i przyjaźnił się z mamą, ale Kuroniowi liczącemu 43 lata – już nie. Do tego czuje się tak urażony jego zachowaniem, że myśli o zerwaniu stosunków z całym towarzystwem i zakończeniu krótkotrwałej kariery. Jak twierdzi, powstrzymują go tylko antykomunistyczne przekonania.

Zniewagi nie zostawi jednak bez odpowiedzi. Wymyśla dla Kuronia karę: od tej pory zacznie go traktować chłodno i oficjalnie. Jak będzie musiał, to pójdzie na Mickiewicza, weźmie, co ma wziąć, ale nie zostanie. Plan zawodzi go już przy trzeciej wizycie, która akurat wypada

w niedzielę. Jarosław jest umówiony na mieście, ale po drodze ma na chwilę wpaść do Kuronia.

„Coś mu dałem, coś od niego wziąłem i powiedziałem »do widzenia« – napisze w niepublikowanych wspomnieniach. – On wyjrzał przez okno, mieszkał na parterze, i zaczął zachęcać mnie do powrotu, używając brzydkich słów. Korciło mnie, by mu niemilo odpowiedzieć, ale zatrzymałem się i wróciłem, bo zależało mi na współpracy”.

Czyli znowu: honor nakazuje rzucić działalność w diabły, ale górę bierze antykomunistyczny imperatyw.

Z drugiej strony Kuroń-przywódcą intryguje. Jarosław traktuje go jak rywala, ale też trochę podpatruje. Imponuje mu jego charyzma i urok. Normalnie nie zwraca na to uwagi, ale tu zauważa nawet uwagę, z jaką traktują go kobiety. Poza wszystkim uważa go też za interesującego rozmówcę. Spotyka go na Mickiewicza i w Zespole Adwokackim przy placu Zbawiciela, gdzie regularnie dyżuruje. Kuroń czasem wpada tam z łoskotem.

Gdy w KOR wykryją agenta – niepozornego inżyniera, który o wszystko wypytuje – Kuroń przedstawi mu przypowieść: towarzysz Jakow Swierdłow był w czasie pierwszej wojny światowej szefem bolszewików w Piotrogradzie. Szybko się zorientował, że ma agentów. Zaczął szukać, sięgnął po polski PPS-owski podręcznik, jak ich wykrywać. Bezskutecznie. Przyszła rewolucja, carat upadł, bolszewicy weszli do archiwów i co się okazało? Że wszyscy wokół niego byli agentami. Ale rewolucja wygrała? Wygrała. To i ty się nie przejmuj. Jak historia jest po naszej stronie, to i tak zwyciężymy.

Kaczyński przyswoi ten moral na całe życie. Gdy nadejdzie czas jego rewolucji, zastosuje go.

Jarosław chodzi na Mickiewicza niechętnie, ale to po jednej z wizyt u Kuronia jego nazwisko po raz pierwszy zostaje odnotowane na Rakowieckiej.

– To było jeszcze pod koniec lat 70. – wspomina płk Jan Lesiak, były funkcjonariusz Wydziału V Departamentu III MSW, który nadzorował

inwigilację Jarosława. Lesiak najwidoczniej ma sentyment do okolicy, w której urzędowała Służba Bezpieczeństwa, bo na miejsce spotkania wyznaczył mi pobliski bar.

– Kaczyński pojawił się w mieszkaniu Kuronia – ciągnie – i, jak to się mówi, wyszedł nam na technice.

– SB miała wtedy jakieś informacje na jego temat?

– Żadnych. Nie wiedzieliśmy nawet, że ma brata bliźniaka. Założyliśmy mu obserwację, ale przychodzi do mnie któregoś dnia kierownik grupy obserwacyjnej i się dziwi: „Co jest? Godziny przedpołudniowe, jeden funkcjonariusz melduje mi, że Jarek Kaczyński przebywa na Marszałkowskiej, drugi – że w okolicach Uniwersytetu Warszawskiego. A mówiłem im, żeby nie zaczynali pić tak wcześnie”.

Później wszystko się wyjaśniło: to Lech przyjechał do Warszawy w odwiedziny.

A gdy Jarosław po raz kolejny pojawi się u Kuronia i znów wyjdzie na technice, Lesiak sporządzi na jego temat notatkę służbową:

„Z w/wym. (chodzi o Jarosława Kaczyńskiego – M.K.) w dniu 31 marca 1978 roku kontaktował się telefonicznie J. Kuroń, informując, że jest u niego w mieszkaniu osoba z Drawska. J. Kaczyński wiedział, o kogo chodzi i obiecał za kilkanaście minut również przyjść do Kuronia. Był u J. Kuronia i zajął się sprawą, z którą zgłosił się »pan z Drawska«. Chodziło o to, że przed 10 laty »pan z Drawska« rozpoczął wojnę z trzysobową kliką z sekcji podnoszenia ciężarów i od tego czasu nie może znaleźć pracy. Ostatnio nawet pracował w SKR na stanowisku kierownika, ale, gdy dowiedziano się o jego przeszłości, został zwolniony. Tok załatwiania tej sprawy przez J. Kaczyńskiego nie jest znany. Był to jedyny ustalony kontakt J. Kaczyńskiego z J. Kuroń. Z treści rozmowy wynika, że są »na ty«, a więc lepiej się znają niż to wynikałoby z częstotliwości kontaktowania się.

Według wstępnych ustaleń w W. III KSMO J. Kaczyński współpracuje z Biurem Interwencyjnym KSS-KOR. Utrzymuje kontakty ściślejsze

z Romaszewskimi. Jest »kurierem« biura interwencyjnego. Prawdopodobnie pracuje na Uniwersytecie Warszawskim jako asystent na Wydz. Prawa. Wstępne ustalenia wykazały, że zamieszkuje z rodzicami i bratem bliźniakiem.

Posesja przy ul. Pochylej 8 to mała kamienica własnościowa zamieszkiwana przez 9 osób z zamykaną na klucz w ciągu dnia klatką schodową. Wg mojej oceny mieszkanie Kaczyńskich nadaje się na przechowywanie dokumentów KSS-KOR bądź prowadzenie zakonspirowanej działalności”.

Jarosław nie zagrzeje miejsca w towarzystwie Kuronia. Odbije w 1979 roku po tym, jak Piotr Wierzbicki opublikuje w drugim obiegu głośny „Traktat o gnidach”. Tekst jest pamfletem na intelektualistów, którzy, nie będąc komunistami, wysługują się reżimowi. W środowisku KOR-owskim żywo się o nim dyskutuje: jedni się z Wierzbickim zgadzają, inni go krytykują. Polemicznym szkicem „Gnidy i anioły” odpowiada Adam Michnik. Chwali polot „Traktatu”, ale drwi z aniołów, które żądają heroizmu od innych i „postrzegają świat z manichejską prostotą”.

Jarosław też pisze tekst, opowiada się po stronie Wierzbickiego. Tym samym kończy krótką i luźną współpracę z lewicową częścią KOR-u. Teraz próbuje zbliżyć się do redakcji „Głosu”. Grupa jest zorientowana pravicowo – to mu odpowiada – a przewodzi jej Antoni Macierewicz. Jarosław zaczyna odwiedzać jego mieszkanie w żoliborskim wieżowcu, pojawia się na redakcyjnych spotkaniach, ale znowu nie może się odnaleźć. Nie pasują mu wodzowskie skłonności lidera.

Zbliża się sierpień 1980 roku. Współpraca z „Głosem” trwa już kilka miesięcy. Rodzice akurat wyjechali na urlop i Jarosław zostaje w domu sam. Korzysta z okazji i udostępnia mieszkanie na redakcyjną naradę. Podczas spotkania odkrywa, że ci, którzy przyszli, to rada „Głosu”, o której istnieniu wcześniej nie wiedział. Jest zawiedziony. Macierewicz przyzna mu status stałego współpracownika, dopisze go do stopki redakcyjnej pisma, w końcu zaprosi go nawet do rady, ale on będzie czuć, że towarzystwo

jest hermetyczne i niedostępne dla takich jak on – bez przeszłości w harcerstwie, bez kontaktów. Mógłby latami krążyć na obrzeżach grupy, a do środka nie wejdzie.

Ale może to jemu brakuje determinacji?

Gdy jest już po lipcowych strajkach w Lublinie i Świdniku, Jarosław wybiera się na kilkutygodniowy wypoczynek do Władysławowa. Macierewicz mówi mu, że coś wisi w powietrzu i każe mu zostać w Warszawie, ale on stawia na swoim. Na początku sierpnia wsiada w pociąg i jedzie na urlop. Podczas wakacji odwiedza go brat, który prosi o pomoc w zredagowaniu słynnej ulotki w obronie Anny Walentynowicz. Jarosław pomaga, ale nie jedzie za Leszkiem do Trójmiasta, mimo że atmosfera jest już bardzo gorąca. Wracając z półwyspu, nawet patrzy z okna pociągu na Stocznię Gdańską, w której toczy się strajk. O tym, że zakład stanął, dowie się dopiero w Warszawie.

Nagle wszystko przyspiesza.

„Nasze telefony są wręcz ostentacyjnie podsłuchiwane, rozłącza się nam rozmowy – będzie wspominać w „Alfabcie”. – Macierewicz ukrywa się na swoim blokowisku na Żoliborzu, ale nie w swoim mieszkaniu. Przychodzę do niego, nie pali się tam światło. Żona Macierewicza, Hanka, wprowadza mnie do łazienki. Antek siedzi w zamkniętej łazience na sedesie. Podekscytowany krzyczy: niech mnie rozstrzelają. A żona: mogą cię rozstrzelać, na razie siedzisz na klozecie. W końcu powstaje pomysł, żeby go stamtąd ewakuować. Znalazłem współpracującą z opozycją lekarkę, która miała wywieźć Macierewicza karetką pogotowia. Ale ostatecznie przyszły panie, ogoliły, wymalowały i przebrały Antka, po czym wyprowadziły go jako elegancką, wysoką damę. Pamiętam inną śmieszną sytuację. Uciekam przed esbecją i w końcu łapię »na lebka« samochód na placu Konstytucji. Patrzę a on ma radiostacje – ewidentnie należy do mojej obstawy. Nie tracę jednak zimnej krwi i spokojnie pytam go, co sądzi o tej sytuacji. Kto ma rację? Odpowiada mi, że robotnicy”.



Z KOR-u przychodzi polecenie: trzeba jechać do Wrocławia i zorientować się w sytuacji. Jarosław udaje się w pojedynkę: najpierw do PaFa-Wagu, a potem do centrali strajku w zajezdni przy Grabiszyńskiej. Na miejscu milicja próbuje go wylegitymować, ale udaje mu się uciec. Mimo że nie jest wysportowany, to przesadza ogrodzenie i biegnie na pociąg.

Do Warszawy dociera 30 sierpnia. Idzie do znajomych Elżbiety i Krzysztofa Malickich, gdzie akurat trwa rewizja. Czeką go pierwszy w życiu pobyt na dołku. W Pałacu Mostowskich zabierają mu pasek, sznurowadła i zamykają go w piwnicznej celi z pospolitymi przestępcami. Dla drobnego inteligenta noc spędzona w zamknięciu z pijakami i złodziejami ma prawo być traumą, ale Jarosław będzie wspominać ten pobyt w tonie niemal bohaterskim:

„Wrzaski, obelgi, esbecy szepczą, ile to pał mi wlepią. To jest niby groźne, a jednak komiczne, zupełnie nieprzekonujące (...). Przede mną w celi siedział Leszek Moczulski. Byłem w szczególnym nastroju. Właściwie chciałem, żeby mnie zamknięto na dłużej”.

Za rok i cztery miesiące życie zweryfikuje te opowieści.

Po wyjściu z dołka jedzie do domu. Zastaje dom pełen ludzi, którzy przyszli do ojca na imieniny. Wieczór spędza w towarzystwie koleżanki z opozycji, matematyczki Ewy Ligockiej. Rozmawiają do północy. Gdy Ligocka idzie spać, Kaczyński przenosi się do kuchni i w samotności wypija butelkę wina. Odreagowuje dołek. Zanim zaśnie, do domu zadzwoni Leszek z radosną informacją: strajk zakończony, wygraliśmy.

W Warszawie cały czas jest w orbicie Macierewicza i Naimskiego. Dzień po imieninach taty snuje się z nimi po mieście i zbiera informacje o wydarzeniach w stoczni. Zakłada punkt konsultacyjny na Bednarskiej,

**Pozycja Jarosława w PC szybko słabnie. Ucieczką do przodu stanie się wodzowski styl zarządzania partią.  
Kampania parlamentarna w 1991 roku.**

w którym będzie udzielać rad. Do Gdańska jedzie dopiero w połowie września. Leszek zabiera go do Hotelu Morskiego we Wrzeszczu, gdzie mieści się siedziba nowego związku zawodowego. Spotyka tam Kuronia, poznaje Joannę i Andrzeja Gwiazdów i wita się z Lechem Wałęsą. Po raz pierwszy ma do czynienia z obcesowością robotników, którzy klną i zwracają się do niego „na ty”. Jest tym niemiło zaskoczony.

„Wszystko działo się w biegu – napisze we wspomnieniach – obyczaje były rodem z fabrycznej hali, do czego nie łatwo mi się było przystosować, ale z czasem się przyzwyczailem. Miejscem, przez które przewalały się grupy z całej Polski był, mieszczący się na górze, hotelowy bar”.

Cztery dni później jedzie do Gdańska ponownie, tym razem w towarzystwie Jana Olszewskiego i z koncepcją, która rodzi się po jednym z dyżurów na Bednarskiej.

„W tym samym budynku, w którym działał nasz punkt konsultacyjny znajdowała się restauracja Retman. Tam na koszt Jana Olszewskiego spotykałem się z nim, Antonim Macierewiczem i Ludwikiem Dornem. Nazywaliśmy te spotkania »na wódkę pod schab«. Wpadłem wówczas na prosty pomysł. Trzeba zarejestrować się wspólnie, a nie poszczególne organizacje związkowe osobno. A najwyraźniej właśnie o te osobne rejestracje chodziło władzy po to, by móc rozgrywać poszczególne regionalne związki. Odpowiedź powinna być prosta: wspólna rejestracja, a jeśli nie, to strajk generalny.

Ta propozycja spodobała się kolegom i z nią właśnie, a razem z Janem Olszewskim, wyjechałem wczesnym rankiem 17 września do Gdańska. Widziałem już wtedy (...), że Karol Modzelewski ma plan stworzenia jednego związku. I jeśli mnie pamięć nie myli, właśnie już wtedy miał się nazywać Solidarność”.

W Gdańsku pomysł ma wpływowych wrogów. Przeciw wspólnej rejestracji opowiada się między innymi Jacek Kuroń – jego zdaniem duży związek będzie łatwiejszym celem dla bezpieki. Sceptyczny jest też



Wałęsa, ale Leszek uspokaja go, że to on stanie na czele nowej, ogólnopolskiej struktury. Podczas zebrania w Hotelu Morskim wniosek powołania jednego związku zgłaszają Olszewski z Modzelewskim. Sala przyjmuje to z entuzjazmem, powstaje Solidarność.

Jarosław jest jeszcze mało znaczącą postacią, więc nie zabiera głosu. Ale do domu i tak wraca dowartościowany: jego koncepcja wygrała wbrew Kuroniowi.

W Warszawie przetasowania. Punkt konsultacyjny na Bednarskiej przekształca się w opozycyjny Ośrodek Badań Społecznych. Związek Jarosława z „Głosem” się rozluźniają, ale to niewielka strata, bo teraz liczy się tylko Solidarność, a on właśnie został doradcą Regionu Mazowsze. Zresztą, grupa Macierewicza bardzo stopniała, a rada „Głosu” całkiem się rozpadła.

W październiku Jarosław ląduje w Jachrance na zjeździe związku drukarzy, którzy nie chcą przystać do Solidarności. Wchodzi do bufetu, przed sobą widzi całą ścianę papierosów mentolowych. Szybko przelicza: za 1600 złotych, które ma przy sobie, mógłby kupić ze 200 paczek. Kusi bardzo, bo dopiero co rzucił (na cześć Sierpnia), siła woli jednak zwycięża. Zjazd też udaje się rozbić. „Do wieczora stary związek zaczął się sypać. Udana robótka polityczna” – oceni później.

Funkcja doradcy jest absorbująca i koliduje z wykładami w Białymstoku. W dniu zajęć na uczelni odbywają się posiedzenia prezydium Regionu Mazowsze i Jarosław ma dylemat: jeździć do pracy czy robić politykę? Gdy kończy się rok akademicki, rezygnuje ze stanowiska na uniwersytecie. „Wiele osób, szczególnie z otoczenia moich rodziców – napisze we wspomnieniach – uważało takie posunięcie za samobójcze, ale ja byłem zdecydowany”.

Wrzesień 1981. Jarosław w końcu składa odręczne podanie do władz regionu: „Uprzejmie proszę o zatrudnienie mnie w Ośrodku Badań Społecznych przy ZR Mazowsze w charakterze prawnika”. Prośbę wspiera Antoni Macierewicz, który sprawuje w Ośrodku funkcję sekretarza

naukowego. Proponuje powierzenie Kaczyńskiemu nadzoru nad zespołem prawniczym i pensję trochę powyżej średniej krajowej: równe 8 tys. złotych. Czy to dużo?

Używając przelicznika z Jachranki, można by za to kupić tysiąc paczek Klubowych. A niepalącemu starczyłoby na: płaszcz z elanobawelny, męskie buty ocieplane (na pewno by się przydały, Jarosław będzie tej zimy dużo krążyć po mieście), bawełniane skarpety z domieszką elastylu, zegarek męski, materac turystyczny (nad morze i na strajk), dezodorant, krem Nivea, płytę gramofonową (z melodiami, które grali podczas białych nocy w akademiku, albo z bigbitem, który podobno lubi), paczkę żyletek Polsilver, tubkę pasty do zębów Pollena, radioodbiornik marki Unitra (żeby słuchać „Wolnej Europy” i audycji z udziałem orkiestr, za którymi przepada), pięć rolek papieru toaletowego, baleron, dwie czekolady nadziewane Serenada (dla koleżanki z opozycji), brulion stukartkowy, cztery pęta kiełbasy zwyczajnej, słoik musztardy sarepskiej, dwa kilo schabu bez kości (dla mamy), siatkę pomarańczy (bardzo lubi), kostkę masła, kompot, cztery egzemplarze „Polityki” (z ciekawości, co po drugiej stronie barykad), chleb sitkowy, pięć porcji twarogu tłustego (na śniadanie), mąkę wrocławską, jedno pudełko popularnej herbaty Madras (na miesiąc to nie za mało?), pół litra Żytniej (pod schab), śledzia w zalewie, kefir (na rano), kostkę mydła rumiankowego, rower typu składak (choć na pewno uważałby, że wygląda na nim niepoważnie), skrzynkę oranżady wyborowej i dżem śliwkowy.

Gdyby Jarosław chciał to wszystko kupić, musiałby się spieszyć. Do grudnia zostały tylko trzy miesiące.

Jesień schodzi na przygotowaniach do habilitacji i rozmyślaniach, co dalej. W przeciwieństwie do sierpnia 1980 tym razem nachodzą go przeczucia.

„Było coraz bardziej ponuro – będzie później opowiadać. – Stojąc w kolejce po ryby dla kotów, orientuje się, że zaczyna powstawać przepaść

między Solidarnością a przeciętnym człowiekiem. Coraz częściej w stosunku do Solidarności słyszę zaimek »oni«. Już przedtem zresztą formułuję w swoim artykule koncepcję o możliwej »okupacji wewnętrznej«. Choć ciągle się łudzę, że to nie nastąpi szybko. Postanawiam wrócić do pisania habilitacji. I tu przypominam sobie ciekawy incydent. Przychodzę o biblioteki sejmowej, a recepcjonistka zaraz po wpuszczeniu mnie, dzwoni gdzieś i mówi: »przyszedł jeden z tych miłych panów«. Byłem na jakiejś liście, najpewniej SB”.



**/ Stan wojenny**

W niedzielę koło południa budzi go podniesiony głos mamy (będzie później opowiadać o tym w wywiadach i wspomnieniach): – Rajmund, telefon nie działa. Znowu nie opłaciłeś rachunku!

Jarosław musiał odespać. Poprzedni wieczór spędził u ciotki na Saskiej Kępie. Do domu wrócił późno, przed północą rozmawiał przez telefon z bratem, trochę poczytał i spać położył się dopiero koło drugiej.

Gdy wstanie, mama będzie już w drodze do kościoła. Szybko zje śniadanie, ubierze się i pójdzie za nią. U świętego Stanisława trwa adoracja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Dekret o stanie wojennym obowiązuje od kilkunastu godzin, Leszka wyciągnęli z mieszkania w Sopocie jeszcze w nocy, ale Jarosław o tym nie wie. Niedziałający telefon go nie dziwi, a telewizor i radio włącza się w domu tylko popołudniami. Na dworze też wszystko wygląda normalnie. Gdyby szedł główną ulicą, Mickiewicza, to może by zauważył żołnierzy, ale idzie przez osiedle.

W kościele potworny tłok. Podczas kazania ksiądz Teofil Bogucki mówi niejasno: to, co wydarzyło się w nocy...

– A co się wydarzyło? – pyta wreszcie Jarosław

– To pan nie wie? – dziwi się ktoś z boku. – Mamy wojnę.

W kościele natyka się na mamę i jej koleżankę Martę Fik, która radzi mu, by poszedł do Związku Literatów. Podobno zorganizowali tam punkt informacyjny. Odprowadza mamę do domu i jedzie. Cały dzień będzie

krążyć po mieście. W Związku – rejwach. Ktoś wpada, ktoś wypada, inny coś podpisuje, sprawdzonych informacji brak.

U koleżanki z „Głosu” Urszuli Doroszewskiej – pewnie rewizja. Jarosław w ostatniej chwili zawróci w przekonaniu, że w środku trwa kociół. W lokalu OBS-u – żywej duszy. Wszystko zdemolowane. Trzeba wracać do domu i czekać. Na wiadomości od brata albo bezpiekę.

Gdy usłyszysz dzwonek do drzwi, złęknie, że po niego przyszli. W pamięci ma słowa kolegi z podstawówki, który w zeszłym roku przestrzegał go na Bednarskiej: za to, co robimy, mogą nas wywieźć na Sybir. To jednak znajomy z OBS-u, którego też nie zamknęli. Jarosław go przenocuje i następnego dnia ruszają razem do Huty, w której trwa strajk, a później na miasto – szukać Wałęsy, który podobno jest w Warszawie. Huta obstawiono przez ZOMO i jednostki nadwiślańskie, po Wałęsie nie ma śladu, w Pałacu Prymasowskim też wiedzą niewiele. Drugi dzień krzątany i nic.

Bezpieka o nim jednak nie zapomina. 15 grudnia, Wydział IX Departamentu III MSW:

„Kaczyński Jarosław Aleksander, syn Rajmunda i Jadwigi z d. Jasiewicz (...) jest członkiem Klubu Służby Niepodległości, który powstał pod koniec września br. z inicjatywy A. Macierewicza (organizację powołano w reakcji na rozwiązanie KOR na I Zjeździe Solidarności, ale właściwie nie podjęła ona działalności – M.K.). KSN stanowi grupę o zabarwieniu endecko-piłsudczykowskim (sic!).

W opinii niektórych członków b. KSS KOR jest to ruch o charakterze pravicowym okreśłany często mianem grupy prawdziwych Polaków.

Szczególne niebezpieczeństwo wynikające z istnienia KSN polega na założeniu oparcia działalności o autorytet i bazę NSZZ Solidarność, jak również planie utworzenia sieci terenowej na bazie tego związku.

W związku z tym proponuje się przeprowadzenie z J. Kaczyńskim rozmowy celem omówienia jego działalności w kontekście zagrożenia

bezpieczeństwa kraju i pobrania oświadczenia o lojalności. W przypadku nieuzyskania zakładanego celu podjęta zostanie decyzja o internowaniu.

Rozmowę przeprowadzi kpt. W. Kuptel w pomieszczeniach MSW po przewiezieniu go samochodem przez ekipę realizacyjną”.

Następnego ranka powtórzy się sytuacja z niedzieli. Jarosław znów zaśpi – gdy wstanie, w domu będzie pusto. Mama pojechała do IBL-u na strajk.

On za nią. Pałac Staszica jest otoczony kordonem milicji, ale udaje się dostać do środka. Później wspomni, że zrobił pewną minę i po prostu wszedł na bezczelnego. Najpierw słyszy, że ZOMO wyprowadziło pracowników z gmachu, ale po chwili pojawia się lepsza wiadomość. Mama jest cała i zdrowa, siedzi w Dziekanii na Starym Mieście. Na miejscu Jarosław natyka się jeszcze na Mieczysława Wachowskiego, który opowiada mu dziwną historię: bezpieka wypuściła go z internowania i zezwoliła na spotkanie z Wałęsą.

Gdy wieczorem 16 grudnia dociera do domu, rodzice mówią, że byli po niego z milicji. Powiedzieli, że wrócą pojutrze. Czyli – wnioskując – przyjdą jutro. Trzeba się spakować i wyjść z domu o szóstej rano.

Funkcjonariusze są jednak szybsi. Esbek, który czeka na Kaczyńskiego w MSW, ma na sobie gruby golf i przedstawia się jako kapitan Kowalski, choć w rzeczywistości nazywa się Marian Śpitalniak. Jest uprzejmy. O przesłuchiwanym nie wie za dużo. W notatce z rozmowy napisze, że ma do czynienia z Lechem Kaczyńskim, który w tym czasie jest już internowany w obozie w Strzebielinku:

„L. Kaczyński został sprowadzony na rozmowę przez ekipę realizacyjną prosto z miejsca zamieszkania (godz. 7 rano) (...).

Wyjaśnił, że z powodu braku wolnego i odpowiedniego miejsca pracy dla niego w Warszawie, pracował przez kilka lat w filii UW w Białymstoku, gdzie wykładał teorię państwa i prawa (...) dla studentów zaocznych, głównie pracowników naszego resortu. O nich jako słuchaczach, studentach wyrażał się dosyć pochlebnie. Pracą był bardzo zmęczony, posiadał

uposażenie 8.500 zł i dużo tracił na dojazdy z Warszawy. Zainteresował się nowopowstałym ruchem związkowym i, chcąc ustabilizować swoją sytuację zawodową, podjął pracę z OBS Regionu „Mazowsze” (...). Odmówił odpowiedzi, w jakich okolicznościach tam trafił. Kto go tam wprowadził, zarekomendował itd. (...).

Sytuację w kraju po wprowadzeniu stanu wojennego uważa za bardzo poważną, skomplikowaną. Jest świadomy doznanej przez związek porażki. Nie wie, co będzie w przyszłości, sytuacją był wyraźnie przygnębiony. Uważa, że związek ze względów geopolitycznych nie dążył do przejęcia władzy i że w tej kwestii władza jest przewrażliwiona i niepotrzebnie podjęła tak ostre środki. Uważa też, że władza (...) nie wywiązała się z zawartych porozumień społecznych i podejmowała cały szereg prowokacyjnych prób wciągnięcia związku w konfrontację. Negatywnie ocenił internowanie T. Mazowieckiego i wyraził też swoje zdziwienie, że został izolowany ekspert Bugaj.

L. Kaczyński odmówił wyjaśnienia okoliczności związanych z jego przystąpieniem do KSN i działalnością w tej organizacji. Uważa, że KSN istniał legalnie, ponieważ władze nie wydały zakazu działalności a milicja ani razu nie wkroczyła na ich zebrania. Próbował przeprowadzić mi wykład, chcąc udowodnić, że KSN w świetle obowiązującego prawa nie jest organizacją i nie musi zabiegać o zezwolenie władz na jego działalność. twierdzi, że KSN jest wyrazem obywatelskiej inicjatywy, że jest klubem dyskusyjnym.

W rozmowie poruszyłem działalność grupy Macierewicza jako »prawdziwych Polaków« i obecności w niej jednej osoby narodowości żydowskiej itd. Kaczyński na moją uwagę, że nie ma w Polsce Żydów – robotników czy chłopów odpowiedział, że są oni znacznie zdolniejsi i dlatego dobrze plasują się w środowiskach inteligenckich. Z rozmowy wywnioskowałem, że temat ten jest dla niego drażliwy i najprawdopodobniej dotyczy go bezpośrednio. Stwierdziłem zatem, że w Polsce nie ma problemu antysemityzmu i zmieniłem temat rozmowy.



Kaczyński od samego początku rozmowy był przekonany, że będzie internowany. Wielokrotnie podkreślał, że siedzieć nie chce. Dociekając powodów, dowiedziałem się, że żywi głęboki uraz do milicji, ponieważ w ubiegłym roku wszedł do mieszkania swojej znajomej, gdzie w tym czasie odbywało się przeszukanie. Został zatrzymany do wyjaśnienia i osadzony w areszcie razem z kryminalistami na 48 godzin. Jakkolwiek siedzieć nie chce, często odmawiał udzielania odpowiedzi na pytania. Stanowiska w tym względzie zmienić nie chciał, godząc się na internowanie. Dodał przy tym, że nie zgodzi się na żadną współpracę i raczej wybrałby samobójstwo jako alternatywę. Ponieważ określił się jako praktykujący katolik, zareplikowałem, że samobójstwo trudno jest dokonać a przede wszystkim jest ono sprzeczne z zasadami wiary chrześcijańskiej. Uwagę moją zbył milczeniem. Zapytałem się też, czy współpracę ktoś mu poprzednio proponował, bo ja nie. Odpowiedział, że nikt i moja uwaga jest słuszna, ale jest też mu wiadomo, że my w takich sytuacjach ludzi nagminnie nagabujemy. Odmawiając odpowiedzi na moje pytania, dwukrotnie zaznaczył wyraźnie, że o niektórych sprawach może ze mną rozmawiać, ale w innych warunkach, np. w kawiarni i po zakończeniu stanu wojennego. Kategorycznie odmówił podpisania deklaracji lojalności, uważając, że jest ona bezprawna (...). Ustnie zobowiązał się do przestrzegania przepisów stanu wojennego (...).

Na moje pytanie, co zamierza w przyszłości robić, był wyraźnie zakłopotany. Odpowiedział, że nie wie (...). Chciałby się habilitować wyłącznie w swojej specjalności (teoria państwa i prawa), ale jego zdaniem jest to mało możliwe, gdyż w tej dziedzinie nie ma w Warszawie uznanego autorytetu. Rozważał możliwość podjęcia pracy fizycznej w usługach. Kiedyś pracował jako pomocnik malarza w warsztacie swojego krewnego i, choć to wyraźnie nie odpowiadało jego inteligentniejszej pozycji, stwierdził, że zarabiał dużo i w usługach nadal można zarobić dobrze.



Plac Zamkowy w Warszawie w 1993 roku. Demonstracja w rocznicę obalenia rządu Jana Olszewskiego. Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz przed kordonem policji.



Na zakończenie stwierdziłem, że nie traktuję go jako aktywnego, I kategorii ekstremisty »Solidarności«, w związku z czym odstępuję od internowania jego osoby i trzymam go za słowo co do naszego spotkania po zakończeniu stanu wojennego (...).

#### WNIOSKI:

Kaczyński sprawiał wrażenie osoby mocno niepewnej o swój los. Bardzo często zasłaniał się przepisami prawnymi. Jego wygląd jest niedbały. Twierdził, że nie interesują go sprawy materialne, kobiety, np. nie zależy mu w przyszłości na posiadaniu rodziny. Ma flegmatyczne usposobienie, wygląd książkowego mola. Pozuje na myśliciela »Solidarności«. Mimo pewnej demonstracyjnej rezygnacji z życia, kariery, stwierdzam, że jest osoba raczej ambitną. Obruszył się, gdy stwierdziłem, że pozycja jego brata w »Solidarności« jest znacznie wyższa od tej, którą on reprezentuje. Nie przypadły mu też do gustu uwagi, że na taką pozycję w środowiskach inteligentkich, jaką mają np. Michnik, Macierewicz czy Geremek, trzeba zapracować, zasłużyć (...).

Uważam za celowe (...) podjęcie z nim kolejnej rozmowy wyjaśniającej. Cel tej rozmowy to szersze rozpoznanie możliwości pozyskania go do współpracy bądź zneutralizowania lub co najmniej ograniczenia jego przyszłej działalności politycznej”.

Deklaracja lojalności, którą w trakcie przesłuchania próbuje wyegzekwować kpt. Śpitalniak, w istocie jest zobowiązaniem do przestrzegania przepisów stanu wojennego, czyli zaprzestania działalności opozycyjnej. Jarosław odmówił podpisania jej i zamiast tego własnoręcznie skreślił własne oświadczenie: „Odmawiam podpisania przedłożonego mi oświadczenia ze względu na jego szkodliwy ze względów moralnych charakter. Jednocześnie stwierdzam, że nie istnieją podstawy prawne zobowiązujące obywateli PRL do składania tego typu deklaracji”.

Gdy przesłuchanie dobiega końca, na dworze już zmierzcha. Jarosław jest tak głodny – przez cały dzień dali mu tylko pączka – i skołowany,

że zapomina wziąć dokumentów z pokoju kpt. Śpitalniaka i musi po nie wracać. Na Żoliborzu przywitają go zaskoczeniu rodzice, którzy byli, pewni, że Jarosław, podobnie jak Lech, został internowany.

Po latach Kaczyński będzie wspominać to przesłuchanie w kilku wywiadach.

„Liczyłem się z tym, że mnie internują, nawet – nie ukrywam – odczuwałem leciutką wewnętrzną radość, bo niezręcznie się czułem w roli nieinternowanego z niewiadomych powodów (...). [Funkcjonariusz] zaczyna od pytania »co pan sądzi o problemie niemieckim«. Zdziwiony odpowiadam pytaniem »to po to mnie tu wezwaliście?« (...). To właściwie nie jest przesłuchanie. Takie próby, badanie. No i oczywiście próba namówienia do podpisania lojalki, czyli zobowiązania do niedziałania przeciw ustrojowi, oczywiście natychmiast przeze mnie odrzucona (...). Mówili, że po co mi problemy, że mogę przecież pracować spokojnie – z nimi. Ja na to: »jak mam z wami pracować, to już wolę wyskoczyć przez to okno«. A okno było otwarte całkiem na oścież. Wyraźnie się przestraszył i, mówiąc »tak każdy mówi, ale to wysoko, jakby pan spojrzął, to by się pan przestraszył«. Szybko je zamknął (...). Po drodze było jeszcze nieprzyjemne zdarzenie, kiedy wyszedłem do toalety. Poszedł za mną wielki esbek z tej ekipy i wepchnął się za mną do toalety – sprawdzał, czy nie mam rozwolnienia, czy nie jestem tak przestraszony, że można mnie przycisnąć i zmusić do współpracy. Nie miałem. Nie drżałem, nie bałem się. Ciągle tam ktoś wchodził, wychodził”.

„Wieczorem mnie wypuścili i było to dla mnie bardzo niemiłym zaskoczeniem. Nie ukrywam, że nieprzyjemnym, bo przecież działałem cały czas. Uważałem zresztą, że jestem w sytuacji dużo gorszej niż internowani. Miałem absolutny imperatyw, że muszę działać, i sądziłem, że w efekcie pójść siedzieć, co było gorsze od internowania”.

Kwestia niedosłego internowania do dziś pozostaje niejasna. Plk Lesiak mówi, że takie ostrzegawcze rozmowy kończyły się dwojako: opozycjonista zostawał internowany lub podpisywał lojalkę.

– Ale Kaczyński nie podpisał zobowiązania ani go nie zamknięto. Dlaczego?

– Bo był za słaby, za mało znaczył. Nie było sensu go internować – twierdzi Lesiak.

Notatka z rozmowy zdaje się to potwierdzać: kpt. Śpitalniak stwierdza w niej, że „nie traktuje Kaczyńskiego jako aktywnego ekstremisty” i „odstępuje od internowania”. Lesiak idzie jednak krok dalej i sugeruje, że przesłuchanie z punktu widzenia bezpieki rokowało nadzieje na pozyskanie młodego opozycjonisty do współpracy.

– Śpitalniak prowadził tę rozmowę inteligentnie – mówi. – Zaczął podpuszczać Kaczyńskiego odnośnie żydowskiego pochodzenia ludzi z KOR i ten to podłapał.

Temu notatka jednak przeczy. Kaczyński jest w niej przedstawiony jako filosemita – miał mówić, że Żydzi są „znacznie zdolniejsi” – a być może nawet jako Żyd. Przecież Śpitalniak pisze: „temat ten jest dla niego drażliwy i najprawdopodobniej dotyczy go bezpośrednio”.

Pytanie, czy bezpieka mogła wiązać z Kaczyńskim jakieś nadzieje, wydaje się jednak zasadne. Rozmowa na Rakowieckiej ma miejsce w grudniu 1981 roku i Jarosław musi znać podręcznik „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa” autorstwa dobrze mu znanego mecenasa Olszewskiego. Tekst po raz pierwszy opublikowano jeszcze w 1977 roku, później rozpowszechniał go m.in. jego „Głos”. Co broszura radzi przesłuchiwanym? Przede wszystkim przewidzianą w PRL-owskim kodeksie karnym odmowę składania zeznań. Można to robić właściwie bez podawania uzasadnienia. Osoby, które nie zastosują się do tych zaleceń, będą później tłumaczyć, że przekazywały bezpiece tylko informacje bezwartościowe, nieszkodliwe lub ogólnie znane. Ale – jak wiadomo – granica jest tu cienka i trudno ją wyznaczyć.

A jak zachowuje się Jarosław? Gdy padają pytania o OBS i KSN, zgodnie z podręcznikiem odwołuje się do kodeksu karnego i nie składa zeznań.

Esbek napisze, że w ogóle „często odmawia udzielania odpowiedzi na pytania”. Podpuszczany nie mówi o kolegach ani słowa. Ale z drugiej strony przesłuchanie trwa cały dzień, a Kaczyński w jego trakcie wysyła sprzeczne sygnały. Raz mówi, że prędzej się zabije, niż podpisze lojalkę, a innym razem chwali pracowników MSW uczęszczających na jego zajęcia. Na zmianę zapiera się i deklaruje, że mógłby się spotkać z bezpieką, ale w kawiarni i po zakończeniu stanu wojennego. Jak napisze Śpitalniak, ustnie zobowiązuje się też do przestrzegania przepisów stanu wojennego.

Zastanawia jeszcze jedno. We wszystkich wywiadach udzielonych po latach przez Kaczyńskiego natrętnie wracają dwa wspomnienia: nadzieja na internowanie i rozczarowanie po wieczornym wyjściu z przesłuchania. To o tyle nielogiczne, że przecież dzień przed przesłuchaniem Jarosław pakuje się i postanawia, że będzie się ukrywać przed bezpieką (tak będzie później opowiadać w wywiadach). Gdyby rzeczywiście chciał zostać zamknięty, to czekałby w domu, a nie myślał o ucieczce.

Bohaterstwu z późniejszych wywiadów przeczy też notatka. Jeśli coś z niej przebija, to raczej nieprzyjemne wspomnienia z pobytu na dołku i strach przed internowaniem: „wielokrotnie podkreślał, że siedzieć nie chce”, „sprawiał wrażenie osoby mocno niepewnej o swój los”, „żywi głęboki uraz do milicji”, „został osadzony w areszcie razem z kryminalistami”.

W pierwszych dniach stanu wojennego strach przed internowaniem jest uczuciem powszechnym. Odczuwa go wielu opozycjonistów. Nawet wizje kibitek jadących na Sybir, które po latach będą się wydawać przesadne, w tamtym czasie dręczą niejedną głowę. Jeszcze nikt nie wie, czym w praktyce jest internowanie. A w przypadku 32-latką o wyglądzie mola książkowego, jak charakteryzuje Kaczyńskiego bezpieka, ten lęk dodatkowo potęguje wspomnienie nocy spędzonej w towarzystwie lumpów i złodziei.

Po co w takim razie Jarosław opowiada po latach, że chciał być internowany? Gdy zaczyna się stan wojenny, zapewne walczą w nim dwa

uczucia: strach przez zamknięciem i rozczarowanie, że bezpieka jednak uważa go za postać mało ważną, nie zasługującą na zamknięcie. Przecież jest człowiekiem ambitnym, co zauważa nawet esbek. Nie uważa się za gorszego od Kuronia i – jak twierdzi Śpitalniak – źle znosi uwagi, że brakuje mu do takich działaczy jak Michnik, Macierewicz czy Geremek.

Nie bez znaczenia wydaje się też to, że Jarosław udziela wspomnieniowych wywiadów już jako przywódca. A więc w czasie, gdy musi dbać o swój autorytet i nie godzi się, by przyznawał się do strachu. Tym bardziej że – jak powie kiedyś publicznie – w życiu w ogóle nie wolno się bać.







**/ Formacja KPP kontra człowiek  
z innej parafii**

Dwa tygodnie po rozmowie na Rakowieckiej przychodzi wezwanie na komendę. Jarosław boi się, że chcą go spałować („myślę, że chcieli spuścić mi manto”) i nie idzie. Sprytnie wykręca się brakami formalnymi w druku:

„Komunikuję, że znalazłem w domu druk, z którego wynikało, iż w dniu 6 stycznia 1982 roku jestem oczekiwany w KSMO w Warszawie. Wyżej wymieniony druk nie zawiera jednak: 1. Podpisu kierownika jednostki MO 2. Stempla 3. Daty 4. Numeru RSD lub sygnatury akt 5. Określenia charakteru, w jakim jestem wzywany – a ponadto jest niewłaściwie zaadresowany (Pochyła 6 zamiast Pochyła 8). Jeżeli nie zaszło tu nieporozumienie, proszę o przysłanie mi prawidłowo wypełnionego druku zawierającego elementy, które wymienilem wyżej”.

Drugie wezwanie już nie przyjdzie, ale bezpieka nadal ma go na oku:

„Kaczyński Jarosław Aleksander (...) był kontrolowany operacyjnie przez Wydz. III KWMO Białystok w ramach sprawy operacyjnego sprawdzenia krypt. »Prawnik« nr rej. Bk 25224 jako pracownik naukowy filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku (...).

Obecnie jest członkiem Klubu Służby Niepodległości (...). Szczególne niebezpieczeństwo wynikające z istnienia KSN polega na założeniu oparcia działalności o autorytet i bazę członkowską NSZZ Solidarność, jak również planie utworzenia sieci terenowej na bazie tego związku zawodowego.

W związku z powyższym przeprowadzono z J. Kaczyńskim rozmowę w ramach operacji »Klon« w dniu 15.12.1981 r. O szczegółach swojej

pracy nie chciał mówić, uważając, że możemy się tego dowiedzieć z materiałów zakwestionowanych w czasie przeszukania w siedzibie »Mazowska«. Kategorycznie odmówił podpisania deklaracji lojalności uważając, że jest ona bezprawna i niezgodna ze stanem faktycznym, gdyż on szkodliwie przeciwko Państwu nie działał. Ustnie zobowiązał się do przestrzegania przepisów wynikających ze stanu wojennego.

Z uwagi na zaistnienie zagrożenia 02048 – »nielegalna organizacja i związek dorosłych« postanowiono objąć kontrolą operacyjną Jarosława Kaczyńskiego w ramach kwestionariusza ewidencyjnego »Jar«.

„Chodziła za mną większa ekipa, odkryłem to bardzo szybko – wspomni w „Alfabcie”. – Podczas przesłuchania (grudniowego – M.K.) oficer pytał mnie, czy mam narzeczoną. Mówię, że nie (...). A w pierwszy dzień po przesłuchaniu wysiadam z autobusu na Krakowskim Przedmieściu i jakaś ładna panna zaczyna mnie podrywać. Natychmiast zorientowałem się, że to skutek tej rozmowy. I że jestem obstawiony”.

Stan wojenny oznacza delegację Solidarności, więc wkrótce skończą się pieniądze z OBS-u. Leszek internowany, mama nie ma jak pomóc – Jarosław idzie po prośbie do Ludwika Dorna z „Głosu”, za którym bezpieka rozesłała list gończy. Sam pomoże mu się ukryć: pójdzie do Barbary Winklowej, która w tym czasie mieszka na Anielewicza, i poprosi o pokój dla niego. Dorn nie ma, jak się odwdziżyć. Jarosław zaczyna oferować usługi prawnicze w kościołach, ale – jak wspomni – młodzieńcza twarz i niechlujny ubiór nie wzbudzają zaufania wśród księży. Jest przeganiany spod drzwi. Klątwa niepoważnego wyglądu cały czas nad nim ciąży. Pójdzie kiedyś na imieniny do znajomych. Inteligenckie towarzystwo – prawnicy, lekarze. I on, niedbały 32-latek, którego dziecko gospodarzy weźmie za hydraulika.

Wreszcie łapie posadę bibliotekarza. To trochę dziwna sytuacja, bo jeszcze niedawno studenci przychodzili do niego na egzaminy, a teraz on wydaje im książki w głównej czytelni Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

Stojąc za ladą, zauważa, że raz na jakiś czas w BUW-ie pojawia się Bronisław Geremek, znany doradca Solidarności. Jest po internowaniu, pewnie zaczyna przygotowania do profesury. Jarosław później opowie: Geremek nie wchodzi do gmachu jak pozostali, on tu wkracza – zamasyżuje i z majestatem. Niskiego bibliotekarza oczywiście nie zauważa.

Towarzystwo w nowej pracy jest sympatyczne, ale też jakby z innego świata. Chociaż może to on jest z innego? Jeden z kolegów powie mu któregoś dnia, że idzie na balangę. A on odpowie pytaniem, co to znaczy.

Po dziewięciu miesiącach odchodzi z BUW-u i przenosi się do mamy do pracy. Znowu będzie magazynierem, tyle że w bibliotece Instytut Badań Literackich. Następny przystanek to Komitet Helsiński. Tu zakotwiczy aż do upadku komuny. Będzie szukać informacji o pobiciach, torturach, zabójstwach. Zajęcie bardzo mu odpowiada.

– Gdyby nie polityka, mógłbym być prokuratorem kryminalnym – wyzna po latach znajomemu.

W opozycji wciąż goni w piętkę. Chodzi od środowiska do środowiska, ale wszędzie coś jest nie tak.

„Głos”: ma żal do Macierewicza, że po ucieczce z więzienia za późno się do niego odezwał. Później powie, że był tym rozgoryczony. Poza tym redakcja nadal wydaje mu się „klubem dla wtajemniczonych przyjaciół z młodości”.

Ruch Młodej Polski: szarogęsi się tu naczelny drugoobiegowych pism „Polityka Polska” i „Solidarność Narodu” Tomasz Wołek. Jarosław nie zamierza się podporządkowywać. „Drażniło mnie jego dążenie do dominacji. W tym przypadku trafiła kosa na kamień” – zaznaczy w „Alfabecie”. A we wspomnieniach wypomni Wołkowi, że „potwornie pociął” jego artykuł.

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna: do kierownictwo podziemnej Solidarności wciąga go Leszek, który właśnie wyszedł z internowania. Na przełomie 1983 i 1984 roku ruszają rozmowy w sprawie amnestii dla

11 czołowych więźniów politycznych, wśród których są m.in. Michnik, Kuroń i Romaszewski. Sprawa jest delikatna, bo w zamian władza domaga się podpisania deklaracji o odstąpieniu od działalności opozycyjnej. Część więźniów się łamie i jest gotowa podpisać, ale część (w tym Michnik) odmawia, bo deklaracja poderwałaby ich autorytet.

Bracia włączają się w rokowania. Jarosław organizuje naradę w domu ciotki na Saskiej Kępie, na którą przyjeżdżają Jan Olszewski i Bronisław Geremek. Podnosi argumenty humanitarne i zaczyna przekonywać, że amnestia byłaby dowodem słabości ze strony władzy. Nalega, żeby władze Solidarności zwróciły się do więźniów z prośbą o podpisanie zobowiązania. „Mogliby wtedy honorowo to zrobić, jakby na polecenie TKK. Nie było tam żadnych haniebnych spraw” – wyjaśni później w wywiadzie-rzecz „Odwrotna strona medalu”. Część podziemia przyjmuje te naciski podejrzliwie. Padną sugestie, że Jarosław chciał ubabrać tych, którzy siedzą. On sam przyzna po latach, że popełnił w tej sprawie błąd, ale i tak musi odcierpieć. „Po amnestii i zamieszaniu z listem moje stosunki z TKK na długi czas zostały zawieszono”.

Klub Myśli Politycznej „Dziekania”: miejsce jest ściśle związane z Kościołem, więc Jarosław zaczyna do niego zaglądać. Chociaż mało co mu się tutaj podoba. Z zainteresowaniem słucha referatów Marka Jurka i Jacka Bartyzela, reszta wystąpień budzi jego dezaprobatę. A nawet oburzenie. Z prognozami Mirosława Dzielskiego, że w Europie Wschodniej nastąpi epoka gospodarczego liberalizmu połączona z autorytaryzmem politycznym, się nie zgadza. „Jego koncepcje wykładane w Dziekaniu i nieporównanie szerzej i głębiej w jego obszernych książkach, bardzo mi się nie podobały – napisze we wspomnieniach. – Dotyczyło to szczególnie jego rozważań o wyższości i niższości, gdzie kryterium miała być zamożność. W ogóle jako reprezentant Solidarności (nie jedyny, bywał tam także Jacek Merkel, a i rola Aleksandra Halla i Arama Rybickiego jako doradców Wałęsy była niejednoznaczna) patrzyłem na całe to przedsięwzięcie z wielką

rezerwą. Byłem zdumiony, kiedy dowiedziałem się od Antoniego Macierewicza, że on i jego grupa wchodzi do Dziekanii; sam zdecydowanie odmówiłem. Doszło nawet wtedy między nami do dość ostrej kłótni”. A w „Alfabecie” powie: „Marcin Król ogłosił tam pomysł, aby ograniczyć się do wydawania gazet, w których będzie opisywana codzienność, bez większych aspiracji politycznych. Nawet ludzie uchodzący za umiarkowanych typu Arama Rybickiego wychodzili stamtąd wzburzeni i kwitowali wywody Króla grubymi słowami. Tym bardziej ja”.

Opozycyjna krzątanka przynosi też konsekwencje zupełnie nieoczekiwane. Jarosław, który od matury systematycznie tył, nagle zaczyna chudnąć. Będzie wspominać, że zakupy, na które wysyła go mama, zajmują mu coraz więcej czasu. Wędruje już nie tylko po sklepach, ale też po straganach, zatacza coraz szersze kręgi. Kartki na jedzenie zdobywa na bazarze Różyckiego, u kobiety o wyglądzie – jak to kiedyś określi – starej prostytutki. W sklepach trzeba później odstać kilka godzin, żeby kupić kawałek mięsa na obiad albo rybę dla kotów, które co wieczór schodzą się do ogródka na tyłach kamienicy przy Pochylej.

– Jarek nigdy o nich nie zapominał – wspomina sąsiadka. – Wystarczyło zadzwonić kluczami i zbiegały się koty z całej okolicy. Na kolację, którą im przywoził, szły gęsiego.

Nielaska, w którą popada Jarosław po sprawie amnestii, trwa dwa lata. Rękę poda mu brat, który w podziemnej hierarchii jest znacznie wyżej. Jego pozycję można by uznać za kwestię przypadku – Leszek działa w Gdańsku, bliżej Wałęsy, gdzie wszystko dzieje się szybko. W Warszawie hierarchia jest bardziej ugruntowana i trudniej ją naruszyć.

Nasuwa się jednak pytanie: czy gdyby Jarosław zamienił się z bratem miejscami i zamiast niego w 1971 roku wyjechał do Trójmiasta, to zaszedłby równie wysoko? Byłoby trudno. Przecież już podczas pierwszej wizyty w Gdańsku jest zdegustowany zachowaniem robotników. Poza tym w stoczni prym wiedzie Lech Wałęsa, człowiek prosty, ale władczy. A, sądząc po tym,

jak Jarosław reaguje na przywódcze zapędy Kuronia, Macierewicza czy nawet Wolka, raczej by mu się nie podporządkował. Leszkowi, bardziej układowemu i przyzwyczajonemu do dominacji brata, przychodzi to łatwiej.

Słabsza pozycja Jarosława to nie tylko sprawa miejsca zamieszkania, ale też osobistych predyspozycji: on z trudem nawiązuje kontakty, ma problemy z adaptacją w nowym otoczeniu, stroni od życia towarzyskiego, które w podziemiu stanowi przedłużenie polityki. I przede wszystkim źle znosi przywództwo innych.

A czy jest zazdrosny o wysoką pozycję Leszka? Z jednej strony Jarosław będzie wielokrotnie podkreślać, że zawsze życzył bratu lepiej niż sobie. I właściwie cała jego biografia zdaje się to potwierdzać: on sam wykonuje czarną robotę po to, żeby po zaszczyty sięgał Lech. Ale z drugiej strony esbek w notatce z przesłuchania w stanie wojennym pisze: „Obruszył się, gdy stwierdziłem, że pozycja jego brata w »Solidarności« jest znacznie wyższa od tej, którą on reprezentuje”. Według Sławomira Cenckiewicza, współautora biografii Lecha Kaczyńskiego, ten fragment notatki ma świadczyć nie o rywalizacji, lecz „o jakiejś dezintegracyjnej grze operacyjnej bezpieki, której celem mogło być skłócenie obu braci”. Być może taka gra miała miejsce (Cenckiewicz nie rozwija tego wątku), ale z drugiej strony, esbek mówi prawdę: Lech był w opozycyjnej hierarchii wyżej. Czy to stwierdzenie mogło wywołać obruszenie? Z psychologicznego punktu widzenia to prawdopodobne; rywalizacja wśród jednojąjowych nie jest niczym niezwykłym. Szczególnie w odniesieniu do bliźniąt przywykłych do dominacji nad rodzeństwem. Takich jak Jarosław.

Jego relacje dotyczące tego okresu są niejednoznaczne. W „Polsce naszych marzeń” Jarosław podkreśla na przykład, że to on był inicjatorem opozycyjnej aktywności brata. Ale już w innych miejscach przyznaje, że to Leszek wciągnął go na najwyższy poziom podziemnej działalności.

„Po aresztowaniu Bogdana Borusewicza i przejęciu jego miejsca przez Leszka (i Krzysztofa Dowgiałłę) powstała znów przestrzeń dla mnie” – napisze we wspomnieniach.



Latem 1986 roku bracia obejmują wysokie funkcje w Solidarności. Lech zostaje sekretarzem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, a Jarosław staje na czele Biura Społeczno-Politycznego. Stworzenie obu stanowisk wymuszają sami. Lech przyzna później historykowi Andrzejowi Friszkiemu: „Umacnia [to] pozycję moją i brata, przy czym nie jesteśmy zwolennikami wojny z Warszawą, natomiast nie oddajemy jej całej władzy i niewątpliwie wspieramy Wałęsę”.

Właśnie, Wałęsa. Jarosław dopiero go poznaje. Na prośbę brata czasem przygotowuje różne programy, notatki i memoriały, ale to praca na odległość i nie tyle na rzecz Wałęsy, ile jego otoczenia. O nim samym myśli ambiwalentnie. Dostrzega jego talenty przywódcze, docenia go jako symbol i rozumie wagę postaci, także w sensie międzynarodowym. Ale mimo wszystko to jednak robotnik, nawet jeśli nie całkiem przypadkowy, to na pewno wyniesiony przez wydarzenia. O samym człowieku nie ma wysokiego mniemania. Przez brata, ale też innych trójmiejskich działaczy (choćby Bogdana Borsewicz, Bogdana Lisa, z którymi spotyka się w jednej z sopockich willi na przełomie 1983 i 1984 roku) docierają do niego różne historie świadczące o elementarnych brakach intelektualnych Wałęsy i takie, które pokazują jego kapryśne, dominujące usposobienie. Problemem cały czas jest też plebejski kod kulturowy, do którego trudno przywyknąć.

Dopiero podczas strajku w 1988 roku Jarosław ma szansę bliżej przyjrzeć się ludowemu trybunowi i samemu ogarnąć jego fenomen. Jedno pozostanie niezmiennie – nadal nie będzie rozumieć jego wywodów – ale pojawi się uczucie do tej pory nieznane: podziw.

– Kilka tygodni po strajku zaprosiliśmy Jarosława Kaczyńskiego na spotkanie, żeby nam opowiedział o tym, jak to wyglądało – wspomina Andrzej Anusz, wówczas student wydziału historii na Uniwersytecie Warszawskim.

Cykl organizowanych przez niego spotkań w sali numer 17, na które zapraszano znanych działaczy opozycji, cieszył się pod koniec lat 80. dużą popularnością.



– Opowiadał bardzo ciekawie – ciągnie Anusz. – Przyznawał, że brat jest bliżej Wałęsy, ale sam był nim wyraźnie zafascynowany.

Jarosław podpatruje Wałęsę podczas protestów i wyciąga wnioski dla siebie. Uczy się, co znaczy dobre panowanie nad tłumem:

„Nastrój był, przynajmniej momentami, bardzo niedobry, w stołowce przy bramie, gdzie była kwatera główna strajku, wybuchała czasem panika – napisze we wspomnieniach. – Nie będę ukrywał, że obecność na strajku i obserwacja tego, co się działo zmieniła mój stosunek do Lecha Wałęsy (...). Kiedy po amnestii 1984 roku i aresztowaniu Władysława Hardka (byłego działacza małopolskiej Solidarności – M.K.) byłem akurat u Wałęsy z Leszkiem, i słyszałem jego wywody o tym, że on by to lepiej zrobił, zamiast władzy, cierpła mi skóra. Ale tu w stoczni był rzeczywistym przywódcą, potrafił w najgorszych momentach porwać ludzi, nie załamywał się, przemawiał w nieco dziwny sposób, niekiedy, uczciwie mówiąc, nic nie rozumiałem, ale robotnicy rozumieli i strajk trwał”.

I odkrywa, że intuicja znaczy w polityce więcej niż wykształcenie: „On przeżywał – uważałem wtedy, bo teraz wcale nie jestem tego pewny – świetny okres. Miał taki swój cykl iluminacji (albo informacji – zaryzykuję dzisiaj), który wówczas był dla mnie zupełnie poza dyskusją i który się już u niego potem nie powtórzył, choć w skrytości ducha bardzo nań przez długi czas liczyłem – powie potem Torañskiej. – Często pewne jego działania przypisywano Leszka lub mojej inspiracji, co z ochotą bym potwierdził, ale to nieprawda. Oczywiście, pomysłom Wałęsy trzeba było nadać kształt polityczny. Nie tylko w sensie napisania ich po polsku (...). On miał to wyczucie czasu, w którym coś trzeba zrobić, pozadyskursywne politycznie i kompletnie niewytłumaczalne w jakichkolwiek racjonalnych

**W najchudszych latach partia będzie obradować w kościele na Siekierkach. Jarosław źle znosi czas poza Sejmem. Tu podczas naczelnej rady politycznej PC, październik 1993 roku.**

kategoriach. Niewytłumaczalne także przez niego samego, bo on również nie wiedział, dlaczego czegoś chce i po co chce, a później okazywało się, że to on chciał dobrze, a nie jego genialni doradcy, na których się wszyscy powoływali”.

Koniec lat 80. to czas, gdy Kaczyński krzepnie i nabiera pewności. Lider Solidarności jest oczywiście poza zasięgiem, ale jego doradcy i czołówka władz związku – już nie. Dzięki umocowaniu przy Wałęsie Jarosław uważa, że Michnik, Geremek i Kuroń zaczynają się z nim liczyć („Czuli się przeze mnie zagrożeni i oceniali mnie wyżej, niż ja sam siebie oceniałem”). A czy on liczy się z nimi? Nie lekceważy ich, ale też nie poważa.

Nie pasuje mu rodowód ich środowiska. W wywiadzie „Czas na zmiany” nazwie tę grupę „formacją KPP” i wyluszczy: „Powojenny komunizm, za sprawą sowieckiej okupacji Polski, wprowadził tę formację w centrum życia kulturalnego i społecznego lat pięćdziesiątych. Ludzie do niej należący byli w przeważającym stopniu żydowskiego pochodzenia. Skądinąd była to resztówka Komunistycznej Partii Polski, a wszystko wskazuje, że formacja czysto enkawudowska. To się złożyło ze sobą w sposób bardzo niefortunny (...). Z tego pokolenia pochodzili rodzice wielu obecnych czołowych działaczy środowiska Unii Demokratycznej i »Gazety Wyborczej« oraz znanych dziennikarzy prasy i telewizji”.

Kiedy Jarosław dostrzega w Michniku i Geremku spadkobierców KPP? Jeden z moich rozmówców, który w latach 90. będzie działał w PC, twierdzi, że można ten moment wskazać bardzo dokładnie. Właściwie to trzy zdarzenia – Jarosław będzie do nich wielokrotnie wracać w rozmowach z późniejszymi współpracownikami.

Pierwsze zdarzenie ma miejsce pod koniec lat 80.. W przerwie jednej z narad dochodzi do przełomowej – zdaniem Jarosława – rozmowy z Adamem Michnikiem.

Prawdopodobnie chodzi o spacer, który zostanie później zrelacjonowany we wspomnieniach: „Wyszliśmy razem na ulicę. [Michnik] prze-

klinał Władysława Siłę-Nowickiego, który rzeczywiście dziwnie się wtedy zachowywał. Powiedziałem mu wtedy, że Siła-Nowicki był skazany na śmierć, siedział w celi śmierci i wiele lat w więzieniu, więc Michnik mógłby być łagodniejszy. A on mi na to, że Waław Komar też siedział. Replikowałem, że Komar sam sobie to więzienie zbudował. Michnik niby przyznał mi rację, ale zdałem sobie sprawę, że pewna zmiana jego postawy widoczna w niektórych publikacjach z lat 80. to tylko taktyka. Że ciągle żyje w swoim świecie, świecie tradycji skrajnej lewicy łącznie, a w istocie szczególnie, w tradycji Komunistycznej Partii Polski”.

Albo o przechadzce opisaną w „Czasie na zmiany”: „Tamten układ można także nazwać kluczem z Alei Przyjaciół i Alei Róż. Przecież jak Michnik szedł ze mną tamtędy, to co drugiemu człowiekowi podawał rękę, a później mnie pytał: »Wiesz, kto to jest?« i wymieniał nazwiska, które się jednoznacznie kojarzyły”.

A może to jedna i ta sama rozmowa, tylko przytaczana fragmentami?

Drugi moment to lipiec 1988 roku i wizyta sekretarza generalnego KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Michaiła Gorbaczowa. W Solidarności trwa dyskusja nad kształtem oświadczenia w tej sprawie. Jarosław jest zdegustowany tekstem przygotowanym przez Geremka. W kłótni wygarnia, co o nim myśli: – Reprezentujesz luksemburgizm.

Awantura skończy się głosowaniem, które sromotnie przegra.

Trzeci – Okrągły Stół. Narada w prywatnym mieszkaniu, którą Jarosław w wielu miejscach będzie relacjonować tak: rozmawiamy o wyborach kontraktowych. Zwracam uwagę, że na Węgrzech mówi się już o wolnych wyborach, więc może my też to postawmy? To nie wchodzi w grę – odpowiada Geremek – u mnie był człowiek Imre Pozsgaya, lidera skrzydła reformatorskiego węgierskich komunistów. Mówi, że Rosjanie zgodzą się na wszystko, tylko nie na to. A kilka dni później Węgrzy ogłoszą wolne wybory. Wniosek? Geremek broni czerwonych, czyli w środku też jest czerwony.

Wygłaszając swoje opinie podczas solidarnościowych narad Jarosław może czuć osamotniony, ale nie mąci to jego poczucia wyższości. W rozmowie z Torańską wyjaśni, dlaczego:

„[Geremka] nie lubię z kilku powodów. Pierwszy: to sprawa biografii. Ja pochodzę ze środowiska akowskiego, jestem więc człowiekiem z całym innej parafii, który od początku wiedział, czym jest komunizm, czym jest PRL”.

W ślad za tym wygłosi swoje credo dotyczące relacji międzyludzkich:

„Poza tym mam taką cechę charakteru, że gdy na wstępie nie uzyskam pewnego poziomu akceptacji, to potem nie pomogą żadne zabiegi, by nawiązać ze mną porozumienie. Tej akceptacji na początku ze strony Geremka nie wyczułem i dlatego nie chciałem do niego chodzić, nie chciałem się z nim na kawy umawiać, choć próbował, w ogóle nie chciałem tańczyć wokół niego. A nie chciałem, bo w ogóle nie znoszę nadszkalowania, którego on oczekiwał, i dlatego, że często kręcił, coś rozgrywał i niejednokrotnie różne nieprawdy musiałem mu wytykać”.

To poczucie wyższości wróci jeszcze nieraz. U Torańskiej Jarosław z satysfakcją przypomni, że pod koniec lat 80. Michnik musiał czekać na niego na dworcu cztery godziny i że niósł za nim walizkę. A ludziom z PC opowie, że organizował w swoim mieszkaniu solidarnościowe narady, na które Geremek przychodził bez zaproszenia.

Tylko o Kuroniu będzie się na razie wypowiadać oszczędnie: „Był elastyczny i chyba jako jedyny z tej grupy normalnie ze mną rozmawiał, bo reszta sprawiała wrażenie obrażonych”. Ale to też się zmieni.





**/ Zemsta bibliotekarza**



Gdyby w przededniu upadku komuny Jarosław Kaczyński miał wypełnić kwestionariusz osobisty, musiałby on wyglądać tak:

Wiek: 40 lat

Stan cywilny: kawaler

Mieszkanie: przy rodzicach

Zajęcie: bezrobotny

Majątek: trochę książek, walizka, marynarka po wuju

Plany życiowe: brak

Samopoczucie: bardzo złe

Jest kwiecień 1989 roku. Jarosław czuje się staro. Spogląda za siebie, próbuje zsumować życiowy dorobek i się trapi.

„Czterdzieści lat to już nie jest wiek, w którym można zaczynać od początku. Odchodząc z uczelni, byłem adiunktem, to jak na trzydziestolatka przyzwoity stopień, ale jak na czterdziestolatka to już skromnie”.

Nawet upadek komuny, na który czekał całe życie, skwituje z lekkim żalem: „Holender, czy to nie mogło się zdarzyć wcześniej?”.

Sytuacja finansowa wygląda fatalnie. Pieniądze z podziemia się skończyły, widoków na pracę nie ma. Ktoś sugerował zatrudnienie w „Tygodniku Solidarność”, ale propozycja jakoś nie pada. Prof. Adam Strzembosz obiecywał pomoc w załatwieniu posady na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim – na razie cisza.

W czerwcu będą wybory, ale miałby kandydować po tym, co zobaczył przy Okrągłym Stole? Michnik wznoszący toasty z Kiszczakiem, żarci-ki, przymilanie się. Kwaśniewski wchodzi do Kuronia bez pukania, każdy z każdym po imieniu, rozmowy przy wódce o wspólnych rządach. Zaczyna żałować, że był świadkiem tego wszystkiego, co w „Lewym czerwcowym” nazwie „odrażającą fraternizacją”. I postanawia: na uroczystość zakończenia Okrągłego Stołu nie ma co iść. Bratu, który w przeciwieństwie do niego jeździł do Magdalenki, też to odradza.

Na dworze już wiosna. Właśnie skończyło się zebranie Komitetu Obywatelskiego. Rozmowa z Barbarą Labudą płynie tak miło, że Jarosław proponuje herbatę w kawiarni na Wiejskiej. Zwierza się ze swoich rozterek. Z jednej strony jest bez pracy, nie ma perspektyw, ale to spoufalanie przy Okrągłym Stole... W odpowiedzi słyszy zdziwienie: Zwariowałeś? Kandyduj!

Barbara Labuda pamięta zarówno miejsce rozmowy, jak i argumenty, którymi przekonywała w niej Jarosława.

– Uważałam, że obecność w parlamencie nowej Polski takich praw- niczych fachowców jak bracia Kaczyńscy będzie bardzo pożyteczna – wspomina.

Komplement podniesie go na duchu. Po wyjściu z kawiarni zadzwoni do brata, że zmienił zdanie i jednak chce, żeby go wpisać na listę. A jego późniejszy kierowca Tadeusz Kopczyński (poznają się już za kilka mie- sięcy) zapamięta, że w trakcie ich wieloletniej współpracy szef nigdy nie pozwoli powiedzieć o Labudzie złego słowa.

Bo Jarosław już tak ma: można – jak Barbara Labuda – mieć „czerwo- ne” poglądy, można się nawet kolegować z „formacją KPP”. Ale wystarc-zy raz okazać życzliwość i on to zapamięta na całe życie. A jak będzie mógł, to jeszcze się odwdzięczy.

8 maja ukazuje się pierwszy numer „Gazety Wyborczej”, a w nim – sylwetki solidarnościowych kandydatów. Ze zdjęcia na piątej stronie

uśmiechają się dwie identyczne twarze, spośród których jedną zdoła krótko przystrzyżony wąs.

Tekst opatrzone tytułem „Bliźniaki do Senatu” informuje:

„Bracia Jarosław i Lech Kaczyńscy, podobnie jak prezydent Reagan, ale młodziej, polityczną karierę zaczęli... od aktorstwa: grali Jacka i Placka w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Dziś bliźniacy (odróżniani tylko po wąsiku, który nosi Lech) mają już do spółki 80 lat i obaj są świetnymi prawnikami: starszy o 45 minut Jarosław jest teoretykiem prawa. Lech – specjalistą prawa pracy.

Obaj, ponieważ wszystko robią razem, byli już w latach 70-tych wybitnymi (choć trzymali się w cieniu) działaczami opozycji demokratycznej. Od 1980 r. są czołowymi ekspertami »Solidarności«: Jarosław jest sekretarzem Krajowej Komisji Wykonawczej, Lech – członkiem stałego Prezydium KKW.

»Kaczory« były nierozłączne podczas ubiegłorocznych strajków w Stoczni Gdańskiej, po bratersku śpiąc na jednym płacie styropianu. Niestrudzenie uczyli robotników, jak powinni korzystać z przysługujących im praw (to Lech) i co trzeba zrobić, aby prawa w Polsce były lepsze (Jarosław). Wieczorami (obaj) zasilali informacjami nieliczną grupkę wspierających strajk dziennikarzy.

Cechy osobiste też mają identyczne: poczucie humoru, inteligencję, upór, skromność i flegmatyczny spokój, który nie opuszczał ich nawet w najbardziej dramatycznych momentach obłączenia stoczni.

Teraz obaj solidarnie kandydują do Senatu: Lech w Gdańsku, Jarosław po sąsiedzku w Elblągu.

Przed wojną były dwie braterskie pary sławnych polityków, Grabskich i Jędrzejewiczów, ale braci-bliźniaków, o ile pamiętam, jeszcze w Senacie nie było. Musimy to nadrobić – odpowiadają jednym głosem.

– Jako senator, panie Lechu, będzie pan miał prawo inicjatywy ustawodawczej. Co zamierza pan poprawić?

– Będę dążyć do generalnych reform prawa pracy (...). Chciałbym zacząć się zmianą ustawodawstwa represyjnego, pozostałości po stanie wojennym; celem moim jest państwo praworządne, w którym prawo będzie równie wiążące dla władzy, jak dla obywateli. Zaznaczam, że nie jestem zwolennikiem państwa bezradnego, bo tam, gdzie pojawia się anarchia, zaczynają grać najniższe instynkty.

– Zgadzam się z bratem – dodaje Jarosław. – Państwo powinno być na tyle silne, aby obywatela chronić przed wszelkiego rodzaju przestępstwami. I na tyle praworządne, by respektować prawa obywateli; każdy musi mieć pewność, że nikt ze strony władzy nie naruszy jego uprawnień, jego nietykalności i własności. O takie zmiany w prawie, zwłaszcza karnym, będę zabiegać w parlamencie. Jako senator z Elbląga pragnąłbym też do końca wyjaśnić sprawę »prowokacji elbląskiej« – pożaru czy raczej podpalenia hali »Zamechu«, co stało się pretekstem do rozległych represji. To jak zadra tkwi w pamięci starszych obywateli miasta. Ale głównym moim i brata celem będzie to, żeby następne wybory były już w pełni demokratyczne. Czeka nas ogrom prac nad nową Konstytucją.

Jarosław nie lubi mówić o tym, czego już dokonał. Ale to trzeba dodać: był on w 1979 r. jednym z pierwszych organizatorów akcji zbierania pod warszawskimi kościołami podpisów, wspierających żądanie nadawania w radiu mszy świętej, co ostatecznie zostało osiągnięte w Porozumieniu Sierpniowym 1980 roku”.

Kampania w Elblągu idzie gładko. Niemala w tym zasługa pochodzącego z Japonii szefa finansów Komitetu Obywatelskiego Yoshiho Umedy, który zapewnił Jarosławowi odpowiednią sumę. Tym razem to do Kaczyńskiego wróciła wyświadczona niegdyś przysługa: Umeda przez lata działał w polskim podziemiu, był współpracownikiem KOR, należał do Solidarności i w 1982 roku został wydalony z kraju. Wrócił, gdy komunizm zaczął się chwiać. Jedną z osób, które pomogły mu w zdobyciu karty stałego pobytu, był właśnie Kaczyński. I Umeda jako człowiek honorowy zapamiętał, że ma dług do spłacenia.

Dzięki pieniądзом z centrali elbląska kampania szybko staje się połączeniem przyjemnego z pożytecznym. W dzień praca, wieczorem suto zakrapiana kolacja, rano wizyta w monopolowym i z powrotem na spotkania z mieszkańcami. Jarosław, który jeszcze niedawno nie wiedział, czym jest balanga, teraz sam jest w kilkutygodniowym ciągu. Skąd ta odmiana? Elbląg daje mu pewność siebie i wyzwala w nim luz. Jarosław wreszcie czuje akceptację otoczenia – ludzie chętnie mu pomagają w kampanii, towarzyszą w spotkaniach, jeden z działaczy po koleżeńsku użycza mu nawet mieszkania. W przyszłości Kaczyński będzie już zawsze podkreślać, że Elbląg to jego drugie – zaraz po Warszawie – ukochane miejsce na ziemi.

Zabawa trwa cały maj i zakończy się dopiero dwa dni po wyborach. Kaczyński odnosi imponujący sukces – zdobywa prawie 60 procent głosów. Naraz z człowieka bez pracy, bez pieniędzy i bez widoków na przyszłość staje się senatorem. Był przygnębiony i sfrustrowany – teraz uważa, że to najlepszy okres w jego życiu.

„Oblewaliśmy w Elblągu, u przyjaciół, zwycięstwo wyborcze – będzie wspominać w wywiadzie. – Potem wróciłem PKS-em do Gdańska. Poszedłem do gdańskiej »Solidarności«, by zobaczyć się z moim bratem Lechem, który został senatorem z Gdańska. Lech był u Lecha. Atmosfera szampańska, wszyscy rozbawieni. Wałęsa, który normalnie nie jest wylewnym człowiekiem, porwał się zza biurka i powiada: »Senatorze, ustępuję ci swoje miejsce« – a ja na to: »No i słusznie, przecież ty jesteś zwykłym obywatelem« (Wałęsa nie kandydował do parlamentu – M.K.). Ale go nie podsiadłem, żartów z Lechem nie należy posuwać zbyt daleko”.

Senat inauguruje działalność 4 lipca. Gdyby któryś ze szkolnych kolegów zobaczył tego dnia Jarosława, mógłby się zdziwić. Ten wsobny chłopak, który w liceum bał się wejść do kawiarni, teraz nabral śmiałości. Do parlamentu wkracza zbudowany wyborczym sukcesem i rosnącymi wpływami. Dawną frustrację zastąpiło w nim zadowolenie z własnych osiągnięć.



W 1989 roku pojawia się nowy gracz. Ogrywa Bronisława Geremka, doprowadza do wyboru Tadeusza Mazowieckiego na premiera i przejmuje „Tygodnik Solidarność”. Tu podczas poświęcenia redakcji.



Na Wiejskiej czuje się jak ryba w wodzie: zamawia śniadanie w restauracji, popija piwem i jedzie do Hotelu Europejskiego, do Wałęsy. Na miejscu spotyka jego współpracowników, braci Krzysztofa i Ryszarda Puszów. Wychyla koniak, drugi, trzeci... Aż padnie nieprzytomny. Puszowie nie wiedzą, co robić: posiedzenie zaraz się zaczyna, ale senator elekt nie jest w stanie ustać na nogach. Pakują go do mercedesa i na Żoliborz. Ślubowanie poczeka do kolejnej sesji.

Biesiada będzie trwać całą kadencję. W Senacie nikt nie sprawdza listy, nie ma kar za nieobecności, więc Jarosław się nie przemęcza. Większość czasu spędza w części sejmowej. Można go spotkać w barze: oficjalnie nie ma tu wódki, ale można zamówić tzw. otwarty tonik, czyli czystą w butelce po toniku. Albo w pokoju hotelowym Artura Balazsa: przy kieliszku i wiejskiej zakąsce.

Jego narkotykiem jest jednak polityka.

– Czuł się już wtedy bardzo pewnie – wspomina jeden z byłych parlamentarzystów. – Pamiętam, jak opowiadał mi o zaskoczeniu, którego doznał jeszcze przed Okrągłym Stołem i w jego trakcie, obserwując Kuronia, Wielowieyskiego, Geremka. To ludzie PRL-u, mówił, bez pojęcia o mechanizmach demokratycznych. Nie wiedzą, na czym polega polityka oficjalna, nieopozycyjna. W domyśle było: oni tego nie rozumieją, ale ja rozumiem to doskonale.

To jak *déjà vu* z czasów szkolnych: wtedy spoglądał zde gustowany na koleżankę z klasy, która nie rozumiała, dlaczego raz się Gomułkę potępia, a raz chwali. A teraz patrzy z wyższością na solidarnościową elitę. Ale może tym razem to tylko przechwałki?

Latem 1989 roku ruszają negocjacje dotyczące nowego rządu. Faworytem do stanowiska premiera jest Bronisław Geremek forsowany przez warszawską ekipę: Adama Michnika, Andrzeja Celińskiego, Jana Lityńskiego, Henryka Wujca i do pewnego stopnia Kuronia. Jarosław rozpoczyna grę w przeciwnym kierunku.



Możliwości ma ku temu odpowiednie – jest blisko politycznego hegemonia, czyli Wałęsy. I ma motyw. Przede wszystkim jest przekonany, że Geremek przejdzie do koalicji z PZPR. Czy ma na to nowe dowody? Nie, wystarczy to, co zobaczył w Magdalence, plus ogólna znajomość opozycyjnego paradygmatu pokolenia '56, który głosi, że komunizm można obalić tylko wspólnie z komunistami, od środka. A dla niego rząd z udziałem, dajmy na to, Kwaśniewskiego jest nie do przyjęcia. Jego zdaniem komuniści są tak słabi, że należy ich dobić, a nie reanimować. Po drugie, chodzi o pryncypia. Po trzecie – o kwestie estetyczne. A po czwarte – taktykę osobistą. Koalicja z PZPR pozostawiłaby go po za główną grą.

Jest też motyw osobisty. Jarosław już wie, że Wałęsa chciał go mianować Marszałkiem Senatu, ale nominację zablokował Geremek, używając bolesnych argumentów: Kaczyński jest za młody, ma nieodpowiedni doświadczenia i brakuje mu powagi.

Oferta rezerwowa to stanowisko wicemarszałka, ale w wyborze, który ma się odbyć w pakiecie z Celińskim, znów przeszkadza profesor. Gdy Jarosław orientuje się, że jego kandydatura nie przejdzie, znów schodzi z oczekiwań i proponuje Celińskiemu porozumienie: ty masz większe szanse, więc kandyduj sam, ale mnie poprzyj do prezydium Senatu. Ostatecznie zostanie wykiwany – Celiński przegra wicemarszałka i sam wejdzie do prezydium. Jarosław zostanie z pustymi rękami.

Nadal ma jednak polityczną wyobraźnię. Wpada na genialny w swej prostocie plan: skoro komuniści umierają, to trzeba ich obejść i zawrzeć koalicję z paprotkami – Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym. W mig zdobywa od Wałęsy pełnomocnictwo i rozpoczyna negocjacje. Gra na premierostwo dla Tadeusza Mazowieckiego, ale na razie się z tym nie odkrywa.

„Kuroń (...) premierem nie mógł być – powie kilka lat później Torańskiej. – Bo primo: nie bardzo się nadawał, a secundo: był nie do zaakceptowania przez koalicjantów. Ja zrobiłem próbę. Rozmawiałem o nim z ówczesnym

szeffem frakcji w ZSL Aleksandrem Bentkowskim, późniejszym ministrem sprawiedliwości w rządzie Mazowieckiego. Ja z nim metodą perypatetycką dyskutowałem, chodząc ulicami wokół sejmu. Bardzo było zabawnie. Tu, straszne upały, a ja wielki pan senator, prowadzący historyczne rokowania, nie miałem nawet garnitur i dusiłem się w grubej marynarce po moim zmarłym wuju, jedynej eleganckiej, jaką posiadałem. Więc chodziłem z tym Bentkowskim i gdy mu raz wspomniałem o Kuroniu, on rzucił się natychmiast biegiem do przodu i zaczął przede mną uciekać. Ja go dogoniłem, chwyciłem za rękaw (chichot) i on wtedy zaczął się tłumaczyć: no, wie pan, ja mam takich głupich ludzi w swojej grupie. Ale o co właściwie chodzi? – zapytałem. No, wie pan – powiedział mi – no, wie pan, Kuroń jest Żydem i oni się nigdy na niego nie zgodzą. Kuroń akurat Żydem nie jest, ale ja z tej rozmowy zrozumiałem jedno, że jak ja jeszcze raz wrócę do Kuronia, to całe rokowania szlag trafi i do żadnych następnych nie dojdzie. Tym facetom Kuroń kojarzył się z czymś strasznym, oni uważali, że to najgorszy ze wszystkich opozycjonistów. Pozostawał więc Mazowiecki. Pojechałem do Wałęsy, do jego domu na wieś, razem z Leszkiem i Puszem. W Węsiarach klóciliśmy się z nim parę godzin. Wałęsa nie chciał Mazowieckiego. Powiedziałem mu: to może Olszewski. Nie, nie – zaprotestował – znajdź mi kogoś młodszego.

Teraz jestem przekonany, że myślał o mnie, ale ja po pierwsze: jego zamiarów nie wyczulem, a po drugie: gdybym nawet wyczuł, to i tak bym się premierostwa nie podjął. OKP na dźwięk mego nazwiska umarłoby przecież ze śmiechu.

To Hall – zaproponowałem – jest młody, ma pozycję, zaplecze, stoi za nim Ruch Młodej Polski, który stworzył. Ale Wałęsa Halla też nie chciał. Teraz wiem, że dlatego, iż Hall związany był z Mazowieckim i nie jest facetem, który by się go słuchał. Wałęsa bowiem na premiera chciał kogoś, kogo by twardo trzymał, kim by sterował i kto bez niego nie wykonałby żadnego ruchu. Tłukliśmy mu więc do głowy tego Mazowieckiego

i on w końcu miotając słowami, powszechnie uważanymi za obraźliwe, zgodził się. Czyli nieprawdą jest, że Mazowieckiego tamci wybrali, że Jaruzelski konkretnie wybrał. Nie, to myśmy go wybrali, tylko Wałęsa, bojąc się ataku histerii Geremka, wymyślił taką bajeczkę i mu ją opowiedział. Niewiele ona pomogła, bo okazało się już wkrótce, że wszystkiemu winien jestem ja, bo ośmieliłem się, nie będąc w tej hierarchii, nie reprezentując odpowiedniego według nich poziomu, najpierw dać się mianować przez Wałęsę jego pełnomocnikiem do rozmów z ZSL-em i SD, a potem zrobić premierem nie tego, kto był tam u nich wtedy bogiem i carem. W OKP (Obywatelskim Klubie Parlamentarnym zrzeszającym solidarnościowych posłów i senatorów – M.K.) potraktowali mnie jak profana, który rzucił im wyzwanie, i dostali szału”.

Jarosław przyjmuje te reakcje z zadowoleniem. Kiedy Jacek Merkel podejdzie do niego w Sejmie i zażartuje, że Geremkowi zabrano sprzed nosa ciasteczka, ucieszy się. A gdy Celiński skwituje jego negocjacje krótkim „gówno rzadkie”, swoim zwyczajem uda, że nie słyszy. Chociaż w środku pewnie się uśmiechnie, bo, skoro szaleją, to znaczy, że zabolalo. A miało zaboląć. To niepozorny bibliotekarz wziął rewanz na profesorze. Sprzątnął mu premierostwo.

Co do samych rozmów: kiedy zrodził się pomysł stworzenia koalicji z ZSL i SD, Jarosław od razu chciał siadać do negocjacji. Najpierw pojechał jednak do Sokółowa Podlaskiego, gdzie Wałęsa wypoczywał w rodzinny. Został go leżącego w łóżku, w kalesonach, ale usłyszał, żeby jeszcze się wstrzymać. Musiało minąć siedem dni, zanim dostał od niego sygnał do ataku. Jarosław wyciągnie z tego kolejną naukę dla siebie: u przywódcy ważne są nie tylko intuicja i umiejętność panowania nad salą, ale też odpowiednio wycucie czasu.

Budowa większości parlamentarnej dla rządu Tadeusza Mazowieckiego stanie się w przyszłości przedmiotem analiz wielu historyków i publicystów. „Pomysł Kaczyńskiego był kapitalny – podsumuje Robert Krasowski

w książce „Po południu” opisującej upadek elit solidarnościowych. – Wykorzystał umowy Okrągłego Stołu do obalenia rządów PZPR. Tę ideę Rafał Matyja nazwał potem »zamachem stanu w państwie Okrągłego Stołu«. W istocie, to był zamach. Pomyśl, że PZPR może stracić władzę, był rewolucją, jednak Kaczyński oferował pomysł na przeprowadzenie rewolucji całkowicie lege artis. Znalazł bowiem lukę w umowie Okrągłego Stołu polegającą na tym, że marionetki mogą się zbuntować, że wprowadzeni przez komunistów do Sejmu posłowie ZSL i SD mogą wypowiedzieć posłuszeństwo. Dawniej nikomu to nie przyszło do głowy, bo partia była silna, ale teraz taką być przestała. Po latach pomysł Kaczyńskiego wydawać się może oczywisty, ale wtedy był przełomowy. To tak jak z rewolucją kopernikańską; po jej ogłoszeniu wszyscy się dziwią, jak można było sądzić inaczej, jak można było wierzyć, że Ziemia jest środkiem świata. Trzymając się kopernikańskiej metafory: do tej pory aksjomatem polskiej polityki było to, że cały świat kręci się wokół PZPR. To sprawiało, że nawet rewolucyjna – w intencji Geremka – koncepcja koalicji z PZPR z solidarnościowym premierem nie wychodziła poza te ramy. Kaczyński natomiast oznajmił, że polityka kręci się wokół silniejszego. A że w tym momencie silniejsza była »Solidarność«, więc to ona przy pomocy ZSL i SD powinna wziąć władzę”.

A więc na scenie objawił się nowy gracz: ambitny, mściwy, przebiegły. On sam po latach powie w prasowym wywiadzie, że w 1989 roku rodzi się w nim przekonanie, że występuje „wbrew niemal całemu światu”. Choć, jak tak na niego spojrzeć, to nadal wygląda niepozornie. Dziennikarka Dorota Maciejka zachowała w pamięci taki obraz: róg Alej Ujazdowskich i Jana Matejki, chodnik pod restauracją Ambasador. Ona, początkująca reporterka „Stolicy”, przyjeżdża na pierwszy wywiad z Jarosławem Kaczyńskim, senatorem i wschodzącą gwiazdą polityki. A naprzeciw niej stoi 40-latek w płaszczu z oberwanymi guzikami. Ten jeden, który się jeszcze trzyma, dynda na nitce. Jest 24 sierpnia, historyczny dzień, w którym Tadeusz Mazowiecki zaśląbnie, wygłaszając w Sejmie exposé.

– Na przywitanie przeprosiłam za spóźnienie – wspomina Macieja – i zaczynam opowiadać, co mnie rano spotkało: wychodzę z domu w podwarszawskim Nieporęcie, a mój maluch stoi bez kół, na ceglach. Na co pada rzeczowa odpowiedź: widzi pani, w PRL-u było 112 tysięcy więźniów, teraz – tylko 60, wszystkie szumowiny powychodziły. Chociaż dzień był szalony, a ja nie miałam legitymacji, to Jarosław Kaczyński wprowadził mnie do Sejmu.

– Wywiad się udał?

– Rozmawiało mi się świetnie. Kaczyński okazał się bezpośredni, otwarty, dowcipny. A jak przyszłam z autoryzacją, już do redakcji „Tygodnika Solidarność”, to usłyszałam: bardzo zgrabnie to pani spisała, a to było takie niezborne gadanie.

Na tyle zgrabnie, że niebawem sama tam trafi do pracy. Ściągnie ją Jarosław, któremu Wałęsa za chwilę odda „Tygodnik”.

/

**/ Sex instructor.  
First lesson free**

8 marca 1990 roku. Geilo, 250 kilometrów na północ od Oslo. Alberto Tomba bierze ostatnią bramkę i jest na mecie. Wygrał drugie zawody Pucharu Świata w tym sezonie. Dziennikarze będą pisać, że jego styl – agresywny i pełen pasji – to rewolucja w slalomie. Później ktoś nawet stwierdzi, że Tomba jeździ na nartach tak, jakby prowadził wyścigowe ferrari.

W Warszawie akurat trwa najcieplejsza zima od tysiąca lat, ale Jarosław też mija metę. Początek miał niepewny (podobnie jak Tomba, który zawsze gorzej wypadal podczas pierwszego zjazdu i nadrabiał dopiero w drugim), ale w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy dostał takiego przyśpieszenia, że konkurentów mijał jak tyczki. Odsadził Geremka, Kuronia i Michnika. Zmonopolizował dostęp do Lecha Wałęsa. Doprowadził do wyboru Tadeusza Mazowieckiego na premiera. Przejął „Tygodnik Solidarność”. Po prostu wygrał.

Przejęcie gazety dopiero zapoczątkuje budowę tego, co najważniejsze – czyli partii – ale „Tygodnik” jest cennym przyczółkiem. Andrzej Urbański, który za chwilę zostanie tu wicenaczelnym, po latach stwierdzi w książce „Ludzie Tygodnika Solidarność”, że Tysol jest dla Jarkowego środowiska tym, czym w 1945 roku była marksistowska „Kuźnica” dla Żółkiewskiego, Brandysa, Jastruna i Kota.

Jarosław wysiaduje w redakcji do późnego wieczora. Czuje się tu swobodnie i jest na swoim. Przewodzi. Po zatrudnieniu nowych dziennikarzy, siada przy telefonie i zaczyna kaptować ludzi do partii. Nie da się ukryć – jest podekscytowany.

Macieja Zalewskiego, byłego działacza podziemnego tygodnika „WOLA” i znajomego z Dziekanią, zastaje w USA na stypendium. Zalewski jest wściekły na Okrągły Stół i zastanawia się, czy nie zostać za oceanem. Ale, gdy dzwoni Jarosław, szybko zmienia zdanie. – Czy chcesz budować partię naszych marzeń?

– Jarek, wchodzę w to.

Z Przemysławem Hniedziewiczem, byłym działaczem PAX-u i współzałożycielem Dziekani, Jarosław spotyka się w redakcji.

– Przemek, cieszę się, że cię widzę – mówi mu. – Mam dla ciebie poważną propozycję.

I w półtoragodzinnej rozmowie wyklada wizję politycznego projektu. Hniedziewicz niebawem zostanie sekretarzem generalnym partii.

A do Donalda Tuska, gdańskiego liberała wysłał emisariusza, którym jest dopiero co skaperowany Hniedziewicz. Hniedzio pojedzie do Trójmiasta, zaprosi Tuska na piwo, ale wróci z niczym.

– Choćbyś wlał we mnie drugie tyle piwa – śmieje się Tusk – to do was nie przystąpię.

Formalnie kongres założycielski odbędzie się dopiero w maju, ale w rzeczywistości wszystko działa już teraz. Jarosław objeżdża kraj, zbiera zgłoszenia od ludzi. Ugrupowanie jeszcze nie istnieje, ale ma już nazwę: Porozumienie Centrum (jej autor, jowialny wykładowca z Wyższej Szkoły Teatralnej Jerzy Jackl, nie zrobi kariery w polityce). Hniedziewicz rozszyfrowuje ją tak: porozumienie, bo to partia niedyktatorska, a centrum – bo chadecka i daleka od skrajności. Takie są założenia.

A jak to wygląda w praktyce? Jakim liderem na początku lat 90. jest Kaczyński? Pytam o to ludzi, którzy obserwowali go z trzech perspektyw: partyjnej, biurowej i redakcyjnej. Później ich losy toczyły się różnie – część odbiła w innych kierunkach, część całkiem zniknęła – ale wówczas byli naprawdę blisko.

Stanisław Rojek, był skarbnik PC: – Był szefem partnerskim.



Przemysław Hniedziewicz: – Umiarkowanym.

Andrzej Anusz, były poseł: – Towarzyskim.

Monika Dmowska, sekretarka: – Egalitarnym.

Zofia Swoczyna, sekretarka: – Spokojnym.

Ola Zawłocka, dziennikarka „Tygodnika Solidarność”: – Przenikliwym.

Hniedziewicz raz jeszcze: – Samokrytycznym.

Zanim każdy z moich rozmówców rozwinie to, co ma na myśli, trzeba powiedzieć, że wczesny Jarosław jest po ludzku – tak po prostu – szczęśliwy. Wystarczy spojrzeć na zdjęcia w „Tygodniku Solidarność” i z pierwszych lat Porozumienia Centrum. Na wszystkich atmosfera jest na wpeł rodzinna: Jarosław śmieje się pełną piersią, często z drinkiem albo kieliszkiem wina, zawsze w gęszczy ludzi. Na jednej z fotografii – zrobionej prawdopodobnie w dniu wyborów prezydenckich w 1990 roku – za plecami ma cały zespół redakcyjny. Sam po turecku siedzi na podłodze i trzyma w ręku plastikowy karabin. Zawłocka pamięta, że do redakcji przyniósł go kilkuletni synek dziennikarki Ewy Wilk, który zresztą też jest na zdjęciu. Siedzi u mamy na kolanach i z zainteresowaniem przygląda się pogodnej twarzy naczelnego.

– No, dobrze, ale co to znaczy, że Kaczyński był partnerskim szefem?  
– pytam Rojka.

– Można było do niego przyjść i powiedzieć: słuchaj, Jarek, nie masz racji. I on to przyjmował. W pierwszym okresie PC panowała atmosfera starego bolszewizmu. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie w tygodniku, na które przyciągnął mnie Hniedziewicz. Wykryształowała się tam grupa siedmiu założycieli PC: Jarek, Hniedzio, Anusz, Piotrek Wójcik, Jackl i Jurek Eysymontt. Wybrano mnie na skarbnika, wyjąłem czapkę i mówię: no, chłopcy, rzućcie coś. Tak zebraliśmy pieniądze na wynajem pierwszego biura przy Puławskiej, Jarek też się dołożył.

– To czasy, kiedy partie nie dostają pieniędzy z budżetu.

– Działaliśmy w partyzanckich warunkach. Podczas wyjazdów w teren nocowaliśmy w samochodzie. Do biura przynosiło się kielbasę,

jadło pół, a resztę zostawiało koledze. Albo kongres na Politechnice Warszawskiej zimą 1991 roku. Jarek pojawił się w za długim płaszczu, który dramatycznie ciągnął się po ziemi. Liczenie głosów się przedłużało, więc położył się na ławce i zasnął.

Anusz, który w rodzącej się partii odpowiada za amatorskie sondaże uliczne, podsumowuje: – To nie były jednoosobowe rządy. Wszyscy mieli dużo swobody.

Ten wczesny Jarosław nie budzi strachu wśród podwładnych. Kiedy zimą 1990 roku redakcja „Tygodnika” przy ul. Czackiego zamienia się w partyjny lokal, do którego popołudniami schodzą się politycy (Anusz zjawia się zawsze koło siedemnastej, przeważnie w duecie z Piotrem Wójcikiem), dziennikarka Ewa Matuszewska wybiega za naczelnym na korytarz i krzyczy: – Jarek, co ty robisz z tego tygodnika? To wygląda jak prawicowa szmata!

Inna rzecz, że Jarosław nie zna się na robieniu gazety i wcale tego nie ukrywa. Wytycza linię pisma, ale niepolityczną część „Tygodnika” ignoruje i nie rozumie jej sensu. Gdy któregoś dnia zobaczy na rozkładówce reportaż o dzieciach z patologicznych rodzin (zdaniem dziennikarzy poruszający), zdziwi się: – Nie wiem, po co ten tekst.

Gazetę w jego imieniu trzymają wicenaczelni: Czabanesku (despotyczny Jacek Czabański) i Urbanesku (odgrywający rolę dobrodusznego Andrzej Urbański). Ważną postacią jest jeszcze kierownik działu krajowego Krzysztof Wyszkowski, który, gdy się zdenerwuje, wali na zebraniach linijką w stół.

Cotygodniowe kolegia są teatrem jednego aktora. Jarosław opowiada na nich o zakulisowych rozgrywkach, ale też dokonuje analizy. To na podstawie jego wywodów powstaje jesienią 1989 roku najgłośniejszy artykuł „Tygodnika” autorstwa Piotra Wierzbickiego „Familia, świta, dwór”. Po raz pierwszy zostają w nim opisane koterie działające w Solidarności. Tekst jest naczelnemu na rękę – sankcjonuje podziały w obozie i daje mu alibi dla założenia własnej formacji.

Po majowym kongresie, wspomina Hniedziewicz, kierownictwo partii wybiera się z wizytą do prymasa. Z ust Jarosława pada ważna deklaracja: PC będzie stronić od radykalizmu, bo chce uniknąć efektu wahadła. Partia ma się odwoływać do wartości chrześcijańskich, ale pozostanie ugrupowaniem niewyznaniowym i nieendeckim. Umiarkowanym.

Mniej więcej w tym czasie Jarosław wygłasza pierwszy referat programowy. Tekst jest ogólnikowy, ale jednak zaskakuje – znajduje się w nim przestroga przed nacjonalizmem. Deklaracja wynika ze strachu przed zarzutem antysemityzmu i w mniemaniu Jarosława ma być koncesją na rzecz elit intelektualnych.

„Po pierwsze – wyjaśni we wspomnieniach – mieliśmy rzeczywicie ambicje stworzenia nowoczesnej partii nielewicowej, nie używaliśmy wtedy słowa prawica. A to wymagało odcięcia się od tego, co traktowaliśmy jako złą tradycję prawicy, a po części centrum, a więc od antysemityzmu. Uważaliśmy tę sprawę za ważną z paru względów. Po pierwsze uważaliśmy antysemityzm za zły sam przez się, za paraliżujący myślenie i niemoralny. Po drugie sądziliśmy, że może być wykorzystywany dla organizowania sił politycznych, które, odwołując się do pewnych elementów tradycji narodowo-demokratycznej, będą nas ciągnęły na wschód. Po trzecie uważaliśmy, zgodnie zresztą z historycznym doświadczeniem, że odwoływanie się do antysemityzmu i jego podjudzanie jest znakomitą metodą odcinania nas od Zachodu, metodą skądinąd stosowaną przez komunistów. I wreszcie po czwarte, chcieliśmy uzyskać możliwie duże wpływy wśród inteligencji, a tam, wyjąwszy pewne środowiska, które jednak nas nie interesowały, antysemityzm był przeszkodą. I wreszcie po piąte, choć rzecz jasna najdalei byliśmy od ocen formułowanych w środowisku »Gazety Wyborczej«, od stwierdzeń, że w Polsce antysemityzm jest powszechny, jest jakąś wielką siłą, przecenialiśmy jednak jego żywotność”.





Wczesny Jarosław chętnie udziela się towarzysko.  
Na zdjęciu z dziennikarką Głosu Ameryki Marią Bnińską.

Przeostoga przed nacjonalizmem jest o tyle uzasadniona, że jeszcze zanim powstanie PC, przypisuje się Jarosławowi antysemityzm. A Wałęsa poczytuje mu to nawet za zaletę (znów za wspomnieniami):

„Kiedys podczas rozmowy Wałęsa mówił mi: »Ty to tych Żydów nie lubisz«. Zaprzeczyłem, ale nie chciał uwierzyć. Uważał, że w tym co robię kieruję się właśnie tym motywem. Gdy zacząłem już bardzo energicznie zaprzeczać, powiedział, że przecież nie mam się czego wstydzić; na przykład w jego rodzinie tylko on nie jest antysemitą. Ten motyw zresztą się powtarzał. Kiedyś rozmawiając z kolei z Leszkiem, kiedy byliśmy w Kancelarii i krytykując mnie w tej rozmowie, przyznawał mi też pewne zasługi: »Żydostwo od władzy odsunąć, ho, ho«. Dziś się z tego śmieję, ale wtedy miałem inną ocenę sytuacji i ci, którzy mówią, że wyeliminowanie antysemityzmu z Polskiej polityki to w dużej mierze zasługa PC – mają rację”.

Deklaracja członkowska, którą będą podpisywać ludzie przystępujący do partii Jarosława, brzmi bardzo powściągliwie. Mówi o: nauce Ewangelii o godności i wolności człowieka, wolnej inicjatywie, przedsiębiorczości jednostek, równych prawach, sprawiedliwości, umiłowaniu pokoju, szacunku dla tradycji, solidarności, pluralizmie, wolnym rynku, samorządności społecznej, obywatelskiej odpowiedzialności. Taki tekst równie dobrze mogliby zaakceptować ludzie z drugiej strony solidarnościowej barykady – ci, których Jarosław już zapisał do KPP.

Życie towarzyskie w PC i „Tygodniku” kwitnie. Odgrywa tę samą rolę, którą na przełomie lat 70. i 80. odgrywało dla ludzi z podziemia. Jest przedłużeniem polityki. Wtedy Jarosław w nim nie uczestniczył, ale teraz jest liderem środowiska, ma autorytet wśród ludzi, więc udziela się chętnie.

„Kiedy zakładałem partię polityczną – wspomni w prasie po latach – zaczął się taki młyn, że, gdy zjawiałem się w domu przed 22, mama była zdumiona”.

Biuro przy ul. Puławskiej PC dostaje w spadku po jakimś pośle PZPR. Lokal wygląda mizernie, jest tak ciasno, że Kaczyński nie ma nawet

własnego gabinetu. Ale dla higieny redakcji spotkania partyjne będą się od teraz odbywać tutaj. Anusz mówi, że większość z nich kończy się po północy.

Jarosław krąży między Puławską a Czackiego. Tu i tu jest wesoło. Trwa nieustająca prywatka: co chwilę ktoś się przeprowadza i robi parapetówkę. Czasem ktoś przynosi czerwoną sople i urządza popijawę w redakcji. A gdy na rynek wejdzie piwo EB, Leonard Krasulski, elbląski działacz PC zatrudniony w tamtejszych zakładach, będzie przywozić piwo kratami. Prezes lubi partyjne narady przy piwku. Zresztą, to czas, gdy w ogóle nie stroni od alkoholu.

Dzień wyboru Lecha Wałęsy na prezydenta: świętowanie trwa do rana. Sekretarz redakcji Jan Gogacz łapie gitarę i śpiewa:

„Popłyn do Rio,/ Gdzie ananas dojrzewa,/ Gdzie dziewczyn bez liku nie nosi staników,/ Gdzie sambę się tańczy i śpiewa./Gdzie bimber trzcinowy piją”.

Dziewczyny tańczą na redakcyjnym stole, a Jarosław przechadza się w meloniku z napisem „Sex instructor. First lesson free”, który jedna z dziennikarek przywozła ze zbierania truskawek w Norwegii.

Wesele Piotra Wójcika: kiedy gra orkiestra i koledzy idą z żonami na parkiet, Jarosław zostaje przy stole sam. Ale kolejek nie omija i chętnie uczestniczy w przyśpiewkach.

Sylwester na Zawojkiej: gospodarzem jest Piotr Perszewski. Po północy Jarosław powie, że jedzie się modlić do kościoła, ale wcześniej przez kilka godzin pije wino. Jedyne, na co nie daje się namówić, to tańce.

Wyjazd w teren z Romualdem Szeremietiewem: po spotkaniu tradycyjnie suto zakrapiana kolacja. W drodze powrotnej obaj chrapią. Jarosław budzi się w Warszawie. Patrzy przez okno, a Szeremietiew idzie przez roztopy w skarpetkach.

Kolacje u Hniedziewiczów odbywają się regularnie. Jarosław siedzi do późna, co jakiś czas wstaje, ściska gospodarza i go całuje.

Zofia Swoczyna, Monika Dmowska i Marcin Giedrojc na początku lat 90. pracowali w biurze Porozumienia Centrum. Dziś są urzędnikami Najwyższej Izby Kontroli. Spotykamy się po godzinach.

– Co to znaczy, że prezes był egalitarny?

– Dam panu przykład – mówi Monika Dmowska. – Szef pojechał kiedyś do szpitala na badania. Chyba nie było to nic poważnego, ale lekarze postanowili na kilka dni położyć go do łóżka. W biurze ktoś zaproponował, żeby zawieźć mu kwiaty.

– Dworski gest – wtrącam.

– Myli się pan. Chodziło o zwykły dowód sympatii, a nie żadne podlizywanie się. Może pan nie uwierzy, ale Kaczyński nie oczekiwał dworskich gestów. Z delegacją wysłaliśmy Danusię, jedną z sekretarek zatrudnionych w biurze, która nazajutrz tak zrelacjonowała nam swoją wizytę w szpitalu: „Nie uwierzycie, co się stało. Wchodzę do sali, a przy łóżku prezesa siedzi mama. Chciałam się wycofać, ale szef mnie zauważył i przedstawił jako koleżankę z pracy. Rozumiecie? Prezes powiedział, że ja, sekretarka, jestem jego koleżanką z pracy”.

– On – dodaje Swoczyna – czarował ludzi. Miał szaloną charyzmę.

Dmowska: – Podczas wystąpień w niesamowity sposób umiał utrzymać uwagę słuchaczy. Nie powiem, imponowało mi to.

Giedrojc: – No, i uderzał jego spokój.

Dmowska: – Czy był brutalny? Jak na naradzie ktoś go prowokował, to odpowiadał tak spokojnie, że kolejna zaczepka stawała się niestosowna.

Swoczyna: – Bo Jarosław Kaczyński to była, panie Michale, siła spokoju.

Przenikliwość szefa wyjaśnia z kolei Zawłocka: – Miał polityczną wyobraźnię, przewidywał rzeczy, które nam nie mieściły się w głowach. Pamiętam, co mi powiedział, gdy powstał rząd Olszewskiego. Olszewski chce upaść z hukiem, zdobyć sztandar i budować nową pravicę. Dziś o taką prognozę mógłby się pokusić każdy, ale wtedy nikt nie wiedział, jak upadają rządy. Co to właściwie znaczy? Sprawdziło się co do słowa.



Macieja: – Wołają mnie kiedyś w „Tygodniku” do telefonu. Dzwoni Kiszczak. Ma mnóstwo pretensji do jakiegoś tekstu, żąda sprostowania i chce się natychmiast spotkać. Pobiegłam do naczelnego, z pytaniem, co robić? Kaczyński się roześmiał i powiedział, jeśli pani sądzi, że będę miał pretensje, bo Kiszczakowi się coś nie podoba, to jest pani w błędzie. Może pani jechać albo nie. Wróciłam po czterech godzinach z ciężką głową. Idę do Kaczyńskiego i próbuję zrelacjonować to, co usłyszałam – opowieści o aferze Żelazo i tym podobne. Mówię, że niewiele z tego rozumiem, nie wiem, po co on mi to wszystko powiedział. A Kaczyński na to: pani Doroto, to proste. Kiszczak użył panią jako kontaktu. To, co pani mówił, był skierowane do mnie. Pani miała to przekazać.

Z tych wszystkich historii wyłania się obraz szefa idealnego: lubianego, wyrozumiałego, ale jednocześnie intrygującego i rozgrywającego strategiczne gry ponad głowami podwładnych. Jak na człowieka, który kilkanaście lat wcześniej jękał się na zajęciach ze studentami i nie był w stanie poprowadzić wykładu bez kartki, to zaskakująca metamorfoza.

Z jednej strony im wyżej Jarosław się wdrapuje, tym głośniejszy odzywiają się w nim cechy przywódcze; im więcej sukcesów osiąga, tym staje się pewniejszy. Ale charyzme rozbudza w nim też otoczenie, które nie tylko go lubi, ale też podziwia. Przemawiając podczas kolegiów, Jarosław musi to zauważać. I na pewno go to napędza. Jedyne, co tu nie pasuje, to niska samoocena, o której wspomina Hniedziewicz.

– Jarek był wręcz zbrzydzony swoimi występami w telewizji. Po wspólnym udziale w programie stwierdził kiedyś: ty to dobrze wychodzisz w telewizji. Powiedział mi to z takim błyskiem w oku, że nie wiedziałem, czy to komplement.

Inny z byłych współpracowników Jarosława dodaje: – Myślę, że to kwestia wzrostu i wyglądu. Gdy na scenie politycznej pojawił się Andrzej Olechowski, Jarosław często mówił, że gdyby dysponował jego urodą i posturą, to miałby większe poparcie.

Kolejny: – Stąd wzięło się też jego zainteresowanie boksem. Jarosław uważa, że to męski sport, w którym niski może powalić wysokiego. Powołuje się często na karierę Lucjana Treli i słynną walkę Zbigniewa Pietrzykowskiego, który na igrzyskach w 1960 roku dzielnie stawiał czoło znacznie wyższemu Muhamedowi Aliemu.

Z kolei Dorota Macieja opowiada mi znamiennej historię z „Tygodnika”: późne popołudnie, dziennikarze siedzą w pustej redakcji. Luźna atmosfera, wszyscy żartują, ktoś trzyma nogi na biurku. Kaczyński zagląda do pokoju, a Maciei się wrywa: „Śmieją się ze mnie, że jestem trzecia Kaczyńska”. Szef wzywa ją do gabinetu i poważnie oświadcza: „Pani Doroto, chyba potraktowała pani te żarty jako ujmę, ale chcę, żeby pani wiedziała, że moja mama była kiedyś naprawdę piękną kobietą”.

Kiedy czyta się archiwalne wypowiedzi prezesa, można jednak odnieść wrażenie, że Jarosław traktuje swój niski wzrost z przymrużeniem oka.

„Usiłuję zgłębić zagadkę bezinteresownej niechęci, jaką żywią wobec mnie niektórzy politycy – powie w 1993 roku Jarosław. – Może, jak sugeruje Ludwik Dorn, kluczem jest wzrost? Obok Ryszarda Bugaja najostrzej krytykuje mnie Jan Lityński. Wszystko ludzie, jak ja, nędznej postury. Może to wojna konusów?”

Publicznie Jarosław może nazwać siebie konusem, ale kiedy drzwi gabinetu się zatrzasną, współpracownicy zauważą, że poczucie humoru jedynie maskuje coś, co chyba można by nazwać kompleksem. Marek Zwierzyński, działacz PC wywodzący się ze środowiska warszawskiej Woli, wspomina, że gdy Jarosław rozmawiał z kimś wysokim, zawsze prosił: siadaj, siadaj, a sam wstawał i chodził. Niskich natomiast nie sadzał nigdy. A Hniedziewicz, który skądinąd jest wysoki i zawsze cieszył się powodzeniem wśród kobiet, przyznaje, że w prywatnych rozmowach Jarosław często wskazywał na ludzi wyższych od siebie. I nie zawsze były to żarty.

Wobec siebie Kaczyński jest przesadnie krytyczny. Nawet po wygranej debacie telewizyjnej z Adamem Michnikiem jest niezadowolony. Gdy Hniedzewicz zadzwoni do niego z gratulacjami, odburknie:  
– Ee, nie wyszło tak, jak chciałem.

/

**/ Swąd**

Debata z Adamem Michnikiem odbywa się 15 października 1990 roku, miesiąc przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. Jarosław występuje w niej w imieniu Lecha Wałęsy, a naczelny „Gazety Wyborczej” reprezentuje kontrkandydata i jednocześnie urzędującego premiera Tadeusza Mazowieckiego. Starcie jest wielkim wydarzeniem kampanii, ale też jednym z najważniejszych punktów w politycznej biografii Jarosława. Po raz pierwszy ma on okazję zaprezentować się masowej publiczności – na dodatek w starciu ze słynniejszym przeciwnikiem – i przypieczętować swoją pozycję. Jeśli wygra, udowodni, że jest kimś więcej niż tylko ambitnym intrygantem.

– Wbrew temu, co powiedziałem później na wizji, Kaczyński i Michnik wcale nie mieli ochoty na ten pojedynek – wspomina Marek Maldis, szkolny kolega Jarosława, który zostanie telewizyjnym dziennikarzem, wpadnie na pomysł debaty i na końcu ją poprowadzi. – Zgodzili się pod warunkiem, że program pójdzie na żywo.

– W jakich byli wtedy relacjach? Rozmawiali ze sobą?

– Jak usiedli w kawiarni na Woronicza, to wyglądali jak bokserzy w ringu. W ogóle się nie odzywali. Chciałem rozładować atmosferę, więc podszedłem spytać, czy się kłóć, na co Michnik odpowiedział: nie, skądże. Zresztą, w ogóle był bardzo wyluzowany. Pamiętam, że przed anteną emalblował Grażynę Torbicką, która była tego dnia prezenterką. Jarosławowi towarzyszył zaś jego kierowca.

Książka „Lewy czerwcowy” jest sukcesem wydawniczym,  
ale w sensie politycznym to początek końca PC. Tu podczas promocji  
z Antonim Macierewiczem i Adamem Glapińskim, lata 90. /





Taśmę z debaty odnajduję w telewizyjnym archiwum. Scenografia jest archaiczna. Kaczyński i Michnik zajmują miejsca na końcach długiego stołu, na środku którego Maldis siada niczym sędzią. Obaj adwersarze mają za plecami ekrany, na których widać twarz przeciwnika. Dzięki temu widzowie będą jednocześnie słuchać wypowiedzi i obserwować reakcje drugiej strony. W dole ekranu, pod stołem, spoczywa rozłożysta roślina.

Kaczyński – czarny garnitur, biała koszula, krawat. Twarz skupiona, dłonie zaplecione na stole, gesty oszczędne. Michnik – marynarka i rozpięta koszula. Luz. Mowa ciała ledwo mieści się w kadrze.

Zwarcie pierwsze.

Kaczyński: – Mazowiecki uważał, że trzeba osiągnąć konsensus elit...

Michnik: – ...nie elit! Sił politycznych.

Kaczyński: – Siły polityczne to są jednak elity.

Michnik: – Nieprawda.

Kaczyński: – Gdyby pan poseł mi łaskawie nie przerywał.

Michnik: – To niech pan nie streszcza moich poglądów!

Kaczyński: – Może pan pozwoli jednak. Panowie nieustannie powołujecie się na zasady kultury politycznej... Próbowano stworzyć tu monopartię, hegemonię jednej grupy, bardzo zasłużonej, niemniej partykularnej, mającej specyficzne poglądy, które ja bym nazwał lewicowymi. To byłby układ niedemokratyczny.

Michnik: – Kiedy mówi pan o hegemonii pewnej grupy, z żalem uważam u człowieka o pańskiej klasie intelektualnej resztki spiskowej teorii dziejów (*na ekranie za jego plecami Kaczyński kiwa głową i się uśmiecha*). No, i te poglądy lewicowe... Panie senatorze, nie nazywajmy się. Niech pan mnie nie nazywa lewicą laicką, a ja przyrzekam, że nie będę pana nazywał prawicą muzulmańską.

Kaczyński: – U pana w sprawie lewicy laickiej są jednak mocniejsze podstawy faktyczne, zresztą to jest nawet pański pomysł.



Michnik: – Sprzed 20 lat! Trzy razy go weryfikowałem.

Kaczyński: – Jeżeli chodzi o prawicę muzułmańską, to ja się nie obrażam na nic.

Michnik: – A to cenna deklaracja.

Zwarcie drugie.

Michnik: – Boję się Lecha Wałęsy, który jako przywódca arabskim ambasadorom obiecuje lekką ręką kanał w polskiej telewizji. Który deklaruje publicznie, że Andrzeja Wajdę weźmie na kolano i da mu klapsy. Który mówi, że z profesorem Skubiszewskim pcheł by nie złapał. I wreszcie, który mnie, taka gapę i gamonia, wysyła na spikera do radia, mimo że wie, że nie nauczę się już dobrze mówić (*opiera się szeroko na stole*). Czy to nie grozi Polsce inwazją ludzi niekompetentnych?

Kaczyński: – Ale nie można zakładać, że społeczeństwo wszystko wytrzyma, że ci, którzy byli profitentami tamtego systemu, dziś mają się dużo lepiej.

Michnik: – Niech pan konkrety daje!

Kaczyński: – Pan mi ciągle przerywa.

Michnik: – Niech pan da przykład tych, którym...

Kaczyński: – Pan jest rozgorączkowany.

Michnik: – ... się powodzi lepiej.

Kaczyński: – Chociażby Sekuła.

Michnik: – To co pan chce z niego zrobić? Obywatela drugiej kategorii? Apartheid dla Sekuły (*wychyla się z fotela, mało nie wejdzie na stół*)?

Kaczyński: – Pan nie pozwala mi dokończyć i pokazuje pan charakter władzy, którą by pan...

Michnik: – Ja nigdzie nie aspiruję!

Kaczyński: – Ale, ci, którzy aspirują, są do pana podobni. Nie może być tak, że demokrację buduje się na fundamencie niesprawiedliwości.

Michnik: – Nieprawda!

Kaczyński: – Zapewniam pana, że prawda. Miliony ludzi w Polsce tak myślą.

Michnik: – Możliwe, ale to nie jest prawda. Dostyc bolszewizmu! Dostyc! To nieprawda.

Kaczyński: – Proszę pana, pan pokazuje, na czym by polegała wasza władza. Nikt nie może dojść do głosu, tylko wy.

Michnik: – Ale ja się jąkam, niech pan będzie uczciwy.

Kaczyński: – Może i pan się jąka, ale oprócz tego, że pan się jąka, popelnia pan też mnóstwo błędów. Popiera pan program, który doprowadzi do rzeczywistej rewolucji. To nie Wałęsa grozi rewolucją, na czele peronizmu może staną Jurczyk czy ktoś taki. A Wałęsa jest ostatnią szansą, że przejdziemy do gospodarki rynkowej i zachowamy demokrację (*zaczyna grozić palcem*). A program Mazowieckiego jest swego rodzaju nakazem dla niewielkiej części społeczeństwa, żeby wierzyła, ufała, była cierpliwa. To się nie uda, a nawet jakby się udało, to byśmy dojechali do Peru (*wciąż wygraża*).

Zwarcie trzecie:

Michnik: – Dla Wałęsy będzie miejsce, ale musi wygrać Tadeusz Mazowiecki. I wygra (*puka długopisem w stół*)!

Kaczyński: – Żeby tylko z Tymińskim wygrał...

Zwarcie czwarte:

Kaczyński: – Trzeba rozbić układ nomenklaturowy, który w istocie kieruje gospodarką.

Michnik: – Balcerowicz kieruje.

Kaczyński: – Tak się panu wydaje.

Michnik: – Nieprawda! Nieprawda!

Kaczyński: – Proszę, mamy kolejny dowód, jakby ta władza wyglądała. I po wtóre trzeba cofnąć ten wielki zabór mienia, uwłaszczenie nomenklatury.

Michnik: – Dowody są potrzebne, a nie insynuacje. To do prokuratora!

Kaczyński: – Proszę, mają państwo kolejny dowód, jak to by wyglądało.

Michnik: – Ale pan mnie ani razu na bujdzie nie złapał, a ja pana już cztery razy!

Kaczyński: – Pan mnie nie złapał ani razu. A ja mam dowody tu (*podnosi plik kartek ze stołu*) na pańskie bujdy. Pan na przykład twierdzi, że pan nie chciał rządu solidarnościowo-komunistycznego, a pan o tym pisał.

Michnik: – Co pan fantazjuje?

Kaczyński: – Nie fantazjuję.

Michnik: – Pan mi wmawia dziecko w brzuch, senatorze (*uderza dłońmi o dłoń!*)

Kaczyński: – Przecież pan dobrze wie, że to ja mówię prawdę, a pan się z nią, łagodnie mówiąc, mija.

Zwarcie piąte:

Kaczyński: – Pan w zeszłym roku pisał, mam tu te cytaty (*znów podnosi kartki*), że premier powinien być odważny, energiczny i powinien szybko podejmować decyzje.

Michnik: – Tak, pisałem.

Kaczyński: – I może pan dziś powiedzieć Polakom, że Tadeusz Mazowiecki odpowiada tym kryteriom (*śmiech*)?

Michnik: – On jest znacznie lepszym premierem, niż myślałem. Rzeczywiście miałem wątpliwości, ale ręczę panu, że będzie jeszcze lepszym prezydentem.

Kaczyński: – Tak pan mówi?

Michnik: – Pewny jestem.

Kaczyński: – To jeśli ma być takim prezydentem, jakim jest premierem, to głosujmy na Lecha Wałęsę.

Maldis: – Bardzo panom dziękuję za przybycie do studia.

Debata była tak gorąca, że Maldis w pewnym momencie się poddał. Przestał moderować i nie próbował przerywać, bo wiedział, że i tak się nie przebiję. Ostatecznie program przedłużono o ponad trzy minuty.

– W telewizji mieli o to do pana pretensje? – pytam.

– Wręcz przeciwnie. Po zejściu z anteny szefowie powiedzieli, że trzeba było im dać jeszcze więcej czasu.

– Sam przebieg dyskusji był dla pana zaskoczeniem?

– Tak. Nie spodziewałem się, że Jarek będzie tak merytorycznie przygotowany i tak spokojny. W szkole nie dał się poznać jako mówca i polemista, a tu wypunktował Michnika.

Prognoza z debaty sprawdzi się co do joty. Mazowiecki zajmie w wyborach prezydenckich trzecie miejsce: przegra ze Stanem Tymińskim i nie wejdzie do drugiej tury. 9 grudnia 1990 roku na prezydenta zostanie wybrany Lech Wałęsa, kandydat Porozumienia Centrum.

Mimo że minęło prawie ćwierć wieku, to Przemysław Hniedziewicz pamięta ten wieczór bardzo dokładnie. Jest już po ogłoszeniu zwycięstwa Wałęsy, ale jeszcze przed wyjęciem melonika seks instruktora. Trwa świętowanie, ludzie wznoszą toasty za Wałęsę, ale głównie za Kaczyńskiego. Hniedziewicz siedzi i obserwuje. Ma wrażenie, że Jarosław z każdą kolejką pęcznieje. Potem, gdy podejdziesz spytać, czy już dzwonił do Lecha z gratulacjami, usłyszysz krótkie: nie.

– Wtedy po raz pierwszy poczułem unoszący się swąd – wspomina.

Bo Jarosław w rzeczywistości nie jest niczym człowiekiem. On od początku gra na siebie. Jeśli uczestniczy w kampanii Wałęsy, to tylko po to, by na jego plecach zbudować partię. Będzie mu potrzebna do rewolucji.







# REWOLUCJA

Inspiracje historyczne /  
Błoto szaleństwa i kompromitacji /  
Agresja przechodniów, propaganda taksówkarzy /  
Dyskretny proces psychotyczny /  
Zakon jest moją zbroją /  
Nienawiść / Dwie natury /  
Samotność

**/ Inspiracje historyczne**



Rok 1994. Gdy będzie już jasne, że rewolucja przegrała, Jarosław udzieli wiele mówiącego telewizyjnego wywiadu Teresie Torañskiej.

„Jareczku, powiedz mi, czy jesteś w stanie wyliczyć przyczyny tej klęski. Tak na palcach, wiesz, mamy pięć palców. Pierwszy, drugi...

Słuchaj, ale co znaczy wyliczyć? Przyczyna jest jedna. Pozostawiono komunistom to, co uzyskali w poprzednim systemie. Tolerowano sytuację, w której oni pozostali najbogatszą, mającą najlepszy dostęp do informacji, najlepiej zorganizowaną grupą w kraju. I to trzeba było zmienić.

A kto pozostawił? Oni?

Nasi szanowni przeciwnicy z obozu »Solidarności«. Gdyby oni współdziałali z nami w tej sprawie, plus oczywiście Wałęsa, to mogli to bez specjalnego trudu i bez większego ryzyka zmienić”.

W „Alfabcie” Jarosław powie to samo innym słowami: przy Okrągłym Stole doszło do kooptacji elit. Solidarnościowa kontrolita dołączyła do elity oficjalnej i – zamiast obalić komunę – utrwaliła ją. Kaczyński nie uznaje transformacji, uważa, że stary system trwa nadal. Zmieniają się tylko jej twarze. Najpierw to Kwaśniewski z Michnikiem i Geremkiem, później będą dochodzić kolejni: Mazowiecki, Wałęsa, Jan Krzysztof Bielecki...

W 1991 roku Jarosław zostaje posłem a jego PC obsadza w Sejmie 44 miejsc. Zrazu chce dać drugiej stronie jeszcze jedną szansę. Gdy powstaje gabinet Jana Olszewskiego, zgłasza pomysł zaproszenia do rozmów Unii Demokratycznej i stworzenia – jak to później określi – Rządu Ocalenia

Narodowego. Geremek i Mazowiecki są nawet chętni, ale na koalicję ostatecznie nie decyduje się premier (zgodnie z przewidywaniami Kaczyńskiego postanowi porwać sztandar rewolucji). Tyle że kiedy sprawa wspólnego rządu upadnie, Jarosławowi też puszczą hamulce. Zacznie upokarzać w prasie „szanownych przeciwników z »Solidarności«”.

Kwiecień 1992 roku. Ola Zawłocka pracuje w „Expressie Wieczornym” i przygotowuje cykl reportaży opisujących kulisy powstania rządu. Przychodzi do Kaczyńskiego i prosi: – Panie Jarku, scenki.

Jarosław rozpiera się w fotelu i opowiada dwie historie, które staną się słynne na wiele lat.

Pierwsza dotyczy reakcji Geremka na propozycję objęcia teki ministra spraw zagranicznych. Zawłocka spíše ją w gazecie tak: „Bronisław Geremek zakręcił się ochoczko wokół serwantki. Koniaczek, kielonki, tacka (...). Profesor nie posiadał się z radości. Kaczyński nie zdradzał się z ubawieniem”.

Druga jest o tchórzostwie liberalów: „Kiedy Kaczyński wyjmuje z kieszeni pistolet, zapada głucha cisza (...). Kładzie go z pietyzmem na stole. Lufą w stronę liberalów. Dopiero teraz podnosi wzrok na obecnych. Oniemieli równo. Mięczaki”.

Jarosław najwidoczniej uznaje, że język Zawłockiej jest nie dość precyzyjny, bo historię dotyczącą teki szefa MSZ postanawia opowiedzieć po swojemu w wywiadzie-rzecz „Czas na zmiany”: „Geremek, mówiąc językiem ludu, od razu kazał skoczyć po fłaszczę. Zręcznie rozstawia kieliszki. Nalewa koniak. Tak podnieciła go wizja objęcia tego ministerstwa”. A sytuacja z pistoletem zaczyna krążyć z kwestią, którą Zawłocka w swoim artykule pominęła: „Dla mnie zabić liberała, to jak splunąć”.

W prywatnych rozmowach z dziennikarzami Jarosław zaczyna też obgadywać Kuronia. Po powrocie konwoju humanitarnego z Sarajewa opowiada: – Cały czas chodził tam w obciążonych kalesonach. Żółta plama systematycznie się powiększała. Przyszli zagraniczni dziennikarze

na wywiad, to jeszcze się bawił gumą od majtek, spod których zaczęły wychodzić włosy. To ma być elita?

Jarosław takiej elity nie akceptuje. Liczy, że zmiecie ją rewolucja. Jak się zacznie, nie będzie brać jeńców, o czym on lojalnie ostrzeża. Jesienią 1992 roku z klubu parlamentarnego PC odchodzi Andrzej Urbański. Jarosław bierze go na rozmowę i radzi mu: – Zastanów się, Andrzej. Tu zaraz będzie rewolucja, ja wezmę w niej udział i nie będę mógł cię obronić.

Styczeń 1993 roku. Na Uniwersytecie Warszawskim trwa antywałęsowski wiec. Sala Auditorium Maximum nabita ludźmi. Czuć podniecenie, ktoś mówi, że na ulicy już czekają armatki wodne i policja z pałkami. Ćwierć wieku temu Jarosław był tu na swojej pierwszej antykomunistycznej demonstracji w obronie „Dziadów”. Tyle że wtedy statystował, a teraz dowodzi.

Tłum wylewa się na ulicę, on w zimowym kożuchu idzie w pierwszym rzędzie – pod rękę z Janem Parysem i Adamem Głapińskim. Z tyłu dochodzą okrzyki:

- Jarek, prowadź!
- Na Belweder!

Pada pomysł, żeby wdrzeć się do Belwederu i okupować budynek, nad głowami łopoczą transparenty: „Bolek do domu”, „Miałeś chamie złoty róg”. W kilku, może kilkunastotysięcznym tłumie płonie kukła prezydenta.

Osiem miesięcy później po tym uniesieniu przyjdzie porażka. Jarosław wylądował na politycznym marginesie, a jego Porozumienie Centrum zdobędzie dwa razy mniej głosów niż w 1991 roku i nie wejdzie do Sejmu. Czas rewolucji jeszcze nadejdzie, ale dopiero za 12 lat i nie pod tymi sztandarami.

Eugenia Szymczuk, kierownik oddziału ewidencji i przechowywania zasobu Archiwum Akt Nowych, prowadzi mnie do magazynu. Za ciężkimi drzwiami można się poczuć jak w kostnicy – metalowe szafy wyglądają jak chłodnie, działa zimny nawiew. Na długim regale po prawej stronie

stoi kilkadziesiąt zakurzonych kartonów. Spoczywa w nich archiwum Porozumienia Centrum.

W pudłach panuje bałagan. Gdy będę je przeglądał, archiwiści dopiero rozpoczną segregację materiałów. To robota na tygodnie, bo w kartonach mieszają się dokumenty ciekawe ze śmieciami. Są tu: stenogramy z posiedzeń klubu parlamentarnego, prasówki, korespondencja prezesa, partyjne biuletyny, programy, plakaty wyborcze, memoriały, deklaracje członkowskie, legitymacje partyjne, listy od wariatów, donosy, statuty, odręczne zapiski, billingi telefoniczne, nieopłacone rachunki za teleks i dalekopis, wezwania do zapłaty, pogróżki, zdjęcie Jarosława Kaczyńskiego z dorysowanymi wąsami i grzywką à la Adolf Hitler, zawiadomienia o wszczęciu egzekucji komorniczych, protokoły zajęcia ruchomości, strzępy akt sądowych z całej Polski, sprawozdania z zarządów i rad naczelnych. I resztki partyjnego inwentarza: stare radio, zasłona okienna, maszyna do pisania, pudełko z kasetami wideo.

Partia formalnie istniała 12 lat, ale materiały z jej archiwum układają się w kronikę krótkiego, burzliwego życia i długiej, powolnej śmierci. Widać to także na mapie miasta.

Puławska 41, gdzie mieści się pierwszy lokal ugrupowania, to czas pospolitego ruszenia i rozruchu. Wyposażenie jest bardzo skromne: trzy telefony, ksero i jedna maszyna do pisania. Cztery miesiące przed wyborami w 1991 roku PC osiąga swój szczyt i przenosi się do centrum miasta. Nowa siedziba mieści się w reprezentacyjnej kamienicy przy ul. Bagatela, obok placu Unii Lubelskiej. To krótka era rozkwitu. Biuro jest przestronne i dobrze wyposażone: podłączają w nim siedem linii telefonicznych, cztery koparki i siedem maszyn do pisania. Działalność zaczynają profesjonalne biura – zagraniczne, prasowe, organizacyjne – oraz księgowość i administracja. Szybko pojawiają się jednak problemy. „Stały brak pieniędzy powoduje okresowe niewypłacanie należności, zaległości w regulowaniu rachunków telefonicznych, czynszów, niemożność pokrywania

kosztów delegacji. Zrezygnowaliśmy z samochodu służbowego, ograniczamy kontakty zagraniczne” – stwierdzi zarząd partii w swoim sprawozdaniu za 1992 rok. Jeszcze w październiku po raz pierwszy wejdzie tu komornik, zajmie meblościankę, telefon typu Tulipan, fotel tapicerowany, faks, lampę, dwie kopiarki i szafkę. W protokole zanotuje: „Obecny w lokalu w czasie wykonywania czynności mężczyzna nie przedstawił się, protestował i usiłował mnie usunąć”. Tak zacznie się schylek.

Kilka miesięcy przed przegranymi wyborami partia wynosi się na obrzeża miasta. Łąduje na Sadybie, najpierw w domu Perszewskiego przy Zawojkiej, a później przeprowadza się jeszcze dalej – na Ojcowską. W najchudszych latach wymiecie ją aż na Siekierki, gdzie w kościele ojców pijarów będzie obradować naczelną radą polityczną. I to będzie dno.

Więc jeszcze raz: czy da się na palcach wyliczyć przyczyny tej klęski? Jarosław Kaczyński właściwie nie odpowiedział na to pytanie Torańskiej, niech przemówią za niego materiały z archiwum oraz świadkowie.

Pierwszy palec: burzliwe rozstanie z Wałęsą. Po wygranych wyborach relacje między nim a Jarosławem oficjalnie są wciąż dobre i bliskie, ale w partii coraz głośniejsze mówi się o chłodzie, który między nimi panuje. Hniedziewicz wspomina, że gdy pada propozycja objęcia stanowiska szefa Kancelarii Prezydenta, Jarosław rozważa w rozmowie z nim: przyjąć ją – to się uzależnić. Nie przyjąć – ujawnić konflikt. W Kancelarii Prezydenta Jarosław wytrzymuje 10 miesięcy. Odchodzi w złym stylu. Atakuje Wałęsę i oskarża szefa jego gabinetu Mieczysława Wachowskiego o agenturalną przeszłość. Swoim zwyczajem udziela też ostrych wywiadów – opowiada, że Wachowski, nazywany przez prezydenta „gównem”, klęka przed nim i zakłada mu kapcie. Ci, którzy są blisko Jarosława, racjonalizują, ale szeregowi posłowie rozumieją z tego niewiele. Posiedzenie klubu PC, mówi jeden z parlamentarzystów (w stenogramie brak nazwiska): „To jest jakaś opętańcza wojna, której nie rozumiem. Można krytykować,

można mieć mnóstwo zarzutów, natomiast nie można, będąc urzędnikiem państwowym, kilka miesięcy po zakończeniu funkcji wynosić informacji z kuchni i uderzać w urząd”.

Drugi palec: wodzowski styl zarządzania. Hniedziewicz nazywa go instynktem despoty. Jak twierdzi, budzi się on w Kaczyńskim szybko, zaraz po zwycięstwie Wałęsy. 30 listopada 1991 roku, miesiąc po wyborach parlamentarnych. Trwa rada polityczna PC. Jeden z mówców oskarża prezesa o stosowanie „metod dyktatorskich wywołujących atmosferę zastraszenia”. Pada wnioski o zwołanie nadzwyczajnego kongresu. Uzasadnienie mocno bije w Jarosława i jego otoczenie. Mowa w nim o „złym stanie partii, łamaniu norm statutowych przez kierownictwo i łamaniu demokracji”.

Kaczyński wytacza najcięższe działa. Oskarża przeciwników o działanie z inspiracji Wachowskiego, który już wcześniej miał mu grozić doprowadzeniem do rozbicia partii. „Wniosek o zwołanie kongresu wprowadza naszą partię w stan zawałowy lub przedzawałowy. Prowadzi do rozbicia partii, jest nieodpowiedzialny. To zwykła polityczna awantura. Ma za zadanie zamach stanu” – mówi w wystąpieniu.

Wodzowski styl Jarosława w rzeczywistości jest ucieczką do przodu. Jego pozycja słabnie już po wyborach parlamentarnych w 1991 roku, które partia uznaje za porażkę. W odpowiedzi prezes dokręca śrubę.

– Jarosław obawiał się nawet zjazdów wojewódzkich – wspomina Zwierzyński. – Przed jednym z nich przyszedł do mnie spanikowany i pyta, czy poprowadzę zabranie, bo będą go napierdalać. Zgodziłem się. Jak jego przeciwnicy zgłaszali się do głosu, to udawałem, że ich nie widzę. Po zjeździe był tak wdzięczny, że dał mi do prowadzenia jeszcze jeden zjazd.

Zwierzyński opowiada też o radzie politycznej, która odbywa się w 1992 roku w dawnym województwie siedleckim. Z sali suną ataki na prezesa. Nagle po mikrofonu podchodzi pan Tadzio i dyscyplinuje działaczy: – Co to, kurwa, jest, żeby tak Jarka atakować?

W sierpniu 1995 roku z PC odchodzi Piotr Perszewski. W archiwum odnajduję jego pożegnalny list do Jarosława, ciepły i pełen rewerencji, ale jednak gorzki. Perszewski dziękuję w nim Kaczyńskiemu za lata współpracy, chwali jego polityczną sprawność. Ale też wytyka: „Staliśmy się partią wodzowską (...). Trzeba odrzucić popełnione błędy i nauczyć się sztuki prowadzenia dialogu z innymi siłami, a także umiejętności kompromisu”.

W partii równocześnie rozwija się system donosicielski. Gdy na radzie politycznej pojawiają się ataki, Jarosław przywołuje relację ze spotkania kilku działaczy PC z austriackim chadakiem, do którego doszło jeszcze przed wyborami. Skąd ją ma? To jego tajemnica. „W okresie przedwyborczym wpadł w nasze ręce pewien dokument, który każdy może sobie tutaj przeczytać – czytam jego wystąpienie w stenogramie. – Dokument, w którym pan [Michał] Drozdek antycypuje to, co w naszej partii ma się dzieć po zjeździe. Otóż nasza partia ma ponieść w wyborach klęskę i ta klęska ma być podstawą zmiany układu personalno-politycznego w naszej partii. To jest opisane tutaj w dość specyficznych kategoriach, każdy może to sobie tutaj przeczytać. I oto, jak widzę, dzisiaj ten plan jest tutaj realizowany. Przeciw Polsce, przeciw Porozumieniu Centrum”.

To zresztą charakterystyczne: zrównanie interesu partii z interesem kraju. W przyszłości będzie powtarzać się wielokrotnie, zarówno w PC, jak i w PiS.

Dalej prezes atakuje życiorysy działaczy: „W tym dokumencie mówi się o prawdziwych chadekach, przy czym ci prawdziwi chadecy to ci, którzy działali kiedyś w ugrupowaniach, które, łagodnie mówiąc, za niemałą cenę, uzyskały koncesję na działanie jeszcze w latach 50., 60., a później także dalej”.

Żadne nazwiska nie padają, ale wiadomo, że chodzi o obecnych na sali PAX-owców takich jak Hniedziejcz. To też typowe. Dopóki ktoś jest przydatny, Jarosław zaprasza go do współpracy, ściska i obcałowuje. Ale gdy pojawia się krytyka, przypomina sobie stare sprawy i upokarza.





Historia PC jest kroniką krótkiego, bujnego życia i długotrwałej agonii. Mimo to prezes ceni tych, którzy współpracowali z nim na początku lat 90. Tu z Adamem Glapińskim i Janem Parysem.



A im słabsza partia, tym gorsze donosicielstwo. Z archiwum rzecznika dyscypliny: jest rok 1997, Krzysztof Kwiatkowski (późniejszy minister sprawiedliwości i szef NIK) formalnie jest jeszcze członkiem PC, ale działa już w Akcji Wyborczej Solidarność. Za kilka miesięcy zostanie sekretarzem przyszłego premiera Jerzego Buzka. W partii zaczyna się poszukiwanie pretekstu do wyrzucenia go z partii. Przemysław Gosiewski, ówczesny sekretarz zarządu PC, składa donos. Na piśmie: „W maju ub.r. w moim mieszkaniu miało miejsce spotkanie, w którym oprócz mnie uczestniczyli członkowie Forum Młodych PC (...). W trakcie tego spotkania kol. Krzysztof Kwiatkowski oświadczył, że w jednej z pierwszych klas szkoły średniej zapisał się do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej”.

Prezes każe wszcząć postępowanie dyscyplinarne. „Kol. Kwiatkowski – czytam w uzasadnieniu – w deklaracjach członkowskich Forum i Porozumienia Centrum oraz ankietach osobowych zataił fakt przynależności do komunistycznej organizacji młodzieżowej (...). Nasze szczególne oburzenie budzi nie tyle sam fakt przynależności kol. K. Kwiatkowskiego do organizacji o charakterze totalitarnym, ile fakt zatajenia tej informacji oznaczający niechęć do rozliczenia się z niechlubną przeszłością”.

Postępowanie zostaje przeprowadzone drobiazgowo. Rzecznik dyscypliny nakazuje odnaleźć w archiwum wyblakłą ankietę osobową Kwiatkowskiego. Stwierdza, że nie ma w niej wzmianki o ZSMP i załącza ją do akt. 21 marca 1997 roku sprawa staje na posiedzeniu zarządu głównego PC. Wyrok: „Kwiatkowski złamał normy postępowania członka PC, stwarzając zagrożenie dla podstawowych interesów partii”. Kara: „Wydalić z Porozumienia Centrum”.

To dosłowne cytaty. „Wydalenie z partii” jest konsekwencją zapisaną w statucie PC. Trudno tu o brak skojarzeń z czystkami znanymi z historii, tym bardziej że Kwiatkowski twierdzi, iż sprawę uszyto, bo on nigdy nie należał do ZSMP. Zresztą, Kaczyński wcale nie ukrywa swoich inspiracji. Podczas przemówienia poświęconego grupie nielojalnych działaczy

żartuje: „Jestem za rozstrzelaniem”. Stenotypista dopisze w nawiasie: „ogólna wesołość”.

Donosy dotyczą wszystkich, także pracowników biurowych. Rok 1998, Przemysław Gosiewski do prezesa: „Beata P. przyszła do pracy o godz. 13.20 zamiast o 11.00, tzn. w ustalonym terminie rozpoczęcia pracy. O godz. 18.30 stwierdziła, że kończy pracę i wychodzi do domu. Zgłosiłem uwagę, że przyjmuję do wiadomości fakt, że p. Beata P. spóźniła się do pracy 140 minut, pomimo że nie poinformowała o tym swoich przełożonych. Jednak czas jej pracy wynosi 7,5 h, stąd też winna zakończyć dzień pracy o godz. 20.50. Pani Beata P. wyszła do domu o godz. 18.45, stwierdzając, że nie zamierza odpracowywać wspomnianych dwóch godzin. Jest to kolejny przypadek, kiedy pani Beata P. wykonuje swoje obowiązki pracownicze z naruszeniem obowiązujących reguł. Proponuję, aby w związku z faktem niesumiennego wykonywania obowiązków obniżyć pani Beacie P. należności za pracę wynikające z umowy zlecenia o 20 procent”.

Czy prezes interesuje się sprawami pracowników administracyjnych? Bardzo. W aktach sądowych inwigilacji prawicy, do których jeszcze wróć, znajdują zeznania działacz PC Andrzeja S.: „Działania dezintegrujące były prowadzone (...). Z tego, co pamiętam, dotyczyło to pani, która miała na imię Dorota, nazwiska nie pamiętam, ona była sekretarką w zarządzie wojewódzkim, i pana, który był w jakiś sposób z nią związany i był członkiem zarządu wojewódzkiego”.

Chodzi o sekretarkę Dorotę M. i członka mazowieckiego PC Macieja B., którzy rzeczywiście na początku lat 90. byli parą. M. jest dziś nieosiągalna. Od rozstania z PC stroni od polityki i nie udziela się publicznie. O tym, co wydarzyło się w PC, nie będzie rozmawiać. Na spotkanie zgadza się tylko B., umawiamy się w kawiarni niedaleko Sejmu.

– Kaczyński opowiadał mi o Dorocie niestworzone historie. Że jest podstawiona, że funkcjonuje pod zmienionym nazwiskiem. Wszystko to były bzdury – mówi B.

– Skąd pan wie?

– Chociażby stąd, że byłem w jej rodzinnym domu w małej miejscowości, z której pochodziła, i poznałem jej mamę. Zaręczam panu, że Dorota nigdy nie posługiwała się fałszywym nazwiskiem.

– Mówił pan o tym Kaczyńskiemu?

– Oczywiście, broniłem jej, ale on brnął dalej. Aż nasłał ludzi na jej mieszkanie, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mieszka pod adresem, który podaje. Kazał sprawdzać jej nazwisko w księgach parafialnych w kościele! Niczego nie znaleziono, ale i tak wyrzucono ją z pracy.

– Dlaczego oskarżono ją o współpracę z UOP?

– Prezes został umiejętnie podpuszczony przez jednego z warszawskich działaczy. To on stał za plotkami na temat Doroty. Niewiele było trzeba, by zniszczyć niewinną osobę.

M. przypląciła wyrzucenie z PC załamaniem nerwowym. Podczas przesłuchania na procesie w sprawie inwigilacji prawicy niechętnie wracała wspomnieniami do tamtego okresu: „Zwolniono mnie z pracy z dnia na dzień bez podania powodu, przełożyło się to na określone konsekwencje emocjonalne i psychiczne. Miałam problemy sama ze sobą i ten moment w moim życiu zatarłam. Musiałam korzystać wtedy ze wsparcia osoby, która profesjonalnie pomogła mi wyjść z tych problemów. Nie rozumiałam wtedy, dlaczego tak się stało. Dlaczego osoba, która przyjechała ze wsi do miasta, pracująca 20 godzin na dobę i całkowicie lojalna została tak potraktowana?”.





**/ Błoto szaleństwa  
i kompromitacji**

Palec trzeci: Olszewski porywa sztandar rewolucji. Jarosław napisze w swoich wspomnieniach, że nawet podczas antywałęsowskiego wiecu w 1993 roku była konkurencja. Jedni wznosili hasła z nazwiskiem mecenasa, a drudzy skandowali „Jarosław”.

Obawa, że Olszewski ukradnie PC, pojawia się zaraz po wyborach w 1991 roku, jeszcze zanim mecenas obejmie tekę premiera. Podczas rady politycznej grupa działaczy krytykuje Jarosława za niedemokratyczne rządy i zamykanie ugrupowania na nowe postaci. Pojawia się apel o włączenie do władz PC Jana Olszewskiego i jego późniejszego doradcy ekonomicznego prof. Stefana Kurowskiego. Prezesowi udaje się to zaablokować, ale gdy Olszewski staje na czele rządu, strach narasta. I trzeba przyznać, że jest on uzasadniony, bo przybywa działaczy orientujących się na premiera. A i sam Olszewski wykonuje wrogie posunięcia. W marcu 1992 roku rozsyła do posłów PC zaproszenia na spotkanie. Kaczyński odbiera to jako nielojalność i próbę przejęcia kontroli nad jego klubem. Jest jednak pod ścianą: jeśli zakaże udziału w spotkaniu, to część posłów pójdzie tam samowolnie. Postanawia, że w dyskusji weźmie udział cały klub – oficjalnie, włącznie z nim.

Podczas wystąpienia najpierw zaznacza, że jego obecność jest gestem dobrej woli i ustępstwem po tym, jak współpracownicy Olszewskiego „bezczelnie go obrażali”. Potem przechodzi do koncepcji rządu z udziałem Unii Demokratycznej. Taka koalicja – argumentuje – stworzyłaby

parasol polityczny nad gabinetem. O swojej motywacji w tej sprawie nie wspomina. A koalicja w oczywisty sposób byłaby dla niego wygodna, bo koszty współpracy z Geremkiem i Mazowieckim ponosiłby Olszewski, a on, stojąc w drugim szeregu, mógłby się dystansować od rządu i nieść prawicowy sztandar. A tak, niesie go premier.

„Szczególnie nas niepokoi koncepcja rządu – czytam w stenogramie – który i tak musi upaść, a jego zadaniem jest stworzenie sztandaru. A sztandar jest potrzebny, żeby stworzyć nową partię, a partia jest potrzebna po to, żeby wygrać nieodległe wybory. Nie ukrywam, że my tę koncepcję traktujemy jako rzecz całkowicie nie do przyjęcia, jako przejaw politycznego awanturnictwa w najgorszym wydaniu”.

Dalej dokonuje już rozrachunku polityczno-osobistego z Olszewskim. „Konflikt rzeczywiście powstał – przyznaje. – Na płaszczyźnie faktów i na płaszczyźnie pewnych, że tak powiem, delikatnych zachowań (...). Kiedy okazało się, że obsadzenie stanowiska ministra obrony jest niemożliwe, przedstawiliśmy postulat obsady stanowisko szefa Urzędu Rady Ministrów. I wielokrotnie w obecności prezydium partii, mnie samego, jak i przewodniczącego klubu pan premier oświadczał, że to stanowisko dostaniemy (...). Oświadczyliśmy, że w takim razie naszym kandydatem będzie Sławomir Siwek i to zostało przyjęte. Informacja, że pan Sławomir Siwek nie zostanie szefem URM została nam przedstawiona nawet wobec mojej nieobecności już na sali sejmowej (...). Tę sprawę przyjąłem osobiście bardzo niedobrze. Nie tylko tę decyzję, ale także tę metodę (...). Tego rodzaju postępowanie ma zawsze swoje skutki i na płaszczyźnie psychologicznej, i na płaszczyźnie moralnej (...). Później przyszły także inne sprawy. Nasze naciski na rozszerzenie koalicji były kilkukrotnie traktowane w sposób bardzo niechętny, także publicznie przez pana premiera. Mówiło się na przykład o wysiłkach moich i mojego brata, co do których ma pan przekonanie, że one są robione z dobrą wolą, ale przyniosły mierne rezultaty. To określenie o przekonaniu, że ktoś działa z dobrą wolą, jest



jak wiadomo w tym kontekście stwierdzeniem o treści dość ironicznej. To po pierwsze. A po drugie te wysiłki dały dobre rezultaty, droga do zawarcia układu z Unią była cały czas otwarta. To też nie są dobre przykłady, to też powoduje reakcję (...). Następnie były takie sprawy jak skład Urzędu Rady Ministrów (...). Są tutaj zatrudnieni na stanowiskach politycznych wyłącznie ludzie z mniejszościowej frakcji z naszej partii. Oczywiście pan premier może podejmować decyzje zgodnie ze swoimi upodobaniami i sympatiami. Tylko trzeba pamiętać, że to wywołuje pewnego rodzaju skutki (...). Są takie sprawy – ciągnie Kaczyński – jak liczne bardzo sygnały o tym, że była z tego gmachu podejmowana akcja mająca doprowadzić do niepowodzenia naszego kandydata na prezesa NIK-u, takich informacji niestety mieliśmy wiele. Są ludzie, którzy mogą to potwierdzić (...). Są sprawy wojewódzkie, gdzie często padają sformułowania, że ktoś nie może kimś zostać, bo jest człowiekiem Jarosława Kaczyńskiego (...). Wreszcie są, o czym mówię z wielką przykrością, takie sformułowania w niektórych wystąpieniach pana premiera, które najłagodniej i najspokojniej nas cieszyć nie mogą, bo nam naprawdę nie chodzi o stolki, chociaż oczywiście chodzi nam o stanowiska dla naszej partii (...). Ja nie ukrywam, że byłbym bardzo usatysfakcjonowany, gdyby udział naszej partii w rządzie, dopóki on jest w tej bardzo wąskiej koalicji, był mocniejszy niż dotychczas (...)

Swoją przemowę prezes zakończy zawołowanym ostrzeżeniem. Nie pogrozi wprost zerwaniem koalicji, ale da do zrozumienia, że poparcie klubu PC dla rządu nie jest bezwarunkowe: „Łącznie biorąc, tworzy to wszystko, panie premierze, atmosferę bardzo niedobłą, atmosferę, w której rodzą się emocje i próby poszukiwania jakiegoś innego wyjścia”.

To jednak tylko pogrożki, bo Jarosław tak naprawdę już nie panuje nad klubem. Do pierwszego rozłamu dochodzi przy okazji wyboru Hanny Gronkiewicz-Waltz na prezesa NBP. Przed głosowaniem odbywa się posiedzenie klubu, na którym młody poseł Piotr Wójcik pyta o plotkę krążącą po Sejmie: czy to prawda, że Jarosław Kaczyński forsuje

na wiceszefa banku Grzegorza Żemka, dyrektora FOZZ (po latach zostanie skazany za defraudację publicznych pieniędzy)? Jarosław wpada w furję, nazywa Wójcika „gówniarzem”. Część posłów demonstracyjnie opuszcza posiedzenie klubu, a potem wbrew zaleceniom Kaczyńskiego głosuje za kandydaturą Gronkiewicz-Waltz.

Wójcik i jego grupa tworzą w PC frakcję zorientowaną bezpośrednio na Olszewskiego. Pod koniec maja, gdy gabinet chyli się już ku upadkowi, Jarosław wie, że przywództwo mu się wymknęło. Bezsilnie zwraca się do swoich posłów: „Jak ja mówię, to tu bardzo wielu nie chce słuchać. A jak przychodził premier, to wszyscy wstawali. No, kochani, tak to było. I nie wmawiajcie mi tutaj... taka była sytuacja, kochani”.

Partia, jego ukochane dziecko, rozpada mu się w rękach. Jarosław przyzna podczas spotkania klubu, że panem sytuacji jest nie on, tylko Olszewski: „Z wypowiedzi [Leszka] Moczulskiego, który powoływał się na akceptację premiera, wynikało, że tam jest miejsce tylko dla części PC. (...) Byłaby to sytuacja dla nas w najwyższym stopniu niewygodna. Rządy razem z Moczulskim, rządzenie gospodarką przez Goryszewskiego, Janowskiego i spółkę to jest droga do najoczywistszej kompromitacji, z czego by nie wynikało, że my byśmy mieli tego rządu w głosowaniu nie popierać, ale z tego nie wynika też, że mielibyśmy brać za wszystko odpowiedzialność (...). Oczywiście będziemy głosować przeciwko wotum nieufności dla rządu. I to mi się wydaje w ogóle poza jakąkolwiek dyskusją”.

Premier zastawił na niego pułapkę, z której nie ma dobrego wyjścia: „W razie upadku rządu Olszewskiego mamy tak. Jest propozycja z Mazowieckim, jest ona nie do przyjęcia dla nas, ale musimy sobie zdać sprawę, że ze strony Mazowieckiego może być ona traktowana poważnie, co tylko świadczy o jego braku kwalifikacji politycznych, natomiast, jeśli chodzi o tych, którzy będą tam rozdawać karty, to jest ona traktowana jako taktyczna. Bo o co chodzi? Mazowiecki pokaże, że nie jest w stanie stworzyć rządu, Mazowieckiego się spali, nas przy okazji się spali, zaata-

kuje się nas, że mówiliśmy o rządzie szerokim a teraz nie chcemy wejść do rządu Mazowieckiego, a nie możemy wejść do tego rządu. I wtedy wysunie się Olechowskiego, ewentualnie może w ostatniej chwili wysunie się Geremka (...). Rozmawiałem zresztą z Mazowieckim dla próby i ta rozmowa wykazała jedno. Ten człowiek się nie zmienił. Wszelkie opowieści, że byłby to nowy rząd, nowe otwarcie i nowa szansa, są całkowicie nieprawdziwe. Jest to ten sam Mazowiecki, który był (...). Rząd oparty o KPN, PSL, ZChN będzie rządem antymodernizacyjnym, który nas odetnie od zachodu i skończy się kompletną kompromitacją i ośmieszeniem. Ale też jesteśmy w takiej sytuacji, w której będzie nam ciężko przeciwko temu rządowi głosować (...). Jeśli znów przyjąć inną propozycję pana Moczulskiego, że tam ma być czteroosobowe ciało, którym będą przedstawiciele KPN-u, ZChN-u, PSL-u i premier, to można powiedzieć, że my na ten rząd nie będziemy mieli żadnego wpływu (...). Byłoby to upokarzające dla partii, degradujące partię i wypychające partię w błoto. Błoto nieodpowiedzialności i szaleństwo Goryszewskich, Janowskich i samego Moczulskiego”.

Zadra po tych perypetiach zostaje na długie lata. Już w 1997 roku Jarosław udziela „Arcanom” wywiadu, w którym mówi, że Jan Olszewski należał do masonerii. Będzie się później z tego wycofywać. W jego korespondencji znajduję list z przeprosinami skierowany do naczelnego „Arcanów” Andrzeja Nowaka:

„Doszły mnie wieści, iż wypowiedź moja została potraktowana jako złośliwa i wynikająca z chęci szkodzenia mec. Olszewskiemu i komplikowania jego sytuacji (...). Nie miałem takich intencji, ale powinienem przewidzieć taki bieg wydarzeń. Najistotniejszym elementem, który skłania mnie do wysłania tego listu, jest jednak informacja, jaką zaczerpnąłem z książki Ludwika Hassa o masonerii. Wynika z niej, że w latach 1961–72 do masonerii przystąpił tylko Jan Józef Lipski (...). Moje spekulacje były więc błędne. Jan Olszewski z pewnością nie był członkiem masonerii.

Muszę wyrazić swoje ubolewanie”. Ubolewanie jest konieczne, zważywszy, że Jarosław ma za kilka miesięcy wystartować do Sejmu z listy Ruchu Odbudowy Polski, na czele którego stoi Olszewski. Niemniej uraz do mecenasa jest wciąż żywy. Prezes nie może się powstrzymać i jeszcze wraca w liście do starych porachunków:

„Propozycja była następująca. Oddać PC mec. Olszewskiemu i jego zwolennikom bez najmniejszej gwarancji dla moich zwolenników i dla mnie. Krótko mówiąc, oddajcie partię i do widzenia. Wszystko to w sytuacji, w której miałem w PC bardzo zdecydowana przewagę nad Olszewskim (...). Prawda była właśnie taka, iż ja i moi zwolennicy mieliśmy zorganizować partię i ponieść tego koszty – zostaliśmy opluci od stóp do głów – zaś udział we władzy oraz przewodzenie rządzącemu stronnictwu miało przypaść innym”.

Palec czwarty: wizerunek politycznego awanturnika. Jarosław – trzeba to przyznać – sam dostarcza tu amunicji. Wywiad w „Arcanach” nie jest wyjątkiem. Postawić daleko idące oskarżenie, powołać się na niezwyfikowane informacje, wyolbrzymić – to u niego częste.

We wrześniu 1991 roku prezes PC leci do Bonn na spotkanie z kanclerzem Niemiec Helmutem Kohlem. Porozumienie Centrum aspiruje do europejskiej rodziny partii chadeckich, spotkanie ma być zapoznawcze, ale organizatorzy przewidują, że potrwa na pewno ponad godzinę. Rozmowa kończy się jednak po niecałych 30 minutach. Jarosław napisze o niej w swoich wspomnieniach: „bardzo nieudana”.

O to, co zaszło w Bonn, pytam Andrzeja Kostarczyka, który odpowiadał w PC za sprawy międzynarodowe i przygotowywał Jarosława do rozmowy z Kohlem. Kostarczyk udostępnia mi swoje notatki:

**Dom na Żoliborzu znajduje się w willowej okolicy, ale jest zaniedbany. Po śmierci mamy Jarosław zostanie w nim sam.**



„Mając na uwadze główny cel wizyty – miało nim być przede wszystkim przedstawienie Kohlowi Porozumienia Centrum jako wiarygodnego partnera europejskiej chadecji – tematy, jakie poruszył w rozmowie Jarosław Kaczyński musiały budzić zdziwienie. W zasadzie sprowadzały się do dwóch kwestii – uzyskania od Kohla deklaracji w sprawie uznania naszej zachodniej granicy oraz niepokojów związanych z perspektywą odzyskiwania przez Niemców majątków na ziemiach zachodnich, co Kaczyński przedstawił jako problem wymagający ze strony Kanclerza stanowczej reakcji. Podawał przykłady fotografowania przez przyjeżdżających do Polski obywateli RFN, domów, które niegdys zamieszkiwali”.

Wspomnienia Jarosława potwierdzają tę relację: „Podczas wizyt na Ziemiach Zachodnich szczególnie mocne było to w Gorzowie Wielkopolskim, dostrzegalem wyraźne zaniepokojenie mieszkańców ewentualnością powrotu Niemców, utraty domów, opisywano mi fotografowanie domów, nasilenie się trwającego przez cały okres PRL przysyłania listów przez dawnych właścicieli. Postawiłem tę sprawę”.

Kostarczyk konkluduje: „Do polityki niemieckiej Bonn [Kaczyński] podchodził z nieufnością przypominającą Władysława Gomułkę. Byłby zapewne głęboko urażony tym porównaniem, ale tak właśnie skomentowano w kancelarii kanclerza Kohla jego wizytę latem 1991 roku. Sam Jarosław Kaczyński określił ją jako nieudaną, Kohl zaś już nigdy potem nie przejawiał chęci do odnowienia z nim znajomości (...). Czy Kaczyński nie miał świadomości, że forsując taki scenariusz rozmowy wyważa otwarte drzwi i beznadziejnie obniża, w oczach gospodarza, swoją rangę poważnego polityka? Nawet jeśli któryś w mieszkańców Gorzowa Wlkp. mógł poczuć się zaniepokojony odwiedzinami niemiłego gościa zza Odry, to z pewnością nie był to problem, który Kaczyński powinien uczynić głównym punktem swojej rozmowy (...). Jeszcze gorzej było ze sprawą granic. Opisywana rozmowa miała miejsce we wrześniu 1991 roku, a więc prawie rok po podpisaniu Traktatu o potwierdzeniu istnie-

jącej granicy polsko-niemieckiej (listopad 1990), oraz w trzy miesiące po podpisaniu w czerwcu 1991 Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Nikt na świecie i w Europie, poczynając od samych Niemiec, nie kwestionował granicy polsko-niemieckiej. O co więc chodziło Kaczyńskiemu? Odezwało się w nim chyba echo starych, pochodzących jeszcze z PRL-u obaw (...).

Do końca 1990 roku rozwiązano wszystkie problemy prawne i polityczne, sprawa granicy na Odrze i Nysie została definitywnie rozstrzygnięta. Wszyscy mogli odetchnąć z ulgą. Jak się jednak okazało wszyscy z wyjątkiem Jarosława Kaczyńskiego. Zachował się w gabinecie Kohla jak przedwcześnie wybudzony ze snu zimowego bąk, któremu wydaje się, że nadal lata na łące z ubiegłego sezonu. Skutki tej półgodzinnej rozmowy w urzędzie kanclerskim były dla Kaczyńskiego fatalne. Kohl utwierdził się w przekonaniu, że opinie o nim, które do Bonn docierały z drugiej ręki, nie są pozbawione podstaw”.

Gdy czyta się te zapiski, trudno się powstrzymać przed skojarzeniem, które spina klamrą dotychczasową drogę Jarosława. W 1977 roku Kaczyński przychodzi na zebraniu KOR-u. Mimo że pojawia się tam po raz pierwszy, ignoruje podziemną hierarchię i demonstracyjnie nie ustępuje miejsca zasłużonemu opozycjonście. 24 lata później debiutuje na europejskich salonach. Gości w siedzibie niemieckiego rządu i rozpoczyna spotkanie od pouczania kanclerza Niemiec.

To wciąż ten sam człowiek, mimo upływu ćwierćwiecza nie zmienił się ani trochę. Tyle że wtedy był początkującym działaczem i nie musiał się przejmować towarzyskimi ocenami. A teraz jest znaczącym politykiem. Jeszcze młodym, ale już mającym opinię „chamowatego, spoconego w pogoni za władzą mężczyzny” (z wywiadu Andrzeja Celińskiego). Ocena jest krzywdząca, ale przyłgnie do niego i będzie mu ciężać.

Z wywiadu Torańskiej:

„Zagraleś się, Jarek.

Nie, moja droga. Powtarzasz starą tezę, że ja się zagram na śmierć, ale to nieprawda.

To popatrz, najpierw wywalczyłeś »Solidarnościowego« premiera, następnie własną partię i Wałęsę na prezydenta, potem Olszewskiego na premiera...

Miałem, no i co z tego?

I ty, Jarek... ty to wszystko straciłeś. Naprawdę.

Och, dziewczyno, ty nic nie rozumiesz!”

A gdy po wielu latach Małgorzata Domagalik zapyta go, którą opinię o sobie uważa za najbardziej niesprawiedliwą, bez zastanowienia odpowie: „Nie jestem mściwy, nie jestem kłótlivy, nie jestem agresywny”.

Palec piąty: a może to wszystko wyglądało inaczej? Może PC odniosłoby sukces, ale padło ofiarą wielkiej operacji służb specjalnych?

/





**/ Agresja przechodniów,  
propaganda taksówkarzy**

Gmach przy Rakowieckiej to socrealistyczny potworek. Utrzymany w moskiewskiej stylistyce – potężny i nieprzyjemny, o neoklasycystycznej fasadzie przyozdobionej pilastrami.

25 lipca 1997 roku zjawiała się w nim ekipa czterech wysokich rangą funkcjonariuszy. Skierowali się do pokoju numer 1646 i podeszli do metalowej szafy wmurowanej w ścianę. Zdjęli referentkę, wyciągnęli pęk kluczy i otworzyli drzwi. Szafa należała do pułkownika Jana Lesiaka, byłego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa zatrudnionego w Urzędzie Ochrony Państwa. Gdy pytam, co znajdowało się za odrapanymi drzwiami szafy, Lesiak się obrusza: – Jedna cienka teczuszka. No, ale czarna propaganda zrobiła swoje i wszystkim się utrwaliło, że była tego cała szafa.

Bo jednak była. Funkcjonariusz, który uczestniczył w otwieraniu szafy, zezna podczas procesu inwigilacji prawicy, że sensowne przejrzanie tego archiwum zajęło mu kilka dni. Co w nim znaleziono?

Sporo śmieci („Wykaz Żydów szkodzących Polsce”, opracowanie „Dynastia L. Wałęsy”), ale też 21-punktowy spis zadań operacyjnych wymierzonych w liderów prawicy (jeden z punktów głosi: sprawdzić, czy Kaczyński miał narzeczoną i dlaczego się z nią rozstał albo czy nie jest homoseksualistą).

Jarosław Kaczyński, który zapozna się z Lesiakowym zasobem dwa lata później, ogłosi w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, że afera Watergate przy nim to pestka. I stwierdzi: z inspiracji Belwederu podsłuchiowano nas,

skłócano, zastraszano. Były zamachy i próby wyeliminowania nas z życia publicznego. Gdyby nie inwigilacja służb, nasze wyniki wyborcze 1991 i 1993 roku byłyby lepsze.

Operacja w sumie trwa pięć lat.

Czerwiec 1991 roku. Minister budownictwa i wiceprezes PC Adam Glapiński wraca do domu z partyjnego zebrania. Odkrywa, że na automatycznej sekretarce znajduje się nagranie z narady. W PC uznają, że UOP zarejestrował spotkanie, zadzwonił do Glapińskiego i puścił mu nagranie z magnetofonu. MSW zapewnia, że nikt nie podsłuchuje partii politycznych, ale po latach jeden z oficerów UOP przyzna w sądzie, że inwigilacja miała miejsce i że kierownictwo resortu o niej wiedziało.

Z zeznań złożonych na procesie Lesiaka: „Po wyborach do Sejmu w 1991 roku część osób, które były w naszym operacyjnym zainteresowaniu, znalazła się w Sejmie jako posłowie i wtedy zacząłem mieć wątpliwości natury prawnej, czy wolno nam stosować techniki operacyjne w stosunku do posłów. Zadaliśmy takie pytanie w formie notatki panu ministrowi [Andrzejowi] Milczanowskiemu. Pan minister Milczanowski na kartce formatu zeszytu A5 własnoręcznie wypisał taką opinie prawną, z której wynikało, że nie widzi przeciwwskazań do realizowania działań natury operacyjnej w stosunku do posłów, ponieważ immunitet zabezpiecza posła przed działaniami natury procesowej (...). Były to działania w ramach sprawy operacyjnej a nie działania w ramach zarejestrowanej sprawy karnej”.

Czy nagranie na sekretarce Glapińskiego jest ostrzeżeniem? Nie jedynym.

Antywałęsowska demonstracja w Lublinie. Jarosław przemawia, a jego kierowca Tadeusz Kopczyński pilnuje porządku. „Podszedł do mnie osobnik – przypomni sobie w sądzie pan Tadzio – i powiedział: niech pan dobrze pilnuje szefa i uważa na samochód”. Kopczyński każe mu spierdalać, ale dzień później odkryje, że ma nakłute opony.

Wiec w Elblągu. Jarosław znów na scenie, pełna sala. Ktoś zauważa, że w wejściu do pomieszczenia ktoś ukrył dwie fiołki ze śmierdzącym gazem. Przy zamknięciu drzwi ampułki zostałyby zmiażdżone i sala wypełniłaby się dymem.

Rok 1993. Antywałęsowska krucjata trwa, a do prezesa docierają wysłannicy z ostrzeżeniami. Pierwszy – opisany w aktach jako WF – pojawia się w siedzibie PC jesienią i przedstawia się jako stary funkcjonariusz (w rzeczywistości to były oficer prowadzący Anastazji P., autorki skandalizującej książki „Erotyczne immunitety”). Brat prezesa powie o nim na przesłuchaniu: „posługiwał się wyjątkowo wulgarnym językiem”.

WF straszy prezesa: do UOP naprzymowali młodych oficerów, którzy „dla jednej gwiazdki gotowi są zrobić wszystko, łącznie z zabójstwem”. Mówi, że jeśli kampania przeciw Wałęsie nie wyhamuje, to „NIE” opublikuje sfalszowaną deklarację lojalności, rzekomo podpisaną przez Jarosława w stanie wojennym. Twierdzi, że ludzie na Rakowieckiej mają „stary, czysty papier, na którym mogą napisać, co chcą”.

WF wie, co mówi. Tekst o lojalce ukaże się w pierwszą rocznicę upadku rządu Jana Olszewskiego. Jego autorem jest Marek Barański, były prezynter „Dziennika Telewizyjnego” z czasu stanu wojennego. Na procesie zezna, że z fałszywką zgłosił się do niego anonimowy mężczyzna. Miał znaleźć jego domowy numer telefonu w książce telefonicznej i poprosić o osobistą rozmowę. Spotkanie odbyło się w nocy i trwało bardzo krótko. Człowiek nie przedstawił się, przekazał mu papier i zniknął.

Drugie ostrzeżenie nadchodzi jesienią. W biurze PC przy ul. Zawojskiej zjawia się 60-letni mężczyzna. Przedstawia się jako przyjaciel i informuje Kaczyńskiego, że zlecenie na niego dostał pewien bardzo niebezpieczny człowiek, były funkcjonariusz SB w randze majora. Radzi, by prezes na jakiś czas wyjechał z Warszawy. „Mój wyjazd w tym czasie – zezna Jarosław – oznaczałby bardzo prawdopodobną utratę kierownictwa w partii a także wyeliminowanie mnie z Fundacji Prasowej »Solidarność«.

W obydwu wypadkach miały się odbyć spotkania zarządów czy innych organów tych podmiotów. Gdybym nie był na nich osobiście, z całą pewnością utraciłbym posiadane tam pozycje i przypuszczam, że taki był cel tej sugestii”. Pułkownik Lesiak w jednej z notatek napisze, że prezes PC po rozmowach z jego oficerami ograniczył działalność.

Jarosław jest już pewien: to komuna broni się przed jego rewolucją.

Groźby jednak nie ustają, docierają bezpośrednio i okrężnymi drogami. Na przykład przez brata. Przed wyborami w 1993 roku do NIK zgłasza się tajemniczy mężczyzna. Dyrektor departamentu organizacyjnego Stanisław Kostrzewski (w tym czasie to najbliższy współpracownik Lecha Kaczyńskiego) zezna: „Zaczął mi opisywać różne kwestie, jak np. samochody, które na kierunkach poruszania się pana Jarosława były rozstawione. Spytałem, czy pan sądzi, że pan prezes zwraca na takie rzeczy uwagę. Powiedział, że jak mu opiszę kolor samochodu »yellow Bahama«, to będzie wiedział (...). Mówił o podsłuchach na odległość w odniesieniu do Jarosława Kaczyńskiego. W tym żółtym samochodzie miała być rozstawiona jakaś aparatura rozstawiona po trasie”. Gość sprawia wrażenie nawiedzonego, ale zasypuje Kostrzewskiego konkretami. Twierdzi na przykład, że w miejscowości Wieruszów na prezesa PC czeka prowokacja. Lech Kaczyński dopowie w sądzie, że Jarosław rzeczywiście miał w tych dniach jechać przez Wieruszów, ale ostatecznie „udał się okrężną drogą ze względu na skłonność do oglądania kraju i nie pojawił się tu, gdzie się go spodziewano”. A pan Tadzio uzupełni wątek ogona w kolorze „yellow Bahama”: „Ciągłe kręcił się za nami pojazd osobowy, który nas śledził (...). Samochody jadące za nami podsłuchiwały rozmowy, które się w samochodzie odbywały. Kiedy ja przyspieszałem, to samochód za mną przyspieszał, gdy zwalniałem – zwalniał”.

Operacja trwa nawet wtedy, gdy prawicowi liderzy są już poza Sejmem. W kwietniu 1996 roku w piśmie „Najjaśniejsza Rzeczpospolita” ukazuje się artykuł mający zdemaskować żydowskie pochodzenie Jana

Olszewskiego. Były premier opowie o nim w sądzie: „Został tam podany mój rzekomy rzeczywisty życiorys od urodzenia do pełnoletniości (...). Napisane było, że w rzeczywistości pochodzę z żydowskiej rodziny, co ukrywam, że była to rodzina burżuazyjna, co też ukrywam, twierdząc, że pochodzę z rodziny robotniczej i że rozporządzam rozległymi stosunkami pokrewieństwa wśród osób pełniących niekiedy nawet naczelne funkcje w państwie Izrael. Można by było powiedzieć, że to taka typowa fałszywka, na którą nie zwracałem szczególnej uwagi. Dowiedziałem się jednak, że jest to autentyczny życiorys jakiegoś człowieka, którego rodzice byli pochodzenia żydowskiego i zmienili nazwisko na moje nazwisko rodowe, którego obydwaj imiona były takie jak moje, taka sama była także data urodzenia. Znalezienie takiej osoby, które odpowiadała tym danym, możliwe jest tylko w przypadku dostępu do ewidencji, którymi zajmują się odpowiednie służby”.

Dwa miesiące po publikacji „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”. Droga do Elbląga, okolice Mławy. Za kierownicą pan Tadzio, Jarosław jak zawsze w fotelu obok. Z zeznań prezesa: „Samochód podczas wyprzedzania zaczął – jak to się mówi – tańczyć po szosie. Okazało się, że spadła opona z lewego przedniego koła”. I jego brata: „Runęli w rów. Zadziałały wszystkie mechanizmy zabezpieczające, więc bratu nic się nie stało (...). Gdy brat się otrząsnął, podszedł do niego mężczyzna i zadawał nachalne pytania »Co pan taki zdenerwowany?«. Brat skojarzył coś w pierwszej chwili. Później, gdy udali się z Kopczyńskim parę metrów dalej, by wypić piwo, zorientował się, że był to ten sam pan, który przyszedł go straszyć w 1993 roku”.

Dziwne wypadki drogowe, włamania i zaczepki przytrafiają się też innym. Na przykład Jackowi Kurskiemu, wówczas jeszcze dziennikarzo- wi: jego fiat pędzi się z Gdańska do Warszawy. Kurski spieszy się na promocję książki „Lewy czerwcowy”. Pod Płońskiem na horyzoncie pojawia się biały Ford Scorpio. Toczy się poboczem. Gdy Kurski się z nim

zrównuje, auto gwałtownie przyspiesza i spycha go na oblodzoną część drogi. Poślizg, dachowanie, rów. Wystrzeli akumulator, a z bagażnika wyfrunie kilkadziesiąt książek. Fiat pójdzie do kasacji, a Kurskiego odwieżą do szpitala ze wstrząśnieniem mózgu. Białego forda policja nie znajdzie.

Janowi Parysowi: najpierw passatem wypada z zakrętu i ląduje w rowie. Mechanik stwierdzi, że ktoś przeciął mu piłką do metalu przewody hamulcowe. Później ma włamanie do mieszkania. Policja mówi, że to pierwszy przypadek w Warszawie, gdy złodzieje dostali się do środka za pomocą bezprzewodowej wiertarki zasilanej bateriami.

Romualdowi Szeremietiewowi: jesienią 1992 roku w jego maluchu blokuje się skrzynia biegów, którą uszkodzono ostrym narzędziem. Cud, że samochód nie wypadł z drogi. Kilka miesięcy później kolega stoi przy maluchu i czuje, że wokół auta unosi się smród benzyny. Gdy Szeremietiew uchyli maskę, okaże się, że ktoś przeciął przewód odprowadzający nadmiar paliwa i benzyna leje się prosto na silnik. Ale w środku samochodu nic nie czuć, przez co wyciek mógłby doprowadzić do samozapłonu. Biegły prokuratury uzna, że przewód pękł ze starości. To dziwne, bo maluch ma dopiero rok.

Lechowi Kaczyńskiemu: nocny powrót z wyborczego spotkania. Nagle na drogę wbiega dwóch drabów uzbrojonych w kije. Kierowca dodaje gazu i udaje się uciec.

I Barbarze Skrzypek, sekretarce prezesa: pod biurem PC zaczepia ją nieznaną mężczyzna. Proponuje kawę, ale pani Barbara go przegania. Mija kilka miesięcy i podryw się powtarza. Tym razem człowiek zjawia się pod domem sekretarki.

Pułkownik Jan Lesiak odchodzi ze służby za rządów SLD, robi to na prośbę szefa UOP Andrzeja Kapkowskiego: „Zaprosiłem pana Lesiaka do gabinetu i powiedziałem mu: Jasiu, jesteś dobrym oficerem. Cenię twój warsztat operacyjny, potencjał jakiś zgromadziłeś, wypracowałeś to, co mogłeś. Ale to wszystko nie służy resortowi, lepiej będzie, jeśli złożysz raport o odejściu ze służby”.



Sam proces ciągnie się aż do 2007 roku. Sąd uznaje Lesiaka winnym przekroczenia uprawnień, ale go nie skazuje, bo zarzut się przedawnia.

Mimo to Kaczyński jest zadowolony. Mówi dziennikarzom, że cieszy go ujawnienie prawdy. Nic dziwnego – orzeczenie sądu nie tylko autoryzuje jego dawne teorie o układzie, który przetrwał transformację, ale i czyni z niego ofiarę drugiej fali komunistycznych represji. W PRL go nie internowano, ale teraz mało go nie zabito. Orzeczenie daje coś jeszcze. W sensie politycznym jest idealnym alibi dla poniesionej klęski: gdyby nie akcja służb, rewolucja by zwyciężyła.

W pewnym momencie Jarosław jednak traci miarę. Twierdzi, że służby nie tylko dezintegrowały jego środowisko, ale też metodycznie niszczyły jego samego. Operacja ma być wszechogarniająca. Trwa wszędzie – w satyrycznej rubryce prasowej, w taksówce, na spotkaniu z wyborcami, na ulicy.

„Pamiętam publikacje prasowe w »Kurierze Polskim« (...), że pewien znany polityk Jarosław K. – tu dodam, że nie funkcjonował na scenie politycznej wówczas Jarosław Kalinowski, więc chodzić mogło tylko o mnie – spędził sylwestra na Ursynowie zamknięty w toalecie, z której nie był w stanie się wydostać. Nie byłem na Ursynowie na sylwestra, a więc tym samym nie byłem w toalecie. Byłem we własnym domu (...). Takich przykładów było więcej w »Kurierze«. Z innej wiedzy wiem, że był on ściśle powiązany ze środowiskiem, które prowadziło przedmiotową operację (...). Pojawiły się informacje, że jestem człowiekiem majątnym (...). Gdzie nie pojechałem, dowadywałem się, że jestem czegoś właścicielem. Pamiętam, że w Białymstoku byłem właścicielem banku, gdzie indziej zakładów mięsnych i tak dalej. To stwarzało obraz człowieka, który jest najbardziej skorumpowanym politykiem w Polsce. Rozpowszechniano różnymi kanałami, np. przez taksówkarzy informacje o moich związkach ze światem przestępczym, wręcz, że jestem osoba nadrzędną nad tym światem i kontroluję w Warszawie wszystkie delikatesy albo że jestem właścicielem fabryki cukierków.





**Ochrona strzeże prezesa przed zaczepkami przechodniów i wyzwiskami. Jarosław mówi, że nie może spokojnie przejść ulicą.**

To ostatnie miała opowiadać była pracownica komitetu centralnego PZPR, która jednocześnie twierdziła, że jest moja przyjaciółką. Nikogo takiego nie znałem. Był szereg barwnych opowieści, ale skutek łączny był taki, że trudno mi było spokojnie przejść po ulicy bez jakiejś agresji ze strony przechodniów. W sensie czysto życiowym znalazłem się w trudnej sytuacji”.

Agresja przechodniów, którą miał uruchomić zespół Lesiaka, według Jarosława trwa do dziś. Prezes będzie od tej pory skarżyć się na nią w wielu wywiadach. Jego zdaniem akcja służb stanowi zresztą samospełniającą się przepowiednię. Czarna legenda PC jest kolportowana tak natarczywie, aż w końcu staje się prawdą.

„Wiele osób wierzyło w ten fałszywy obraz i zapisywało się do partii w nadziei, że jest to formacja pozwalająca na szybkie dorobienie się. Mieliliśmy z tym sporo kłopotów. Jak silna była to propaganda, to mogę jeszcze przekazać taką informację, że dostawałem czasem od członków własnej partii listy z prośbami o duże pożyczki, tzn. ktoś miał wesele córki i zwracał się, abym mu pożyczył sumę, której nigdy nie widziałem na oczy (...). Jeszcze w 1996 roku dostałem list od jakiejś pani, która narzekała na to, że o piątej rano jakaś firma przewozowa należąca do mnie według jej listu hałasuje, nie pozwala jej spać. Prosiła, abym temu zapobiegł. Napisałem jej, że bardzo mi przykro, ale nie mam żadnej firmy. Po jakimś czasie otrzymałem odpowiedź, że ona i tak mi nie wierzy, ale jest wdzięczna, bo ta firma przestała hałasować”.

Inwigilacja prawicy po latach zaczyna też usprawiedliwiać oczywiste wpadki i niepowodzenia.

„Było coś takiego, co może zostać określone jako kombinacja operacyjna (...). W lecie 1992 roku w Koninie podczas jednego z moich licznych spotkań dostarczono mi zdjęcie, na którym znalazła się osoba ludząco podobna do Mieczysława Wachowskiego w towarzystwie kilku innych mężczyzn. Anonimowe osoby, które mi to zdjęcie przekazały, było to

chyba dwóch mężczyzn, stwierdziły, że jest to Wachowski w trakcie szkolenia kandydatów do Służby Bezpieczeństwa gdzieś w połowie lat 70. Podobieństwo było rzeczywiście bardzo duże. Ja miałem tylko wątpliwości co do tego, kim są pozostali panowie. Wszyscy na tym zdjęciu byli w strojach piłkarskich. W związku z tym zdjęcie schowałem myśląc, że na tym zdjęciu może być Wachowski, nawet byłem przekonany co do tego. Znałem Mieczysława Wachowskiego (...) i mógł on w 1980 roku wyglądać jak na tym zdjęciu. Później, kiedy doszło już do bardzo ostrego starcia związanego z wypowiedzią zanotowaną w książce chyba »Lewy czerwcowy«, gdzie mówiłem o związkach Mieczysława Wachowskiego ze służbami specjalnymi PRL, zacząłem być różnymi kanałami trudnymi do zidentyfikowania przez jakąś ogromną ilość osób pytany, że może jest coś takiego, czym dysponuję a nie korzystam w tej sytuacji. Przypominam sobie, że osobami, które szczególnie zabiegały, aby to zdjęcie im pokazać, była para bardzo młodych wtedy ludzi (...), dwoje dziennikarzy, których znałem z Sejmu. Skąd wiedzieli o tym zdjęciu, nie wiem. Być może ja im kiedyś o tym zdjęciu wspominałem, że są wątpliwości. To zdjęcie w końcu im dałem i to była droga do pokazania go w telewizji. Ponieważ okazało się, że to nie jest zdjęcie pana Wachowskiego, to później była w związku z tym duża operacja medialna, której efektem było wytoczenie mi procesu karnego. I to z oskarżenia publicznego”.

Będzie też tłumaczyć sprawę spółki Telegraf powiązanej z PC:

„Całą odrębną częścią tej operacji było to wszystko, co wiązało się z firmą Telegraf (...). Moje związki z tą firmą mimo bycia udziałowcem były zerowe, tzn. gdzieś w październiku 1990 r. Maciej Zalewski, mój zastępca w »Tygodniku Solidarność«, zaproponował mi udział w takiej firmie, twierdząc, że powinniśmy mieć taką firmę, aby stworzyć tygodnik, gdyż w »Tygodniku Solidarność« długo już nie pobędziemy (...). Ja się zgodziłem, nie zajmowałem się więcej tą sprawą. Kiedy zostałem szefem Kancelarii Prezydenta, zgłosił się do mnie Maciej Zalewski, stwierdzając,

że skoro pełnię wysoką funkcję, to nie powinienem być w tej spółce. Zgodziłem się z nim całkowicie i przestałem być. Podpisałem odpowiednie papiery. Ministrem zostałem 30 grudnia, a udziałów w Telegrafie zrzekłem się na początku stycznia 1991 roku i to był cały mój związek z tą sprawą (...). Nie wiedziałem, że spółka została w istocie powołana po 20 września, jak stwierdzono podczas procesu, który wytoczyłem w związku z pomawianiem mnie o ten Telegraf. Podobno po 20 września był mój podpis, jeśli był, to był sfalszowany. W połowie roku 1991 wybuchła afera (...). W rejestrze znaleziono nazwiska dużej grupy polityków PC albo zbliżonych do PC jak mój brat, którzy mieli tam pełnić różne funkcje. Otóż ci politycy o tym nie wiedzieli, a zostali tam wpisani”.

Czy rzeczywiście?

Telegraf zakładają działacze PC wywodzący się z Woli, na czele z Maciejem Zalewskim. Spółka ma stanowić biznesową bazę, z której wypączkuje własne pismo, a później telewizja. Chodzi o przełamanie monopolu „Gazety Wyborczej” i jej liberalno-lewicowych satelitów. Środowisko Jarosława jest gołe, ale ma wpływy, więc pieniądze na Telegraf wykładają nomenklaturowe przedsiębiorstwa państwowe, które szukają politycznej protekcji: Budimex, Bank Przemysłowo-Handlowy. Kapitał spółki rośnie, ale struktura właścicielska mętnieje, a we władzach tasują się kolejne nazwiska.

Zamiast zakładać media, Telegraf idzie w niejasne biznesy. Inwestuje w zakłady mięsne, budki kioskowe, kupuje ciężarówki z coca-colą i adidasami. Prasa pisze, że pod siedzibę zajeżdżają pierwsi polscy biznesmeni: mercedesami, w mokasynach i białych skarpetach. Pożyczają od Telegrafu duże sumy na wysoki procent – np. na zakup szampana w Rosji – ale ich potem nie oddają. Kapitał się rozchodzi. Padają sugestie, że spółka od początku była pomyślana jako sposób na wydojenie czerwonych i rozpuszczenie pieniędzy. Sekretarka Zofia Swoczyna pamięta, że gdy Telegraf powstaje, nagle niektórym działaczom zaczyna się powodzić. Przed biurem parkują luksusowe auta, pojawiają się drogie ciuchy, cygara.

Historia z Telegrafem zaprowadzi Zalewskiego do więzienia. Pogrążą go zeznania właścicieli Art-B Bogusława Bagsika i Andrzeja Gąsiorowskiego. Sąd skáže go za żądanie pieniędzy od biznesmenów.

Czy to możliwe, że Jarosław naprawdę nie wie, co dzieje się w Telegrafie? Czy nie docierają do niego informacje o kontaktach Zalewskiego z Art-B? O tym, że Bagsik z Gąsiorowskim kręcą się przy PC, musi wiedzieć. Na procesie Lesiaka sam zezna, że miesiąc przed ich ucieczką przekazano mu w ich imieniu propozycje współpracy: „W lecie 1991 roku, kiedy byłem jeszcze szefem Kancelarii Prezydenta, zgłosił się do mnie jeden z pracowników Kancelarii podległy ministrowi [Sławomirowi] Siwkowi (...). Z następującą propozycją. Jeśli Porozumienie Centrum wysunie kandydaturę pana Bogusława Bagsika na senatora w województwie bielsko-bialskim, to otrzyma 40 mld ówczesnych złotych na kampanię wyborczą. Te 40 mld to była suma olbrzymia, siła nabywcza tej kwoty to dzisiejsze około 40 mln zł. Ja oczywiście odrzuciłem tę propozycję”.

W sądowym archiwum odnajduję też zeznania byłego funkcjonariusza UOP, który opowiada o swojej wiedzy operacyjnej: „Był podsłuch założony u jednego z dyrektorów Art-B (...). To był bardzo spokojny człowiek, chory na białaczkę (...). Przyszedł komunikat z podsłuchu, w którym rozmawia z kobietą nieobjętą przez nas kontrolą operacyjną (...). Pytał się jej: »Czy ciebie też szukają, bo ja mam informacje, że chodzą za bliźniakami«. Powiedział, żeby »bliźniaki« na jakiś czas się usunęły. Czy ona, czy on powiedzieli nawet: »niech idą na grzybki«”.



**/ Dyskretny proces psychotyczny**



Czy UOP miał w otoczeniu Kaczyńskiego agentów? W kilku zeznaniach natrafiam na sugestię, że źródłem Lesiaka w PC była sekretarka prezesa Krystyna Czetwertyńska.

– To ona – Zofia Swoczyna podaje mi zdjęcie z prywatnego albumu.

Fotografię zrobiono w siedzibie partii. Za biurkiem siedzi kobieta w letniej sukience w fioletowe kwiaty. Ma szczerą, okrągłą twarz i krótkie lokowane włosy. Rozmawia przez telefon i miło uśmiecha się do osoby robiącej zdjęcie, czyli do Swoczyny. Za tą fotografią kryje się niezwykła historia. Pojawia się w niej: opowieść o milionach dolarów na wyciągnięcie ręki, nieszczęśliwa i opresyjna miłość, urojenia oraz najprawdziwsze reminiscencje Mieczysława Moczara.

Czetwertyńska trafia do PC zaraz po powstaniu partii. Sekretariat dzieli z Anną Salamon, która wytrwa przy Jarosławie aż do czasów późnego PiS. Ona też znajdzie się w albumie Swoczyny. Ma czarne, natapirowane włosy i mocną opaleniznę.

– Obie panie – wspomina sekretarka Monika Dmowska – były, nazwijmy to, niezagospodarowane i, tak po ludzku, bardzo lubiły prezesa. Nie było przy nim kobiety, więc starały się mu dogadzać.

– W jaki sposób?

– Na przykład dbały, żeby nie chodził głodny. Gotowały w domu obiady i przynosiły je do pracy w trojakkach. Gdy przeprowadziliśmy się na

Bagatelę, to nawet kupiono do biura kuchenkę mikrofalową, żeby Krysia z Anią mogły podgrzewać szefowi posiłki.

Swoczyna: – Gotowaniem zajmowała się głównie Salamon. Przyrządzała prezesowi różne rarytasy. Jeździła do delikatesów Michel Badré przy Puławskiej, kupowała bagietki, zapiekała je z serem i podawała z winogronami. Mówiła, że sporo do tego dopłaca.

Dmowska: – Później obie panie zaglądały do gabinetu, żeby sprawdzić, czy prezes zjadł. Kanapeczki jeszcze stoją? Może mu nie smakowały, to może coś na ciepło?

Swoczyna: – Dbaly też o jego stroje. Jeździły do sklepu, wybierały mu garnitury, buty, koszule. Szef przymierzał, część ubrań zostawała, a część odwożono z powrotem do sklepu. Obie bolały też nad jego kawalerstwem. Próbowaly umawiać go do kina z jakimiś paniami, ale chyba nic z tego nie wychodziło. Mówiły, że prezes nie jest zainteresowany randkami.

– Była między nimi rywalizacja?

Dmowska: – W obecności prezesa nie, ale gdy drzwi gabinetu się zamykały, dało się ją wyczuć. Przy czym Salamon zachowywała większy dystans. Jak coś szło nie po jej myśli, obrażała się, było widać, że jest jej przykro. A Krysia była zawsze zadowolona i skoncentrowana na szefie.

Perszewski: – Organizowaliśmy kiedyś prezesowi letni pobyt w leśniczówce koło Słupska. Gdy Krysia się o tym dowiedziała, stwierdziła, że pojedzie z nim i będzie go doglądać. Spytałem, jak sobie to wyobraża. Normalnie, odpowiedziała, wynajmę domek w pobliżu i będę się nim opiekować. Szef nie był z tego zadowolony, ale nie chciał jej urazić, bo zawsze był wobec kobiet delikatny. Powiedział mi tylko: musimy coś wykombinować. No, więc dowiedziałem się, że na trasie do Słupska Krysia ma rodzinę. Zatrzymaliśmy się tam i zostawiliśmy ją.

– Może Czetwertyńska czuła coś do prezesa?

Perszewski: – Sądzę, że była w nim zakochana, ale prezes nie skracał z nią dystansu. Mógł pozwolić, żeby poprawiła mu krawat czy strzepała

pyłek z marynarki, ale do innego rodzaju zbliżeń nie dopuszczał. Z drugiej strony to była dziwna kobieta, powiedziała mi kiedyś, że jest jak pająk, który oplata ludzi pajęczyną.

Swoczyna: – Można było odnieść wrażenie, że Krysia próbuje matkować prezesowi.

Ślad dotyczący współpracy Czwertyńskiej pojawia się m.in. w zeznaniach byłego dyrektora klubu parlamentarnego PC Wojciecha Dobrzyńskiego: „Była to jedna z sekretarek pana Jarosława Kaczyńskiego. Ona pracowała w biurze, ale nie moim. O jej roli w tej sprawie dowiedziałem się z akt sprawy (...). Dopiero z akt sprawy dowiedziałem się, o co była podejrzewana. Nie nabyłem żadnej wiedzy na temat funkcjonariuszy-informatorów cywilnych służb, którzy funkcjonowaliby w strukturach Porozumienia Centrum”. Mówiąc o wiedzy z akt sprawy, Dobrzyński ma na myśli materiały tajne, do których dziennikarze nie mają dostępu.

Z Dobrzyńskim spotykam się we włoskiej restauracji na warszawskim Mokotowie. Chcę go spytać, czy nadal uważa, że kontaktem służb specjalnych w PC była pyzata sekretarka, u której prezes rozbudził instynkt opiekuńczy.

Sam Dobrzyński to barwna postać i – być może – rzeczywista ofiara inwigilacji prawicy. Ludzie z otoczenia Jarosława wiele mi o nim opowiadali. W latach 90. uważano go za złote dziecko PC. Dobrzyński nieco odstawał od reszty prawnicowego towarzystwa. Zawsze otoczony atrakcyjnymi kobietami, z cygarem, w modnych ciuchach i z pieniędzmi – tak go pamiętają dawni koledzy.

Jego nazwisko znajduję też w starych gazetach i w archiwum warszawskiej prokuratury. Działalność w klubie PC zakończyła się dla niego zarzutem karnym (łapówka za pomoc w uzyskaniu koncesji na handel paliwami) i widowiskowym aresztem, w którym Dobrzyński przez 63 dni prowadzi głodówkę. W jej trakcie schudł ponad 30 kilo. Prezes nie odwrócił się od niego: był u niego na widzeniu, kilka razy przekazywał

Prezes rozbudza u kobiet instynkt opiekuńczy i jest adorowany.  
Wśród jego wielbicielek jest posłanka PiS Jolanta Szczypińska.





paczki jego mamie. A podczas spotkań z wyborcami mówił, że to krystalicznie czysty człowiek i że jeśli go nie wypuszczą, to dojdzie w kraju do ciężkiej awantury. Na szczęście wypuścili. Śledztwo przeciwko Dobrzyńskiemu zostało umorzone z powodu – jak to ujął prokurator – braku danych uzasadniających popełnienie przestępstwa. Bracia Kaczyński na procesie Lesiaka zgodnie stwierdzają, że aresztowanie Dobrzyńskiego przy kamerach było częścią operacji służb mającej na celu zniesławienie PC.

Dziś Dobrzyński jest już po pięćdziesiątce. Z bujnej fryzury została mu łysina, ale trzeba powiedzieć, że wciąż wygląda dobrze: szczupły, wysportowany, dobrze ubrany. Czwertyńską pamięta. Mówi, że była niezbyt rozgarnięta i powoływała się na szlacheckie pochodzenie. Choć nie chce podać dowodów na jej związki z UOP, to podtrzymuje to, co mówił podczas procesu. – Myślę, że służby wykorzystywały ją do zbierania informacji o naszym środowisku, prowokowania pewnych sytuacji.

Czy ma rację?

Po kolei. Pani Krysia w rzeczywistości nie nazywa się Czwertyńska, tylko Sz. Arystokratyczne nazwisko, którym posługuje się w PC, jest zmyślane. W 1993 roku przypadkowo odkrywa to Piotr Perszewski. „Zauważyłem to w jej dowodzie osobistym” – zezna później w sądzie. Drugie zaskoczenie dotyczy jej przeszłości. Gdy Zofia Swoczyna przechodzi do pracy w Najwyższej Izbie Kontroli, jeden ze starych urzędników podśmiewa się: – Ci wasi Kaczyńscy tacy antykomuniści, a zatrudniają Sz.? Przecież to była sekretarka Moczara!

Urzędnik nie kłamie. Mieczysław Moczar był prezesem Najwyższej Izby Kontroli od 1971 do 1983 roku. A z dokumentacji znajdującej się w tamtejszym archiwum wynika, że Sz. pracowała w NIK w latach 1976–85 i zajmowała stanowisko radcy. Do jej kompetencji należało m.in. prowadzenie biblioteki urzędu.

Z akt Instytutu Pamięci Narodowej nie wynika, by Sz. współpracowała z PRL-owskimi służbami. Należała za to do Związku Młodzieży

Socjalistycznej: najpierw kierowała komisją kulturalno-oświatową w ramach organizacji działającej przy Instytucie Informacji Naukowo-Technicznej i Ekonomicznej, a potem była jej wiceprzewodniczącą. W jej aktach paszportowych IPN znajduje się też jej niecodzienna korespondencja z ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych Czesławem Kiszczakiem. Wiosną 1984 roku Sz. miała problem z wyjazdem do Włoch, gdzie zamierzała poddać się „korekcyjnemu zabiegowi akupunktury” u „światowej sławy specjalisty chińskiego”, i listownie zwróciła się o wstawiennictwo do samego Kiszczaka. W podaniu skrupulatnie wyliczyła wszystkie swoje atuty: pracę w NIK, „aktywne członkostwo” w Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej powstałym z ZMS, Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Lidze Obrony Kraju. Prośba zadziałała. Na polecenie Kiszczaka paszport został wydany.

Czy zatrudniając Sz. w swoim sekretariacie, Jarosław o tym wszystkim wie? Na pewno zna historię jej współpracy z Moczarem. Informuje go o niej Perszewski, ale prezes reaguje tak jak towarzysz Jakow Swierdłow z dawnej przypowieści Kuronia. Macha ręką: – Jak nie ta, to będzie inna, nie lepsza.

Po latach jego stosunek do Sz. będzie niejednoznaczny. Podczas procesu wypowie się na jej temat bardzo mgliście: „Były osoby, co do których były takie podejrzania (...). Jeśli mówię o innych osobach, co do których były podejrzania, to były one innej kategorii. Były to osoby, które nie były objęte zasięgiem badań, dzięki którym powstała lista Milczanowskiego, bo nie były kandydatami do Sejmu ani do Senatu w 1989 roku, tylko znalazły się w parlamencie po 1991 roku. Ja potwierdzeń tych informacji w dokumentach nie znalazłem, co nie zmienia mojego przekonania, że te osoby współpracowały. Nie dotyczy to wspomnianej w zeznaniu (w stenogramie nazwisko utajniono, ale z kontekstu wynika, że chodzi o Sz. – M.K.). Ona nie była politykiem, ona należała do obsługi”.

Ale już w wywiadzie „Afera Watergate to pestka” przedstawi ją jako ofiarę intrygi służb specjalnych, która miała dać Lesiakowi „wyjście” na całe PC:

„Wszczęto śledztwo przeciw mojej sekretarce o nadużycia finansowe. Prowadził je, nie wiedzieć czemu, UOP, choć – jeśli w ogóle były podstawy do śledztwa – powinna się tym zajmować policja. Kiedyś zostałem wezwany do Poznania w charakterze świadka i... pokrzywdzonego. Zapytałem prokuratora, na czym w istocie polega przestępstwo; w całym śledztwie chodziło bowiem o to, że sekretarka rekomendowała jakąś firmę kredytową. Prokurator nie umiał mi tego wyjaśnić (...). Okazało się, że prowadzenie śledztwa w sprawie mojej sekretarki umożliwiło zainstalowanie legalnego podsłuchu w siedzibie PC. Gdyby zapytać, czy podsłuchiowano PC, to UOP odpowie: oczywiście nie. Bo podsłuch, który założono w wojewódzkiej siedzibie PC, był zarejestrowany w związku ze śledztwem w sprawie sekretarki, a nie w związku ze statutową działalnością partii. Zresztą podsłuch zainstalowano w czasie, gdy rzeczona sekretarka dawno już u mnie nie pracowała”.

Rekapitułując: Jarosław Kaczyński zatrudnia sekretarkę, która być może jest w nim nieszczęśliwie zakochana. Kobieta ma przeszłość godną potępienia (przynajmniej z punktu widzenia partii), posługuje się fałszywym nazwiskiem i ciąży na niej zarzut prokuratorski. Mimo to prezes przedstawia ją jako ofiarę i nie umie jej zwolnić. Dlaczego? Jeden z moich rozmówców uważa, że Jarosław w relacjach z kobietami jest po prostu uległy. Formalnie jest szefem, ale w rzeczywistości one go od siebie uzależniają i sprawują nad nim kontrolę.

Co do śledztwa przeciwko Sz.: historia zaczyna się wiosną 1992 roku, czyli kilka miesięcy po burzliwym rozstaniu Kaczyńskiego z Wałęsą. Pani Krysia nawiązuje współpracę z małą agencją konsultingową, proponując jej pomoc w uzyskaniu zagranicznych kredytów, które ma poręczać PC. Żeby uzyskać do nich dostęp, przedsiębiorca musi tylko wykupić w agencji biznesplan. W dobrym tonie jest też opłacanie składek w Klubie Przedsiębiorców działającym przy partii, gdzie należało opłacić wpisowe i składki.



Gdy okazuje się, że to oszustwo, sprawa trafia do prokuratury. Na ławie oskarżonych lądują: pani Krysia (zostanie uniewinniona – obiecywała pomoc biznesmenom, ale nie udowodniono jej brania łapówek) i ludzie z agencji (sąd uzna ich winę). Podczas postępowania biznesmeni zeznają:

„[Osoby z agencji] oświadczyły, że mogą załatwić kredyt nawet do pięciu milionów dolarów”.

„W celu uwiarygodnienia swoich zapewnień zaprosili mnie do Warszawy, do biura Porozumienia Centrum. Tłumaczono mi, że spotkamy się tam na zebraniu. Wprowadzili mnie do budynku, do jakiegoś pokoju na pierwszym piętrze, pokazując po drodze drzwi do pokoju, w którym urzędował pan Jarosław Kaczyński, zresztą była na tych drzwiach tabliczka z jego nazwiskiem. W pokoju, do którego weszliśmy, była kobieta, która pisała coś na maszynie – sprawiała wrażenie bardzo zapracowanej i zdziwionej naszym przybyciem (chodzi o Sz. – M.K.). Kiedy usłyszała, że przyszlśmy w sprawie kredytu, powiedziała, że ona o wszystkim wie i że sprawa na pewno zostanie załatwiona pozytywnie, ale jeszcze trochę trzeba poczekać. Na tym zakończył się mój pobyt w Warszawie, do żadnej konkretnej rozmowy z osobą kompetentną nie doszło”.

Jarosław początkowo odmawia przyjęcia na przesłuchanie. Wezwanie próbuje mu osobiście wręczyć na Zawojkiej oficer UOP, ale prezes go odprawia. „Oświadczył, że żadnego wezwania nie przyjmie, jak też niczego nie będzie podpisywać. Powiedział, że sprawa, w której jest wzywany, jest sprawą polityczną skierowaną przeciwko niemu”.

Trzy tygodnie później jednak się stawia. Sz. w tym czasie jest już poza PC. Wyrzucił ją Perszewski, bo prezes nie miał śmiałości, by zrobić to osobiście. Podczas przesłuchania Jarosław nagle zmienia front: „Przez dłuższy czas byłem przeświadczony, że pracownica sekretariatu nazywa się Czetwertyńska i byłem nawet przekonany, że jest arystokratką. Później zorientowałem się, że wykazuje ona skłonności do mitomanii. Docierało do mnie, jak pani Sz. twierdziła, że ma bliskie kontakty z otoczeniem

papieża i że za jej sprawą w mojej intencji odprowadzane są przez samego papieża msze święte w Watykanie. W 1992 r., jeszcze przed przeniesieniem siedziby z Bagateli na Zawojską, dotarło do mnie, że pani Sz. urządza w siedzibie zarządu jakieś spotkania i otrzymuje telefony. Zapytałem o te kontakty, ale dostałem wymijającą odpowiedź, raczej zaprzeczającą. Z informacji, które otrzymałem, wynikałoby, że są to kontakty z biznesmenami. Nic nie wskazuje na to, by pani Sz. dysponowała w tym okresie większymi sumami pieniędzy”.

Protokół kończy się nieprzyjemnie: „Według mojej oceny pani Sz. reprezentuje patologiczny typ osobowości objawiający się ostrą i pogłębiającą się mitomanią”.

Podczas procesu sądowego Sz. zostaje skierowana do szpitala psychiatrycznego na obserwację. W trakcie kilkutygodniowego pobytu robi pacjentom zabiegi bioenergoterapeutyczne – masuje im skronie, dotyka ręką chorych miejsc. A w wywiadach z lekarzami opowiada, że arystokratyczne nazwisko Czetwertyńska pochodzi od jej biologicznego ojca, o którym przed śmiercią opowiedziała jej matka. Ma ono służyć do kamuflażu i chronić ją przed związanymi z policją „niesprawdzonymi osobami przychodzącymi lub dzwoniącymi do PC”. Mówi też, że ma krewnego zatrudnionego „na wysokim stanowisku w administracji waszyngtońskiej”, który miał jej załatwić dożywotnią rentę. I że jako harcerka wychowała „grono 1200 podopiecznych”.

„Twierdziła, że urodziła się w rodzinie inteligenckiej z tradycjami sięgającymi XVII wieku (...). Studiowała na wydziale historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego, ale przeniosła się na bibliotekoznawstwo po konflikcie z tzw. docentem marcowym. Jej dom jest azylem, gdzie wypoczywa. Unika wizyt, telefonów. Interesuje się literaturą, sztuką, muzyką. Komponuje piosenki o treści religijnej. Jej ulubionym kompozytorem jest Vivaldi i jest właścicielką największej w Polsce kolekcji płyt z jego utworami. Jest z natury dynamiczna, optymistycznie nastawiona do

świata i ludzi, z poczuciem humoru. Uprawia taternictwo, windsurfing, pływa na żaglówce (...). Przy intensywnym trybie życia dba o relaks, sypia regularnie, przed snem uprawia jogę, bierze kąpiel z ziół i soli Morza Martwego. Pisze wiersze i piosenki (...). Potrafi poznać się na każdym od pierwszego wejrzenia”.

Pobyty w szpitalu – jak się wydaje – wyjaśni, że sekretarka prezesa nie była ani agentką służb, ani ich ofiarą. Raport psychiatryczny na jej temat stwierdzi coś zupełnie innego: „Sz. może mieć urojenia, biegle podejrzewają u niej toczący się dyskretnie proces psychotyczny”.



Czas poza Sejmem jest podwójnie trudny. Raz – że ciężko związać koniec z końcem i trzeba się ratować pożyczkami od brata. Znajomym z partii Jarosław mówi nawet, że mógłby prowadzić mały antykwariat na warszawskiej Starówce. A dwa – że cały czas tęskni do dużej polityki.

– Pamiętam, jak mówił mi z żalem: jak będzie okazja, to jeszcze zagramy, ale na razie nic się nie kroi – wspomina Rojek.

W polityce kanapowej Jarosław się miota. W 1994 roku niespodziewanie odzywa się do Hniedziewicza, z którym od dwóch lat nie ma kontaktu. Zaprasza go na truskawki z bitą śmietaną i proponuje powrót do PC. Mówi, że się zmienił i że tym razem będzie inaczej – pluralistycznie i niewodzowsko. Hniedziewicz wraca, ale po jakimś czasie zostaje wycięty. Gdy podczas zakrapianej kolacji spyta dlaczego, Jarosław odchylił się w fotelu i oświadczył: – Przemeczku, przepraszam, ale będę musiał urazić twoją chrześcijańsko-liberalną duszyczkę...

Po czym zapowie, że partia nie tylko wraca na stare tory, jeśli chodzi o przywództwo, ale też szykuje ostry skręt w prawo.

Upadek jest dramatyczny. W partyjnym archiwum odnajduję list

z jesieni 1994 roku, w którym Jarosław proponuje wyłonienie wspólnego kandydata na prezydenta i utworzenie jednej prawicowej partii. Adresatem jest Gabriel Janowski – ten sam, którego jeszcze dwa lata wcześniej uznawał za symbol kompromitacji, ośmieszenia oraz szaleństwa.

Kaczyński jest na dnie, ale wierzy, że karta się jeszcze odwróci. W telewizyjnym wywiadzie z Torąską zapowiada: „Przyjdzie czas, że nasz sztandar załopocze nad odpowiednimi gmachami”.





**/ Zakon jest moją zbroją**

„A ty kim chciałbyś być? Minister sprawiedliwości, premier, prezydent?

Słuchaj, najbardziej to chciałbym być szefem silnej, bardzo wpływowej, rządowej partii”.

Sztandar po raz pierwszy załopocze w 2000 roku nad gmachem Ministerstwa Sprawiedliwości. Później – nad warszawskim Ratuszem (2002), Sejmem (2005), Senatem (2005), Kancelarią Premiera (2005) i dwukrotnie nad Pałacem Prezydenckim (2005, 2015). Jarosław na krótko zostanie premierem, ale większość czasu spędzi w miejscu swoich marzeń: na czele silnej, bardzo wpływowej partii. Gmachy będą ważne, ale najważniejsza będzie partia. W jednym z wywiadów Jarosław powie nawet, że nie lubi, gdy ludzie zwracają się do niego „panie premierze”. Woli po partyjnemu: „panie prezesie”.

Tylko jak to możliwe, że PC ponosiło klęski, a Prawo i Sprawiedliwość od powstania obsadza gmach za gmachem? To Jarosław zmienił metodę czy zmieniły się czasy?

Odpowiada Artur Zawisza (do Prawa i Sprawiedliwości przystępuje w czerwcu 2002 roku): – Kaczyński to gracz, który w ruletce zawsze obstawia zero. Może przegrać dziesięć razy, ale za jedenastym obstawi ten sam numer i w końcu wygra.

Czyli program rewolucji pozostaje bez zmian, wystarczy tylko czekać na wiatr, który ją poniesie. Czy tak?

– Nie do końca – uściśla Zawisza. – Kaczyński jednak dokonał pewnej korekty w programie partii. PiS to nie jest PC-bis. Porozumienie Centrum

było prawicą modernizacyjną. Brzmi to może ładnie, ale baza społeczna dla takiej partii w Polsce jest słaba.

– Więc jednak skręt w prawo?

– Tak, prezes poszedł za głosem narodu. W kierunku katolicko-patriotycznym.

To, co mówi Zawisza, zbiega się z opowieścią Hniedziewicza, który wspomina, że Jarosław wyłożył mu „PiS-owską filozofię” już wtedy przy alkoholu, zaraz po jego wycięciu. Był rok 1997.

Ale w takim razie który Jarosław jest prawdziwy? Ten z początku lat 90. – odzégnujący się od nacjonalizmu i chadecki? Czy ten dzisiejszy – katolicko-patriotyczny?

Były wieloletni współpracownik: – No, zdecydowanie ten dzisiejszy. Gdy zadaję sobie pytanie, co jest w Kaczyńskim najbardziej autentyczne, to przychodzą mi na myśl dwie rzeczy. Religijność rozumiana na wszelkie sposoby. Jako przeżywanie, chodzenie do kościoła, przywiązanie do wiary, tradycji. Oraz patriotyzm. On naprawdę kocha Polskę i chce dla niej jak najlepiej. Inna rzecz, czy ma słuszne recepty, tu zdania będą podzielone. Reszta poglądów jest u niego zmienna i w gruncie rzeczy drugorzędna. Raz może być gospodarczym liberałem i obniżyć podatki dla najbogatszych, jak w latach 2005–07. A innym razem – mówić o sięganiu do głębokich kieszeni.

Mój rozmówca może mieć rację. Wszak prezes sam przyznaje w swoich wspomnieniach, że wygłaszając pierwszy programowy referat PC, w którym ostrzegął przed nacjonalizmem, kierował się kalkulacją. Chciał uniknąć zarzutu antysemityzmu i zdobyć elity intelektualne. Gdy to ostatnie mu się nie udało, zaczął dryfować w kierunku plebejskim. Ale z drugiej strony może ta katolicka-narodowa nuta w pełni dochodzi u Jarosława do głosu dopiero z czasem. Jeszcze w drugiej połowie lat 90. prezes mówi w „Arcanach”, że nie wierzy w lud.

W doktrynie Jarosława jest jeszcze jedna zmienna: wróg. Najpierw jest nim komuna, później – postkomuna, w fazie przejściowej – układ,



a ostatecznie – Platforma Obywatelska. Chociaż może to nie doktryna się zmienia, tylko wróg tak umiejętnie się kamufluje i tasuje szyldy kolejnych formacji?

„Platforma jest partią postkomunizmu, podtrzymywania i kontynuowania poprzedniego systemu – powie w jednym z wywiadów. – Nie lubię określeń takich jak PRL-bis, bo mamy jednak inną sytuację, ale są obszary gdzie ten element kontynuacji jest bardzo silny (...). Jeśli możemy mówić, że jest taki fenomen jak system postkomunistyczny, który niektórzy nazywają postkolonialnym, to niewątpliwie PO jest główną, w sensie funkcjonalnym, formacją postkomunistyczną (...). Podział postkomunistyczny zupełnie się odtworzył, odkąd PO przejęła władzę. Nie w tym sensie, że już wtedy Platforma zawarła sojusz z SLD, ale funkcjonalnie weszła w miejsce osłabionego SLD. Zrobiła to broniąc zdecydowanie interesów establishmentu, ukształtowanego w ciągu ostatnich mniej więcej trzydziestu lat”.

Wyjaśni, że postkomunizm PO objawia się w jej relacjach z establishmentem oraz w – jak to określi – lumpenliberalizmie. Wprost poprowadzi też analogię między Platformą a tymi, którzy na początku lat 90. pozwolili komunistom przetrwać transformację: „To, co głoszą twórcy PO, jest tym, co było potrzebne komunizmowi w okresie przemian. Była to ideologia skrojona dla nich, w ramach której mogli przeżyć i umocnić się w roli nowej klasy właścicielskiej, a więc panującej. Kontynuacją rządów komuny jest też całkowita rezygnacja z pełnienia roli podmiotowej w polityce zagranicznej”.

Wróg przebiera maski, ale u niego w gruncie rzeczy też zmienia się tylko szyld. Kadry w dużej mierze pozostają te same. W rzeczywistości w PiS będzie się liczyć zakon, czyli ci, którzy przeszli szlak Porozumienia Centrum i nie wykuszili się po kolejnych klęskach. Do zakonu należą:

Adam Lipiński – Jarosław ufa mu bezgranicznie. W schyłkowej fazie PC stanął na czele partii, w PiS od początku jest wiceprezesem.

Wpływowy, ale wycofany. Gdy ma podjąć decyzję, najchętniej mówi: to trzeba zapytać Jarka. „Nie ma tego obyczaju – napisze o nim prezes w „Polsce naszych marzeń” – bardzo często w Polsce spotykanego, że gdy mu się coś proponuje, on to przyjmuje i od razu rozpoczyna licytację w górę. Adam nie oczekuje wdzięczności, gdy coś załatwi (...). Znakomicie zna tych wszystkich prawicowych intelektualistów, wie, co jest istotne w pismach Edmunda Burke’a czy Carla Schmidta. Ma tę wadę, że pali papierosy. Jego ulubionym powiedzonkiem jest chyba »krótka piłka«”. Lipiński mimo wysokiej pozycji w partyjnej hierarchii łatwo daje się zdominować, nawet tym, którzy są niżej. Jego wychowanek Adam Hofman w szczyście swoich wpływów, będzie wysyłał go po papierosy.

Joachim Brudziński – w czasach PC był działaczem szczebla wojewódzkiego, ale grunt, że był. Sprawny organizator o mocnej głowie. Z czasem urośnie w siłę, zdominuje Nowogrodzką i stanie się numerem dwa w partii. „Jest odpowiednikiem sekretarza generalnego w innych partiach – napisze o nim Jarosław. – Uporządkował działalność, stworzył jej wymiar dokumentacyjny. Obecnie o każdym województwie bardzo dużo wiemy. Mamy to w księgach”. W przeciwieństwie do Lipińskiego ofensywny, ale podobnie jak on lojalny. Ceniony za – jak nazwie to prezes – naturalny pęd do wiedzy; choć pochodzi z robotniczej rodziny, to dużo czyta i chętnie nadrabia kulturowe zaległości. Pochodzi z Sądecczyzny („człowiek z dobrej kultury galicyjskiej”), ale od lat mieszka w Szczecinie. Jest jedną z niewielu osób, którym po Smoleńsku udaje się namówić prezesa na wspólny urlop lub kolację w większym gronie. „Jest facetem, z którym lubię przebywać, lubię rozmawiać”.

Wojciech Jasiński – znajomy ze studiów. Gdy w czasach PC aparat atakował go za przynależność do PZPR, Jarosław odpowiadał: wy mi nie będzie przyjaciół wybierać. W epoce PiS jest jedną z niewielu osób, które opanowały system umiejętnego wchodzenia do gabinetu prezesa. Błąd popełnia ten, kto tego nie docenia. Jasiński, opowiada mi jeden z pracowników

biura PiS, porusza się po Nowogrodzkiej z dużym wycuciem i gracją. Rozbujanym krokiem wchodzi do sekretariatu, marynarka przerzucona przez ramię wisi na jednym palcu. Przespaceruje się, zajrzy do jednego pokoju, drugiego. Gdy kolejka interesantów jest długa, zakręci się na pięcie i wyjdzie. Jak jest luźno, to skorzysta z okazji i wskoczy. Ale kiedy jeden z szeregowych posłów spyta go, jak dostać się na rozmowę z prezesem, odpowie: na to nie ma rady, trzeba swoje odsiedzieć pod drzwiami.

Barbara Skrzypek – formalnie to tylko sekretarka, ale jak mówi mi polityk zasiadający we władzach PiS, można się bardzo pomylić. Dla kogo pani Basia, dla tego pani Basia, ale dla większości posłów to nawet nie pani Barbara, tylko pani dyrektor. Szalenie wpływowa. Odpowiada za kalendarz prezesa i to od niej zależy, czy interesant wejdzie na spotkanie od ręki czy będzie musiał czekać kilka tygodni. Z szefem rozumie się bez słów. Gdy ktoś popada w niełaskę, błyskawicznie to wyczuwa. Nie wpisuje go do terminarza i przestaje oddzwaniać.

Nieopodal sekretariatu, w którym urzęduje, mieści się biuro prezydialne partii. Skrzypek stoi na jego czele (stąd bierze się jej dyrektorski tytuł). To jedno z najważniejszych miejsc w partii. W specjalnym pokoju znajduje się cała korespondencja prezesa – Kaczyński przywiązuje dużą wagę do tradycyjnej poczty – oraz donosy od sympatyków i działaczy. Skargi i pisma są ułożone w porządku alfabetycznym – tak, żeby prezes w każdej chwili mógł sięgnąć po odpowiednią teczkę.

Barbara Skrzypek, słyszę od ludzi z PiS, nie jest zaangażowana ideologicznie. Darzy prezesa szacunkiem i sympatią, ale nie pojawia się na wiecach politycznych. Profesjonalnie wykonuje czynności urzędnicze między ósmą a siedemnastą i wychodzi do domu. Mimo to czasem potrafi pomóc. Karierę zawdzięczają jej Joachim Brudziński i zaufany eurodeputowany Tomasz Poręba – obaj zostali poleceni szefowi przez Skrzypek. Dzięki niej do prezesa swego czasu dochodzi też poseł Maks Kraczkowski. Z kolei syn pani Barbary otrzyma stanowisko w między-


narodowej grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której należy PiS.

Kaczyński poznał Skrzypek w Kancelarii Prezydenta za Lecha Wałęsy. Pani Barbara trafiła do państwowej administracji jeszcze w czasach PRL. W „Alfabcie” prezes powie, że w przeszłości była sekretarką Zbigniewa Messnera. Tadeusz Kopczyński przypomina sobie z kolei, że szef odziedziczył ją po gen. Michale Janiszewskim, który kierował urzędem za prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego. Gdy Kaczyński skłóci się z Wałęsą, Skrzypek niespodziewanie zapyta, czy może odejść razem z nim. Jarosław będzie zaskoczony, ale się zgodzi, mimo że niektórzy będą mu to odradzać.

Ówczesny urzędnik Kancelarii Prezydenta: – Mielśmy jeszcze wtedy linię wojskową sekretariacie. I kilka razy zauważyłem, że Basia przez nią rozmawia. Gdy mnie spostrzegła, peszyła się i odkładała słuchawkę. Powiedziałem o tym prezesowi, ale bagatelizował to. Mówił, że to pewnie jakieś prywatne rozmowy.

W „Alfabcie” Jarosław powie: „Basia Skrzypek pozostała przez lata moją sekretarką. Jest nią do dziś i sprawdza się znakomicie. Wytrwała przy mnie skądinąd w najtrudniejszych czasach”. Po Smoleńsku zaliczy ją do grona przyjaciół: „Teraz zostali przyjaciele, którzy są wspaniali, wspierający, niezwykle serdeczni. Jest pani Basia, przyjaciółka domu, jest pan Piotr, który kupuje karmę kotu Alikowi”.

A po śmierci mamy wyzna: „Człowiek, który stracił najbliższych, nie czuje się dobrze, ale jest wiele osób bardzo życzliwie do mnie nastawionych i nie jest prawdą, że nie mam się do kogo odezwać. A po śmierci mamy mój dom był pełen ludzi. Chorowałem, musiałem leżeć

**Gospodarskie wizyty przynoszą odprężenie. Objazd  
Polski powiatowej to stały element każdej kampanii.** 



– zapalenie płuc – i w domu ciągle ktoś był. Przyjechała Marta z dziećmi, Basia przyjeżdżała”.

Leonard Krasulski – człowiek z Elbląga, dla przyjaciół Lonia. Robotniczy nurt dawnej Solidarności. W dyskusjach o strategii odzywa się rzadko, ale kojarzy się z najprzyjemniejszym okresem w życiu: kampanią wyborczą w 1989 roku.

Ludwik Dorn – dobry analityk, ale antypatyczny. W czasach PC posłowie nie wpuszczają go na posiedzenia klubu parlamentarnego. Gdy Dorn ma kłopoty z kręgosłupem, Jarosław robi dla niego wyjątek i pozwala mu rozmawiać ze sobą na leżąco. Rozstanie z partią będzie burzliwe. Prezes najpierw oskarży go o nieplacenie alimentów, a później za to przeprosi.

Rok 2000, zebranie PC radzi nad zbliżającymi się wyborami prezydenckimi. Jarosław mówi, jakie są możliwości: możemy poprzeć Olszewskiego albo wystawić swojego kandydata. Leszek nie wystartuje, bo dopiero co został ministrem. Poza tym nie może stanąć przeciw Krzaklewskiemu, bo znów będą mówić, że rozbijamy prawicę. Ja też odpadam, bo jak Lech nie, to i ja nie. Zresztą, prezydentura jest nie dla mnie. Lipiński nie chce, w takim razie może Ludwik?

Dorn ku zaskoczeniu sali nie odmawia. Prezes pyta, czy ktoś chce się odnieść. Odzywa się prostolinijny działacz z Grójca Marek Suski. Twierdzi, że pod taką kandydaturę partia nie zgromadzi podpisów. Poza tym – dodaje szczerze – koledzy, którzy teraz milczą, mówili mi na stronie, że nie wyobrażają sobie startu Ludwika. Nazajutrz Suski zastanie biuro zakratowane i zamknięte na kłódkę. Gdy będzie chciał wysłać faks, Dorn wyśle go na pocztę. Gdy Suski pójdzie na skargę, prezes mu odpowie: – Dziwisz się? Przeciąłeś jego orle loty do prezydentury.

Przemysław Gosiewski – wierny żołnierz prezesa. „Potwornie energiczny, pracowity i inteligentny człowiek, który po prostu nie ucieka przed kamerami. Państwo myślą, że jego da się schować? Nawet gdyby został zamknięty w szafie pancерnej, to prawdopodobnie ruszyłby

razem z nią”. Jarosław często opowiada o nim taką historię: PC zamówiło kiedyś ulotki wyborcze z błędem. Nie było pieniędzy na druk nowych, więc Gosiewski zobowiązał się, że przerobi broszury własnym sumptem. W środku nocy przyjeżdżam do biura, a tam Przemek wraz z kilkunastoma starszymi paniami. Siedzą przy stole z nożyczkami i klejem.

W PiS Gosiewski zostaje oddelegowany w Świętokrzyskie. Dla prawnicy to trudny teren. „W Kieleckie Przemek jechał bez niczego, na pustynię. Tamtejsze PC było słabe (...). A potem zrobił rzecz niemożliwą: czerwone województwo przerobił na białe (...). Odbywał 10 spotkań w ciągu dnia”.

Jednak niewiele brakowało a Gosiewski nie dotrwałby do czasów PiS. Wspomina jeden z byłych działaczy: – Wchodzę kiedyś do biura, a Przemek siedzi siny z nerwów. Mówi, że prezes chce go wyrzucić z partii. Idę do Jarka i pytam, co się stało. A on mi na to: „Była u mnie Małgosia (była żona Gosiewskiego – M.K.) i mówi, że Przemek podczas rozwodu chciał jej zabrać lodówkę. Wiesz, tak nie można. W naszej sferze, jak coś się rozpada, to mężczyzna bierze walizkę i wychodzi”.

Od tej pory Gosiewski będzie czuł strach przed prezesem. – Gdy Jarosław wzywał go na Nowogrodzką, trzął się ze strachu, prawie skakał po ścianach. Reprimendę dostawał bardzo rzadko, więc przeważnie wracał cały w skowronkach. Jakby dziesięć kilo mu ubyło, poklepywał ludzi po plecach, szczebiotał – opowiada jeden z posłów.

„Lubił też dobrze zjeść i wypić, stąd nadwaga, która w przyszłości mogła być groźna dla jego zdrowia. Żył jednak krótko, o wiele za krótko – wspomni prezes. – Był dowodem nieprawdopodobnego triumfu woli nad ograniczeniami. Bo Bóg dał mu mnóstwo ograniczeń, ale on się tym w ogóle nie przejmował. Nawet poważne dolegliwości nie zatrzymywały go w najmniejszym stopniu. Przemek był towarzyski, wesoły. Tacy ludzie się niezwykle rzadko rodzą. Strasznie mi go żal”.

Marek Kuchciński – kiedyś był hipisem. Nosił ksywę Członek, bo przyszedł i powiedział, że chciałby się zapisać do hipisów na członka.

Jak do partii. Mimo że ma wykształcenie średnie policealne, to w PiS zalicza się go do grupy profesorskiej. Gdy dzwoni prezes, podnosi się z fotela i rozmawia na stojąco.

Marek Suski – realista. Nie przecenia roli swojej ani kolegów. O PiS mówi krótko: partia to prezes. Jak szef podejmuje decyzję, reszta ma wykonać. Suski, z zawodu technik teatralny, nie odstępuje szefa nawet w najchudszych czasach. Gdy PC jest na dnie, uczestniczy we wszystkich zebraniach nazywanych przez prezesa piwnymi spotkaniami integracyjnymi. W PiS buduje struktury w Radomiu, trudnym mieście z punktu widzenia prawicy. I – podobnie jak Gosiewski na Kielecczyźnie – robi to z sukcesami.

Żegnając się z PiS, Ludwik Dorn ogłosi: trwa epifenomenalizacja członków kierownictwa oraz intelektualno-kulturowa susłoizacja partii. I wyjaśni: „Zawsze uważałem, że ten typ mentalności i wrażliwości kulturowej, który uosabia poseł Marek Suski, ma, owszem, prawo być obecny w PiS, ale powinno się go traktować na zasadzie dobrodziejstwa inwentarza i nadmiernie nie eksponować, tak z powodów zasadniczych, jak taktycznych”.

Inny z moich rozmówców twierdzi z kolei, że Marek Suski jest dla PiS postacią emblematyczną. Raz – że jest niezwykle oddany (od wielu lat sprawuje funkcję rzecznika dyscypliny i, jak zgodnie twierdzą posłowie, wymierzanie kar w imieniu prezesa sprawia mu przyjemność). A dwa – że reprezentuje nurt plebejsko-patriotyczny (Suski stwierdził kiedyś, że z list PiS powinni kandydować „genetyczni patrioci”, czyli ludzie, których przodkowie walczyli o niepodległość Polski).

Karol Karski – myśl Suskiego, że partia to prezes, uzupełnia stwierdzeniem: Prawo i Sprawiedliwość jest szyldem, którego w swojej działalności politycznej aktualnie używa Kaczyński. Mieszka na Żoliborzu. Wracając z biura, Jarosław czasem podwozi go do domu.

Stanisław Kostrzewski – formalnie chyba nigdy nie zapisał się do PC, ale do zakonu można go zaliczyć. To jedyny człowiek, który trafia do



najwęższego otoczenia Jarosława przez brata. Kostrzewski – podobnie jak Jasiński były członek PZPR – poznał Lecha w Najwyższej Izbie Kontroli, gdzie zajmował stanowisko dyrektora organizacyjnego. Przyjaźni się z nim przez lata. Jest dla szefa tym, kim dla Jarosława jest pani Basia. Trzyma szefa Izby w ryzach i pilnuje dokumentów. A ma coś jeszcze: niesamowity talent do pieniędzy. Lech w latach 90. często się dziwi: – Staszek, jak to jest? Masz złotówkę, a wyjmujesz z niej dwie. Ja mam pięć złotych i nie zostaje mi nawet złotówka.

Kostrzewski swoich zasług się nie wypiera. Dawnej koleżance z NIK mówi kiedyś na przyjęciu: – Całe życie niosłem go na rękach.

Gdy powstaje PiS, zostaje skarbnikiem i zaczyna nieść drugiego z braci. Przed kampanią wyborczą w 2001 roku wpada na genialny pomysł. Partia jest bez grosza, ale przecież ma obiecujące sondaże i może je wykorzystać jako wirtualne zabezpieczenie kredytu. Żeby dodać sobie wiarygodności, idzie na posiedzenie komitetu kredytowego PKO BP w towarzystwie Lecha, ówczesnego ministra sprawiedliwości.

Ale bank żąda twardych gwarancji. Kostrzewski jest na to przygotowany – zawczasu uprzedził o takiej możliwości Jarosława – i proponuje, że do długu przystąpią najwierniejsi działacze PiS. Wniosą drugi rodzaj zabezpieczenia: swoje domy. To wciąż mało, brakuje gwarancji dla miliona złotych. Do tej części długu oddzielnie przystąpią trzy osoby: Jarosław Kaczyński, Stanisław Kostrzewski i jego żona.

Tym razem Kostrzewski przyjeżdża do banku z Jarosławem, którego pod wejściem zaczepia żebrak. Kaczyński klepie się marynarce – nie wziął portfela. Banknot podaje mu skarbnik. Godzinę później, już po podpisaniu umowy, prezes w tym samym miejscu uśmiecha się do skarbnika: – Jak nam się nie uda, to po tobie. Zabiorą ci majątek, nieruchomości. Ja się nie boję, bo mam tylko rower do zbijania wagi...

Gdy partia wprowadza się na Nowogrodzką, Kostrzewski dostaje skromny gabinet na drugim piętrze, nad sekretariatem prezesa. W poczekalni

zawsze ma kolejkę interesantów z fakturami do podpisania, na których – jeśli jest w dobrym nastroju – łąduje jedna z dwóch pieczętek: „skarbnik partii Prawo i Sprawiedliwość” albo „dyrektor generalny”. Szczupła postać o wyglądzie księgowego, która urzęduje za drzwiami, używa ich zamiennie. Terminy spotkań są umowne. Kto ma przyjść na jedenastą, wchodzi o trzynastej. Rejwach nie jest tu jednak przypadkowy. Gość na wstępie dostaje herbatę w szklance z uchem i słucha narzekań. Na partyjnych kolegów, brak pieniędzy, Platformę, która chce zabrać subwencję. Gdy następni w kolejce zaczynają się niecierpliwić, Kostrzewski dopiero przechodzi do meritum. Pod presją czasu goście są bardziej skorzy do negocjacji.

Jarosław nie zaprzyjaźnia się z Kostrzewskim tak jak brat, ale długo obdarza go zaufaniem (skarbnik odejdzie w 2014 roku w wyniku intrygi partyjnych konkurentów; jego miejsce zajmie Beata Szydło promowana przez Brudzińskiego). Chociaż czasem się na niego denerwuje. Raz na jakiś czas zwołuje kryzysowe narady, na których skarży się, że jest prezesem, a nie ma pojęcia, gdzie Staszek trzyma partyjne pieniądze.

Kostrzewski jest kimś w rodzaju ministra finansów na królewskim dworze. Pilnuje partyjnych funduszy, ale też zajmuje się prywatnymi wydatkami szefa. Odgaduje jego życiowe potrzeby i dyskretnie je zaspokaja. Pilnuje, by prezes godziwie zarobił na „Polsce naszych marzeń”, pomaga w opłaceniu nekrologów po Smoleńsku, rezerwuje restauracje, organizuje pożyczki na ratowanie mamy, spisuje umowy z pielęgniarkami, załatwia prawników, ochroniarzy. Wreszcie uczestniczy w organizacji stypy po śmierci pani Jadwigi. Gdy Jarosław czegoś potrzebuje, woła Staszka i prosi, żeby było załatwione. Nie wnika w szczegóły, wie, że skarbnik coś wymyśli.

– Kostrzewski przez lata roztaczał wokół siebie aurę człowieka, bez którego osobiste sprawy prezesa by się nie dopięły – mówi członek kierownictwa partii.

Inny się zastanawia: – Może szef miał tego dosyć i dlatego postanowił się go pozbyć?

Janina Goss – szara eminencja. Prawniczka, najważniejsza postać w łódzkim PiS, bardzo zaufana. Październik 2011, przy Nowogrodzkiej trwa narada, namawiają prezesa do odwołania Kostrzewskiego. – No, dobrze, ale kogo proponujecie w zamian?

Cisza.

– Aha – odzywa się Jarosław – to nowym skarbnikiem zostanie pani Janeczka.

Jęknęcie.

– W sumie Staszek nie jest najgorszy. Czy ktoś to kwestionował?

Prezes mawia, że Goss należy traktować z najwyższym szacunkiem ze względu na jej zasługi dla formacji, ale do jej pomysłów powinno się podchodzić z umiarem. Dlaczego? Bo gdyby to pani Janina decydowała o kształcie PiS, to w partii zostałyby dwie osoby: ona i on.

– Co to za zasługi?

– Goss w latach 90. z własnych pieniędzy opłacała partyjny lokal w Łodzi – mówi Czesław Telatycki, były działacz PiS, który blisko współpracował z panią Janiną. – W zamian nigdy nie domagała się żadnych zaszczytów. Prezes wiele razy proponował jej pierwszeństwo na liście do Sejmu, ale ona zawsze odmawiała.

– Ale do rady nadzorczej TVP weszła w 2006 roku – zauważam.

– Bo ją zmusili! Nie miała wyjścia, wszystko działo się bardzo szybko, w nocy. O godzinie 23 kazali jej wysłać list motywacyjny i cv. Wezwała mnie, żebym to za nią napisał i przefaksował, ale tak mnie zestresowała, że włożyłem papier złą stroną i przesłała się pusta kartka. Dopiero nasłuchałem się wyzwisk...

– Nie mogła tego zrobić sama?

– Nie umiała. To tradycjonalistka. Nie wiem, jak jest teraz, ale jeszcze kilka lat temu zbierała w partii składki w gotówce. Z telefonem komórkowym

też zapoznała się dopiero w telewizji. Ma bliskie, właściwie przyjacielskie relacje z prezesem, ale zdaje się, że nie jest z nim po imieniu. Kaczyński mówi do niej tak jak wszyscy: „pani Janino”.

– Podobno przyjaźniła się mamą prezesa.

– To prawda, czasem brała urlop i jeździła do niej nad morze.

– A dlaczego ludzie z partii się jej boją?

– To specyficzna osoba. Z jednej strony jest damą. Oczytana, chodzi w norkach, a z drugiej – bywa obcesowa. Krzysztof Kwiatkowski chciał się kiedyś z nią przywitać na jakiejś uroczystości. Wyciągnął rękę i z nią został. Nawet nie drgnęła. Jak ktoś jej nie pasuje, potrafi przyjąć od niego kwiaty na imieniny i demonstracyjnie wyrzucić je do śmietnika. O pewnej działaczce, która kiedyś jej się naraziła, mówiła nie inaczej niż „ta kurwa”. Jest bardzo zmienna. Do mnie czasem wrzeszczała przy ludziach: ty głupku! A czasem przywoziła mi czekoladki ze Szwajcarii albo wody kolońskie z Paryża. Posła Jarosława Jagiełłę uderzyła kiedyś w twarz otwartą dłonią.

– Szalona kobieta.

– Powiedziałbym, że ekscentryczna. Rano wychodzi z bloku i idzie na łąkę zbierać zioła. Potem suszy je w domu i bierze w nich kąpiele. Przyrządza różne mieszanki i przetwory. Jak kogoś lubi, to go nimi obdarowuje.

– A do prezesa jak się odnosi?

– Zdarza się, że na niego wrzaśnie, ale ogólnie jest w niego wpatrzona jak w obrazek. Troszczy się o niego. Poprawia mu krawat, czyści marynarkę.

– Coś do niego czuje?

– Myślę, że tak, widać to. Kobiety w otoczeniu prezesa traktuje jako rywalki. Miałem wrażenie, że tylko z Barbarą Skrzypek nie konkuruje.

– Prezes wie o jej uczuciu?

– Nie skraca z nią dystansu. Jakby się bał, że straci kontrolę nad tą relacją.

Michał Sobieszczański – kierowca. Zaczynał jako zmiennik pana Tadzia i człowiek od wszystkiego. Gdy PC przeniosło się na Zawojską,

wykonywał w biurze drobne prace wykończeniowe, zakładał hydraulikę. Po latach wiernej służby Jarosław oddeleguje go do zarządu Srebrnej, ale pan Michał szybko popadnie w konflikt z Janiną Goss, która będzie chciała oddelegować go do ekipy remontowej działającej w budynku spółki lub posadzić go w portierni. Sobieszczański odmówi. Gdy będzie odchodził, Jarosław opowie się po stronie Goss.

Jacek Cieślukowski – kierowca i asystent. Później radny Warszawy i członek władz spółek kontrolowanych przez Jarosława. Prezes przez lata odmawia założenia konta w banku; jego pensję w Kancelarii Sejmu będzie odbierał właśnie Cieślukowski.

Katarzyna Lubiak – sekretarka. Mimo młodego wieku, zdążył przejść przez PC. Jedna z niewielu osób potrafiących rozczytać odręczne notatki prezesa. Z jego woli zasiądzie w radzie nadzorczej jednej z partyjnych spółek.

Czy można powiedzieć, że zakon jest jednocześnie dworem? Gdy to pytanie zada Małgorzata Domagalik w 2009 roku, prezes zaprzeczy. I zasugeruje, że życzliwość otoczenia jest dla niego czymś w rodzaju zbroi. Chroni go przez złymi emocjami, które on, prezes, budzi poza partią.

„Wie pani – zwróci się do Domagalik – ja przychodzę rano do pracy, do mojego biura, tam są osoby, z którymi pracuję. To nie są osoby o znanych nazwiskach, ale dla mnie to są osoby niezmiernie ważne”.



Popołudniowe słońce. Maciej Zalewski ma na sobie dzinsy i bordową kurtkę. Na ramieniu niesie sportową torbę. Zamyka bramę aresztu na warszawskiej Białolece i bez słowa mija dziennikarzy. W kiosku kupi paczkę papierosów, gazetę i wsiądzie do taksówki. Jest lipiec 2006 roku, pełnia IV RP.

Zalewski przesiedział rok i trzy miesiące. Najpierw w areszcie śledczym na Służewcu, a potem w Oddziale Zewnętrznym Warszawa Bemowo

– lekkim, półotwartym zakładzie dla mężczyzn odbywających karę pozbawienia wolności po raz pierwszy. Więźniem był wzorowym. Pracował w bibliotece, uczył więźniów angielskiego, nie grypsował i nie wdawał się w awantury. W opinii wicedyrektora aresztu dał się poznać jako człowiek o dużej kulturze osobistej. Chętnie uczestniczył w zajęciach kulturalno-oświatowych, a o popełnionym przez siebie przestępstwie wypowiadał się krytycznie. Sąd wypuścił go przed terminem i przydzielił mu dozór.

Kurator sądowy zapisze, że podopieczny wrócił z więzienia do 170-metrowego dwupoziomowego mieszkania o wysokim standardzie i okazałej bibliotece. Rodzina jest z nim związana emocjonalnie, bez oznak patologii. Córka przebywa na studiach w San Francisco.

Maciej Zalewski, skonstatuje kurator, trapi tylko jedno: plama na życiorysie. „Po powrocie z zakładu karnego bardzo niechętnie gdzieś wychodził cały czas uważał, że wszyscy mówią tylko o jego karalności. Szczególnie w miejscu zamieszkania źle się czuł, bowiem w trakcie pobytu w zakładzie dzielnicowy przeprowadzał wywiad środowiskowy i sąsiedzi dowiedzieli się o jego karalności”.

Ludzie z Nowogrodzkiej mówią, że Zalewski po wyjściu na wolność często widuje się z prezesem. Na pewno chętnie przystąpiłby do PiS i uczestniczył w spotkaniach zakonu, ale wie, że byłby ciężarem. Przez odsiadkę. Na pocieszenie pozostanie mu świadomość, że starzy przyjaciele o nim nie zapomnieli. Kilka tygodni po opuszczeniu Białoleki obejmuje stanowisko konsultanta do spraw rozwoju w PKO Inwestycje. To spółka-córka państwowego banku, w którego władzach zasiada Sławomir Skrzypek, były działacz Porozumienia Centrum. Warunki są przyzwoite – umowa na czas nieokreślony, trzy czwarte etatu i 12,5 tysiąca złotych pensji.

Kurator sądowy stwierdzi: „Podopieczny prowadzi spokojny i unormowany tryb życia”.





**/ Nienawiść**



Styczeń 2006 roku, trzy miesiące po podwójnym zwycięstwie. Plan spin doktorów Michała Kamińskiego i Adama Bielana jest gotowy. Prezydent ogłosi przedterminowe wybory parlamentarne w specjalnym orędziu. Przemówienie zostanie nagrane zawczasu i wyemitowane w czasie, gdy Lech Kaczyński będzie siedzieć w samolocie lecącym do Waszyngtonu. Jeśli dziennikarze zechcą go spytać o konstytucyjność tej decyzji, oczywiście będą mogli to zrobić. Lech Kaczyński odpowie na wszystkie pytania podczas wizyty w Białym Domu, gdzie spotka się z prezydentem Stanów Zjednoczonych George'em Bushem.

Partia idzie na kolejną wojnę. Jeśli ją wygra – a wygra na pewno, w sondażach ma ponad 40 procent – zdobędzie większość w Sejmie i będzie rządzić samodzielnie przez całą kadencję. Gotowe są już billboardy i spoty telewizyjne. Twarzą kampanii, którą rozpoczną obchody stu dni rządu, ma być bijący rekordy popularności premier Kazimierz Marcinkiewicz. Plan dostał akceptację prezesa. Zostały już tylko dwa kroki – odrzucić budżet, rozwiązać parlament – i można zaczynać.

Sejm, sala posiedzeń. Marek Kotlinowski z Ligi Polskich Rodzin przejmuje prowadzenie obrad. Marek Jurek żąda zwrotu łaski marszałkowskiej, ale nie zostaje wpuszczony na trybunę. Prezes woła szefa LPR Romana Giertycha na rozmowę.

– To, co robicie, to zamach stanu. Pan idzie do więzienia na 10 lat, Kotlinowski – na 15. Będą wybory i zajmie się wami prokurator.

– Żadnych wyborów nie będzie. Jeżeli się nie dogadamy, to jutro powołujemy naszego Marszałka Sejmu i przyjmujemy budżet.

– Wybory będą, bo prezydent rozwiąże parlament.

– Nie będzie, bo po wyborze marszałka przegłosujemy zmianę premiera, przejmujemy monitor rządowy i nie dopuścimy do wydrukowania nielegalnego dekretu prezydenta. Prezydent trafi przed Trybunał Stanu za złamanie konstytucji.

Prezes wychodzi zadzwonić do brata. Wróci po 20 minutach i stwierdzi, że polityczny kryzys nie służy wizerunkowi Polski za granicą, bo o awanturze na czerwonym pasku informuje już nawet BBC. Ustąpi. Na razie tylko taktycznie.

Mija jednak kilka dni i naprawdę każe się ze wszystkiego wycofać. Skasować projekt billboardów i wstrzymać zakup czasu reklamowego w stacjach telewizyjnych. Wyborów nie będzie. Zamiast nich powstanie pakt stabilizacyjny z Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną.

– Chodziło o brata? Prezes się przestraszył, że prezydent stanie przed Trybunałem?

– Groźby Giertycha mogły mieć znaczenie, ale nie decydujące – twierdzi jeden z uczestników spotkania, na którym zarządono w tył zwrot. – Jarosław później podawał różne powody tej decyzji. Mówił na przykład, że Kościół nie chce wyborów. Innym razem twierdził, że Giertych w obecności biskupa klęknął przed nim i przysiągł, że będzie lojalny. Prawdziwy powód był jednak inny. Dzień przed zmianą decyzji nastraszyli go, że przyspieszone wybory to podstęp. Że chodzi o wypromowanie Marcinkiewicza i przejęcie kontroli nad partią.

– Skąd pan to wie?

– Bo sam słyszałem, jak oskarżył o to spin doktorów.

Taką wersję rok później przedstawi też sam Marcinkiewicz w wywiadzie-rzece „Kulisy władzy”. Powie, że troska o brata miała znaczenie, ale na pierwszym miejscu wymieni strach prezesa o to, że sytuacja wymknie

mu się spod kontroli. „Nowa kampania wzmocniłaby mnie – przyzna były premier. – To ja bym ją prowadził, byłbym jej głównym podmiotem, ale w ostateczności to premier rządu wygrałby takie wybory. Wtedy już byłbym (...) rzeczywistym premierem rządu, jakby nie z nadania tylko z wyboru (...). Z nową legitymacją i z gwarancją czterech lat rządzenia”.

A Bielan w wywiadzie z Torąską uzupełni: „Sondaże wskazywały, że kolejne wybory wygrałobyśmy z lepszym wynikiem niż poprzednie. Jarosław przyznał nam rację i zlecił przygotowanie kampanii. Przyszedł do niego wówczas Andrzej Urbański, szef Kancelarii Prezydenta, i zapytał: »Jarek, czy wiesz, kto wygra te wybory?«. »No, PiS« – odpowiedział prezes. »Nie – rzekł Urbański – wybory wygra premier Marcinkiewicz, nie ty«”.

Czasy są nowe, ale Jarosław pozostał ten sam. Tak jak w czasach PC, będąc na politycznym dnie, bał się o swoje przywództwo, tak samo jest teraz, gdy z gabinetu na Nowogrodzkiej pociąga za sznurki w głównych gmachach kraju. A kiedy dwa lata później przejdzie do opozycji, przestraszy się jeszcze bardziej. Bo będzie wiedział, że odpowiedzialność za utratę władzy spoczywa na nim w dwójnasób. Gdyby wtedy, w 2006 roku, zdecydował się na przedterminowe wybory, PiS mogłoby rządzić długo i niepodzielnie. To, że tego nie zrobił, było błędem. Największym w jego karierze – jak później przyzna w wywiadzie.

Druga część odpowiedzialności to wieczór 12 października 2007 roku. W politycznej biografii Jarosława to data równie ważna, co 15 października 1990 roku. Tylko skutki są odwrotne: podczas starcia z Michnikiem Kaczyński zbudował się jako przywódca, a teraz się lekko osunie.

Debata z Donaldem Tuskiem przede wszystkim miało nie być. Plan zakładał, że Jarosław odmówi spotkania z liderem Platformy i poprzestanie na pojedynku z Aleksandrem Kwaśniewskim. Były prezydent jednak nie spodziewanie zgodził się na starcie z Tuskiem i tym samym postawił prezesa przed trudnym wyborem. Unikać debaty to narazić się na zarzut tchórzostwa. Zgodzić się to zaryzykować porażkę. Ostatecznie zdecydował się na to drugie.

– Jeżeli Donald Tusk wysłał mi te dwa miecze, to nie odmówię. Niech ta wojna będzie także wojną bezpośrednią.

Osiem dni przed debatą Tusk jest jeszcze w fatalnej formie. Zdecydowanym faworytem wydaje się Kaczyński.

– Nikt z nas nie mówił tego głośno, ale wszyscy czuliśmy, że Kaczyński posprząta Donalda – wspomina polityk PO.

W sztabie Tuska powstaje zespół, który ma przygotować szefa Platformy do debaty. Zadania zostają podzielone między kilka osób. Główny ciężar przygotowań spoczywa na doradcy do spraw wizerunku Adamie Łaszynie, który podczas treningów wcielił się w rolę Kaczyńskiego. Poseł Sławomir Nowak i Grzegorz Szymański, współpracownik Łaszyna, odpowiadają za *research* opracowany w formie prostych pytań i odpowiedzi. Typu: co to jest bilans energetyczny państwa? Ile wynosi deficyt budżetowy? Ich skrypt będzie ważny, bo Tusk ma wizerunek polityka w krótkich spodenkach, który nigdy nie pełnił znaczących funkcji państwowych. Kaczyński – sądzą sztabowcy PO – będzie chciał wzmocnić ten stereotyp.

Doradca partii Maciej Grabowski zajmie się sondażami, a przyjaciele Grzegorz Schetyński i Mirosław Drzewiecki mają dbać o dobre samopoczucie przewodniczącego. Przy zespole pracuje jeszcze asystent Piotr Targiński, były model. Do niego będzie należeć dobór stroju na debatę i umawianie masażu (szef PO od lat cierpi na problemy z kręgosłupem, które dają o sobie znać w chwilach wzmożonego napięcia).

W trakcie treningów w Tusku zachodzi metamorfoza. Na początku padają pomysły, by zatrudnić psychoterapeutę, który odbudowałby jego morale. Jednak z każdą sesją Tusk staje się pewniejszy i nabiera luzu. Uczy się skryptu i przyswaja sobie grepsy, które wykorzysta podczas debaty. Takie jak ten o braku prawa jazdy Kaczyńskiego, o cenach kurczaków i ziemniaków. Oraz o zarobkach pielęgniarki ze Skarżyska-Kamiennej i pistolecie, którym straszyl go kiedyś Jarosław.

Prezes przygotowuje się do debaty z trzema osobami: Bielanem, Kamińskim i sztabowcem S.

Mówi ten ostatni: – Szeff od początku zachowywał się dziwnie. Zgodził się na tę debatę, ale widać było, że jej nie chce. Perspektywa spotkania z Tuskiem źle go nastrajała, jakby się jej bał. Nakłaniany do przygotowań wyglądał na człowieka, któremu ktoś wykręca rękę.

Z rozpoczęciem treningów jest też problem logistyczny. W połowie kampanii prezes kazał sobie zorganizować serię wyjazdów w teren. Spin doktorzy wymyślili, że objedzie Polskę powiatową i będzie występować na kameralnych miejskich rynkach, na których będą go witać tłumy. Plan podróży jest napięty i koliduje z przygotowaniami. Jeszcze dzień przed debatą Jarosław marznie w podtarnowskich Ciężkowicach i do zmęczenia dochodzi przeziębienie.

Pierwsza sesja odbywa się popołudniu 11 października, zaraz po powrocie z trasy. Jarosław, wówczas urzędujący premier, zaprasza spin doktorów do rządowej willi na Parkowej: w rolę Tuska wciela się Kamiński, Bielan przygląda się treningowi z boku, a S. siedzi z laptopem i robi notatki.

S. wspomina: – Podczas jednego ze sparingów prezes użył przysłowia: złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma. Prosiłiśmy, żeby nie robił tego podczas debaty, bo to anachronizm i mało kto to zrozumie. Było też dla nas oczywiste, że Tusk będzie chciał sportretować Kaczyńskiego jako człowieka oderwanego od rzeczywistości. Michał Kamiński przewidział nawet kilka konkretnych zaczepk.

Jedną z nich jest sprawa braku prawa jazdy. Zgodnie z zaleceniem spin doktorów premier ma na tę uwagę odpowiedzieć tak: „Rzeczywiście nie mam prawa jazdy, ale słyszałem, że pan świetnie prowadzi. Dlatego proponuję, żeby przez najbliższe cztery lata jeździł pan ze mną jako kierowca”. Podczas treningów pojawia się też kwestia cen podstawowych produktów – to pytanie też udaje się przewidzieć.

Biura partii to odrębny świat z własnymi zasadami.  
Prezes czuje się tu swobodnie.





Spotkanie kończy się późnym wieczorem. Spin doktorzy rozjeżdżają się do domów, a S. udaje się na Nowogrodzką. Ma wydrukować protokół spotkania wraz z trzema kolorowymi kartkami, które prezes spakuje do niebieskiej teczki i zabierze ze sobą na debatę. Na żółtej kartce S. wypisuje pytania do szefa Platformy, na niebieskiej – ceny produktów, a na zielonej – nazwiska graczy reprezentacji Polski. Na wypadek, gdyby Tusk, znany z piłkarskich zamilowań, chciał przeegzaminować prezesa z wiedzy sportowej. Kiedy S. wróci na Parkową z wydrukami, Kaczyński będzie w trakcie kolejnego spotkania. Na kolorowe kartki ledwo spojrzy.

Spin doktorzy widzą, że Kaczyński jest przemęczony. Proszą więc, by następnego dnia dobrze się wyspał.

Mimo że kalendarz ma wyczyszczony i mógłby wstać nawet o jedenastej, to już o wpół do dziewiątej dzwoni do Bielana i każe przyjeżdżać do Kancelarii Premiera. Spin doktorzy uważają, że to zły znak, bo prezes kładzie się spać późno, nawet o drugiej–trzeciej, co oznacza, że tej nocy mógł mieć góra pięć godzin snu. Przygotowania do debaty trwają od rana do popołudnia. O szesnastej prezes ma jeszcze się zdrzemnąć, ale znów nie zmruży oka. To drugi zły omen.

Wspomina jeden z byłych polityków PiS: – Dzień przed debatą CBA miało ujawnić filmy, na których posłanka PO Beata Sawicka bierze łąpówki. Te nagrania rozłożyłyby Tuska psychicznie. Niestety, prokuratura nie wydała na czas odpowiedniej zgody i plan spalił na panewce.

Filmy z Sawicką zostaną pokazane dopiero cztery dni po debacie.

Do studia przy ul. Woronicza ekipa Platformy przyjeżdża prosto z biura krajowego partii mieszczącego się w pobliżu placu Konstytucji. Podróż odbywa się dwoma samochodami. Audi Drzewieckiego wypełnia się do ostatniego miejsca. Poza właścicielem jadą nim: Schetyna, Nowak, Grabowski i Targiński. Drugi samochód jest sejmowy. Tusk podróżuje nim w pojedynkę, wiezie go wieloletni kierowca Marek Bąbel. Oba auta zajeżdżają pod budynek telewizji od tyłu, obawiając się, że



od frontu będzie ich oczekiwać komitet powitalny wystawiony przez młodzieżówkę PiS.

Tusk jest spokojny. Rano był na Śląsku, ale sprawia wrażenie wypoczętego i pewnego siebie. Podczas malowania żartuje z makijażystką.

Prezesowi tego wieczoru będą towarzyszyć: Bielan i sztabowiec S. Kamiński, obejrzy debatę w gmachu MSZ przy ul. Szucha, u zaprzyjaźnionego wiceministra Andrzeja Sadosia. Po przyjeździe na Woronicza Jarosław wygląda źle. Ma podkrążone oczy, czoło wilgotne od potu, a w dłoni kurczowo ściska niebieską teczkę. W charakteryzatorni ostatnich wskazówek udziela mu Bielan. Po losowaniu wiadomo, że premier będzie odpowiadać jako pierwszy. Powinien więc przywitać Tuska i przejąć rolę gospodarza. Gdy Bielan mu o tym przypomni, Jarosław się zachnie.

– Ile jeszcze razy będzie pan to powtarzać? Nie jestem sklerotykiem, pamiętam, co mam robić.

Dochodzi dwudziesta. Studio, w którym widownia Platformy jeszcze kilka minut temu przeprowadzała próbę generalną powitania swojego lidera: „Do-nald Tusk! Do-nald Tusk!”, jest wyciemnione. Jarosław – już w pełnym rynsztunku. Polakierowane włosy, upudrowana twarz. W drodze z garderoby Bielan przygotowuje go na najgorsze.

– Tusk przed wejściem na wizję może szepnąć coś panu do ucha. Może nawet coś o bracie albo o mamie, musi pan spodziewać się najgorszego.

Prezes milczy. Tuska zobaczy tuż przed wejściem do studia. Uścisk dłoni, kurtuazyjna wymiana zdań. Szef Platformy jest ubrany tak samo jak on: czarny garnitur, biała koszula, czerwony krawat. Jarosława odróżnia tylko poszetka wystająca z kieszeni marynarki.

Porażka będzie wyraźna. Jarosław od początku jest rozkojarzony, nie reaguje na zaczepkę dotyczącą prawa jazdy, myli ceny produktów i miesza własne pytania. Z niebieskiej teczki właściwie nie korzysta. I jeszcze powtarza przysłowie o Kozaku i Tatarzynie. Jedynym punktem planu,

który wykonuje, jest pytanie: „Jak mam do pana mówić? Donaldku, Donaldusiu?”. Do zwycięstwa to jednak nie wystarczy.

Mówi polityk PiS, który tego wieczoru siedział na widowni w studiu: – Jest taki moment na początku debaty, kiedy Kaczyński wyjmuje okulary z etui i przymierza się do teczki, ale nagle zastyga! Zamiast założyć okulary, przez kilkanaście minut peroruje, trzymając je w ręku. Jest tak spięty, że całkiem o nich zapomina. Sparaliżowała go publiczność ściągnięta przez Platformę. Kiedy prezes sięga po okulary, któryś z widzów wrzeszczy: „Kaczor, nie ściągaaj!”. Później padają okrzyki: „Dziadul!”, „Do Samoobrony!”, „A co z Lepperem?”. Jarosława to deprymuje. Nie dość, że szczeniaki mu przerywają, to jeszcze drą się do niego po imieniu.

Kiedy debata się kończy, Kamiński ze złości bije pięściami w ścianę gabinetu Sadosia. A gdy późnym wieczorem pojedzie na Nowogrodzką, prezes na widok jego miny zapyta: – Aż tak źle było?

Dwa dni po debacie PiS organizuje wielką konwencję w Katowicach, na którą przyjeżdża siedem tysięcy ludzi. Impreza ma być zwieńczeniem kampanii, ale Jarosław się na niej nie pojawia. Oficjalnie – przez chorobę.

– Jarosław może i był podziębiony, ale nie czuł się na tyle źle, by nie móc wystąpić – opowiada były współpracownik braci. – Pamiętam, co powiedział mi wtedy prezydent: „Jarek po tej porażce nie może spojrzeć partii w oczy. To koniec, szczęście nas opuściło”.

Porażka z Tuskiem boli, bo Jarosław przez lata nim gardził.

Mówi polityk PiS: – Twierdził, że to chłoptaş, nie polityk. Powtarzał, że w latach 80., gdy jego żona z synkiem gnieździli się w akademiku, on przepuszczał pieniądze z kolegami na imprezach. Po upadku komuny to samo. Balangi, alkohol, piłeczka. Polityka daleko w tyle. Kiedy przyszło podwójne zwycięstwo w 2005 roku, Jarosław uważał się za ostatniego Mohikanina. Wałęsa i Kwaśniewski, z którymi się porównywał, byli już poza grą, został tylko on. Rozsmakowywał się w tym triumfie. To, że zespuł mu to Tusk, było najgorszym upokorzeniem. Przecież to nikt poważny,

zwykły pętał i leń. Wyrósł spod ziemi i wszystko podeptał. Zaczął go brutalnie uderzać, odebrał władzę, poniżał Leszka.

Gdy Tusk przejmie władzę, upokorzenie zamieni się w nienawiść. Szef Platformy będzie ją zresztą umiejętnie podsycać.

Marzec 2008 roku, rezydencja prezydenta na Helu. Miało być krótkie spotkanie, a mija już trzecia godzina. Lech Kaczyński i Tusk cały czas siedzą zamknięci. Kiedy na stole łąduje druga butelka czerwonego wina, podnoszą się z miejsc i wpadają sobie w ramiona. Atmosferę mąci krótki telefon od Jarosława. Prezes opowie później o nim w mediach. „Zadzwoiłem i okazało się, że rozmowy jeszcze trwają. Brat powiedział do mnie: »Pan premier tu jeszcze jest«, a wtedy usłyszałem: »Potwór dzwoni«. Tego nie mówił mój brat”.

Po 10 kwietnia 2010 roku porachunek z Tuskiem staje się sprawą osobistą. Chodzi już nie tylko o rewanz za serię dotkliwych porażek, ale o pomszczenie Lecha. W jednym z posmoleńskich wywiadów Jarosław ciurkiem wymieni wszystkie inwektywy Platformy pod adresem jego, brata i partii: bydło, wataha, dewianci, chamy... I zaznaczy: „Najwięcej zasług w dziedzinie obelżywych kampanii położył Tusk”. A kiedy indziej zapowie, jaka kara go za to spotka: „Będzie się za te ataki gotował w piekle w smole”.



**/ Dwie natury**

Późnego Jarosława – podobnie jak tego wczesnego – łatwo podpuścić, sprowadzić na manowce, zmanipulować.

Sejm, 18 września 2003 roku. Na sali plenarnej trwa debata dotycząca traktatu konstytucyjnego Unii Europejskiej. Głos zabiera Jarosław Kaczyński. Kompetentnie odnosi się do kwestii ustrojowych wspólnoty, omawia konkretne przepisy, sypie nazwiskami europejskich myślicieli i polityków. Wystąpienie jest merytoryczne i robi dobre wrażenie, ale pod koniec przemówienia prezes nieoczekiwanie atakuje ówczesnego premiera Portugalii José Manuela Barroso.

– Już się nas bezczelnie szantażuje: nie zgodzicie się, to odpadniecie od stolika. To premier Portugalii, który tutaj wyraźnie pracuje na jakies zlecenie – stwierdza.

Słowa trafiają do sejmowego stenogramu. W Polsce przechodzą bez echa, ale docierają do Portugalii. Kilka tygodni po posiedzeniu Sejmu rzecznik prasowy PiS Adam Bielan odbiera telefon od dziennikarza portugalskiej agencji prasowej Lusa, który chce wiedzieć, co prezes miał na myśli. W jaki sposób Barroso szantażuje Polskę i na czyje zlecenie pracuje?

Bielan obiecuje, że to sprawdzi. Idzie do prezesa i pokazuje mu fragment sejmowego stenogramu. Kaczyński przegląda tekst i szczerze przyznaje: – Naimski mi tak powiedział.

Sześć lat później dochodzi do niemal identycznej sytuacji. Prezes wizytuje Ostrołękę. W trakcie dyskusji o tym, czy Polska powinna przystąpić

do strefy euro, jeden z mieszkańców dzieli się niecodzienną obserwacją. Jak twierdzi, Słowacja od czasu przyjęcia wspólnej waluty przeżywa ciężki kryzys. Jest tak źle, że ludzie przestali tam palić wieczorami światła w domach. Mężczyzna miał się o tym przekonać na własne oczy, lecąc niedawno samolotem na urlop. Zauważył, że Polska jest w nocy rozświetlona, a Słowacja wygląda jak czarna dziura.

Opowieść najwidoczniej trafia prezesowi do przekonania, bo dwa dni później podczas konferencji prasowej na Nowogrodzkiej Jarosław użyje jej jako argumentu przeciwko euro. – Niektórzy odwołują się do Słowacji – powie. – To proszę, można pojechać tam z polskimi złotówkami i zobaczyć, gdzie można za nie więcej kupić. Można pojechać także z euro i też to sprawdzić. Można też się przyjrzeć, jak się leci samolotem. Z powietrza widać, ile tam się świateł pali w porównaniu z Polską.

Jeszcze dwie historie, które opowiada mi R.; spinają one klamrą dziewięcioletni okres jego współpracy z PiS.

Sytuacja pierwsza: R. trafia na Nowogrodzką w 2003 roku, zaczyna jako szeregowy pracownik. Po kilkunastu miesiącach wzywa go prezes, pokazuje plik dokumentów i mówi, że to koniec współpracy. – Doszły mnie słuchy, że jest pan agresywny, także wobec pań. Podobno trenuje pan sztuki walki, nawet z oczu źle panu patrzy...

Gdy prezes wyjdzie do telefonu, R. zagląda do papierów. Na wierzchu sterty leży donos napisany przez działacza młodzieżówki, a w nim cała historia rzekomej agresji i znajomości sztuk walki.

Ostatecznie staje na tym, że R. może zostać, ale warunkowo. Musi przygotować pismo, w którym odniesie się do zarzutów. Notatka będzie liczyć sześć stron. R. opisze w nim swoją sytuację osobistą – zaręczyny, oczekiwanie na ślub. Wyjaśni nieporozumienie iłoży raport o sytuacji w biurze. A dla siebie wyciągnie z tej sytuacji naukę: prezes lubi wiedzieć, co się dzieje w jego otoczeniu i łatwo daje wiarę plotkom.

Sytuacja druga: styczeń 2012 roku, na aukcji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy wystawiono pióro, którym Lech Kaczyński ratyfikował Traktat Lizboński. Kupić chce je były poseł Samoobrony Piotr Misztal, milioner, który majątku dorobił się na produkcji cementu. R. w tym czasie jest już dyrektorem i prowadzi dobrze prosperującą firmę. Mówi, że nie godzi się, by pamiątka po prezydencie trafiła w takie ręce, i deklaruje, że stanie do aukcji. Wylicytuje pióro za 30 300 zł.

Odebrawszy je od Jerzego Owsiaaka, R. jedzie na Nowogrodzką pochwalić się prezesowi. Jednak zanim wyciągnie czarny futerał ozdobiony logotypem marki Stipula, odezwie się prezes.

– Jeśli nie przestaniesz pan szkodzić osobie, na której nam zależy, to się pana pozbędziemy.

– Ale komu szkodzić?

– Pan już dobrze wie, komu.

R. sporządza notatkę z rozmowy, zanosi ją Kostrzewskiemu i mówi, że odchodzi. Ma dosyć. Słyszy, że ma iść na kawę i ochłonąć. Kostrzewski zagląda w tym czasie do Jarosława, któremu – jak się okazuje – chodziło o pracownicę z drugiego piętra. Dziewczyna, nazwijmy ją Anią, z wykształcenia jest socjologiem, a w partii odpowiada za projekty internetowe. Pozycję w biurze zawdzięcza temu, że przed wystąpieniami nakłada prezesowi makijaż. Podczas malowania dzieli się z nim swoimi pomysłami i opowiada o tym, co dzieje się w biurze. Gdy przed jedną z konferencji do malowania zgłosi się jej koleżanka, Ania schowa kuferek z kosmetykami i powie, że nie pozwoli się odsunąć od prezesa.

Ania w 2011 roku kandyduje do Sejmu. Ma wysokie miejsca na liście i dostaje od partii pieniądze na billboardy. Mandat poselski przegrywa jednak o włos i po wyborach musi wrócić do dawnych obowiązków. Jednym z jej pierwszych zadań jest protokołowanie wyjazdowego posiedzenia rady politycznej PiS w Pułtusku.





– Tak się złożyło – wspomina R. – że siedziałem na sali za jej plecami. Patrząc, a Ania nie notuje, tylko rysuje na kartce szlaczki. Kiedy głos zabiera prezes, wzorki się zagęszczają, a gdy przychodzi do podsumowania kampanii i udziału młodych ludzi, którzy w niej debiutowali, długopis zatacza na papierze nerwowe kółka. Po posiedzeniu zwróciłem jej uwagę, że wybory się skończyły, rozumiem jej zawód, ale tak nie można. No, i poszła na skargę, a prezes jak zwykle we wszystko uwierzył.

– I co się z panem stało?

– Nic. Zgodnie z zapowiedzią złożyłem wypowiedzenie.

Jarosław nigdy nie ukrywał, skąd pochodzą informacje, na podstawie których podejmuje decyzje i formułuje ostre oceny. W 2010 roku ówczesny redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” Paweł Lisicki napisze, że szef PiS, broniąc krzyża pod Pałacem Prezydenckim, w istocie wspiera powstanie antyklerykalnej lewicy, wywołując efekt wahadła. Prezes odpowie mu wywiadem dla partyjnego portalu: „Pewni ludzie, głoszą mocno idee katolickie, a mają czasem duże kłopoty z wcielaniem ich we własnym życiu”. Później wyjaśni, że na temat Lisickiego „zaciągnął języka i teraz wie więcej”.

Mieszanie porządków zdarza się Kaczyńskiemu często. Publicystykę ocenia przez pryzmat spraw osobistych autora, a do intencji politycznych partyjnych konkurentów przykłada zupełnie nieadekwatne miary. Zdarzy się, że wiceprezesowi partii Zbigniewowi Ziobrze zwróci kiedyś uwagę, że jego chód jest zbyt pewny.

Opowiadając o swoich relacjach z Geremkiem, Jarosław mówił, że nie znosi tańczyć wokół innych. Nie przeszkadza mu jednak, gdy to inni nadskakują jemu.

**Jarosław mawia, że gdyby o kształcie PiS decydowała Janina Goss, w partii zostałyby dwie osoby: ona i on.**

Styczeń 2010 roku, prezes z grupą współpracowników gości w podwarszawskiej willi Michała i Anny Kamińskich. Pani domu podaje do stołu, a gospodarz pokazuje szefowi dom. – Panie prezesie, to, co pan tu widzi... – omiata ruchem ręki salon. – Cały ten dom, szkoła córek, to wszystko jest dzięki panu. Prawda, Aniu? Powiedz panu prezesowi, że zawsze to podkreślam.

Mówi były polityk PiS: – Współpracowałem z Jarosławem wiele lat i zabrzmi to nieskromnie, ale byłem jedną z niewielu osób mających klucz do jego sposobu myślenia. Na wstępie trzeba sobie powiedzieć, że prezes nie wierzy w bezinteresowność w polityce. Dlatego, przychodząc do niego z jakąś propozycją, nawet najszczerzą, należy zasygnalizować, że chce się czegoś w zamian. Ale nie wprost, prezes musi wylapać to sam. I powinno to być coś drobnego, bo gdy interes był zbyt ordynarny i dochodowy, zniechęci się i utnie rozmowę. Podam przykład. Wiele lat temu zaferowałem mu swoje usługi w kampanii samorządowej. Uważałem, że mam dobre pomysły i chciałem się sprawdzić. Mimo że niczego nie oczekiwałem, to wykorzystałem swoją metodę. Leciutko zasugerowałem, że w razie zwycięstwa moja żona, wówczas bezrobotna, mogłaby dostać jakąś urzędniczą posadę. Prezes szybko podłapał i sam wyszedł z konkretną propozycją. Gdy wybory poszły po naszej myśli, natychmiast postanowił wywiązać się z umowy. Żona już wtedy nie chciała pracować w administracji, ale on uznał doprowadzenie do jej zatrudnienia za punkt honoru i nie było wyjścia.

To paradoks. Jarosław polityk działa brutalnie i idzie po trupach, ale Jarosław człowiek ma miękkie serce i zawsze dotrzymuje słowa. Jest wciąż egalitarny. Regułą jest na przykład, że faworyzuje szeregowych pracowników biura, a w szczególności pracownice. W taki sposób można zresztą spojrzeć na historię R. i makijażystki Ani – prezes interweniował, bo miał przeświadczenie, że dziewczyna pada ofiarą mobbingu. W PiS wszystkie kobiety mają taryfę ulgową. Gdy Jarosław przychodzi rano do pracy,

nie ma takiej możliwości, żeby na powitanie nie pocałował w rękę pani Elżbiety, partyjnej sprzątaczkii. Ale gdy drzwi się zamkną, w obecności współpracowników upokorzy młodego polityka, stwierdzając, że co rano znajduje go leżącego z kotem na wycieraczkce. Albo stanie przed klubem parlamentarnym i ze śmiechem ogłosi: – Czujne organa bezpieczeństwa partii i bohaterski komitet polityczny zapobiegły spiskowi, wyrzucając ze swoich szeregów gada Zbigniewa Ziobrę oraz dwa płazy Jacka Kurskiego i Tadeusza Cymańskiego.

Tę twarz znają wszyscy. Druga natura Kaczyńskiego jest jej zaprzeczeniem, ale mało kto o niej wie, bo prezes nie pokazuje jej publicznie. Kilka lat temu do partii przychodzi list od wdowy, która odziedziczyła po mężu rolniku niespłacony siewnik. Kobieta nie miała na spłatę maszyny i popadła w długi.

– Jarosław oddał jej część poselskiej pensji. Zrobił to prywatnie, z potrzeby serca, nigdy się tym nie chwalił. W biurze wiedziało o tym kilka osób – wspomina jeden z pracowników Nowogrodzkiej.

Inny opowiada: – Po Smoleńsku naszą siedzibę zaczęła nachodzić kobieta występująca wśród obrońców krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Prezes ją przyjął, wysłuchał narzekania i dał jej kilkaset złotych. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkukrotnie, ale po którejś z wizyt szef zorientował się, że kobieta ma problemy psychiczne. Delikatnie zaproponował jej pomoc w uzyskaniu miejsca w odpowiednim ośrodku. Pani się obruszyła, więc znów sięgnął do kieszeni. A swoją drogą, zna pan historię jego kontaktów z panią Barbarą?

Barbara Kontraktowicz od lat opiekuje się w Warszawie bezpańskimi zwierzętami. Roznosi karmę po wszystkich dzielnicach, wyciąga kociaki zabarykadowane w piwnicach, wozi je do weterynarzy.

– Nie wszystkim moja działalność się podoba – mówi mi pani Barbara. – Ludzie wyzywają mnie od wariatek, biją, oblewają wodą. Czasem lecą kamienie, pomidory, kartofle. Gdy kilkanaście lat temu po raz pierwszy

poszłam na Nowogrodzką i opowiedziałam o tym, co mnie spotyka, pan Jarosław chodził po całym gabinecie i powtarzał: „Straszne, straszne. Jak pani to znosi?”.

– Pomógł pani jakoś?

– Oczywiście. Wysyłał pisma do prokuratury, interweniował.

– A finansowo?

– Oczywiście. Zapowiedział, że będzie pomagać mi spółka Srebrna. Przez lata dostawałam stamtąd dwa tysiące złotych miesięcznie – na karmę dla zwierząt, weterynarzy. Na początku nie mieli tam do mnie zaufania i chcieli sami kupować pokarm, ale potem się przekonali, że nie kradnę, i zaczęli dawać pieniądze, którymi mogę rozporządzać według potrzeb zwierzątek. Niestety, jakiś czas temu w spółce pojawiła się pani Goss, która ograniczyła mi te środki o połowę. A tysiąc złotych to, proszę pana, jest mało, ledwo starcza kociakom na tydzień. Ja mam do obrobienia całe miasto, wszystkie dzielnice. Na szczęście prezes wspiera mnie jeszcze prywatnie. Raz na trzy miesiące daje mi tysiąc złotych.

/



**/ Samotność**

Po śmierci brata zostało niespełnione marzenie o wspólnym życiu, po mamie – pusty dom z książkami. Dziś prezes jest sam. Część moich rozmówców twierdzi, że jego drugą rodziną jest partia. To przesada, choć z pewnością można powiedzieć, że biuro na Nowogrodzkiej jest drugim domem. Gdyby to zliczyć, okazałoby się, że Jarosław spędza w nim więcej czasu niż na Żoliborzu.

Opowiada jeden z kontrahentów partii, człowiek niezwiązany z polityką: – Nowogrodzka to odrębny świat z własnymi zasadami. Ludzie z drugiego piętra nie zaglądną na pierwsze. Nikt im nie zabronił, ale każdy wie, że nie wolno. Wszyscy wchodzi od frontu, ale jest kilka osób, które mogą korzystać z tylnego wejścia. W środku unosi się jakaś sekretna, trudna do opisanego atmosfera. Coś w rodzaju tajnego szyfru: żeby zostać wpuszczonym, dwa razy zadzwoń dzwonkiem i zastukaj kołatką. Budynek jest stary i brzydki, ale prezes czuje się w nim jak u siebie. Swobodnie porusza się po korytarzach, może się zaszyść przed dziennikarzami. To jego świat.

I jego pancierz.

Ranek. Pierwsi schodzą się ludzie z drugiego piętra – pracownicy prasowego, dział organizacyjny, panie z księgowości. Szef przyjeżdża ostatni, nie wcześniej niż o dziesiątej. Czarna skoda z przyciemnianymi szybami wtacza się na odrapane podwórze i zatrzymuje się przy tylnym wejściu. Ochroniarz otwiera auto, prezes bierze teczkę z dokumentami i przez

księgowość, z pominięciem sekretariatu, idzie prosto do gabinetu. Przejście jest dyskretne i wygodne – goście mogą czekać u pani Barbary i nie wiedzieć, że Jarosław już jest za drzwiami. Samochód w tym czasie robi kółko i zjeżdża do podziemnego garażu, parkuje nieopodal pomieszczenia, w którym drukowano gazetę dla mamy.

Gabinet ma oszczędny wystrój. Znajdują się w nim: czarny fotel, sejf, drzewko, szafa i ciężkie biurko, za którym prezes lubi się fotografować. Wywiadów udziela przy stole znajdującym się na prawo od wejścia. W ciągu roku stoi na nim zasuszony, złocisty kwiat, który w święta zastępuje mała choinka z lampkami. Ruch w gabinecie trwa cały dzień, bo – jak mówią na Nowogrodzkiej – prezes pracuje spotkaniami. W ich trakcie zawsze pije sok z czerwonych pomarańczy (rozcieńcza go wodą) albo prosi o herbatę, która stanowi odrębne zagadnienie.

„Kawy nie piję w ogóle – wyzna w prasie. – To niedobry napój, wstrętny. Piję herbatę. Ci, co nie piją, nie wiedzą, co to szczęście. Dobra herbata była według starożytnych nektarem”.

Jego szczęście to zwykła ekspresowa, w papierowej torebce. Kiedyś był to rytuał: słodził ją pięcioma łyżeczkami, mieszał w odwrotnym kierunku i niezbyt długo – tak, by na końcu wybrać ulepek pozostały na dnie. Dziś pije herbatę gorzką.

Obiad. Z biurem sąsiaduje niebieski wieżowiec Millenium, w nim na szóstym piętrze mieści się Błękitny Berek. Jarosław kiedyś chodził tam osobiście, ale od kilku lat posiłki zamawia mu pani Barbara. Robi to bez pytania – wie, że szef zje wszystko poza ryżem i że najbardziej lubi tradycyjne smaki („strasznie lubię lokalne potrawy z kartofli, baby, kiszki, świetne rzeczy”). Obiad do biura przynosi portier ze Srebrnej albo asystent. Jeśli jest piątek, to porcja jest potrójna – dwa posiłki zostaną na weekend. Wracając z pracy, Jarosław weźmie je z sobą do domu.

Choć biuro jest pełne ludzi, to podczas obiadu zamyka się w kuchni sam. Żeby nie brudzić talerzy, je ze styropianowego pudełka. To czas,



kiedy lepiej mu nie przeszkadzać i nie proponować towarzystwa. Jarosław bardzo nie lubi czyichś odgłosów jedzenia: mlaskania, siorbania, chrupania. Mówi, że go obrzydza. To jedna z niewielu rzeczy, które doprowadzają go do pasji – kto tego nie wie, może mieć poważne kłopoty. Będąc szefem rządu, Jarosław uczestniczył kiedyś w Radzie Gabinetowej w Pałacu Prezydenckim. Obsługa nieopatrznie postawiła na stole paluszki, które zaczął jeść wicepremier Gosiewski. Szef dostał szału, mówi mi polityk PiS, i niewiele brakowało a prezydencki kelner musiałby szukać nowego zajęcia.

Po obiedzie – z powrotem na spotkania. Kto nie zna prezesa, mógłby pomyśleć, że czasem przysypia. Potrafi usiąść w fotelu, zapleść dłonie na brzuchu, przymrużyć oczy i nie odzywać przez kilkanaście minut. Ale, jak rozmowa go znudzi, odezwie się i szybko zmieni temat. A jeśli ma dobry nastrój, będzie żartować z podwładnych. To jego ulubiona zabawa: zrobić poważną minę i zagrozić wydaleniem z partii. Prawie wszyscy się nabierają. Albo nawiązać do klasyka: „Skazuję cię na pięć lat zsyłki bez prawa do korespondencji”, „Najpierw zamkniemy naszych wrogów, potem koalicjantów, a na końcu własnych ministrów”. To ostatnie padło jeszcze za czasów premierostwa i – można powiedzieć – spełniło się co do słowa.

Jarosław przepada za takimi historycznymi aluzjami, ma nawet ulubioną przypowieść. Mikołaj Polikarpow, sekretarz Związku Pisarzy Radzieckich, narzeka: „Literaci piją, mają kochanki, a jak coś napiszą, to nie tak, jak należy”. Na co Józef Stalin mu odpowiada: „Towarzyszu, na dzień dzisiejszy, nie mogę panu zapewnić innych pisarzy”. To bardzo pouczające, bo w partii jak w historii. Prezes też czasem narzeka jakoś kadr, ale niestety. *Drugich pisateli nie ma*. Scen z życia Józef Wissarionowicza Jarosław zna wiele, podobnie jak – z biografii Mao Tse-Tunga.

Z biura rzadko udaje się wyjść o siedemnastej. Jeśli spotkania się przeciągają, prezes zwalnia sekretarki i sam proponuje gościom herbatę.

Na koniec dnia zawsze zmywa naczynia. Tak już ma, że nie lubi zostawiać brudnych talerzy na rano. Z Nowogrodzkiej samochód wiezie go na spotkanie poza biurem. Na przykład do kuzyna na Saską Kępę albo do znajomych, często niepartyjnych. Jarosław ma swój krąg warszawskiej inteligencji, z którą chętnie spędza popołudnia. Szczególnie sobie ceni towarzystwo pierwszej żony Czesława Bieleckiego, Anny oraz jej gości Jadwigi Staniszkis, Zdzisława Krasnodębskiego, państwa Johannów i Piotra Glińskiego. Mówi, że to ostatni warszawski salon. Tematy?

„Mogę porozmawiać o stu różnych sprawach – odpowie w wywiadzie. – Chociażby o tym, co było w polskiej lekkiej atletyce kilkadziesiąt lat temu”.

Prezes nie ma pamięci brata, ale zwycięzcę biegu na osiemset metrów podczas meczu lekkoatletycznego Polska-USA w 1956 roku wymieni. Z kinem to samo. Burt Lancaster, Gary Cooper, Brigitte Bardot, Alain Delon – o nich może rozmawiać. Jeden z moich rozmówców twierdzi, że wiedza Kaczyńskiego na temat popkultury zatrzymała się pod koniec lat 60., ale to nieprawda – pytany o film godny obejrzenia zazwyczaj podaje „Strach na wróble” z 1973 roku. Zupełnie na bieżąco jest za to z lekturami. Może dyskutować o „Świętej Rusi” Besançona i „A zabawa trwała w najlepsze” Ridinga, ale też o teorykach matematyki Kurcie Goedlu i Ewaryście Galois. Czyta dużo, szybko i zawsze w nocy. Jak dostanie od kogoś książkę, która go zainteresuje, nazajutrz już może ją omówić. Nawet jeśli jest to bardzo gruba książka.

Wieczór. „Parzę herbatę (...), lubię wypić ją w kuchni – powie w jednym z wywiadów. – A potem siadam, czytam i pisze różne rzeczy (...). Mam całe szuflady rękopisów (...). Mam w domu laptop, no też iPad, ale najlepiej myśli mi się z piórem w rękę”.

W innym doda: „Często poprawiam wywiad, czytam dokumenty. Bywa, że do trzeciej w nocy. Czytam, słucham czegoś (...). W tej chwili mam taką płytę z romantykami. Beethoven, Schubert, Shumann, Mendelssohn, Brahms. To są kompozytorzy, których lubię”.

Często włącza też radio: RMF Classic albo rozgłośnię z Torunia. Telewizor – bardzo rzadko. Jeden z wieloletnich współpracowników Jarosława uważa, że to bardzo niedobrze. Prezes nie ogląda serwisów informacyjnych i przez to nie rozumie mediów. Mój rozmówca ma nawet na to swoje określenie: jego zdaniem Kaczyński odznacza się „niską inteligencją medialną”. Inny polityk z otoczenia nazywa to afazją kulturową – czyli Jarosław coś mówi i nie jest w stanie przewidzieć, że przyniesie to odwrotny skutek. Na przykład: podczas wyborów prezydenckich w 2010 roku Kaczyński odwiedza Zagłębie Dąbrowskie. Zabiegając o lewicowych wyborców, stwierdza, że Gierek był patriotą, miał zdrowe mocarstwowe ambicje i nawet opozycję „jakoś tam tolerował”. Wypowiedź zamiast mu pomóc, ściąga na niego falę krytyki. Gdy zapytają o nią w sztabie, Jarosław odrzeknie: – Sądziłem, że puszczą to tylko w kablówce w Sosnowcu.

W domu – podobnie jak w partii – jest skromnie. W kuchni stoi stary prostokątny stół, w salonie – żakardowy fotel i brązowa kanapa. Do tego lite biurko i regał w gabinecie. Na Żoliborzu najważniejszy jest spokój. Gdy z domu obok wyprowadzają się życzliwi sąsiedzi, prezes się niepokoi, ale kilka lat temu budynek wynajmuje zaprzyjaźniona spółka Srebrna. Rodzi się pomysł, by urządzić w nim izbę pamięci brata. Na posesji, która sąsiaduje z domem Jarosława od drugiej strony, przez jakiś czas działa księgarnia internetowa „Gazety Polskiej”, ale wkrótce okaże się, że rzeczy po prezydencie nie mieszczą się w jednym domu. I zapadnie decyzja, że izba pamięci musi zająć dwa budynki: ten na lewo od domu szefa i ten na prawo. Na jednej z sąsiadujących posesji stoi jeszcze kiosk, w którym kiedyś mieściła się wypożyczalnia kaset wideo. Od kilku lat korzystają z niego ochroniarze prezesa. Zamiast szyb wstawiono tam lustra weneckie i przerobiono budkę na punkt obserwacyjny.

Bezpieczeństwo prezesa, nad którym czuwa partia, jest sprawą kluczową. W 2010 roku na Nowogrodzkiej pojawia się koncepcja zmiany siedziby. Biuro miałoby się wynieść na Mokotów do wili, która ze względu

na zdobiącą ją elewacje została w partii nazwana pałacikiem. Jarosław był tym domem zainteresowany, nawet pojechał go osobiście obejrzeć. Ostatecznie sprawa upadła, bo z analizy, którą przedstawiła firma ochroniarska, wynikało, że willa nie spełnia wymogów bezpieczeństwa.

Ochrona nie tylko pilnuje prezesa w domu i w biurze, ale też podąża za nim po kraju. Jarosław zazwyczaj podróżuje na dwa samochody. W jednym jest on z kierowcą, w drugim – obstawa. Jazda autem go odpręża. Jeśli nie ma do przejrzenia dokumentów, z którymi wygodniej rozłożyć się z tyłu, siada na przednim fotelu. Lubi obserwować przez okno, jak zmienia się Polska powiatowa: ryneczki, wiejskie skwery. Mimo że nie posiada prawa jazdy, chwali się, że ma lepszy przebieg od niejednego kierowcy tira. I do tego na pamięć zna wszystkie trasy.

Gdy mama żyła, Jarosław zawsze chciał wracać na noc do Warszawy. Po jej śmierci już się nie spieszy do domu. Były współpracownik PiS, który organizował kilka objazdów kraju, opowiada, że podróże prezesa mają stały rytm. Jeśli spotkania dobiegają końca, któryś ze sztabowców jedzie do hotelu załatwić formalności w recepcji. Gdy szef przyjeżdża, prowadzi się go do pokoju i daje mu klucz. Pokój jest standardowy: łazienka, telewizor, żadnych luksusów. Kolację – podobnie jak obiad w biurze – prezes je w samotności. Nigdy nie schodzi do restauracji. Prosi, żeby obsługa przyniosła mu jedzenie do pokoju. Zazwyczaj są to kanapki z rybą i do tego butelka wina. Czasem whisky. Następnego dnia, podczas wystąpień, pije już tylko colę, którą lubi tak jak kiedyś słodzoną herbatę.

Poza wyjazdami w teren i kolacjami u znajomych („teraz się mówi kolacja, a daje się obiad; ja wolę kolację”) Jarosław właściwie nie korzysta z codziennych rozrywek. Jacek Kurski w jednym z wywiadów powie, że prezes po raz ostatni był prywatnie na plaży w 1966 roku: „Zapamiętałem dobrze ten rok, bo się wtedy urodziłem. Prezes sam na plaże nie jeździ, ale ma dobry dostęp do statystyk, które mówią, że obecnie mniej ludzi jeździ na plaże niż w czasie rządów Prawa

i Sprawiedliwości”. Z kolei Adam Hofman stwierdzi, że Jarosław zna współczesne filmy wyłącznie z recenzji: „Nie chodzi do kina ze względu na dużą rozpoznawalność”. On sam wyjaśni z kolei, że to wszystko przez agresję, jaką budzi w społeczeństwie: „Bywało, że nie mogłem spokojnie wyjść na ulicę, bo ze wszystkich stron słyszałem obelżywe słowa i oskarżenia”. W efekcie przestanie nawet samodzielnie chodzić do sklepu. Gdy będzie musiał zrobić zakupy w drodze powrotnej z biura, wyśle po nie kierowcę. Tłumaczenie będzie nieodmierne: nie chcę robić sensacji. Moi rozmówcy twierdzą, że to przewrażliwienie ma głębsze podłoże. Ich zdaniem Jarosław wbrew pozorom wcale nie jest nosorożcem o grubej skórze. W rzeczywistości to człowiek delikatny i drażliwy.

Współpracownik: – Jarek może sobie mówić, co chce, ale ja wiem, że negatywne opinie ludzi bardzo go boją. Brat ma bardzo czuły słuch, opowiadał mi kiedyś Leszek. Poszedł kiedyś do restauracji, usłyszał, że ludzie przy sąsiednim stoliku go obgadują i zwrócił im uwagę.

Doradca: – Jednym z ostatnich prywatnych spacerów Jarosława była przechadzka po Krakowie pod koniec lat 90. Przeżywał później, że grupa wyrostków obrzuciła go na ulicy papierowymi kulami.

Znajoma: – Azylem była dla niego rodzina, ale mama i Leszek nie żyją. Po ich śmierci Jarosław zbliżył się z kuzynem Jankiem i bratanicą Martą z córkami. Na Saskiej Kępie spędza święta, Janek czasem do niego wpada wieczorem na whisky. Z kolei Marta od dawna próbuje go wciągnąć do swojego życia rodzinnego. I robi to bardzo mądrze. Pisze do niego listy z wakacji, wysyła szkolne wypracowania dziewczynek.

Czy to działa? W jednym z wywiadów Jarosław powie: „Mama miała obyczaj tworzenia bajek dla mnie i dla brata (...). Ja ten zwyczaj przeniósłem na swoją bratanicę, a potem na swoje wnuczki (...). Opowiadam o różnych królach, którzy gdzieś tam żyją, mają pod ziemią pałace. Dzieci to strasznie lubią”.

Z ukochanym kotem Busiem.  
Tuż przed powrotem do Sejmu, 1997 rok.





W inny doda: „[Wnuczki] są bardzo żywe, szczególnie Martyna. Zastanawiałam się, jak to będzie, jeśli będą u mnie w domu. Ale dzisiaj mogę szczerze powiedzieć, że z żalem patrzyłem, jak wyjeżdżają. Myślę dzisiaj, że wakacje z nimi w jakimś leśnym domku, byłyby naprawdę miłe. Znajoma ma ładnie położony dom na wsi, pagórkowate tereny, łąki, jeziora. Byłoby gdzie chodzić, popływać łodzią. To grzeczne dziewczynki. Były u mnie kilka dni, mieszkały z Martą na górze i nie stwarzały żadnych problemów. Marta dba o nasze relacje, ma zwyczaj przysyłać mi zdjęcia córek (...). No cóż, może trochę późno chodzą spać. Ja w dzieciństwie o ósmej musiałem już być w łóżku”.

Życie Jarosława z pewnością wyglądałoby inaczej, gdyby była w nim kobieta. Jeden z moich rozmówców twierdzi, że prezes z premedytacją wybrał los zawodowego rewolucjonisty. Bo nie chciał uprawiać polityki kosztem rodziny. On sam nie lubi tego tematu. Gdy Domagalik spyta, dlaczego się nie ożenił, odpowie: „Odwołam się do literatury. To stan piękny i Bogu miły. Tak mówił Zagłoba. Nie ma co się nad tym rozwodzić”. Innym razem stwierdzi: „Od dzieciństwa chciałem być starym kawalerem. I to mi bardzo odpowiada”.

Ale raz, w 2010 roku, szczerze wyzna: „Byłem w młodości zaangażowany emocjonalnie. To się skończyło rozstaniem. Większość moich znajomych miała już wtedy rodziny, bo w tamtych czasach ludzie szybciej się decydowali na małżeństwo. Mogę tylko powiedzieć, że jestem z tą osobą w rzadkich, ale ciepłych kontaktach po dziś dzień”.

O starej miłości syna opowie też mama: „Kiedyś bardzo chciałam, żeby założył rodzinę, ciągle śniły mi się suknie ślubne. Miałam nawet wrażenie, że była taka pani... Ale nie pewna posłanka, o której pisały media (chodzi o Jolantę Szczypińską – M.K.), tylko pani muzykolog”.

Wieloletni współpracownik: – Przeciwny temu związkowi był ojciec dziewczyny. Ona później wyszła za mąż, urodziła dzieci innemu mężczyźni i została profesorem. Po latach Jarosław wspominał o tym lekko i bez emocji,



ale pani Jadwiga opowiadała mi, że prezes wbrew pozorom jest wrażliwy i uczuciowy. A to była wielka miłość zakończona bolesnym rozstaniem.

Reasumując: kobieta, która złamała młodemu Jarosławowi serce, jest utytułowanym muzykologiem. Wzięła ślub z innym, ale do dziś pozostaje z prezesem w koleżeńskich relacjach. Spośród osób znajdujących się w otoczeniu Kaczyńskiego jest tylko jedna kobieta spełniająca te kryteria – to profesor Uniwersytetu Warszawskiego Anna Gruszczyńska-Ziółkowska, etnomuzykolog.

Pani profesor jest o siedem lat młodsza od Jarosława i udziela się publicznie. Występuje w Telewizji Republika i bierze udział w konferencjach dotyczących katastrofy smoleńskiej. Podobnie jak mama prezesa ma włoski typ urody: czarne włosy, duże oczy i sładką karnację. Na prośbę o rozmowę, niestety, nie odpowiada.

Czy to ostatnia kobieta, z którą jest związany Jarosław? W prasowych archiwach odnajduję pewien ślad. Czasopismo „Wszystko o miłości”, listopad 1994 roku: „Jarosław Kaczyński, lider opozycyjnego Porozumienia Centrum i słynny miłośnik kotów, zaczął ostatnio okazywać względy... pięknej kocicy z Lublina. Pani Basia jest oczywiście działaczką PC, z zawodu prawniczką i filigranową naturalną blondynką. Zatwardziały kawaler i smakosz pewnie pozazdrościł najmilszej nienagannej linii, bo przeprowadza drakońską kurację odchudzającą, odżywiając się wyłącznie sałatkami. Ostatnio najważniejsze sprawy partyjne PC dzieją się w Lublinie, a w archiwach partii jest nawet zdjęcie uwieczniające Kaczyńskiego i jego Kacuzskę w czułym pocałunku. Wyraz uczuciom dawali publicznie na partyjnym party. Współpracownicy Kaczyńskiego są zainteresowani, żeby owe love story trwało w nieskończoność. Szef złągodniał, jest szarmancki i rozmarzony”.

W archiwum Porozumienia Centrum, które przeglądałem, nie ma takiej fotografii. Moi rozmówcy z PC mówią, że na pewno nie chodzi też o panią Basię, sekretarkę prezesa. Między nią a Jarosławem nigdy było

żadnego uczucia, poza tym Skrzypek nie pochodzi z Lublina, a z zawodu jest archiwistką. A trzech lubelscy działacze PC, których pytałem o tę notkę, zgodnie twierdzą, że żadnej prawniczki o imieniu Barbara w ich strukturach nie było.

Może więc magazyn „Wszystko miłości” zmyślił tę historię? Może, chociaż Piotr Perszewski coś sobie przypomina: – Prezes miał kiedyś znajomą prawniczkę. Jeśli dobrze pamiętam, to próbowano go z nią zeswatać. Nawet organizowaliśmy mu wspólny urlop z tą panią, ale nic z tego nie wyszło. Jarosław chyba nie był tym do końca zainteresowany.

Były poseł PC dodaje: – Na początku lat 90. pojawiła się pewna pani. Jarek nawet się zastanawiał, czy by nie kupić działki w Wawrze. Chciał postawić dom i sprowadzić się tam z rodziną.

Szybko jednak zrezygnował. W połowie lat 90. był już zdecydowany na – jak to nazywa mój rozmówca – drogę rewolucjonisty.

– Gdy ja poznałem kobietę i postanowiłem się ustatkować, Jarosław był zdziwiony – wspomina Perszewski. – Pytał mnie: Chcesz dzieci bawić? Nie będziesz miał czasu na politykę. PC było dla niego drugą rodziną, a polityka, dla której poświęcił sprawy osobiste, wypełniała mu cały czas. Już wtedy można było odnieść wrażenie, że jest pogodzony ze swoją samotnością.

A może kobiety, które zabiegały o jego względy, po prostu nie podobały się prezesowi? Jarosław o swoich oczekiwaniach wobec pań opowie raz, w rozmowie z Domagalik. A więc: kobieta powinna być sympatyczna, inteligentna i mieć coś znaczącego w życiorysie. A wygląd?

„Wysoka to jest kłopot. Na polskich ulicach roi się od ładnych kobiet. To po prostu jest taka ilość, że coś niebywałego. A ja nie ukrywam, że pamiętam takie słowa napisane kiedyś przez Kochanowskiego, że Włoszki są piękne, ale szybko ta uroda znika. Z kolei Polki to i w pięćdziesięcioleciach staną między młódkami a nie poznasz. I te, co nie poznasz, to jest to, co ja lubię najbardziej”.

Czyli prezesowi podobają się kobiety dojrzałe. On z kolei rozbudza w nich instynkt opiekuńczy i chyba też im się podoba. To zresztą niezwykle: Jarosław, który o sobie jako o mężczyźnie ma niskie mniemanie, cieszy się wśród kobiet dużym powodzeniem i jest przez nie adorowany. O jego względy zabiegają przecież Salamon, Sz., Goss, Szczypińska... Co w nim widzą?

– Jarosław ma coś w spojrzeniu – mówi Swoczyna, skądinąd kobieta atrakcyjna i elegancka. – Sama niczego do niego nie czułam, ale wiem, że jak spojrzę tymi swoimi ciepłymi, orzechowymi oczami, to kobieta może się poczuć usatysfakcjonowana.

– Ten wzrok znają jednak tylko ci, którzy są mu bliscy. Na obcych prezes nim nie spogląda – zaznacza Perszewski. – Co jeszcze podoba się w nim kobietom? Na pewno siła, która od niego bije, szarmancki sposób bycia i chyba to, że on w sumie nie ma śmiałości. To wszystko razem sprawia, że kobiety czują się przy nim w pełni kobietami. Wiele pań było nim zauroczonych.

Dmowska: – Prezes zawsze był wycofany i zagubiony przy kobietach. Miało się wrażenie, że przy głębszej rozmowie czułby się niezręcznie, że nie wiedziałby, czy nie jest zbyt śmiały.

Swoczyna: – Gdy trafiłam do pracy w NIK, na długo straciłam kontakt z Kaczyńskim. Obserwowałam go tylko w telewizji i wydawało mi się, że bardzo się zmienił. Spotkałam go dopiero kilka lat temu podczas uroczystego odsłonięcia tablicy pamiątkowej Lecha Kaczyńskiego w Izbie. Od razu mnie poznał. Zaczęliśmy wspominać stare czasy i nagle z twarzy opadła mu stężała maska. A jak na mnie spojrział, to aż nogi się pode mną ugięły...

Spojrzenie zostało to samo, ale na miłość jest już chyba za późno. Jarosław jeszcze w pierwszej połowie lat 90. mówił, że „jest starszym panem, a starsi panowie nie powinni się zakochiwać”. Wtedy był po czterdziestce a dziś ma 66 lat. W jego życiu zostało miejsce już tylko na jedno: na politykę.



W czerwcu 2010 roku, kilka dni po pierwszej turze wyborów prezydenckich, Jarosław Kaczyński otrzymuje zaproszenie do porannego programu „Dzień Dobry TVN”. Rozmowę, w której ma zostać pokazany od prywatnej strony, poprowadzą Dorota Wellman i Marcin Prokop. Najpierw zgadza się na ten występ, ale dzień przed programem się wycofuje. Ludzie ze sztabu go przekonują, ale on nie słucha. Nie będzie żadnego wywiadu i koniec.

Późnym wieczorem Joanna Kluzik-Rostkowska i Elżbieta Jakubiak stają przy furtce na Żoliborzu.

– Jarek, otwórz – prosi Kluzik.

– Jestem już w łóżku.

– Nie kłam, widać cię w oknie. Otwórz, bo panie z pieskami myślą, że chcemy się do ciebie włamać.

– To tym bardziej was teraz potrzynam – śmieje się prezes.

– Dlaczego nie chcesz tam jechać? – pyta Jakubiak. – Opowiedziałbyś, jakie książki czytasz, co robisz w wolnym czasie, jak wygląda twój dzień...

– Ale o czym ja miałbym opowiadać? Że codziennie rano piję tę samą herbatę i jem kanapkę z serkiem Almette? Przecież tu nie ma o czym mówić. Moje życie jest smutne.







**JAREK,  
MÓJ PRZYJACIEL**

**/ Rozmowa**



Najpierw biuro wypełniał tubalny okrzyk: – Jarek, cho! Po chwili na korytarz wtaczała się postać rozmiarami przypominająca kulę armatnią. Żwawa i krzepka, o pucłowatej twarzy zdobnej w kruczoczną grzywkę i gęsty, podkowiasty wąs. Dopiero za nim wkraczał prezes.

Tym przysadzistym mężczyzną był Tadeusz Kopczyński. Wieloletni kierowca Jarosława Kaczyńskiego, ochroniarz, doradca i przyjaciel rodziny w jednym. A także zawodowy dżudoka – posiadacz czarnego pasa mistrzowskiego.

Spotykamy się w cukierni Bliklego na warszawskim placu Wilsona. Zanim pójdziemy do stolika, pan Tadeusz dłuższą chwilę mocuje się z zepsutym suwakiem w kurtce. Żyje skromnie, od 16 lat jest na rencie. Mimo to wygląda jak na starych zdjęciach. Trzy guziki koszuli rozpięte, ten sam wąs i tylko kolta dyndającego przy pasku już nie ma. Kiedyś, jak mi opowiadano, lufa rewolweru zawsze wystawała mu spod marynarki.

### **Prezesa poznał pan jeszcze w „Tygodniku Solidarność”?**

Tak, w latach 80. pracowałem tam jako konserwator, rzemieślnik i kierowca. Najpierw woziłem Tadeusza Mazowieckiego, a potem Jarka.

**Pojawienie się Kaczyńskiego w redakcji – z nadania Lecha Wałęsy – wywołało kontrowersje, część załogi się zbuntowała. Nie chciał pan odejść razem z nimi?** Nie, choć bardzo cenilem Mazowieckiego. Jednym z naszych ostatnich kursów był wyjazd na exposé do Sejmu. Pan Tadeusz schował się przed

dziennikarzami w ośrodku dla niewidomych w Laskach. Tuż przed wyjazdem modlił się jeszcze przy znajdującym się tam grobie żony. Był taki przejęty, miał tylko jeden stary garnitur, który ciągle latały mu siostry z Lasek. Nowy załatwił mu dopiero znajomy aktor z teatru Józio Duriasz. Wyjątkowo skromny człowiek.

Ale, jak przyszedł Jarek, to od razu się polubiliśmy. Okazało, że jesteśmy z tego samego roku i dnia. Dzieli nas tylko kilka miesięcy, on jest z czerwca, ja z października. Poza tym mieszkaliśmy blisko siebie, Jarek na Żoliborzu, ja na Bielanach.

Najpierw poprosił, żebym podwiózł go na miasto. Potem przyszedł i mówi, że będziemy jeździć po Polsce, bo trzeba robić Wałęsie kampanię i partię zakładać. No, dobra. W ciągu kilku miesięcy zjechaliśmy całą Polskę. Wyjazd o ósmej rano, powrót koło pierwszej w nocy i tak w kółko. W rok zrobiliśmy sto tysięcy kilometrów.

### **Kaczyński w jednym z wywiadów powiedział, że lubi dobre wozy.**

Ale zaczynaliśmy od niebieskiego poloneza. Nic specjalnego, seryjny, nie szedł więcej niż 130. Dostaliśmy go poza kolejnością od Solidarności z FSO. Auto było redakcyjne, ale benzynę laliśmy do niego z pieniędzy związkowych, żeby nikt nie mówił, że tygodnik finansuje kampanię Wałęsy. Wyciskałem z niego tyle, ile fabryka dała. Do Gdańska dojeżdżaliśmy w trzy i pół godziny.

### **Prezes lubił szybką jazdę?**

Pewnie. Potem, po mnie, przyszedł wolniejszy kierowca i powiem panu, że Jarek nie był zadowolony. Ja jeździłem szybko, bo byliśmy wiecznie spóźnieni. Rzadko się zdarzało, żeby szef wyszedł z domu na umówiona godzinę.

### **Był niepunktualny?**

Nie w tym rzecz. Pani Jadwiga opowiadała mi o tych porankach. Za trzy ósma, Jarek w palcie, łapie już za klamkę, a tu telefon, dzwoni Gosiewski.

A jak nie Gosiewski, to Hniedziewicz. I nawija mu pół godziny. Mama szefa mówiła, że denerwują ją ten poranne telefony, bo musieliśmy potem nadrabiać na trasie.

### **Po roku współpracy Kaczyński wziął pana do Kancelarii Prezydenta.**

Jak zostawał ministrem, to BOR dawało mu rządowych kierowców, ale nie miał do nich zaufania. Zaprosił mnie na obiad i pyta, czy przejdę z nim do kancelarii. Postawiłem warunek, że muszę mieć zmiennika, bo mam treningi. Wzięliśmy syna sprzątaczkii z tygodnika, ale długo z nami nie popracował. Jarosław któregoś dnia dzwoni do mnie i mówi, że on pije. „Skąd wiesz?”, „Przywiózł mnie do domu i ojciec wyczuł”, „Eee, może raz mu się zdarzyło”. „Może, ale to agent”. I to był koniec. Jak ja to mówię: noga, dupa, brama. Od razu. Chłopak wyszedł od szefa czerwony jak burak i więcej nie wrócił. Za komuny był informatorem WSW.

### **Skąd pan wie?**

Jarek sprawdzał u Milczanowskiego wszystkich. Posłów, współpracowników z partii, mnie. Agentów eliminował. W Krakowie na listy wyborcze pchał się kiedyś jeden cinkciarz. Jarek zajrzał do papierów i okazało się, że TW, więc kazał go skreślić. Niesiołowski też chciał startować z naszych list, ale szef wypomniiał mu donosy na narzeczoną. Zresztą nigdy go nie lubił, nie odpowiadał mu jego sposób bycia. Opowiadał mi kiedyś, że niby taki z niego katolik, a po którymś z głosowań krzyczał do niego na sali sejmowej: „Te, Jarek, po chuj wam było ruszać chrześcijańskie wartości?”.

### **Teczkę Wałęsy też przeglądaliście?**

Tylko szef, opowiadał mi o tym później. Czyta, czyta, ale coś mu nie gra. Ortografia – byk na byku, czyli wszystko się zgadzam, pisał Wałęsa. Ale stylistycznie bez zarzutu. O co chodzi? Milczanowski mu wyjaśnił. Błędy były Wałka, ale raport dyktowali esbecy.

### **Kaczyński lubił pracę w Kancelarii?**

Tak, tylko relacje z Wałęsą od początku miał napięte. Jak został ministrem i wjeżdżaliśmy pierwszy raz do Belwederu, to na bramie powiedziałem strażnikowi, żeby zameldował, że przybył wiceprezydent Kaczyński. Jarek kazał mi się uspokoić, bo Wałek się wścieknie. Potem odmówił gabinetu w Belwederze i było coraz gorzej.

### **W Belwederze dzieliłby sekretariat z Mieczysławem Wachowskim, który miałby tam na niego oko.**

Jarek go szczerze nie trawił. Co wejść do Belwederu, mawiał, to na kołku wisi płaszcz Kołodziejczyka albo czapka Wileckiego. Wojskowi siedzieli tam od rana do wieczora.

### **W Kancelarii Prezydenta dostał pan broń?**

Tak. Domagał się tego Leszek, wówczas minister odpowiedzialny za Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Jego chronili funkcjonariusze BOR, którzy pod fotelami limuzyny wozili broń maszynową. Chciał, żebym ja miał chociaż pistolet, bo bał się o Jarka.

### **Lech bał się bardziej o Jarosława czy Jarosław o Lecha?**

Jeden czuł się odpowiedzialny za drugiego, ale chyba jednak bardziej martwił się Lech. Dzwonił do mnie kilka razy dziennie i prosił, żebym sprawdzał, co robi brat. Nie miał żadnej sprawy. Jak szef był u siebie w gabinecie, to nie pozwalał mu przeszkadzać. Chciał tylko wiedzieć.

Wracaliśmy kiedyś z Gdańska kancelaryjną lanią. Noc, środek zimy, a my na letnich oponach. Na dworze minus piętnaście i szklanka na drodze, i do tego jeszcze mgła. Pierwszy raz w życiu coś takiego widziałem. Jarek całą drogę jechał okutany kożuchem, mnie szyby pozamarzały. Normalnie bylibyśmy w trzy–cztery godziny, a tym razem jechaliśmy całą noc. Leszek, który mieszkał wtedy w służbowym mieszkaniu na Grzesiu, odchodził

w Warszawie od zmysłów. W środku nocy pojechał do BBN, obudził dyżurnego. Obdzwonili wszystkie komendy na trasie z Gdańska do Warszawy. Jak zajechaliśmy, to mama aż się rzuciła Jarkowi na szyję.

### **Ona chyba bała się najbardziej.**

Jarek próbował ją chronić przed niektórymi wiadomościami, Lecha zresztą też. Zna pan historie naszych wypadków samochodowych?

### **Czytałem o nich w aktach procesu płk. Lesiaka.**

Z pierwszym wypadkiem było tak. Zawiozłem rano Jarka do Sejmu i zauważyłem, że kierownica chodzi mi jeszcze ciężiej niż zwykle. Mieliśmy wtedy Volvo 460, model bez wspomagania. W warsztacie zdjęli koła i okazało się, że ktoś zrobił w nich 10 mikroskopijnych dziur. Po trzy z przodu i po dwie z tyłu. Napisali mi to na firmowym papierze Regulskiego, w tamtym czasie najlepszej wulkanizacji w Warszawie. Mieli tam profesjonalną wyważarkę Hofmana, więc o pomyłce nie było mowy. Chciałem złożyć doniesienie do prokuratury, poszedłem do Sejmu uprzedzić o tym szefa, ale był przeciwny. Nie chciał, żeby mama i brat się dowiedzieli, martwił się o nich. Ale jakoś udało mi się go przekonać i zawiadomienie zostało złożone.

Drugi wypadek wydarzył się w drodze do Elbląga. Lato, piękna pogoda, jedziemy dwulitrową vectrą. Auto nówka, więc mogę trochę przycisnąć. Jadę 160 na godzinę i w pewnym momencie zaczyna nami strasznie rzucać. Ściągnęło nas do rowu, mieliśmy dachowanie, samochód do kasacji. Przyjechała karetka, Jarkowi odstrzeliły pasy, ja na szczęście swoim zwyczajem jechałem w samej koszuli i pod pas miałem podłożony spinacz od bielizny, żeby nie piło. Okazało się, że ktoś poluzował nam wentyl w jednym kole. Sierżant, który przyjechał na miejsce wypadku, powiedział wprost, że ktoś chciał nam pomóc. Tym razem Jarek nie pozwolił mi nawet złożyć zawiadomienia, bo w międzyczasie zadzwonił do mamy i brata, że stanęliśmy na poboczu, poszliśmy za potrzebą i w tym

czasie w nasze auto wjechał tir. Zawsze w pierwszej kolejności myślał o najbliższych.

I jeszcze jedna historia. Nidoszła podróż brata do USA.

**Lech Kaczyński miał wypadek w drodze na lotnisko. Zamiast niego poleciał Grzegorz Bierecki, poznał tam ideę kas zapomogowo-pożyczkowych i po powrocie zaczął zakładać Spółdzielcze Kasy Oszczędnościowo-Kredytowe, czyli SKOK-i.** Leszek miał lecieć z Gdańska do Warszawy. Czekałem na Okęciu, żeby przewieźć go z portu krajowego na międzynarodowy. W drodze na samolot miał jednak wypadek, w którym zerwał bark. Wywołali mnie przez megafon na lotnisku do telefonu. Na linii czekał Jarek. Przyjeżdżaj do siedziby, powiedział, Leszek miał wypadek, tylko, broń Boże, nie dzwoń do mamy.

### **Zezwolenie na broń dostał pan bez problemu?**

Tak, z miejsca dali mi rewolwer Smith & Wesson kaliber 9,67, kaburę i amunicję. Przywieźli jeszcze sześciopistoletowy Taurusa kaliber 6. Typową broń damską. Mały sześciopistoletowy pistolet. Jarek nosił go w teczce.

### **Po co?**

Żeby dodać sobie animuszu.

### **Skorzystaliscie kiedyś z tych pistoletów?**

Dwa razy było blisko. Wracaliśmy w nocy z Gdańska i jakiś facet ciągle za-jeżdżał mi drogę. No, to się teraz zabawimy, pomyślałem. Zatrzymaliśmy się, wyciągam pistolet, który zresztą zawsze nosiłem odbezpieczony, i wysiadam. Oczywiście nie strzeliłem, ale przynajmniej więcej mi drogi już nie zajechał. Drugi raz był pod Belwederem, jak anarchiści oblali nam samochód farbą.

### **W telewizji opowiadano mi, że podczas debaty Kaczyńskiego z Michnikiem wtargnął pan do reżyserki.**

To prawda. Chcieli mnie wyrzucić, ale powiedziałem, że jestem z ochrony Jarosława i muszę wszystkiego przypilnować. Dobrze zrobiłem. Chcieli kończyć program, ale kazałem im poczekać, żeby szef spokojnie skończył mówić. I przedłużyli mu o minutę. Po zejściu z anteny jeszcze pokłóciłem się z Michnikiem.

**Kaczyński na kolegium redakcyjnym w „Tygodniku Solidarność” opowiadał później, że krzyczał pan tam do niego: „Kłamiesz pan jak pies Gomułki”.**

Możliwe, ale, kiedy to się działo, to mnie odciągał. Zaraz, mówię, nie będzie mi tu redaktor ubeków bronił. Na koniec jeszcze się wmieszał Aleksander Hall, zaczął mnie uciszać tym swoim piskliwym głosikiem, przez który nazywaliśmy go z Jarkiem „ciocia Hala”. „Pana nikt o zdanie nie pytał” – zgasłem go szybko i dokończyłem swoją kwestię.

**Dlaczego podczas wyjazdów w teren nigdy nie korzystaliście z noclegów?**

Szef zawsze wolał wrócić do domu. Nie lubił, jak w hotelach zaczepiali go pijackowie, poza tym chciał być na noc przy mamie i kocie. Pani Jadwiga nie zaznała spokojnego snu, póki go nie przywiozłem. Jarek niezwykle kochał mamę, bardzo dużo rzeczy robił z myślą o niej. A Buś to nawet poznawał warkot silnika i, jak zajeżdżałem na Lisa-Kuli, to zawsze wskakiwał na parapet i obserwował nas przez okno.

**Buś, ukochany kot prezesa.**

Jarek bardzo rozpaczał po jego śmierci. Buś ważył chyba z osiem kilo, zdarzało mu się kopać mamę, ale był bardzo mądry, a – jak trzeba – to też opiekuńczy. Pani Jadwiga nie chciała denerwować syna i nie mówiła mu o swoich chorobach, ale Jarek i tak o wszystkim wiedział. Dziękuj Busiowi. Kocur wyczuwał każde niedomaganie mamy, kładł się jej na szyi, ogrzewał ją i mruczał jej do ucha.





Tadeusz Kopczyński toruje prezesowi drogę. Był jego kierowcą, ochroniarzem i przyjacielem. Antywałęsowski wiec w 1993 roku.



W Polsce były tylko dwa miejsca, w których szef czuł się na tyle swobodnie, by zostać na noc. Pierwsze to Elbląg. Prezydentem był tam nasz działacz Józef Gburzyński, człowiek ogromnej postury, dwumetrowy. Najpierw robiliśmy objazd województwa, potem kolacja albo ognisko z kiełbaskami i piwem EB, a na koniec nocleg. Jarek strasznie się roztył po tych spotkaniach, ale potem przeszedł na dietę i z powrotem zjechał kilkanaście kilo.

Drugi punkt to Sopot, mieszkanie brata, tam też spaliśmy. Pani Marylka podawała najlepsze bitki wołowe na świecie.

### **A z tymi zaczepkami pijaków to nie przesada?**

No, wie pan, niejednego żuła sam usadziłem.

### **Jak?**

Wystarczyło huknąć. Zamknij mordę czy spierdalać. Przepraszam za język, ale mówię szczerze, jak było.

### **Dziennikarzy też pan kiedyś poturbował.**

Tam na Miodowej? Po spotkaniu u prymasa, na którym Jaruzelski powiedział, że zrezygnuje z prezydentury? Eee, trochę musiałem ich rozepchnąć, żeby szef mógł wyjść. Taką miałem robotę. Podobnie było w Auditorium Maximum na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie Jarek miał wiec razem z Głapińskim. Po raz pierwszy padło tam, że Wałęsa to Bolek. Sala była nabita do granic i za cholerę nie dało się wyjść, więc musiałem wziąć sprawy w swoje ręce. Jarek, mówię, ty się trzymasz mnie, a ty, Adam – Jarka. Torowałem drogę i jakoś się wydostaliśmy.

### **To już był okres inwigilacji prawicy.**

A! Ubecy od Milczanowskiego. Ogony ciągnęły się za nami po całej Polsce. Nie mogliśmy się urwać, bo zawsze mieli lepsze auto. My jechaliśmy Volvo

460, to oni – mercem. Albo innym rasowanym. Prowadzili nasłuch naszego samochodu.

**W biurze Partii Centrum, gdzie też obawiano się podsłuchów, ludzie wychodzili na klatkę schodową, gdy chcieli porozmawiać o czymś ważnym.**

A jak Jarek miał do omówienia ważną sprawę z bratem czy premierem Olszewskim, to jechaliśmy do lasu w Łomiankach lub w Piasecznie. Ja zostawałem przy samochodzie, a oni szli na spacer.

Któregoś razu podjeżdża do mnie straż miejska i żąda dokumentów. Odpowiadam, że dam, jak wróci poseł, ale oni, że muszę teraz. Panowie, śmieję się, muszę to ja w życiu dwie rzeczy. Umrzeć i wysrać się. I wie pan, że sobie poszli? Czasy były takie, że nie mogłem się patyczkować. Bezpieczeństwo szefa było dla mnie najważniejsze.

**Prezesowi nie przeszkadzało pana słownictwo? On nie lubi takiego języka.**

Chyba mi to wybaczał, chociaż sam rzeczywiście tak nie mówił. Siedzę kiedyś za kółkiem, rzucam joby ludziom Milczanowskiego, którzy cały czas nas słuchają, i krzyczę do Jarka, że teraz kolej na wiąchę od niego. On się wykręca, że mu nie wypada, ale mówi, żebym puścił im Beatlesów. Niech sobie posłuchają.

**Kaczyński lubił Beatlesów? Naprawdę?**

A co pan myśli? Obaj wychowaliśmy się na bigbicie. Niebiesko-Czarni, Czerwono-Czarni, „Pod papugami” Niemena, Czerwone Gitary. Szef najbardziej lubił „Historię pewnej znajomości”, mówił, że przypominają mu się wakacje nad morzem z dzieciństwa. Kasety do samochodu załatwiał mój zmiennik Michał Sobieszczański. Mieliśmy też trochę zachodniej muzyki. Eltona Johna, „Paroles, paroles” Dalidy czy „Tombe la neige” Salvatore Adamo.

### **Prezes siadał z przodu?**

Przeważnie tak, lubił patrzeć na trasę, mijane miasteczka. Z przodu więcej widział.

### **Chyba dobrze się panu jeździło z Kaczyńskim.**

No, dobrze, dobrze, ale dwie rzeczy były nie do wytrzymania. Pierwsza to temperatura w samochodzie. Jarek bał się, że go zawieje i za nic w świecie nie pozwalał otworzyć okna albo włączyć klimatyzacji.

### **Zawsze mówił, że nie chce przynieść do domu przeziębienia, żeby nie zarazić mamy.**

No, nie wiem. Pani Jadwiga, którą też czasem wozilem, nie miała nic przeciwko klimatyzacji. Nawet z panem Rajmundem nie miałem kłopotów. Choć palił jak smok, to w samochodzie po papierosa nie sięgnął. Tylko Jarek mnie nękał duchotą. Jeździłem w samej koszuli, a i tak było mi gorąco. Kiedyś się o to pokłóciliśmy, powiedziałem mu, że nawet Kaligula lepiej traktował podwładnych niż on. No, i druga sprawa to wtrącanie się do jazdy. Skręć w lewo, a teraz prosto, tu w prawo. No, to mu mówię – tu jest zakaz, człowieku! Zrób prawko, to będziesz się wciskać za fajerę. A on, że jak ja robiłem prawko, to on pisał doktorat. I taka to była z nim jazda.

### **Dziś długo by się pan u niego nie utrzymał. Wokoło ma samych klakierów.**

A myśli pan, że wtedy to nie miał? Panie prezesie, prezesuniu, panie Jareczku – ludzie już wtedy tak się do niego zwracali. Najbardziej Marek Suski, ten to przebijal wszystkich. Przed Dornem też go ostrzegąłem. Czulem, że w końcu zrobi go w jajo, ale nie, Jarek wiedział lepiej. Eee, co ty mi będziesz mówić? – obruszał się. A po latach wyszło na moje. No, niestety, Jarek nigdy nie miał ręki do ludzi.

### **Był łatwowierny?**

Jak jasna cholera.

**W drugiej połowie lat 90. Kaczyńscy przenieśli się z Lisa-Kuli do domu przy Mickiewicza, kilka kilometrów dalej. Pamięta pan tę przeprowadzkę?**

Akurat trafił się dobry kupiec, chyba z Wielkiej Brytanii, i Kaczyńscy skorzystali z okazji i kupili dom. Pomagałem w tej przeprowadzce. Najpierw zawiozłem do domu Tomaszewskich na Saskiej Kępie mamę, żeby się nie denerwowała. Potem załatwiłem Węgiełka, porządną firmę przewozową, bo trzeba było przewieźć meble z Lisa-Kuli – bardzo gustowne zresztą – i książki. Całe szafy książek.

**Prezes nie miał głowy takich rzeczy?**

Dla niego liczyła się tylko polityka. Pieniądze, wygody były dla niego bez znaczenia. Wie pan, jaki nosił zegarek? Elektroniczny casio, dostał go od sekretarki z tygodnika. To już ja miałem lepszy. Na elektronice zresztą w ogóle się nie znał. Nie wiedział nawet, jaki telewizor kupić do domu. Załatwiłem mu w hurtowni w Pruszkowie taki sam jak sobie. Sony, 21 cali.

**Dom przy Mickiewicza był ładny?**

Strasznie zapuszczony, gołe dechy na podłodze, ale dom to dom, miejsca było więcej. Mama zamieszkała na górze, pan Rajmund wziął pokój na dole, do tego spora kuchnia i ogródek, do którego przywiozłem im duży kamień, żeby Buś miał się gdzie wygrzewać. Bardzo lubił się tam wylegiwać.

**Rodzice mieszkali pod jednym dachem, ale prowadzili osobne życie. Podobno korzystali nawet z oddzielnych wejść do domu. Jedno wchodziło od Mickiewicza, a drugie od tyłu, od Solskiego.**

Od Mickiewicza na pewno wchodził listonosz, a my podjeżdżaliśmy zawsze od tyłu, bo po drugiej stronie Mickiewicza był burdel i Jarek nie

chciał się denerwować. Często narzekał, że widzi ten przybytek z okna, pisał nawet skargi w tej sprawie, ale agencja działała w najlepsze. Bajki o jego potężnych wpływach, jakiejś wszechmocy w rzeczywistości wyglądały właśnie tak. Pod nosem działał mu dom publiczny i on nie mógł na to nic poradzić.

A wracając do domu, to pan Rajmund kopał jak lokomotywa i może dlatego miał oddzielny pokój, który od samego rana zamieniał się w kotłownię. Tam było czarno od dymu, dziennie musiało schodzić kilka paczek. Z kolei pani Jadwiga nie paliła w ogóle.

### **Dobrze znał pan rodziców prezesa?**

Dobrze. Pani Jadwiga była kruchego zdrowia, ale miała silny charakter. Trzeba było się pilnować, żeby nie popełnić przy niej jakiegos nietaktu, bo takie sprawy jak wychowanie czy pochodzenie były dla niej ważne. Miała zdecydowane antykomunistyczne poglądy, dzięki czemu udało mi się zyskać jej sympatię. Ja, panie Michale, antykomunizm wyssałem z mlekiem matki. Rodziców po wojnie nachodzili w domu ubecy, dziadek po mieczu pił z Piłsudskim i ganiał z nim bolszewików pod Warszawą. Widziałem, że pani Jadwiga słuchała tych opowieści z aprobatą. Co niedzielę, jeździłem też z nią do kościoła na Czarnieckiego, do świętej pamięci księdza Indrzejczyka.

Pani Jadwiga była wspaniała. Gdy wozilem ją na wypoczynek do różnych ośrodków na Helu, w restauracji nigdy nie pozwoliła mi usiąść przy innym stoliku. Mówiła, że jak przyjechaliliśmy razem, to obiad teżjemy razem.

### **Nie spędzała wakacji z mężem?**

Ktoś zawsze musiał być w domu. Pan Rajmund też często wyjeżdżał, do sanatorium w Kołobrzegu.

### **Mama prezesa chyba pana lubiła?**

Pan, powiedziała mi kiedyś, jest tak blisko z Jarkiem i mam do pana pełne zaufanie. Podarowała mi wtedy piękne pióro wieczne. Ja z kolei przynosiłem jej róże, jej ulubione kwiaty. Jarek zawsze kupował jej siedem, róż a ja – pięć.

### **Innym kobietom prezes też dawał kwiaty?**

Jak jechał gdzieś na kolację, zawsze pytał, czy w domu jest kobieta. Jeśli była, zawsze zatrzymywaliśmy się po drodze w kwaciarni. Był bardzo szarmancki.

### **A kobiet, które do niego lgnęły, nie brakowało.**

Pewna dziennikarka z lokalnej gazety w Łodzi bardzo się do niego kiedyś zalecała, ale on tego nie odwzajemniał.

### **Z Łodzi jest też Janina Goss. Pani Janeczka.**

Bardzo dbała o prezesa, pamiętam, że poleciła mu kiedyś dietetyczkę. Jarek poszedł do niej i dostał rozpiskę, co mu wolno jeść, a czego nie. Nawet sekretarki z biura zaczęły mu wtedy gotować mniej tłusto. Pani Janeczka z kolei robiła szefowi konfitury, przywoziła mu je do biura, a czasem nawet do domu. Jarek nie wiedział, czy ma się za to jakoś odwdziżyć. W końcu mama poradziła mu, żeby coś jej sprezentował w podzięk. Poszedł do jubilera i kupił jej wisiołek na szyję.

### **Ona pewnie potraktowała to jako zachętę do dalszych amorów.**

Możliwe, ale Jarek nie był tym zainteresowany. Wobec niej, ale też wobec innych kobiet zawsze zachowywał dystans.

### **A byli jacyś ludzie – kobiety, mężczyźni, obojętne – o których Kaczyński mógłby powiedzieć: tak, to są moi prawdziwi przyjaciele, choćby nie wiem co, zawsze mogę na nich liczyć?**

Dziennikarze wyśmiewają się dziś z zakonu PC, ale tam naprawdę byli ludzie, którym szef ufał. O Adamie Lipińskim mówił, że to wzór uczciwości

i on mógłby powierzyć mu w ciemno całe swoje pieniądze. Na pewno przyjaźnił się też z Łońkiem Krasulskim z Elbląga i całą jego rodziną. Podczas kampanii do Senatu w 1989 roku często u niego nocował. To niezwykle towarzyski i otwarty człowiek.

### **Z panem chyba też łączyła go przyjaźń.**

Na pewno mogę zaliczyć go do swoich przyjaciół, a czy on powiedziałby to samo? Zawsze nazywał mnie kolegą, w czasie, gdy Dorn i Gosiewski musieli spacerować po korytarzu, ja miałem wstęp na wszystkie posiedzenia klubu parlamentarnego, swobodnie wchodziłem na najtajniejsze narady. Nieraz się kłóciliśmy, on wyklinał mnie, a ja jego, ale szybko nam przechodziło. A tym, że lubiła mnie pani Jadwiga i że znałem jego całą rodzinę – kuzynkę z Anglii, brata ciotecznego Jana Marię z Saskiej Kępy – szczytę się do dziś.

### **Wasze drogi rozeszły się w 1999 roku.**

Byłem zatrudniony jako kierowca w spółce „Srebrna”, ale miałem niepisaną umowę, że polecenia wydaje mi tylko Jarosław. Prezesem spółki był wtedy Wojciech Jasiński, do którego – nie ukrywam – czułem awersję. Jasiński za komuny był prominentnym członkiem PZPR, organizacji, moim zdaniem, zbrodniczej. Któregoś dnia przyszedł i mówi, że szef prosi mnie do siebie. Wchodzę do gabinetu, a Jarek zaczyna mi prawić kazanie. Wojtek się na ciebie skarży, jesteś krnąbrny, nie chcesz go słuchać. Była to oczywiście prawda, bo Jasiński chciał mną rządzić, a że jestem ciut nerwowo, to doszło między nami do kilku scysji. Na to ja: że się przecież umawialiśmy – polecenia wydajesz mi ty i tylko ty. „No, tak, ale wiesz, formalnie to on jest twoim prezesem”. „Jarek, co ty? Taka gadka to do Władka. Przecież obaj wiemy, że to ty decydujesz”. „Wojtek postawił mi ultimatum. Albo on, albo ty. Muszę wybrać jego, nie mam wyjścia”. „Tak? No, to wypierdalał”, „To wypierdalał”.



### **Tak wyglądało wasze rozstanie?**

Potem Jarek rzucił jeszcze jedno zdanie. „Byłeś bardzo dobrym kierowcą”, na co ja odpowiedziałem: „Dziękuję ci za to słowo, dobry człowieku” i wyszedłem. Dla mnie honor droższy od pieniędzy. Wie pan – bosso, ale w ostrogach.

### **„Byłeś bardzo dobrym kierowcą, ale wypierdalaj” – to bardzo brutalne pożegnanie po 10 latach przyjaźni.**

Jarek wcześniej mnie kilka razy ostrzegał, ten konflikt narastał. W sumie to rozumiem, że musiał wybrać Jasińskiego, na nasze kłótnie patrzyli inni i trzeba było to jakoś przeciąć. Zresztą, później docierało do mnie, że rusza go sumienie i kombinuje z bratem, jak by mnie tu uhonorować. W końcu zaproszono mnie do Pałacu Prezydenckiego na 25-lecie „Tygodnika Solidarność”, na którym dostałem Złoty Krzyż Zasługi i zrobiłem sobie z braćmi rodzinne zdjęcie.

### **To było wasze ostatnie spotkanie?**

Kilka godzin po Smoleńsku próbowałem się jeszcze skontaktować z Jarkiem, ale telefon w biurze odebrał Jacek Cieślikowski, jego asystent. To syn kolegi z pielgrzymek na Jasną Górę, sam polecałem go do pracy. Powiedział mi, że trwa narada, więc poprosiłem tylko, żeby przekazał szefowi kondolencje. Potem miniliśmy się jeszcze na pogrzebie pani Jadwigi. Wyciskaliśmy się i to był ostatni raz, kiedy widziałem Jarka.



# **/ Bibliografia**

## **Rozmowy w zbiorach autora z:**

Andrzejem Anuszem, Barbarą Arens, Arturem Dąbrowskim, Moniką Dmowską, Wojciechem Dobrzyńskim, Janem Felickim, Jerzym Fiedlerem, Lejbem Fogelmanem, Antonim Gajcym, Marcinem Giedrojciem, Romanem Giertychem, Michałem Głowińskim, Wiesławem Gogólem, Tomaszem Gruszeckim, Przemysławem Hniedziewiczem, Elżbietą Jakubiak, Danutą Jeżewską, Jarosławem Kaczyńskim (lekarzem), Renatą Kim, Hanną Kirchner, Barbarą Kontraktowicz, Tadeuszem Kopczyńskim, Krzysztofem Kwiatkowskim, Barbarą Labudą, Wiesławem Lasotą, Janem Lesiakiem, Janem Filipem Libickim, Dorota Macieją, Markiem Maldisem, Hanną Perkowską, Piotrem Perszewskim, Sławomirą Pieńkowską, Jackiem Pilchem, Pawłem Poncyłjuszem, Sławomirem Popowskim, Michałem Półtorakiem, Edwardem Radwańskim, Stanisławem Rojkiem, Hanną Stadnik, Zofią Swoczyną, Czesławem Telatyckim, Andrzejem Urbańskim, Jerzym Wesołowskim, Włodzimierzem Winklem, Barbarą Winklową, Ryszardem Witkowskim, Norbertem Wojciechowskim, Haliwą Wollowicz, Piotrem Wójcikiem, Arturem Zawiszą, Aleksandrą Zawłocką, Markiem Zwierzyńskim.

## **Dokumenty i opracowania:**

Akta dotyczące Jarosława Kaczyńskiego, Instytut Pamięci Narodowej  
Akta paszportowe Jadwigi Kaczyńskiej, Instytut Pamięci Narodowej  
Akta paszportowe Krystyny Sz., Instytut Pamięci Narodowej  
Akta penitencjarne Macieja Zalewskiego, archiwum Sądu Okręgowego Warszawa-Praga  
Akta procesu Jana Lesiaka, archiwum Sądu Okręgowego w Warszawie  
Akta procesu Krystyny Sz., archiwum Sądu Rejonowego Warszawa-Śródmieście  
Akta procesu Macieja Zalewskiego, archiwum Sądu Rejonowego w Warszawie  
Akta śledztwa przeciwko Wojciechowi Dobrzyńskiemu, archiwum Prokuratury Okręgowej w Warszawie  
Akta śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej, Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Warszawie  
Akta śledztwa w sprawie oświadczenia majątkowego Jarosława Kaczyńskiego, archiwum Prokuratury Okręgowej w Warszawie  
Archiwum Porozumienia Centrum, Archiwum Akt Nowych  
Archiwum fotograficzne Hanny Perkowskiej  
Archiwum fotograficzne Ryszarda Witkowskiego  
Archiwum fotograficzne Zofii Swoczyny  
Brzóska Andrzej, „Podzambrowscy przodkowie Jarosława i Lecha Kaczyńskich”  
Dokumentacja kamienicy przy ul. Lisa-Kuli 8, archiwum Urzędu Dzielnicy Żoliborz  
Księgi parafialne, Kościół Św. Stanisława Kostki w Warszawie  
Niepublikowane wspomnienia Jarosława Kaczyńskiego

Notatki Andrzeja Kostarczyka

Sprawozdanie Komitetu Wyborczego Jarosława Kaczyńskiego za wybory w 2010 roku, Państwowa Komisja Wyborcza

Sprawozdanie Komitetu Wyborczego Prawa i Sprawiedliwości za wybory w 2011 roku, Państwowa Komisja Wyborcza

Sprawozdania roczne Prawa i Sprawiedliwości za lata 2010-2013, Państwowa Komisja Wyborcza

Teczka pracownicza Jadwigi Kaczyńskiej, archiwum Instytutu Badań Literackich PAN

Teczka pracownicza Rajmunda Kaczyńskiego, archiwum Politechniki Warszawskiej

Wnioski o nadanie odznaczeń Rajmundowi Kaczyńskiemu, archiwum Rady Państwa

### **Książki:**

Anusz Andrzej, „Historia osobista PC”, wydanie 2008

Bichniewicz Michał, Rudnicki Piotr, „Czas na zmiany”, 1993

Bochwic Teresa, „Odwrotna strona medalu”, 1991

Brzechwa Jan, „Pehla Szachrajka”, 2009

Brzechwa Jan, „Szelmstwa Lisa Witalisa”, 2006

Cenciekiewicz Sławomir, Chmielecki Adam, Kowalski Janusz, Piekarska Anna K., „Lech Kaczyński.

Biografia polityczna 1949-2005”, 2013

Dickens Charles, „Opowieść wigilijna”, 2011

Duszyńska Julia, „Cudaczek wyśmiewaczek”, 2011

Eberhardt Grzegorz, Stychlerz-Kłucińska Marzanna, Waszkielewicz-Glica Bernadeta, Zarzycka Ewa,

„Ludzie Tygodnika Solidarność”, 2006

Kaczyński Jarosław, „Polska naszych marzeń”, 2011

Karnowski Michał, Zaremba Piotr, „Marcinkiewicz. Kulisy władzy”, rozmowa z Kazimierzem

Marcinkiewiczem, 2007

Karnowski Michał, Zaremba Piotr, „O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich”, 2006

Kipling Rudyard, „Słoniątko”, 1959

Krasowski Robert, „Po południu”, 2012

Krzyszowski Michał, Dzierżanowski Marcin, „Smoleńsk. Zapis śmierci”, 2011

Kubalski Tadeusz, „W szeregach Baszty”, 1969

Kublik Agnieszka, Olejnik Monika, „Dwie na jednego”, 2006

Majewski Michał, Reszka Paweł, „Daleko od miłości”, 2011

Majewski Michał, Reszka Paweł, „Daleko od Wawelu”, 2010

Makuszyński Kornel, „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, 2007

Oldakowski Jan, Mazur Maciej, „Muzeum”, 2014

Pastwa-Wojciechowska Beata, „Rozwój bliźniąt w ciągu życia: aspekty biopsychologiczne”, 2010

Prus Bolesław, „Faraon”, 2005

Przyborowski Walery, „Olszynka Grochowska. Powieść osnuta na tle 1831 roku, 2013

Segal Nancy, „Born together – reared apart”, 2012

Segal Nancy, „Entwined lives”, 2000

Segal Nancy, „Someone else’s twin”, 2011

Semka Piotr, Kurski Jacek, „Lewy czerwcowy”, 1993

„Solidarność podziemna 1981-1989” pod redakcją Andrzeja Friszkego, 2006

Sienkiewicz Henryk, „Krzyżacy”, 2010

Sienkiewicz Henryk, „Potop”, 2010

Torańska Teresa, „My”, 1994

Torańska Teresa, „Smoleńsk”, 2013

Wałęsa Lech, „Wałęsa. Droga do prawdy”, 2008

Warzecha Łukasz, „Lech Kaczyński. Ostatni wywiad”, 2010

Wright Lawrence, „Bliźnięta. Geny, środowisko i tajemnica tożsamości”, 1998

Zaremba Piotr, „O jednym takim...”, 2010

Ziemkiewicz Rafał, „Czas wrzeszczących staruszków”, 2006

#### **Materiały wideo:**

Debata Jarosława Kaczyńskiego z Adamem Michnikiem wyemitowana w 1990 roku, archiwum TVP

„Kaczyński - Torańska 1994”, [www.youtube.com/watch?v=h-aBKB7bito](http://www.youtube.com/watch?v=h-aBKB7bito), 2012

„Lider - film dokumentalny o Jarosławie Kaczyńskim”, [www.youtube.com/watch?v=fW4Y867Oh6s](http://www.youtube.com/watch?v=fW4Y867Oh6s), 2011

„Ona i on”, rozmowa Małgorzaty Domagalik z Jarosławem Kaczyńskim wyemitowana w 2009 roku, archiwum TVN

„Przemówienie Jarosława Kaczyńskiego podczas pogrzebu śp. Jadwigi Kaczyńskiej”, [www.youtube.com/watch?v=wjmxBqI3nVM](http://www.youtube.com/watch?v=wjmxBqI3nVM), 2013

#### **Prasa i internet:**

Bikont Anna, Szczęśna Joanna, „Życie codzienne w mieszkaniu Jacka Kuronia”, „Gazeta Wyborcza”, 2011

Cenkiewicz Sławomir, Chmielecki Adam, „W sprawie rzekomej »lojalki« Jarosława Kaczyńskiego przeciwko kłamliwym sugestiom Ewy Kopacz”, [www.dorzeczy.pl](http://www.dorzeczy.pl), 2014

Cuch Kazimierz, „Starachowickie korzenie braci Kaczyńskich”, „Echo dnia”, 2010

Fedor Dariusz, „Tajemniczy podsłuch w KKO”, „Gazeta Wyborcza”, 1991

Gierwat Aleksandra, „Młodzi bracia Kaczyńscy spędzali wakacje na Podlasiu. Przeczytaj wspomnienia mieszkańców”, „Gazeta Współczesna”, 2011

Gociek Piotr, Gursztyn Piotr, „Chcę koalicji z częścią PO, a nie z SLD”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Rzeczpospolita”, 2010

Gostkiewicz Michał, Sterlingow Marek, „Roman Giertych dla Gazeta.pl o przyjaźni z Sikorskim, miłości do żony i politycznej walce z PiS”, [www.gazeta.pl](http://www.gazeta.pl), 2015

Gójska-Hejke Katarzyna, Sakiewicz Tomasz, „Prawdę o Smoleńsku musi usłyszeć Polska i cały świat”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Gazeta Polska”, 2010

Gursztyn Piotr, „Jadwiga Kaczyńska wie o tragedii”, „Rzeczpospolita”, 2010

Gursztyn Piotr, „Za Leszka z Polską się liczono”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Do Rzeczy”, 2013

Henzler Marek, „Doktorat premiera Kaczyńskiego”, „Polityka”, 2007

Janecki Stanisław, Kozłowska Katarzyna, Krzymowski Michał, „W Polsce połowa premierów była z czapki”, rozmowa z Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi, „Wprost”, 2009

Janke Igor, „Przełomem był wyjazd do Gdańska”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, [www.tv.rp.pl](http://www.tv.rp.pl), 2011

„Jarosław Kaczyński dla Salon24 (cz. 1): Czas porozumienia”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, [www.salon24.pl](http://www.salon24.pl), 2010

Kaczyńska Jadwiga, „Alfabet Jadwigi Kaczyńskiej”, „Wprost”, 2009

„Kaczyński nie rozmawia z PjN”, [www.tvn24.pl](http://www.tvn24.pl), 2010

„Kaczyński: Nie wskażę następcy. Wywiad cz. 2”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, [www.salon24.pl](http://www.salon24.pl), 2010

Kalukin Rafał, „Ludzie muszą się bać”, „Gazeta Wyborcza”, 2010

Kalukin Rafał, „Opozycjonista bez przydziału”, „Newsweek”, 2013

Kaplińska-Struss Anna, „Mężczyzna nie płacze”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Gala”, 2010

Karnowski Jacek, Karnowski Michał, „Wracam”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „wSieci”, 2013

Karnowski Michał, „Kiedy Leszek umarł”, „Rzeczpospolita”, 2010

Kazikiewicz Magda, Sulikowski Jarosław, „Myślę o bracie sto razy dziennie”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim „Fakt”, 2011

Krawczewski Jacek, Miroszewska Magdalena/iar, „Sąd: Lesiak winny, ale sprawa umorzona”, [www.dziennik.pl](http://www.dziennik.pl), 2007

Krzykowski Michał, „Prezes PiS: Cnotę straciliśmy, a rubla nie zarobiliśmy”, [www.wprost.pl](http://www.wprost.pl), 2010

Krzykowski Michał, „Historia pewnej nienawiści”, „Wprost”, 2011

Krzykowski Michał, „Kaczor, nie ściągaj”, „Newsweek”, 2014

Krzykowski Michał, „Kaczyński: czujne organa partii wyrzuciły gada i dwa płazy”, [www.wprost.pl](http://www.wprost.pl), 2011

Krzykowski Michał, „Lewi asystenci PiS”, „Newsweek”, 2015

Krzykowski Michał, „Nepotyzm w wersji PiS”, „Newsweek”, 2015

Krzykowski Michał, „Sam”, „Newsweek”, 2013

Krzykowski Michał, „Sieroty po Lechu na bocznym torze”, „Newsweek”, 2014

Krzykowski Michał, „Srebrny układ”, „Newsweek”, 2012

Krzykowski Michał, „Układ scalony”, „Newsweek”, 2013

Kublik Agnieszka, Olejnik Monika, „Nie pozwolimy na wybory”, rozmowa z Donaldem Tuskiem, „Gazeta Wyborcza”, 2006

Kublik Agnieszka, Olejnik Monika, „We mnie jest czyste dobro”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Gazeta Wyborcza”, 2006

Kurski Jarosław, „Afera Watergate to pestka”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Gazeta Wyborcza”, 1999

Leniarski Radosław, Romer Adam, „Zepchnąłem w cień piłkarzy!”, rozmowa z Alberto Tombą, „Gazeta Wyborcza”, 2004

Lewandowska Wiesława, „Długa historia nienawiści”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Niedziela”, 2010

Lichocka Joanna, „J. Kaczyński wspomina wydarzenia z 13 grudnia 1981 r.”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, [www.niezalezna.pl](http://www.niezalezna.pl), 2012

Lichocka Joanna, „Polska potrzebuje szerokiego paktu politycznego”, rozmowa z Lechem Kaczyńskim, „Rzeczpospolita”, 2009

Lichocka Joanna, „Tusk hoduje nową nomenklaturę”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Do Rzeczy”, 2014

Lichocka Joanna, „Tylko u nas: J. Kaczyński odpowiada Newsweekowi”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, [www.niezalezna.pl](http://www.niezalezna.pl), 2012

Łazarewicz Cezary, „Niezwykła kariera Hofmana”, „Wprost”, 2013

Łazarewicz Cezary, „Ojciec braci”, „Newsweek”, 2012

Machala Tomasz, Kim Renata, „Już nigdy nie będę szczęśliwy”, „Wprost”, 2011

Majewski Michał, „Elegia na odejście”, „Tygodnik Powszechny”, 2013

Majewski Michał, Reszka Paweł, „Z miłości do brata”, „Dziennik”, 2008

Mikołajewska Bianka, Winnicka Ewa, Dobosz Agnieszka, „Saga rodu Kaczyńskich”, „Polityka”, 2007

Nazarewicz Katarzyna, „Modliszki w PC”, „Wprost”, 1992

Niezgoda Agnieszka, „Grupa wsparcia”, „Polityka”, 2005

notka, „Wszystko o miłości”, 1994

Pytlakowska Krystyna, „Jakby nie umarli... Jakby żyli...”, rozmowa z Martą Kaczyńską-Dubieniecką, „Viva”, 2011

Pytlakowska Krystyna, „Poprosiłabym go, żeby nie leciał”, rozmowa z Jadwigą Kaczyńską, „Viva”, 2012

Pytlakowska Krystyna, „Samotny nie jestem”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Viva”, 2013

Rubaj Magdalena, „Oto miłość Kaczyńskiego”, „Fakt”, 2010

Sakiewicz Tomasz, Hejke Katarzyna, „Sznurwadła i polityka”, rozmowa z Jadwigą Kaczyńską, „Gazeta Polska”, 2005

Sakiewicz Tomasz, Lichocka Joanna, „Platforma to już dziś postkomuna”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Gazeta Polska”, 2013

Stankiewicz Andrzej, Śmilowicz Piotr, „Chcę być premierem”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, „Newsweek”, 2010

Staszewicz-Piekut Anna, Grodecki Tomasz, „Jarosław Kaczyński o ostatniej rozmowie z bratem”, rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, Polska Agencja Prasowa, 2011

Subotić Małgorzata, Tomczyk Paweł, „O dwóch takich...”, rozmowa z Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi, „Rzeczpospolita”, 1998

Sygut Tomasz, Zasepa Grzegorz, „Kiedy dzwoni telefon, myślę że to Leszek”, „Super Express”, 2010

- Szadkowska Ewa, „Człowiek roku Życia Warszawy”, „Życie Warszawy”, 2005
- Szacki Wojciech, Uhlig Dominik, „Ziobro to gwiazda. Kierownik nazywa się Kaczyński!”, „Gazeta Wyborcza”, 2009
- Szczepek Stefan, „Ostatnia czwórka”, „Rzeczpospolita”, 2010
- „Tajemnicze odejście szefa BOR-u”, [www.rmf24.pl](http://www.rmf24.pl), 2006
- Torańska Teresa, „Ogrillowali nas”, rozmowa z Joachimem Brudzińskim, „Gazeta Wyborcza”, 2010
- Torańska Teresa, „Startujemy”, rozmowa z Jerzym Bahrem, „Gazeta Wyborcza”, 2011
- Torańska Teresa, „Wywiad nieautoryzowany”, rozmowa z Adamem Bielanem, „Newsweek”, 2012
- Torańska Teresa, „Po katastrofie”, rozmowa z Adamem Bielanem, „Newsweek”, 2012
- Walenciak Robert, „Teczki Kaczyńskich”, „Przegląd”, 2008
- Werner Anita, Siennicki Paweł, „Kochałem Lecha. A Jarosław nie chciał być naszym ojcem”, „Polska The Times”, 2010
- W.G., „Bliźniaki do Senatu”, „Gazeta Wyborcza”, 1989
- Zagórski Sławomir, „Bliźniak na dobre i na złe”, „Gazeta Wyborcza”, rozmowa z Nancy Segal, 2012
- Zawłocka Aleksandra, „Czarna i złota legenda”, Gentleman, 2001
- Zawłocka Aleksandra, „Kulisy powstania rządu Jana Olszewskiego” cz. 1-4, „Express Wieczorny”. 1992
- Zawłocka Aleksandra, „Tygodnik krnąbrny”, „Rzeczpospolita”, 2009



Copyright © by Michał Krzymowski

Copyright © by Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o., Warszawa

**ringier**  
**axel springer**

**Wydawca:** Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o., ul. Domaniewska 52, 02-672 Warszawa

**Dyrektor wydawniczy:** Dariusz Zieliński

**Menedżer projektu:** Bernadetta Byrska

**Projekt okładki:** MMM

**Fotoedycja:** Mikołaj Starzyński

**Zdjęcie na okładce:** Marcin Kaliński/Wprost

**Zdjęcie Michała Krzymowskiego (okładka):** Marek Szczepański

**Zdjęcia w książce:**

Archiwum autora s. 6-7, 11, 14

Przemysław Pokrycki/Przekrój/REPORTER s. 30

Marcin Łobaczewski/REPORTER s. 45

ARCHIWUM RODZINNE/EAST NEWS s. 62, 184-185

Piotr Malecki dla Viva!/Forum s. 24-25, 77

Grzegorz Klatka/Pictures/Forum s. 84

EAST NEWS s. 100-101, 118, 270

PAP/CAF/Witold Rozmysłowicz s. 154-155, 158

AP Photo/EAST NEWS s. 169

PAP/Leszek Jerzy Pękański s. 195, 208-209

Anna B. Bohdziewicz/REPORTER s. 214-215

Erazm Ciołek/FORUM s. 224-225

Maciej Piąsta/FORUM s. 246-247, 254-255

Krzysztof P. Wojciechowski/FORUM s. 282-283

Andrzej Iwańczuk/REPORTER s. 298, 464-465

Jarosław Stachowicz/FORUM s. 258-259, 310-311, 352-353

PAP/CAF/Damazy Kwiatkowski s. 324-325

PAP/Grzegorz Press s. 334-335

Bartek Kosiński/EAST NEWS s. 365

Robert Zalewski/SE/EAST NEWS s. 378-379

Witold Rozbicki/REPORTER s. 388-389

PAP/Darek Delmanowicz s. 405

Andrzej Lange/SE/EAST NEWS s. 342-343, 422-423

PAP/Jacek Turczyk s. 432

Andrzej Wiernicki/FORUM s. 446-447

Paweł Kula/PAP s. 454-455

**Przygotowanie książki** (projekt, opracowanie graficzne, fotoedycja, skład, redakcja, korekty):

RED PEPPER dla RASP Sp. z o.o.

**Do składu książki wykorzystano font** Fanwood

**Druk i oprawa:** Drukarnia im. A. Półtawskiego, Kielce